

ILONA ANDREWS

MAGIA

UDERZA

**PRZEŁOŻYŁA
DOMINIKA SCHIMSCHEINER**

**fabryka słów
LUBLIN 2010**



Anastazji i Helen

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bywają dni, kiedy moja praca jest jeszcze trudniejsza niż zazwyczaj. Klepnęłam w drabinę.

- Widzi pani, pani McSweeney? Jest bardzo stabilna. Może pani już zejść.

Uczepiona słupa telefonicznego McSweeney spojrzała na mnie z góry, najwyraźniej nieprzekonana tak o solidności drabiny, jak i mojej. Chuda, drobnokoścista, musiała przekroczyć już siedemdziesiątkę. Wiatr rozwiały jej siwe włosy, tworząc białą aureolę wokół głowy, i rozchylił poły szlafroka, ukazując widoki, których wolałabym nie oglądać.

- No, dalej, pani McSweeney, proszę zejść. Odchyliła się, biorąc głęboki wdech. O nie, znowu. Usiadłam na ziemi, zakrywając dłońmi uszy.

Nocną ciszę rozdarło ostre jak nóż zawodzenie. Dźwięk uderzył w okna bloków, rezonując przenikliwym brzękiem szyb. Ulice rozbrzmiały zaskakująco harmonijnym wyciem psów. Lament wzrastał się, potęgując lawinowo, aż w końcu słyszałam tylko jeden wielogłosowy chór, który tworzyły przeciągłe wycie wilka, żalony krzyk ptaka i rozdzierający serce płacz dziecka. Staruszka wyła i

wyła, jakby wydzierano jej serce z piersi, przyprawiając mnie o rozpacz.

Fala magii odeszła. W jednej chwili przesycala świat, przydając mocy zawodzeniu pani McSweeney, a w następnej zniknęła bez ostrzeżenia na podobieństwo linii na piasku, który omyła woda. Przewagę odzyskała technika. Błękitna magiczna latarnia na słupie zgasła, pozbawiona dopływu magicznej energii, a pobliski budynek mieszkalny rozbłysnął światłem lamp elektrycznych.

To tak zwany rezonans - magia zalewała świat wielką falą, dławiąc wszystko, u podstaw czego leżała technika, gasząc silniki samochodowe, unieruchamiając broń automatyczną, powodując erozję wysokościowców. W jednej chwili magowie mogli strzelać lodowymi pociskami, waliły się drapacze chmur, uaktywniały się osłony, trzymające z dala od mojego domu nieproszonych gości. A potem, ot tak, magia zniknęła, pozostawiając po sobie przebudzone potwory. Nikt nie był w stanie przewidzieć, kiedy znów się pojawi, nikt nie miał na to wpływu. Mogliśmy jedynie starać się przetrwać w tej szalonej taranteli magii i techniki. Dlatego posługiwałam się mieczem. Działał zawsze, niezależnie od fazy.

Ostatnie echa wycia odbiły się od murów, milknąc.

Pani McSweeney patrzyła na mnie smutno. Podniosłam się z ziemi i pomachałam do kobiety.

- Proszę poczekać, zaraz wracam! Wbiegłam w mroczne wejście budynku, gdzie w ciemnościach czaiło się pięciu krewnych pani McSweeney.

- Dlaczego do niej nie wyjdziecie? Na pewno byłoby mi łatwiej.

Robert McSweeney, ciemnooki szatyn w średnim wieku, potrząsnął głową o przerzedzających się włosach.

- Matka sądzi, że nie wiemy, iż jest banshee. Pani Daniels, może ją pani stamtąd ściągnąć czy nie? Na litość boską, w końcu jest pani rycerzem Zakonu!

Po pierwsze, nie byłam rycerzem, a jedynie pracowałam dla Zakonu Rycerzy Miłosiernej Pomocy. Po drugie, nie specjalizowałam się w negocjacjach, tylko w zabijaniu. Robiłam to szybko i brutalnie. Nie miałam doświadczenia w ściągnięciu podstarzałych banshee ze słupów telefonicznych.

- Może wiecie coś, co mogłoby mi pomóc?

- Raczej nie... - westchnęła Melinda, żona Roberta. - Trzymała to w sekrecie. Słyszeliśmy już wcześniej jej zawodzenie, ale zawsze była przy tym dyskretna. Takie zachowanie nie leży w jej naturze.

Na schodach pojawiła się starsza Murzynka w hawajskiej szacie.

- Czy ta dziewczyna ściągnęła już Margie ze słupa?

- Staram się.

- Przypomnij jej, że jutro wieczorem gramy w bingo.

- Dziękuję.

Skierowałam się ku słupowi. Trochę współczułam pani McSweeney. Podczas rezonansu sytuacji w kraju pilnowały trzy agencje - Wojskowe Oddziały Obrony przed Nadprzyrodzonymi, czyli WOON, Policyjny Wydział Kontroli Zjawisk Paranormalnych, czyli PWKZP, oraz mój obecny pracodawca - Zakon Rycerzy Miłosiernej

Pomocy. Wszystkie one zaliczały banshee do stworzeń niegroźnych. Nikomu jak dotąd nie udało się wykazać związku pomiędzy ich wyciem a czyjąś śmiercią czy jakimś kataklizmem. Jednakże według folkloru banshee były odpowiedzialne za wiele nikczemności. Obwiniano je o doprowadzanie ludzi swoim krzykiem do szaleństwa i zabijanie dzieci samym tylko spojrzeniem. Ludziom nie spodobałoby się mieszkanie w sąsiedztwie banshee, rozumiałam więc, dlaczego pani McSweeney zadała sobie tyle trudu, aby ukryć swoją przypadłość. Nie chciała stać się ofiarą ostracyzmu ani narażać nań rodziny.

Niestety, bez względu na to, jak usilnie człowiek stara się coś ukryć, jego sekret w końcu wychodzi na jaw i nagle można ocknąć się na słupie telefonicznym, nie wiedząc, dlaczego i jak się tam znalazło, zaś sąsiedzi tymczasem udają, że nie słyszeli żadnych straszliwych wrzasków.

Tak. Dobrze wiedziałam, jak to jest. Byłam ekspertem zachowywania w tajemnicy swojej tożsamości. Paliłam zużyte opatrunki, aby nikt nie mógł zidentyfikować mnie po magii we krwi. Ukrywałam moc. Staralam się nie mieć przyjaciół i niemal mi się to udawało. Bo gdyby mój sekret ujrzał światło dzienne, nie obudziłabym się na słupie telefonicznym. Nie obudziłabym się wcale, a moi przyjaciele byliby równie martwi, co ja.

Zbliżywszy się do słupa, zadarłam głowę.

- W porządku, pani McSweeney. Policzę do trzech, a potem pani zejdzie.

Potrząsnęła głową.

- Pani McSweeney! Robi pani z siebie widowisko! Rodzina się o panią martwi, a jutro umówiła się pani na bingo. Chce to pani przegapić?

Przygryzła wargę.

- Zrobimy to razem. - Wdrapałam się trzy szczeble do góry. - Na trzy. Raz, dwa, trzy i krok!

Zeszłam niżej, obserwując, jak robi to samo. Dzięki ci, kimkolwiek jesteś tam na górze.

- No dalej. Raz, dwa, trzy i krok! Zeszliśmy jeszcze jeden szczebel razem, a potem kolejny ruch wykonała samodzielnie. Zeskoczyłam na ziemię.

- Świetnie!

Pani McSweeney zamarła. Tylko nie to! Spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Nie powie pani nikomu?

Zerknęłam na okna bloku. Jej wycie obudziłoby nieboszczyków i nawet ich skłoniło do wezwania policji. Jednak w tych czasach ludzie trzymali się razem. Nie mogli polegać na technice czy magii, ufali więc rodzinie i sąsiadom. Bez względu na rozmiar absurdu zamierzali zachować jej sekret, zatem ja także.

- Nie powiem - obiecałam.

Dwie minuty później wracała do swojego mieszkania, ja zaś mocowałam się z drabiną, usiłując wepchnąć ją do schowka pod schodami, skąd na moją prośbę została wyciągnięta przez dozorcę.

Byłam na nogach od piątej rano. O tej właśnie godzinie przez korytarz oddziału Zakonu w Atlancie przebiegł rozszalały mężczyzna, wrzeszcząc, że do szkoły New Hope dostał się kociogłowy smok, który zamierza pożreć dzieci. Smok okazał się małym tatzelwyrmem, którego niestety nie udało mi się poskromić inaczej, jak przez odcięcie głowy. To właśnie wtedy po raz pierwszy dzisiaj unurzałam ręce we krwi.

Później musiałam pomóc Mauro pozbyć się dwugłowego słodkowodnego węża ze sztucznego stawu w ruinach wieży IBM w centrum. Potem wszystko potoczyło się lawinowo. W efekcie byłam brudna, zmęczona, głodna, usmarowana czterema rodzajami juchy i marzyłam tylko o powrocie do domu. Na dodatek śmierdziały moje buty, na które wąż zwymiotował częściowo strawionego kota.

Uporawszy się wreszcie z drabiną, wyszłam na parking, gdzie przywiązana do metalowej barierki, umieszczonej specjalnie w tym celu, stała moja mulica, Marigold. Podchodząc, dostrzegłam na zadzie zwierzęcia niedokończoną swastykę wymalowaną zieloną farbą. Złamany pędzel leżał nieopodal w towarzystwie kilku plamek krwi oraz czegoś, co wyglądało jak ząb. Przyjrzałam się z bliska. Tak, bez wątpienia ząb.

- Miałaś małą przygodę, co?

Marigold nie odpowiedziała, ale z doświadczenia wiedziałam, że zachodzenie jej od tyłu należy do wyjątkowo złych pomysłów. Kopała jak muł; pewnie dlatego, że nim była.

Gdyby nie znak Zakonu wypalony na zadzie, Marigold szybko padłaby ofiarą kradzieży. Na szczęście Zakon miał zwyczaj magicznie śledzić złodziei swego mienia, by spaść na nich z nienacka niczym tona cegieł.

Odwiązałam zwierzę, wsiadłam i dzielnie pokłusowałyśmy w noc.

Zasadniczo panowanie magii i techniki zmieniało się raz na kilka dni, zwykle nawet częściej. Jednak dwa miesiące temu nawiedził nas nieprawdopodobnie silny rozbłysk magii. Uderzywszy w miasto niczym tsunami, pogrążył rzeczywistość w całkowitym chaosie. Przez trzy dni po ulicach szwendali się bogowie i demony, a ludzie oraz bestie mieli spore problemy z samokontrolą. Podczas rozbłysku pomagałam grupce zmiennokształtnych walczyć z hordą przebudzonych potworów.

Uderzenie wywróciło wszystko do góry nogami. Do tej pory widywałam to w snach. Nie były to koszmary, raczej oszałamiające, surrealistyczne wizje pełne krwi, błysku ostrzy i śmierci.

Rozbłysk wypalił się wreszcie, oddając niepodzielną władzę technice. Przez dwa miesiące nie było problemów z samochodami, mrok wycofał się przed elektrycznością, a działająca klimatyzacja uczyniła sierpień niebiańsko przyjemnym. Mieliśmy nawet telewizję. W poniedziałek puścili „Terminatora 2” bijącego po oczach rażąco jasnym przekazem - zawsze może być gorzej.

A potem, w środę około południa, magia uderzyła ponownie, rozpętując w Atlancie istne piekło. Nie wiem, czy ludzie łudzili się, że

magia już nie wróci, czy też, straciwszy czujność, dali się zaskoczyć, ale nie mieliśmy tylu wezwań, odkąd zaczęłam pracować dla Zakonu. W przeciwieństwie do Gildii Najemników, z którą także współpracowałam, Zakon Rycerzy Miłosiernej Pomocy przyjmował wszystkie zlecenia, bez względu na perspektywy uzyskania zapłaty czy wręcz ich brak. Liczyli sobie tyle, na ile zleceniodawcę było stać, czyli bardzo często nic. Zalały nas błagania o pomoc. W środę udało mi się przespać cztery godziny. Od tamtej pory nie zmrużyłam oka. Praktycznie rzecz biorąc, zaczął się już piątek, a wizje gorącego prysznic, posiłku oraz miękkiej pościeli nie opuszczały mnie ani na moment. Parę dni temu zrobiłam szarlotkę, z której ostał się jeszcze jeden kawałek.

- *Kate?* - poważny głos Maxine rozbrzmiał w mojej głowie odległy, a jednak wyraźny.

Nie podskoczyłam. Po czterdziestośmiogodzinnym maratonie telepatyczne wezwanie zakonnej sekretarki wydawało się czymś absolutnie normalnym. Smutne to, lecz prawdziwe.

- *Przykro mi, moja droga, ale szarlotka musi poczekać.*

Żadna nowina. Maxine nie czytała myśli celowo, ale odbierała je mimochodem, jeśli ktoś, tak jak ja teraz, koncentrował się na czymś intensywnie.

- *Mamy zieloną siódemkę, wezwanie od cywila.*

Martwy zmiennokształtny. Wszystkie sprawy dotyczące zmiennokształtnych to moja działka. Zmiennokształtni nie ufali obcym, a ja byłam jedynym współpracownikiem oddziału Zakonu w

Atlancie, który cieszył się statusem Przyjaciela Gromady. Choć termin „cieszenie się” w tym wypadku nie przystawał do klasycznej definicji. Mój status oznaczał, że przy dobrych wiatrach zmiennokształtni pozwoliliby mi wyrzec parę słów przed zaszlachtowaniem. Jeśli chodzi o manię prześladowczą, ewolucyjnie wyprzedzali inne gatunki o całe lata świetlne.

- Gdzie?

- *Róg Ponce de Leon i Martwego Kota.*

Jakieś dwadzieścia minut na mule. Gromada już pewnie wiedziała, co się stało. Będą niuchać na miejscu i wywarkiwać żądania przekazania im sprawy. Ech. Zawróciłam Marigold, kierując się na północ.

- Zajmę się tym.

* * *

Marigold telepała się ospale, lecz niezmordowanie parła do przodu. Po obu stronach ulicy niegdyś strzeliste budynki wcinały się w niebo poszarpaną linią gruzowisk. Wyglądało to tak, jakby magia podłożyła ogień pod Atlantę, gasząc płomienie, nim miasto obróciło się w perzynę.

Tu i ówdzie mrok rozpraszały punkciki światła ustawionych przypadkowo latarni. Od apartamentowca Alexander on Ponce niósł się zapach węgla drzewnego doprawiony aromatem smażonego mięsa. Ktoś pichcił późną kolację. Ulice były wymarłe. Nikt, kto posiadał choć odrobinę oleju w głowie, nie włączył się po nocy.

Ponad miastem przetoczył się wysoki skowyt wilczycy jeżący mi włoski na karku. Przed moimi oczami stanął obraz betonowego szkieletu wieżowca i stojącej na nim bestii o jasnym futrze wysrebrzonym księżycową poświatą, która z zadartym łbem, odsłaniając miękkie podgardle, wyśpiewuje swój tęskny zew niosący obietnicę krwawego polowania.

Z bocznej alejki smyrgnął przecinkowaty cień, za nim drugi. Wychudzone, bezwłose istoty w nieskoordynowanych podrygach wybiegły na ulicę, zagradzając mi drogę. Obie były niegdyś ludźmi, obie też musiały być martwe już od ponad dekady. Na ich kanciastych ciałach nie pozostał ani gram tłuszczu. Żadnych obłości, jedynie stalowe mięśnie opięte twardą skórą. Dwa wampiry na łowach. W dodatku poza swoim terytorium.

- Tożsamość - rzuciłam. Większość nekromantów rozpoznawała mnie, znali wszystkich członków Zakonu w mieście.

Stojący bliżej wampir rozwarł szczęki, umożliwiając wydobyć się zniekształconego nieco głosu nekromanty.

- Czeladnik Rodriguez, czeladnik Salvo.

- Kto jest waszym panem?

- Rowena.

Ze wszystkich Panów Umarłych Roweny nienawidziłam najmniej.

- Zapędziliście się dość daleko od Kasyna.

- No bo...

Drugi wampir otworzył paszczę, ukazując jaśniejące na tle czarnych dziąseł kły.

- Nawalił, przez niego zgubiliśmy się w Labiryncie.
- Szedłem według mapy.

Drugi uniósł szponiasty palec ku niebu.

- Możesz ją sobie wsadzić, skoro nie umiesz rozróżnić kierunków. Księżyc nie wschodzi na północy, młotku.

Dwóch kretynów. Cała sytuacja wydawałaby się komiczna, gdybym nie wyczuwała bijącej od wampirów żądzy krwi. Wystarczy, że te patałachy choć na moment stracą kontrolę, a krwio pijcy rozedrą mnie na strzępy.

- Naprzód. - Szturchnęłam Marigold.

Wampiry ruszyły dalej, sterowane przez nawigatorów częściowo pochłoniętych sprzeczką rozgrywającą się gdzieś w czeluściach Kasyna. Wirus *Immortuus* zabijał w swych ofiarach osobowość. Bezduzne stwory, kierowane nienasyconą żądzą krwi, mordowały każdą istotę o pulsującym sercu. Pustka umysłowa czyniła z nich idealne narzędzia nekromantów, Panów Umarłych. Większość Panów służyła Rodowi. Po części sekta, po części ośrodek naukowy, po części korporacja, ogólnie odrażająca instytucja, zajmowała się badaniami oraz opieką nad nieumarłymi. Ród, podobnie jak Zakon, posiadał oddziały w każdym większym mieście. Tu, w Atlancie, obrali sobie na siedlisko Kasyno.

W rankingu rekinów Atlanty Ród plasował się bardzo wysoko. Jeśli chodzi o potencjał destrukcyjny, równać się z nim mogła jedynie

Gromada. Rodem władała tajemnicza, legendarna istota, która w tej konkretnej erze obrała sobie imię Roland. Roland dysponował ogromną mocą. Stanowił też główny cel mojego życia. To właśnie z myślą o jego zgładzeniu od dziecka szkolono mnie na zabójcę.

Okrzyłam wielką dziurę w chodniku i skręciłam w ulicę Martwego Kota, gdzie moim oczom ukazała się mroczna scena zbrodni. Nigdzie śladu glin czy świadków. Nikły blask księżyca uwidaczniał sylwetki siedmiu zmiennokształtnych. Wszyscy żyli.

Dwa wilkołaki w zwierzęcych formach przeczesywały miejsce w poszukiwaniu śladów zapachu. Zaczynając od wlotu uliczki, z nosami przy ziemi, obwąchiwały teren, zataczając coraz większe kręgi. Zwierzęce postaci zmiennokształtnych charakteryzowały się większymi gabarytami niż ich naturalne pierwowzory. Ci tutaj nie stanowili wyjątku - potężne, kudłate bestie przewyższały rozmiarami i wagą dogi niemieckie. Dalej inna dwójka, tym razem o ludzkich kształtach, pakowała ostrożnie do worka coś, co podejrzenie przypominało zwłoki. Kolejnych troje patrolowało okolicę zapewne z zamiarem odstraszenia ciekawskich. Niepotrzebnie, nikt bowiem nie byłby na tyle głupi, żeby nawet zerknąć w tę stronę.

Na mój widok grupka zastygła w bezruchu. Poczułam na sobie siedem par gorejących ślepi, cztery zielone, trzy żółte. Sądząc po intensywności rozjarzenia, zmiennokształtni balansowali na granicy szaleństwa. Stracili jednego ze swoich i teraz przepełniała ich żądza zemsty.

- Myśleliście kiedyś, żeby robić w święta za światełka choinkowe? - rzuciłam lekko. - Zbilibyście fortunę.

Jeden ze zmiennokształtnych ruszył ku mnie. Mocno umięśniony, choć zwinny, na oko czterdziestolatek. Jego twarz zastygła w firmowej masce Gromady prezentowanej obcym - uprzejmej i twardej niczym skały Gibraltaru.

- Dobry wieczór pani. To prywatne śledztwo prowadzone przez Gromadę. Jestem zmuszony prosić, aby opuściła pani to miejsce.

Pani... Aj.

Sięgnęłam pod koszulę, gdzie na tasiemce nosiłam zalaminowany identyfikator. Spojrzał na dokument sygnowany małym kwadracikiem zaczarowanego srebra.

- Zakon! - zawołał do pozostałych.

Z ciemności wyłonił się jeszcze jeden mężczyzna. Zjawił się znikąd tam, gdzie przed chwilą pod murem widniała jedynie plama atramentowej czerni. Blisko metr dziewięćdziesiąt mięśni ukształtowanych jak u olimpijskiego atlety, obleczonych skórą koloru gorzkiej czekolady. Zwykle nosił szeroki, skórzany płaszcz, tym razem jednak ograniczył się do czarnych dżinsów i koszulki. Kiedy podchodził, mięśnie jego torsu i ramion napinały się płynnie. Wyraz jego oblicza skłaniał zapewne największych awanturników do przemyślenia pochopnych zapędów. Wyglądał jak zawodowy obijacz mord, który uwielbia swoją pracę.

- Cześć, Jim - powitałam go przyjaźnie. - Dobrze, że tu jesteś.

Zmiennokształtny, który ze mną rozmawiał, wrócił do grupki. Jim poklepał Marigold po szyi.

- Pracowita noc? - zagaił. Miał melodyjny, aksamitny głos. Nie śpiewał, ale od razu wiedziało się, że potrafi, i gdyby to robił, kobiety ścielilyby mu się u stóp.

- Można tak powiedzieć.

Jim był moim partnerem jeszcze z czasów, kiedy podejmowałam się usług wyłącznie dla Gildii Najemników. Niektóre scenariusze wymagały dwóch aktorów, więc Jim i ja występowaliśmy w duecie, głównie dlatego, że żadne z nas nie strawiłoby innych najemników. Jim był ponadto kotem alfa swojego klanu oraz szefem bezpieczeństwa Gromady. Widziałam, co potrafi i prędzej z własnej woli wdepnęłabym w gniazdo wściekłych żmij niż z nim zadarła.

- Wracaj do domu, Kate. - W jego oczach mignął zielonkawy poblask, kiedy zwierzęca natura wychynęła na moment na powierzchnię.

- Co tu się stało?

- Sprawy Gromady.

Jeden z wilków szczechnął cicho. Zmiennokształtna towarzyszka podbiegła do niego, podnosząc coś błyskawicznie z ziemi. Zanim wepchnęła przedmiot do worka, zdołałam rozpoznać znalezisko po kształcie. Oddzielone w łokciu ludzkie przedramię nadal okrywał strzęp rękawa. Kod zielony siedem właśnie awansował na zielony dziesięć. Zabójstwo zmiennokształtnego. W sprawach przypadkowej śmierci rzadko pojawiały się odcięte członki porozwlekane na miejscu zdarzenia.

- Jak wspominałem, sprawy Gromady. - Jim spojrzał na mnie znacząco. - Znasz prawo.

Prawo głosiło, że zmiennokształtni stanowią odrębną grupę społeczną, jak na przykład plemię Indian, i posiadają swoje władze. Ustalali niezależne prawa i dopóki prawa te nie naruszały swobód innych obywateli, mogli je egzekwować we własnym zakresie. Jeśli Gromada nie życzyła sobie mojej obecności w śledztwie, niewiele mogłam na to poradzić.

- Jako agentka Zakonu oferuję Gromadzie oficjalną pomoc.

- Gromada docenia propozycję Zakonu. Jednak jej nie przyjmuje. Wracaj do domu, Kate - powtórzył Jim. - Ledwie się trzymasz na nogach.

W wolnym przekładzie: „Zmiataj, słaby człowieczku. Dużi, silni zmiennokształtni nie potrzebują twoich bezwartościowych umiejętności śledczych”.

- Załatwiliście to z glinami?

Jim przytaknął.

Z westchnieniem wsiadłam na Marigold i potruchtałam do domu. Ktoś zginął. Nie ja rozwiążę tę sprawę. Trochę podrażniło to moją zawodową ambicję. Gdyby nie pojawił się tam Jim, naciskałabym na oględziny zwłok. Ale skoro Jim mówił „nie”, było to „nie” ostateczne. Upór nie przyniósłby nic poza popsuciem stosunków pomiędzy Zakonem i Gromadą. Jim nie był partaczem, więc bez wątpienia dobrał sobie kompetentny i skuteczny zespół.

Mimo to sprawa nie dawała mi spokoju.

Zaraz z rana zamierzałam zadzwonić do Wydziału Kontroli Zjawisk Paranormalnych i zapytać, czy mają jakieś nowe raporty. Paragliny nie wyjawiają treści raportu, ale przynajmniej będę wiedziała, że Jim wypełnił papiery. Nie żeby mi nie ufała, ale sprawdzić nie zawadzi.

* * *

Godzinę później zostawiłam Marigold w małej stajni na parkingu, sama zaś wspierałam się po schodach do mieszkania. Odziedziczyłam lokum po Gregu, moim opiekunie, który pełnił w Zakonie funkcję rycerza-wróżbity. Zginął pół roku temu. Tęskniłam za nim tak bardzo, że aż bolało.

Dawno nic nie ucieszyło mnie tak bardzo, jak widok własnych drzwi. Zamknęłam je za sobą, zrzuciłam wstrętne buty i postawiłam w kącie, z zamiarem zajęcia się nimi później. Odpięłam sprzączki upręży Zabójcy, mojego miecza, wyjęłam ostrze i położyłam na łóżku.

Szarlotka słała kuszące sygnały. Powlokłam się do kuchni, otworzyłam lodówkę i zagapiłam w pusty talerz.

Czyżbym ją zjadła? Nie pamiętałam pochłaniania tego ostatniego kawałka. A nawet jeśli, nigdy nie zostawiłabym w lodówce talerza.

Na drzwiach wejściowych nie znalazłam widocznych śladów włamania. Rozejrzałam się szybko po mieszkaniu. Nic nie zginęło. Wszystko na swoim miejscu. Biblioteczka, w której Greg trzymał książki i artefakty, wyglądała na nietkniętą.

Czyli musiałam zjeść szarlotkę i zapomnieć o tym w szaleństwie ostatnich dni. Cóż, cholerny świat. Przeklinając pod nosem, umyłam talerz i włożyłam go na miejsce pod kuchenką. Dobra, z ciasta nici, ale nikt nie odbierze mi gorącego prysznicza. Rozbierałam się, siejąc elementami garderoby po drodze do łazienki, weszłam pod tusz i z pomocą gorącej wody rozmydliłam rzeczywistość mydłem rozmarynowym.

Telefon zadzwonił, kiedy wycierałam włosy.

Otworzyłam kopniakiem drzwi i spiorunowałam wzrokiem stojący przy łóżku rozbrzęczony aparat. Telefony nie wróżyły nic dobrego. Zawsze oznaczały, że ktoś na drugim końcu linii umarł, umiera lub komuś umrzeć pomaga.

Dryyyń.

Dryń, dryń.

Dryyyń?

Westchnąwszy, podniosłam słuchawkę.

- Kate Daniels.

- Cześć, Kate - odezwał się znajomy głos. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

Saiman. Ostatnia osoba, którą pragnęłam usłyszeć.

Saiman posiadał encyklopedyczną wiedzę na temat magii. Był także zmiennokształtnym, w każdym razie po części. Pracując dla Gildii Najemników, wykonywałam dla niego pewne zlecenie, podczas którego wydałam mu się zabawna. A ponieważ go bawiłam, zaproponował mi swoje usługi jako eksperta z dziedziny magii, dając

na nie bandycki rabat. Niestety, nasze ostatnie spotkanie, podczas rozbłysku, odbyło się na dachu jego wieżowca, gdzie Saiman tańczył nago. Z największą erekcją, jaką widziałam u człowieka. Nie był skory mnie stamtąd wypuścić. Musiałam skoczyć, żeby mu się wymknąć.

Zapanowałam nad głosem. Kate Daniels, mistrzyni dyplomacji.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, nie mam też zamiaru kontynuować tej znajomości.

- Och, to pech. Aczkolwiek jestem w posiadaniu czegoś, co może należeć do ciebie i co chciałbym oddać pod twoją pieczę.

Co, do licha?

- Wyślij pocztą.

- Obawiam się, że mógłby stawić opór podczas wpychania do koperty.

Stawić opór? On? Nie brzmiało to dobrze.

- Nie chce się przedstawić, ale może ci go opiszę. Około osiemnastki, krótkie, ciemne włosy, zacięta mina, wielkie brązowe oczy. Atrakcyjny jak na szczeniaka. Sądząc po odbiciu światła w jego *tapetum lucidum*, jest zmiennokształtnym. Zgaduję, że wilkiem. Był z tobą podczas naszego ostatniego, niefortunnego spotkania. Za które, przy okazji, szczerze przepraszam.

Derek. Mój nastoletni, wilkołaczy eksochroniarz. Co on, u diabła, robił w mieszkaniu Saimana?

- Daj mu słuchawkę z łaski swojej - poprosiłam spokojnie. - Derek? Powiedz coś, na dowód, że to nie blef. Jesteś ranny?

- Nie. - Głos Dereka wibrował warkotem. - Dam sobie radę. Nie przychodź tu. To niebezpieczne.

- Zaskakujące, jak toto troszczy się o twoje dobro, szczególnie że sam siedzi w klatce - mruknął Saiman. - Ciekawych sobie dobierasz przyjaciół, Kate.

- Saiman?

- Tak?

- Jeśli choć włos mu z głowy spadnie, wyślę do ciebie dwudziestu toczących pianę z pysków zmiennokształtnych.

- Nie bój się, nie zamierzam ściągać sobie na kark gniewu Gromady. Twój przyjaciel jest cały i zdrowy. Jeśli jednak nie zjawisz się po niego przed wschodem słońca, oddam go w ręce odpowiednich władz.

- Przyjdę.

W tonie Saimana pobrzmiwały ledwie słyszalne nuty kpiny.

- Czekam z niecierpliwością.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na miejsce dotarłam przed trzecią.

Saiman posiadał apartament na piętnastym piętrze jedyne ocalałego wieżowca w Buckhead. Magia nie znosiła wysokościowców, nie znosiła wszystkiego, co wielkie i zaawansowane technologicznie. Ogryzała stalowo-betonowe drapacze dopóty, dopóki z dumnych konstrukcji nie pozostały cztero-, pięciopiętrowe kikuty sterczące smętnie tu i ówdzie w Śródmieściu niczym zdewastowane pomniki dawno wymarłej cywilizacji.

Lenox Pointe, przemianowany na Champion Heights i wielokrotnie przebudowywany, został osłonięty złożonym zakłębieniem, tworzącym wobec magii iluzję granitowej skały. Podczas zwykłego napływu magii wieżowiec wyglądał jak monolit granitu, w czasie rozbłysku częściowo się nim stał. Teraz jednak, w czasie dominacji techniki, był zwykłym wieżowcem.

Zależało mi na czasie, pojechałam więc moim benzynozernym subaru, Betsi. Odpływ magii nastąpił niedawno, a biorąc pod uwagę słabe natężenie ostatniej fali, technika powinna utrzymać się jeszcze co najmniej parę godzin. Zaparkowałam zdezelowaną Betsi obok lśniących wozów, które były warte pewnie więcej niż moje dwuletnie

zarobki i weszłam po betonowych schodach do przedsionka otoczonego stalowymi płytami oraz kuloodpornymi szybami.

Potknęłam się na stopniu, o mało nie upadając. Świetnie. Saiman był przeraźliwie spostrzegawczym, inteligentnym obserwatorem, co czyniło z niego wyjątkowo niebezpiecznego adwersarza. Konfrontacja z nim wymagała przytomności umysłu, a ja byłam tak zmęczona, że zasypiałam na stojąco. Jeśli szybko nie oprzytomnieję, Dereka czeka rejs po morzu bólu.

W okresie dojrzewania zmiennokształtny mógł pójść ścieżką loupa lub Kodeksu. Wybór tej pierwszej oznaczał poddanie się bestii i stoczenie po równi pochyłej pełnej morderstw, kanibalizmu i szaleństwa aż na dno, gdzie koniec niosły cudze kły, ostrza lub srebrne kule. Kodeks wymagał dyscypliny, samokontroli, żelaznej woli i stosowania się do zasad dających zmiennokształtnym jedyną możliwość funkcjonowania w ludzkim społeczeństwie. Przyjęcie Kodeksu równało się także przyłączeniu do Gromady, gdzie panowała nienaruszalna hierarchia, a władzę dzierżyły osobniki alfa, na barkach których spoczywał również ciężar odpowiedzialności za całą wspólnotę.

Gromada z Atlanty była prawdopodobnie największą w kraju. Liczebnością równać się z nią mogła jedynie Lodowa Furia z Alaski. Gromada wyróżniała się także z innych względów. Znana była z lojalności swych członków, odpowiedzialności, respektu dla hierarchii oraz honorowości. Należący do Gromady zmiennokształtni nie pozwalali sobie zapomnieć, iż większość społeczeństwa postrzega ich

jako bestie i ciężko pracowali nad budową oraz utrzymaniem wizerunku powściągliwych, praworządnych istot. Kary za samowolny występki były surowe i nieuchronne.

Wpadka z włamaniem do mieszkania Saimana mogła doprowadzić Dereka do zguby. Ustosunkowany Saiman bez trudu mógłby rozdmuchać sprawę, a to stanowiłoby solidny policzek dla Gromady i oznaczało kompromitację. Już na wieść o morderstwie osobniki alfa skupione w Radzie Gromady zapewne wyłaziły ze skóry, żeby coś zrobić. Niebezpiecznie byłoby teraz pogłębiać ich rozdrażnienie. Musiałam wyciągnąć Dereka z mieszkania szybko i dyskretnie, starając się zminimalizować ryzyko zamieszania.

Załomotałam w kratę dzielącą przedsionek od westybulu. Strażnik siedzący za ustawionym pośrodku marmurowej posadzki opancerzonym kontuarem skierował na mnie lufę AK-47. Przedstawiłam się i, zgodnie z oczekiwaniami, zostałam wpuszczona. Miło ze strony Saimana, że uprzedził o mojej wizycie.

Winda wypluła mnie na korytarz wyłożony chodnikiem grubszym chyba od mojego materaca. Zanim sięgnęłam do przycisku dzwonka przy drzwiach, usłyszałam kliknięcie zwalnianej blokady zamka.

W progu powitał mnie Saiman. Tym razem z myślą o mnie przybrał swoją neutralną formę, łysego mężczyzny średniego wzrostu, szczupłej budowy, odzianego w biały dres. Lekko opalona, symetryczna fizjonomia była, mówiąc wprost, atrakcyjna, choć pozbawiona wszelkich emocji. Rozmowa z nim zwykle przypominała

dialog ze zmętniałym lustrem - Saiman lubił naśladować mimikę interlokutorów, wiedząc doskonale, że zbija ich tym z tropu.

W jego niezwykłych oczach odbijało się to, co skrywało oblicze; ciemne, błyszcząły żywym intelektem. W tej chwili skrzyło się w nich rozbawienie. Ciesz się, póki możesz, Saiman. Nie przyszłam tu bez miecza.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę, Kate.

Bez wzajemności.

- Gdzie Derek?

- Wejdz, proszę.

Przekroczyłam próg wyczelowanego architektonicznie apartamentu, monochromatycznego wnętrza nakreślonego ultranowoczesnymi liniami i kształtami, którego surowość złagodzone białymi pluszowymi poduchami. Nawet umieszczona pod ścianą klatka Dereka pasowała stylem do stolika ze stali i szkła oraz industrialnych elementów iluminacji.

Dostrzegłszy mnie, Derek nie odezwał się, nawet nie drgnął, jednak wbił we mnie wzrok, śledząc każdy ruch.

Przyjrzałam mu się dokładniej. Na pierwszy rzut oka nic mu nie było.

- Jesteś ranny?

- Nie. Niepotrzebnie przychodziłaś. Dam sobie radę.

Najwyraźniej go nie doceniałam. Na pewno zamierzał poderwać się lada chwila, wyłamać dwucalowe, srebrne pręty klatki, oczywiście nie zważając, że srebro jest dla niego toksyczne, a następnie z

bohaterskim okrzykiem skopać Saimanowi tyłek. Już za minutę. Już za momencik.

Westchnęłam. O losie, zbaw mnie od brawury nastoletnich bałwanów.

- Usiądź, proszę, Kate. Czego się napijesz? - Saiman przemieścił się w stronę barku.

- Wody.

Wysunęłam z pochwy Zabójcę. Długie, smukłe ostrze załśniło w świetle elektrycznych lamp. Saiman zerknął na mnie ponad barkiem. Miałaś okazję zapoznać się z moim mieczem? Jest zabójczy.

Położywszy miecz na stoliku, usiadłam na sofie, kierując spojrzenie na Dereka. Mimo dziewiętnastu lat pozostały w nim jeszcze ślady młodościowej niezgrabności. Długie nogi i smukłe ciało dopiero za kilka lat nabiorą atletycznych kształtów. Krótko ścięte, brązowe włosy ciemniały, lśniąć chłodniejszymi refleksami. Rysy twarzy, teraz ściągnięte w ponurym grymasie, charakteryzowały się owym świeżym, marzycielskim pięknem, na widok którego serca nastolatek - i pewnie części ich matek - topniały w ułamku sekundy. Kiedy poznałam go jakiś czas temu, był śliczny. Teraz powoli jego uroda dryfowała ku przystojności, gwarantując mu przyszłość doborowego pożeracza serc niewieścich. Szczególnie oczy stwarzały zagrożenie dla płci pięknej - wielkie, ciemne, obramowane długimi rzęsami, rzucającymi cienie na policzki. Cud, że w ogóle mógł spokojnie chodzić po ulicy. Właściwie dziwiłam się, że do tej pory nie aresztowano go jako przyczyny plagi omdleń nastoletnich kobietek.

Biorąc pod uwagę to i dodając skłonności Saimana do bzykania wszystkiego, co żywe, bałam się, że zastanę Dereka przykutego do łóżka, o ile nie gorzej.

- Po naszej rozmowie przypomniałem sobie, gdzie widziałem twojego przyjaciela. - Saiman przyniósł dwa kryształowe kieliszki, z winem dla siebie oraz wodą dla mnie. Przyjrzałam się badawczo przejrzystej cieczy. Żadnego proszku, musującej pigułki, żadnych wyraźnych śladów podejrzaney zaprawy. Pić czy nie pić? Oto jest pytanie.

Pociągnęłam łyk. Nawet jeśli czegoś mi dosypał, dam radę zabić go, zanim stracę przytomność.

Saiman posmakował wina, podając mi zrolowaną gazetę. Przed Przesunięciem prasa była upadającą branżą, jednak kiedy okazało się, że fale magii sieją zamęt w Internecie, papierowe wydania wiadomości wróciły do łask w pełnej blasku chwale. Zdjęcie w tej gazecie ukazywało posępny budynek z czerwonej cegły, otoczony gruzami muru, za którym spoczywało truchło smoka, właściwie szkielet z gnijącymi resztkami ciała. Wokół ścierwa potwora leżało kilka martwych kobiet. Władca Bestii uwalnia miasto od maniakalnego zabójcy, brzmiał nagłówek. Ani słowa o mnie. Dokładnie tak, jak mi odpowiadało.

Druga fotografia przedstawiała Dereka niesionego przez Doolittle'a, lekarza Gromady. Oprawca połamał Derekowi nogi i zakuł w specjalnie skonstruowane kajdany, żeby kości nie mogły się zrosnąć.

- Strzygoń obrał chłopaka na cel ze względu na ciebie - rzekł Saiman. - Zgaduję, że wiąże go z tobą przysięga krwi.

Saiman czerpał wiedzę z wielu źródeł i hojnie płacił za informacje, ale Gromada nie rozmawiała z obcymi, koniec kropka. Jak więc, u diabła, zdobył tę nowinkę?

- Został już z niej zwolniony. - Curran, Władca Bestii, przywódca Gromady z Atlanty i bezkonkurencyjny dupek, który dosłownie trzymał w pazurach życie Dereka, uwolnił chłopaka od zobowiązania po zakończeniu sprawy z, jak to nazwała gazeta, „Maniakiem z Czerwonego Punktu”.

- Magia ma szczególne właściwości, Kate. Gdy zadzierzgnie się przy udziale magii więź, jej wpływ obejmuje wszystkich uczestników zaklęcia.

Znałam teorię wzajemności Newmana, jak każdy zresztą. Saiman próbował pociągnąć mnie za język. Z radością sprawiłam mu zawód.

- Jeśli sądzisz, że przybyłam tu, kierując się impulsem wywołanym przysięgą krwi, to grubo się mylisz. Derek nie jest moim kochankiem, krewnym ani też kimś szczególnie ważnym dla Gromady. Przyszłam, ponieważ jest moim przyjacielem. Gdybym to ja była na jego miejscu, w tej chwili ty leżałbyś martwy, a twój stolik pełniłby aktualnie rolę narzędzia do wyłamania krat w tej klatce. - Obdarzyłam Saimana najtwardszym spojrzeniem z mojej palety min. - Nie mam zbyt wielu przyjaciół, Saiman. Jeśli coś mu się stanie, potraktuję to jako bardzo osobistą sprawę.

- Grozisz mi? - W głosie Saimana pobrzmiwała jedynie nutka umiarkowanego zainteresowania.

- Informuję o regułach gry. Jeśli go skrzywdzisz, ja skrzywdzę cię bez względu na konsekwencje.

Saiman skinął poważnie głową.

- Wezmę pod uwagę twoje zaangażowanie emocjonalne.

Nie wątpiłam w to. Saiman zawsze brał wszystko pod uwagę. Handlował informacjami, sprzedając je temu, kto oferował najwięcej. Zdobywał swój towar, okruch po okruchu wyławiając ze splekanej mozaiki różnych konwersacji i nigdy o niczym nie zapominał.

Odstawił wino i splótł długie palce.

- Jednakże twój przyjaciel włamał się tu z zamiarem kradzieży mojej własności. Jestem zmuszony zauważyć, iż jakkolwiek twoje umiejętności w dziedzinie stosowania przemocy wzbudzają we mnie respekt, wiem też, że nie zabijesz mnie bez powodu. A ponieważ nie zamierzam ci takowego dostarczać, w tej partii ja rozdaję karty.

To prawda. Gdyby sprawa wyszła na jaw, Derek miałby do czynienia z Curranem. Władca Bestii był potężnym, aroganckim sukinsynem, który władał Gromadą żelazną ręką o długich pazurach. Ja i Curran byliśmy jak gliceryna i kwas azotowy. Wystarczyło umieścić nas razem, wstrząsnąć odrobinę, a potem paść na ziemię i czekać na niechybny wybuch. Jednak mimo wad, tak wielu, że do policzenia ich musiałabym pożyczyć wszystkie palce Saimana, Curran nikogo nie faworyzował. Derek zostałby ukarany, a kara byłaby sroga. Napiłam się wody.

- Przyjęłam. A tak z czystej ciekawości, co chciał ukraść?

Ze sprawnością wytrawnego prestidigitatora Saiman wyczarował skądś dwie prostokątne tekturki. Magia nie działała, musiała więc to być zręczna sztuczka. Zanotowałam w duchu, żeby nigdy nie grać z nim w karty.

- Przyszedł po to. - Saiman wyciągnął rękę z kartonikami. Przyjrzałam się im, nie dotykając.

Na krwistoczerwonym pergaminie widniały złote litery układające się w napis „Północne Rozgrywki”.

- Północne Rozgrywki?

- To zaproszenia na turniej walk nadprzyrodzonych.

A niech to.

- Rozumiem, że jest nielegalny.

- W najwyższym stopniu. W dodatku Władca Bestii kategorycznie zabronił członkom Gromady oglądania go, a tym bardziej uczestnictwa.

Świetnie. Raz, Derek włamał się do mieszkania Saimana. Dwa, zrobił to z zamiarem kradzieży. Trzy, chciał ukraść wejściówki na nielegalny turniej walk, na którym obecność równała się złamaniu Prawa Gromady. Za coś takiego Curran obdarłby Dereka ze skóry, i to niekoniecznie w sensie metaforycznym. Gorzej już być nie mogło.

- W porządku. Jak to załatwimy?

- Jestem skłonny puścić chłopaka i zapomnieć o wszystkim pod warunkiem, że jutro pójdziesz ze mną na turniej.

Najwyraźniej nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

- Nie - zaprotestował Derek.

Obracałam w palcach kryształowy kieliszek, grając na zwłokę. W szkłe misternie wyrżnięto herb przedstawiający owiniętego wokół płomienia węża. Każdy szczegół wzoru skrzył się w świetle lamp, a łuski węża mieniły się migotliwą feerią barw.

- Piękny, nieprawdaż?

- Owszem.

- Riedel. Ręcznie rżnięty kryształ. Limitowany wyrób, istnieją tylko dwa takie.

- Dlaczego chcesz, żebym ci towarzyszyła?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, potrzebuję twojej profesjonalnej opinii. Tak się złożyło, że nieodzowna mi jest ekspertyza specjalisty w dziedzinie walki.

Uniosłam brwi.

- Chcę, żebyś oceniła jedną z drużyn biorącą udział w Rozgrywkach. - Saiman pozwolił sobie na lekki uśmiech.

W porządku. To mogłam zrobić.

- A po drugie?

Przez dłuższą chwilę Saiman przyglądał się badawczo kieliszkowi, po czym roztrzaskał go o blat stołu. Kryształ rozpadł się z czystym pobrząkiem, zasypując dywan deszczem lśniących okruchów. Derek warknął krótko.

Zdławiłam pokusę zareagowania na ten melodramatyczny wyczyn wywróceniem oczami i wskazałam brodą większy odłamek.

- Jeśli zamierzasz mnie tym zaatakować, nie masz szans. Butelka sprawiłaby się lepiej niż ta igielka.

Oczy Saimana zabłyśły radośnie.

- Nie, chciałem tylko uwypuklić pewien aspekt filozoficzny. W tej chwili trzymasz w dłoni jedyny w swoim rodzaju kieliszek. Szczyt luksusu, absolutna niepowtarzalność.

Ciało mężczyzny zafalowało, nabierając plastyczności podgrzanego wosku. Mój żołądek wszczął rewoltę. Znow to samo. Saiman akumulował magię niczym bateria, ale nie przypuszczałam, że przy tak wysokim poziomie techniki da radę metamorfować. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie.

Barki Saimana poszerzyły się, a szyja, tors i uda nabrały masy, napinając materiał dresu. Na przedramionach pojawiły się wyraźne mięśnie. Kości czaszki zadrgały, falując pod skórą na twarzy. Omal nie zwymiotowałam.

Spoglądał na mnie nowy wizerunek Saimana. Przystojna, silna, zmysłowa twarz o mocno zaznaczonej szczęce, wysokich kościach policzkowych, przymrużonych, zielonych oczach w rudawej oprawie.

Gęste, jasne włosy spływały lśniącoymi falami na szerokie ramiona.

- Dla większości ludzi też jestem szczytem luksusu.

Atleta zapadł się, tracąc muskulaturę. Jego ciało zafalowało, zaczęło się skręcać, lecz oczy pozostały te same. Utkwiłam wzrok w tych oczach, czepiając się ich jak kotwicy. Nawet kiedy kąciki opadły,

tęczówki pociemniały, a na powiekach pojawiła się aksamitna firanka gęstych rzęs, nadal wyzierał z nich Saiman.

- Mogę zaoferować znacznie więcej niż tylko świetny seks - rzekła oszalamiająca piękność. - Jestem spełnieniem wszelkich życzeń. Mogę być wszystkim, co zechcesz. Każdym, kogo pragniesz. Potrafię urzeczywistnić twoje najskrytsze fantazje. A nawet więcej, dać ci to, co zakazane.

Jego twarz znowu zafalowała. Derek. Całkiem udana kopia. Przy kiepskim świetle dałabym się nabrać. Ciało jednak pozostało kobiece. Saiman zaczynał odczuwać zmęczenie. Przed spotkaniem musiał pochłonąć kilka litrów odżywek, żeby mieć siły na urządzenie dla mnie takiego pokazu.

- Mogę dać ci twojego przyjaciela. - Rozpromienił się Saiman - Derek. - Bez poczucia winy. I nikt nigdy się o tym nie dowie. Twarze, ciała, które stają ci przed oczyma, kiedy się zaspokajasz? Dostaniesz je wszystkie, prawdziwe, z krwi i kości.

Derek gapił się oniemiały z wyrazem niewysłowionej odrazy.

- Czy ten popis ma jakiś cel poza zadręczaniem mojego żołądka?

- Odmawiasz wszystkiego, co ci proponuję, Kate - westchnął Saiman. - Ranisz moją dumę.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach.

- Odmawiam, bo bez względu na formę, jaką przyjmujesz, wiem, że to ty. Poza tym, nie pragniesz mnie dla mnie, ale dlatego, że ci się opieram.

Rozważył moje słowa.

- Możliwe. *Summa summarum*, rezultat jest ten sam. Odmawiając, stajesz się moim szczytem luksusu. Jediną rzeczą, której nie mogę mieć. Nie chcesz się ze mną widywać. Nie oddzwoniasz. Moje przeprosiny za to, co zdarzyło się podczas rozbłysku, przeszły bez echa. Trudno uwodzić kobietę, która nie dostrzega twojego istnienia. Już się cieszę na to wspólne wyjście, będę cię miał dla siebie przez całą noc.

- Pieprzony perwers. - Derek w końcu znalazł adekwatne słowa wyrażające jego ocenę sytuacji.

- Osobiście wolę określenie „dewiant seksualny” - powiedział Saiman.

- Poczekaj, niech tylko wyjdę z tej...

Gestem powstrzymałam Dereka przed wymienieniem listy wyjątkowo brutalnych i bez wątpienia kryminalnych czynów, jakich miałby ochotę dopuścić się na Saimanie.

- Pójdę z tobą na turniej. - Mimo że wolałabym czyścić w tym czasie szalety. - W zamian fakt włamania Dereka do twojego mieszkania uznasz za niebyły, oddasz też wszelkie dowody jego bytności tutaj. I nie licz na nic w rodzaju randki. Żadnego uwodzenia, podchodów ani tym bardziej seksu. To moja jedyna oferta i nie podlega negocjacom. Jeśli ją przyjmiesz, zważ, że uczestnicząc w tym nielegalnym spotkaniu, nadal będę przedstawicielem Zakonu, więc nie stawiaj mnie w sytuacji, w której musiałabym jakoś zareagować.

Saiman wstał i poszedł do swojego laboratorium, wracając z plikiem wydrukowanych zdjęć, przedstawiających Dereka w całej okazałości i w klatce. Wręczył mi fotografie, po czym na moich oczach wymazał kartę pamięci w aparacie.

Na obliczu Dereka odmalowało się poczucie winy. I bardzo dobrze. Zamierzałam wykorzystać to do wyciągnięcia z niego informacji.

Saiman nacisnął guzik pilota i drzwiczki klatki stanęły otworem. Derek wyskoczył jak sprężyna, ale wkroczyłam do akcji, zanim do listy przestępstw zdołał dodać jeszcze zabójstwo.

- Przyjadę po ciebie o dziesiątej - powiedział Saiman.

* * *

Odetchnęłam, kiedy szklane drzwi westybulu zamknęły się za nami. Do świtu było jeszcze daleko, parking tonął w mroku. Chłodne nocne powietrze wydawało się wyjątkowo orzeźwiające po dusznej atmosferze wieżowca.

Derek potrząsnął głową, jakby chciał usunąć nieprzyjemny opar spod czaszki.

- Dzięki.

- Nawet o tym nie wspominaj.

- Nie trzeba było włączyć oknem. - Derek zmierzył wzrokiem drapacz. - Założyłem, że nikt nie zabezpiecza okien na piętnastym piętrze. Ale on naszpikował pułapkami całe mieszkanie.

- Kilka lat temu miał kłopoty z włamywaczami. Dlatego jakiś czas pracowałam u niego jako ochroniarz. - Pamięć uraczyła mnie

żywym obrazem mężczyzny ze sterczącym z oka żółtym ołówkiem i krwawymi odciskami moich palców na jaskrawej osłonce. Dzięki ci, o moja ty niezawodna, za kolejną próbę przeszkodzenia w rozmowie. - Saiman przykłada wielką wagę do zabezpieczeń.

- Ta.

Dotarliśmy do mojego samochodu.

- Na rogu Ponce de Leon i Martwego Kota doszło do zabójstwa zmiennokształtnego. Na miejscu był Jim i ekipa z Gromady. Wiesz coś na ten temat?

Przez twarz Dereka przemknął ponury cień.

- Nie. Kto zginął?

- Nie mam pojęcia. Jim nie pozwolił mi się zbliżyć do ciała. - Spojrzałam chłopakowi prosto w oczy. - Miałeś z tym coś wspólnego, Derek?

- Nie.

- Jeśli tak, musisz mi o tym powiedzieć.

- Nie miałem.

Wierzyłam mu. Derek posiadał wiele umiejętności, jednak kłamanie do nich nie należało.

Staliśmy przy samochodzie. No, dalej, złoty chłopcze. Przecież chcesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie powinnaś iść z tym psycholem. - Derek przeczesał włosy palcami. - Jest niebezpieczny.

- Dałam słowo. Muszę to zrobić. Poza tym Saiman jest degeneratem. Kierują nim żądze. Jego nadrzędnym celem jest

zaspokajanie własnych popędów, a to czyni go przewidywalnym. Nic mi nie będzie.

Nieopodal rozległo się histeryczne szczekanie psa. Derek zerknął w stronę, z której dobiegał hałas. W jego tęczęwkach zamigotał żółty blask. Chłopak skoncentrował się, pochylił głowę i wsłuchał w odgłosy nocy, przyczajony, zjeżony jak tkwiący tuż pod jego skórą wilk.

Sprężył się, jakby lada chwila miał skoczyć. Działo się tu coś niedobrego.

- Derek?

Rozluźnił się pozornie, przybierając na twarz nieprzeniknioną maskę, ale bestia nie dała się poskromić. Widziałam w oczach chłopaka, jak wyje i szarpie pazurami, próbując wydrzeć się na wolność.

- Sprawa Gromady czy osobista?

- Osobista.

- Curran o tym wie?

Derek wbił wzrok w ziemię.

Czyli nie.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie.

- Fatygowałam się taki kawał, żeby cię wydostać, a ty mi nawet nie powiesz, o co chodzi?

Potrząsnął głową, odchodząc w noc. To tyle, jeśli chodzi o poczucie winy.

Obserwowałam, jak jego naturalny krok przeradza się w rytmiczny, wydłużony wilczy chód. Mógł w ten sposób iść wiele dni, pokonując znaczne odległości. Dotarłszy do ogrodzenia, skoczył na betonowy mur, zmieniając zdanie w pół ruchu. Wyglądało to niezwykle osobliwie: wystrzelił jak sprężyna, a nie mogąc powstrzymać już skoku, zamiast w dal, wzbił się prosto w górę i opadł dokładnie w poprzednie miejsce, po czym okręcił się błyskawicznie na pięcie i ruszył ku mnie biegiem.

Znowu stał przede mną.

- Skłamałem. Potrzebuję twojej pomocy.

- Kogo mamy zabić?

- Masz coś do pisania?

W samochodzie leżał długopis oraz notes. Podałam mu je. Naskrobał coś pospiesznie na karteczce, wydarł ją i złożył na pół.

- Obiecuj, że tego nie przeczytasz. To bardzo ważne. To najważniejsza rzecz w całym moim życiu. Na turnieju będzie dziewczyna. Ma na imię Liwia. Jest jedną z dwóch kobiet w drużynie Rozpruwaczy. Ma długie, ciemne włosy. Daj jej to, proszę.

Dziewczyna. Narażał się na gniew Currana dla dziewczyny!

Z drugiej strony, nic dziwnego. Miał dziewiętnaście lat, szalała w nim burza hormonów. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że Derek jest w stanie stracić głowę do tego stopnia. Był typem stoika, który do mistrzostwa opanował zasady swojej filozofii. Mało tego, chłopak całował ziemię, po której stąpał Curran. Musiało się za tym kryć coś więcej. Niestety, oblicze Dereka przypominało granitową maskę.

- Chciałeś ukraść zaproszenie, żeby podać dziewczynie ten liścik?

- Tak.

Podrapałam się po głowie.

- Wiem, że masz kłopoty. Czuję to. Zwykle w podobnych sytuacjach przechodzę w tym momencie do grożenia straszliwymi uszkodzeniami ciała i obietnic tańców na grobie delikwenta, jeśli nie usłyszę tego, czego chcę się dowiedzieć. Jest tylko jeden mały problem.

Derek rozjaśnił się, powracając na chwilę w pełnej chwale złotego chłopca.

- Bo nie uwierzę w groźbę połamania wszystkich kości?

- Dokładnie. Zachichotał.

- Powiedz, w czym rzecz. Pomogę ci bez względu na wszystko.

- Nie mogę, Kate. To coś, co muszę zrobić sam. Proszę cię, daj jej tę kartkę, dobrze? Obiecuj mi to.

Miałam ochotę chwycić Dereka i wytrząsnąć z niego prawdę. Jednak jedynym sposobem na pozostanie w grze było przekazanie notatki.

- Obiecuję.

- I przysięgasz, że dostarczysz ją, nie czytając?

Na miłość boską.

- Dawaj ten przeklęty świstek. Mówiłam przecież, że nie zajrzę i oddam.

Wyrwałam mu karteluszek z ręki.

- Dziękuję. - Przez twarz Dereka przemknął lekki uśmiech. Odwrócił się i ruszył biegiem. Zanim się obejrzałam, zniknął, wtapiając się w mrok alejki pomiędzy zrujnowanymi budynkami.

Zostałam na parkingu z kartką w ręku. Ciarki przebiegły mi po plecach. Derek wpakował się w jakieś tarapaty. Nie wiedziałam, jak i czego dotyczą, ale miałam silne przeczucie, że jest źle, a skończyć się może nawet gorzej. Rozsądek podpowiadał, że powinnam przeczytać ten liścik.

Westchnęłam, wsiadłam do samochodu i wsunęłam karteczkę do schowka. Nie należałam do osób kierujących się rozsądkiem. Przyrzekłam coś, więc musiałam dotrzymać obietnicy.

Bolały mnie plecy, czułam każdą kość. Myślałam tylko o tym, żeby się położyć, zamknąć oczy i zapomnieć o bożym świecie. Zapięłam pasy. Musiałam dowiedzieć się czegoś o turnieju i potrzebowałam zdobyć te informacje jeszcze przed wieczorem. Postanowiłam rano przejrzeć akta w Zakonie. I sprawdzić, co z tym raportem w PWKZP. Nic nie wskazywało, że kłopoty Dereka łączą się ze sprawą morderstwa, ale lepiej wykluczyć tę możliwość. Mimo że śledztwo spoczywało w rękach Gromady. Mimo że nie było to moje zlecenie. Mimo że wcale mnie to nie interesowało. Ani trochę.

Siedząc w samochodzie i czując, jak ogarnia mnie coraz większe znużenie, pomyślałam o Curranie. Dwa miesiące temu, wróciwszy do domu, zastałam Władcę Bestii z książką w ręku. Wymieniliśmy kilka zdań, zagroziłam mu ciężkim uszkodzeniem ciała, jeśli nie wyjdzie, a

on zbliżył się, jakby chciał mnie pocałować. Jednak puścił tylko do mnie oko, szepnął: „Przerobiłem cię” i wyszedł.

Zaparzył mi kawę. Wypiłam ją co do kropelki.

Nie wiedziałam, czy jeszcze kiedyś wróci, ale wolałam się przygotować. Setki razy wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Obracałam w myślach różne wersje rozmów naszpikowanych docinkami i ciętymi ripostami.

Drań się nie pojawiał.

Z upływem czasu jego nieobecność utwierdzała mnie coraz bardziej w przekonaniu, że już nie wróci. Stało się jasne jak słońce, że mnie podpuszczał, a kiedy mu się udało, zabawa się skończyła i stracił zainteresowanie. Dla mnie bomba. Idealne rozwiązanie. Śniłam o nim raz czy dwa, ale poza tym rewelacja.

Nie wiedziałam, gdzie zawiedzie mnie sprawa Dereka, lecz niezbyt kusiła mnie myśl, że na końcu tej drogi mogłabym natknąć się na Currana.

Najważniejsze to mieć plan działania. Uruchomiłam silnik. Punkt pierwszy planu: unikać Władcy Bestii. Punkt drugi: nie zasnąć.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Kate?

Miałam świetny refleks. Dzięki temu, mimo że zerwałam się z krzesła i wskoczyłam na biurko z zamiarem poderżnięcia gardła intruzowi, który wszedł do mojego gabinetu, zdołałam powstrzymać ostrze centymetr od krtani Andrei. Była moją przyjaciółką, a rozplatanie gardła najlepszej przyjaciółce powszechnie postrzegano jako towarzyskie *faux pas*. Andrea spojrzała zezem na sztylet.

- Super. Co pokażesz za dolara?

Skrzywiłam się paskudnie.

- Robi wrażenie, ale niewarte miedziaka. - Andrea przysiadła na brzegu biurka. Niewysoka blondynka, zabójcza. Pełnoprawny rycerz Zakonu o sympatycznej buzi, która z miejsca nastawiała ludzi przyjaźnie, skłaniając do otwarcia duszy. Raz poszłyśmy z Andrea na zakupy, podczas których przynajmniej trzy całkiem obce osoby opowiedziały jej historię swojego życia. Mnie się ludzie nie zwierzali. Zwykle schodzili mi z drogi, mówiąc rzeczy w rodzaju: „Bierz co chcesz, tylko odejdz”. Oczywiście jeśli obcy wiedzieliby, że Andrea z dwudziestu metrów trafia w kropkę na kostce domina, zapewne zachowaliby swoje problemy dla siebie.

Andrea obrzuciła wzrokiem leżące na blacie akta.

- Myślałam, że masz dzisiaj wolne?

- Bo mam. - Zeskoczyłam z biurka. Przespawszy się trzy godzinki, przyszłam do biura, żeby poszukać jakichś informacji na temat Północnych Rozgrywek. Mimo niemal krytycznego nasycenia organizmu kofeiną, zasnęłam z twarzą w przeglądanych papierach.

Co tłumaczy, dlaczego nie usłyszałam wejścia Andrei. Zwykle nie miewałam takich zrywów, chyba że ktoś zaskakiwał mnie we śnie.

Potarłam twarz, chcąc usunąć zmęczenie. Ktoś nalał mi do głowy ołowiu, kiedy spałam, a teraz ten przewalał się pod czaszką, wypełniając ją hałasem.

- Szukam czegoś o Północnych Rozgrywkach. Niestety, teczka z dokumentami na ten temat cierpiała na zaawansowaną anoreksję. Trzy strony pobieżnie opisujące organizację, żadnych szczegółów. To oznaczało, że istniała druga teczka, duża, tłuściutka, ze ślicznym gryfem „Tajne” na okładce, gryfem, który czynił ją dla mnie niedostępną. Jeśli chodzi o uprawnienia dostępu, posiadałam minimalne. W takich momentach żałowałam, że nie jestem pełnoprawnym rycerzem Zakonu. W związku z tym miałam takie same szanse na dostanie rzeczonych akt, jak na zjedzenie lodów w biblijnym piekle.

- Niewiele wiem na ten temat - rzekła Andrea. - Ale jeden z moich szkoleniowców siedział w turniejach, jeszcze zanim zostały zdelegalizowane. Opowiem ci, jak to działało wtedy. Podczas lunchu.

- Lunchu?

- Dzisiaj piątek.

Rzeczywiście. Zawsze w piątki jadałyśmy z Andrea lunch. Zwykle wpadała po mnie do biura i nie pozostawiała mi wyboru w tym względzie. Kanony życiowe Andrei jasno regulowały kwestie jedzenia lunchów z przyjaciółmi. Ja sama nie przywykłam jeszcze do posiadania przyjaciół. Trwałe relacje były luksusem, na jaki przez większość życia nie mogłam sobie pozwolić. Na przyjaciół można liczyć, pomagają ci, bronią, ale także zwiększają prawdopodobieństwo wystawiania się na niebezpieczne sytuacje, kiedy sam chcesz ich chronić.

Podczas rozbłysku współpracowałam z Andrea. Ocaliłam jej życie, ona ocaliła dziecko, Julie, na którym mi zależało. Matka Julie zginęła tuż przed rozbłyskiem, a dziewczynka znalazła się na ulicy. Szaleństwo magii sprawiło, że dziecko straciło matkę na dobre, było zmuszone zabić demony i zyskało zwariowaną ciotkę Kate. Sądziłam, że po całym zamieszaniu z rozbłyskiem drogi moje i Andrei rozejdą się, ale Andrea miała inne plany. Została moją przyjaciółką.

Mój żołądek zaczął głośno domagać się paliwa. Jedzenie i sen - można się obejść czasowo bez jednej z tych rzeczy, ale nie bez obu jednocześnie. Wsunęłam Zabójcę do pochwy, schowałam nóż do futerału przy pasie i złapałam torbę. Andrea sprawdziła oba SigSauery P226, które nosiła w kaburach na biodrach, poklepała zawieszony obok nóż myśliwski i skontrolowała zapasową broń przytroczoną do kostki. Byłyśmy gotowe do wyjścia.

* * *

Wpatrywałam się w wielki talerz gyrosa.

- Umarłam i trafiłam do nieba.

- Na razie tylko do Partenonu - sprostowała Andrea, zajmując miejsce naprzeciwko.

- Fakt. - Do nieba mogłabym się dostać, tylko wysadzając Perłowe Wrota.

Siedziałyśmy na obstawionym roślinami górnym tarasie greckiej knajpki o wdzięcznej nazwie „Partenon”. Z naszego stolika roztaczał się widok na ruchliwą ulicę poniżej. Jediną wadą tego lokalu były meble. Nie miałam nic do zarzucenia porządny, drewnianym stołom, ale już metalowe, przytwierdzone do podłogi krzesła uniemożliwiały mi zajęcie pozycji pozwalającej na obserwowanie drzwi.

Zgarnęłam mięso pitą. Nie mogłam uwolnić się od obrazu lekko uśmiechającego się Dereka, stojącego na otulonym nocą parkingu. Wielka, ciężka gula troski gniotła mnie w dołku już od paru godzin.

Utknęłam. Poza Derekiem, który milczał, jedynymi osobami mogącymi rzucić nieco światła na całą sprawę, byli członkowie Gromady. Niewykluczone, że istniał jakiś sposób na poruszenie tego tematu, unikając wspomnienia o spektakularnej eskapadzie Dereka, ale na pewno był niebezpieczny. Ze względu na ostatnie zabójstwo chcieliby poznać wszystkie szczegóły. A jeśli napomknęłabym o Saimanie lub Północnych Rozgrywkach, Derek nie wywinąłby się od kary. Z drugiej strony, zostawiając wszystko własnemu biegowi,

ryzykowałam, że chłopak zrobi coś idiotycznego i zapłaci za to własną skórą.

W połączeniu z bólem głowy rozważania te pogorszyły mój i tak fatalny nastrój. Podejrzewałam, że liścik zawiera coś w rodzaju: „Spotkajmy się w Zajeździe Rycerskim. Wezmę tęczowe prezerwatywy”. Oczywiście notka mogła równie dobrze brzmieć: „Dzisiaj zabiję twojego brata. Przygotuj kocioł”.

Powinnam po prostu przeczytać karteczkę. Tyle że nie mogłam tego uczynić, ponieważ dałam słowo. W świecie magii słowo miało swoją wagę. Swojego dotrzymywałam zawsze.

Poza tym, łamiąc obietnicę, straciłabym zaufanie Dereka. Właściwie podjęcie jakiegokolwiek działania z mojej strony równało się z tym samym. Nie mogłam przeczytać liścika, nie mogłam zapytać nikogo o jego treść i nie mogłam go nie dostarczyć. Miałam ogromną ochotę kopnąć smarkacza w ten jego głupi łeb.

Na domiar złego w PWKZP nie dowiedziałam się niczego konkretnego. Na rogu Ponce de Leon i Martwego Kota znaleziono ciało kobiety należącej do Gromady. Sprawa została przekazana zmiennokształtnym. Koniec pieśni.

Podniosłam wzrok na Andreę.

- Północne Rozgrywki?

Skinęła głową.

- Jak ci mówiłam, siedział w tym jeden z moich mentorów. Impreza odbywała się w Arenie, czymś w rodzaju bunkra. Pieczę nad całością sprawowała Izba składająca się z siedmiu członków.

Pieniądże robiło się, obstawiając zawodników. Walki toczyły się w systemie pojedynekowym, ale gwoździem programu był mecz drużynowy. Impreza odbywała się raz do roku przy udziale piętnastu siedmioosobowych drużyn. Każdy z zawodników miał swoją specjalizację.

- Mają fioła na punkcie siódemki, co? - Przeżulałam kęs. Cyfra siedem posiadała mistyczne właściwości. Nie tak duże jak trójka, ale i tak. Siedmiu mędrców greckich, siedem cudów świata, siedem dni tygodnia, siedmiomilowe buty, siedem kasyd, *mu'allak...* Trudno powiedzieć coś o znaczeniu tej cyfry, jeśli w ogóle jakiejś posiadała. Może organizatorzy chcieli po prostu podbudować to trochę numerologią.

- Mój mentor walczył jako Strzałka. - Andrea dostrzegła coś na ulicy i zamilkła, marszcząc brwi. Na jej twarzy odmalował się wyraz koncentracji, przypominała jastrzębia upatrującego sobie gołębia. Gdyby w tej chwili trzymała w dłoni pistolet, byłabym przekonana, że zamierza właśnie zdjąć jakiegoś delikwenta.

- Niewiarygodne...!

Podążyłam za jej wzrokiem. Po drugiej stronie ulicy czaił się Rafael, hienolak, wysoki brunet w dżinsach i czarnej koszulce. Z jednego ramienia zwisał mu plecak, ręce trzymał w kieszeniach. Zauważył, że go obserwujemy, i zamarł. Owszem, kolego, masz przegwizdane.

- Chyba mnie śledzi - mruknęła Andrea gniewnie.

Pomachałam Rafaelowi, przywołując do nas.

- Co ty wyprawiasz? - wycodziła Andrea. Zbladła i głowę dając, że dostrzegłam zarys niewyraźnych plam na jej przedramionach.

Rafael wziął się w garść, uśmiechnął niepewnie i ruszył ku drzwiom knajpki.

- Może wie coś na temat Północnych Rozgrywek? Powie mi wszystko, jeśli będzie mógł z nami usiąść. Chyba naprawdę mu się podobasz.

Eufemizm roku. Rafael stracił głowę dla Andrei. Podczas rozbłysku zajmował się nią z pełnym poświęceniem.

- Jasne. - Andrea włożyła w to słowo tyle pogardy, że zamilkłam.

To był jeden z tych rejonów cienkiego lodu na płaszczyźnie przyjaźni, który groził kąpielą w lodowatej wodzie.

- Naprawdę aż tak go nie znosisz?

Przez oblicze Andrei przebiegł cień.

- Nie chcę być dla niego TD-KJNP.

- To znaczy?

- Tym Dziwadłem, Którego Jeszcze Nie Przeleciałem.

Zakrztusiłam się kawałkiem mięsa. Ten właśnie moment Rafael wybrał na swoje wielkie wejście. Wkurzona czy nie, Andrea obserwowała, jak podchodzi do naszego stolika. Mało nie wywichnęłam sobie szyi, żeby też popatrzeć. Poruszał się z gracją zmiennokształtnego, wrodzonym wdziękiem zwykle zarezerwowanym dla zawodowych tancerzy i mistrzów sztuk walk. Kruczoczarne, opadające na ramiona włosy falowały z każdym

ruchem, absorbując promienie słońca. Miał lekko ogorzałą skórę, a jego twarz... Było w niej coś intrygującego. Poszczególne fragmenty same w sobie nieidealne, w połączeniu tworzyły niezwykle atrakcyjną fizjonomię. Nie nazwałabym Rafaela przystojnym, jednak przyciągał wzrok jak magnes, zaś jego oczy, intensywnie błękitne, miały zdecydowanie uwodzicielską siłę.

Na widok hienolaka wyobraźnia podsuwała jednoznacznie erotyczne sceny. Nie był nawet w moim typie, jednak to nic nie zmieniało.

Rafael zatrzymał się kilka kroków od stolika, niepewny, co robić dalej.

- Cześć. Co za niespodziewane spotkanie. Wyprostowałam się, słysząc, jak strzela mi kręgosłup. Będę miała nauczkę.

- Siadaj - syknęła Andrea.

Rafael położył ostrożnie plecak na wolne krzesło i przysiadł wyraźnie spięty. Andrea zapatrzyła się w ulicę. Przy sobie wyglądali jak przeciwieństwa - Andrea, niska, delikatna blondynka o krótkich włosach i złotawej cerze, i Rafael, wysoki, czarnowłosy, o mlecznokawowej skórze i bardzo niebieskich oczach.

- Co tam masz w plecaku? - Kate, mistrzyni towarzyskiej pogawędki.

- Przenośny m-skaner. Odebrałem go właśnie z naprawy. Leżał tam od rozbłysku, czekali na falę, żeby sprawdzić, czy działa.

„Przenośny” to określenie względne w stosunku do m-skanerów. Najmniejszy ważył jakieś trzydzieści pięć kilo. Fajnie być hienolakiem.

- Pójdę zamówić deser - rzekła Andrea, podnosząc się. - Chcesz coś, Kate?

- Nie, dzięki. - A ty?

- Dziękuję, nie - odparł Rafael.

Odmaszerowała.

- Co robię nie tak? - zwrócił się do mnie Rafael. Zastygłam z kawałkiem pity w palcach.

- Mnie pytasz?

- A kogo mam zapytać? Ty ją znasz. Jesteście przyjaciółkami.

- Posłuchaj, Rafael, w życiu nie miałam faceta na dłużej. Seks uprawiałam rok temu. A mój ostatni romans... Sam wiesz, jak się skończył. Byłeś przy tym, prawda?

- Tak. To ja byłem tym gościem z pistoletem.

Kiwnęłam głową.

- Sam widzisz, że jestem najmniej właściwą osobą, której należy się radzić w sprawach miłosnych. Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć.

- Ale ją znasz.

- Nie aż tak.

- Nigdy nie zabrało mi to tyle czasu - powiedział przybity.

Współczułam mu. Dwa miesiące uganiał się za Andrea. W przypadku hienolaków, boud, jak ich nazywano, tak długie zaloty stanowiły rzecz niesłychaną. Boudy odznaczały się śmiałością. Lubiły

seks, w dużych ilościach i z różnymi partnerami. W stadzie boud dominowały kobiety, a z tego, co rozumiałam, Rafael był rozchwytywany ze względu na swoją cierpliwość, jak też status - jako syn Cioci B., przywódczyni. Dzięki aparycji nie musiał zbyt długo uganiać się za niezmiennokształtnymi kobietami, zanim zechciały przetestować jego ukryte zalety.

Niestety, Andrea nie była niezmiennokształtną kobietą ani też boudą. Lyc-V, wirus odpowiedzialny za fenomen zmiennokształtności, atakował tak samo zwierzęta, jak ludzi. W bardzo rzadkich wypadkach w rezultacie infekcji tworzył zwierzoczłowieka, istotę, która rodziła się jako zwierzę i z czasem nabierała umiejętności przemiany w ludzką formę. Większość zwierzoludzi była bezpłodna, upośledzona umysłowo, krwiożercza, jednak zdarzały się od czasu do czasu i takie, które mogły funkcjonować w społeczeństwie na tyle dobrze, by uniknąć odstrzału. Jeszcze rzadziej bywały zdolne do rozrodu.

Andrea była zwierzoczłowiekiem, dzieckiem hienoczłowieka i boudy. Ukrywała to przed wszystkimi - przed zmiennokształtnymi, ponieważ mogli zabić ją przez wzgląd na jakieś głęboko zakorzenione pradawne uprzedzenia, a także przed Zakonem, który z chwilą odkrycia jej pochodzenia z miejsca usunąłby z szeregów. Teoretycznie jako zmiennokształtna podlegała władzy Currana, a Zakon wymagał bezwzględnej lojalności. Jak do tej pory Curran nie zajął w kwestii Andrei żadnego stanowiska, ale w każdej chwili mógł zmienić zdanie.

Z tego, co wiedziałam, poza Curranem tylko klan boud, Jim, Derek, Doolittle oraz ja zdawaliśmy sobie sprawę, kim jest Andrea. Nigdy nie omawialiśmy tej kwestii, lecz wszyscy dochowywaliśmy tajemnicy.

- Naprawdę chcesz rady?

- Tak.

- Spróbuj myśleć mniej jak bouda, a więcej jak mężczyzna.

- Jak, u diabła, mam to zrobić? - najeżył się. - Jestem boudą.

Wytarłam chlebem resztki tzatziki z talerza.

- Ona jest rycerzem Zakonu. Tylko jeden na ośmiu kandydatów kończy naukę w Akademii Zakonu i przystępuje do egzaminów. Ciężko pracowała na to, by być człowiekiem. Zaprzyjaźnij się z nią. Rozmawiaj. Dowiedz się, jakie książki czyta, jaką broń lubi... A propos książek, mogę powiedzieć ci coś o Andrei, ale nie za darmo.

- Czego chcesz?

- Północne Rozgrywki. Wszystko, co o tym wiesz.

- Pestka - rozpromienił się Rafael. - Najpierw ty.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz umowy?

- Andrea jest na schodach, słyszę ją. Proszę, Kate. - Zrobił błagalne oczy szczeniaczka.

Omam nie spadłam z krzesła.

- Dobra. - Kate Daniels, nieustępliwy negocjator. Trzymając w garści źródło nieocenionych informacji, ustąpiła seksownemu facetowi bez żadnych gwarancji zysku. - Lorna Sterling. Pisze

romanse fantastyczne. Andrea ją ubóstwia. W pracy trzyma jej książki pod biurkiem. Brakuje jej czwartej i szóstej części serii.

Rafael wyszarpnął z plecaka długopis i naskrobał coś na przedramieniu.

- Lorna, tak?

- Sterling. Część czwarta i szósta. Andrea od tygodni poluje na nie w tej księgarni na rogu.

Andrea wyłoniła się z drzwi, niosąc koktajl mleczny oraz talerzyk brzoskwiń w cząstkach. Długopis zniknął w plecaku.

- Dawaj, co masz. - Spojrzałam na Rafaela twardo.

- Północne Rozgrywki są nielegalne - zaczął. - Bezpośredni rozkaz Władcy Bestii mówi, że żaden członek Gromady nie może uczestniczyć, pomagać w organizacji ani robić zakładów w turnieju.

- To wszystko? Tyle miałeś do powiedzenia?

Wzruszył ramionami. Po minie widziałam, że coś jeszcze trzyma w zanadrzu. Nie zamierzał mi tego wyjawić. Drań. Spojrzałam na Andreę. Pomóż.

Odgryzła kawałek brzoskwini, powoli oblizując usta. Rafael skamieniał jak wyżeł wystawiający bażanta.

- Dlaczego został zakazany? Kryje się za tym jakaś historia? - Andrea ugryzła kolejny kawałek, zlizując sok z warg.

- Tak, owszem - wymamrotał Rafael. Prawie mu współczułam. Ciekawe, czy to by zadziałało na... Pochwyciłam tę myśl i zdeptałam, zanim zdążyła rozwinąć się kwieciami nonsensów.

- O, to ciekawe - uśmiechnęła się Andrea. - Powiedz coś więcej.

Rafael oprzytomniał.

- Nie, nie można o tym opowiadać obcym.

- Cóż, szkoda. - Andrea wzruszyła ramionami i zwróciła się do mnie. - To co, idziemy?

- Jasne. - Sięgnęłam po torebkę.

- Właściwie chyba nic się nie stanie, jak wam opowiem - pospieszył Rafael.

Puściłam pasek.

- W dwa tysiące dwudziestym czwartym, kiedy turniej był jeszcze legalny, doszło do walki finałowej pomiędzy Nekrowładcami a Siódemką Andorfa. Andorf był zmiennokształtnym, kodiakiem ważącym ponad tonę w zwierzęcej formie. Łapę miał większą od mojej głowy. - Rafael rozłożył ramiona, obrazując łapę wielkości olbrzymiego arbuza. - Potężna, groźna, brutalna bestia. Uwielbiał walkę. Zebrał świetną drużynę, ale na końcu została ich czwórka: Andorf, wilk, szczur i moja ciotka Minny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Andrea otworzyła usta w wyjątkowo niewudzicielski sposób.

- Ciotka? - zapytałam, żeby powiedzieć cokolwiek.

Rafael przytaknął.

- W ten sposób klan boud zdobywał pieniądze. Stawialiśmy na siebie. Wtedy były inne czasy. Teraz należymy do Gromady, która zapewnia nam środki. Ustalamy budżet, inwestujemy, mamy udziały w interesach. Wtedy jednak nie istniało coś takiego jak Gromada. Zmiennokształtni trzymali się w odrębnych klanach i radzili sobie sami, raz lepiej, raz gorzej.

Klan boud nie liczył nawet dwudziestu osób. Szesnaście lat temu musiał być jeszcze mniejszy. Niełatwo im było przetrwać.

- Kto należał do przeciwnej drużyny finałowej?

- Czterech nawigatorów z Rodu. - Rafael zaczął wyliczać na palcach. - Ryo Montoya, Sam Hardy, Marina Buryatova - Hardy i Sang. Nie znoszę sukinkotów, ale muszę przyznać, że byli zabójczo dobrzy.

W to nie wątpiłam.

- Po co Ród brał w tym udział? - Andrea zmarszczyła brwi.

- Budowali wtedy Kasyno. Przewijały się jakieś plotki o zniknięciu sporych kwot i reperkusjach, jeśli się nie odnajdą. Wysoko obstawili, potrzebowali wygranej.

- I co? - Nadstawiłam uszu.

Rafael skrzywił się.

- Drużyna Rodu miała przewagę. Krwiopijcy rozszarpali szczura, a flaki mojej ciotki przerobili na frędzle.

- I?

- Andorf wpadł w szał. Nie wiadomo, czy zmienił się w loupa, czy ogarnął go berserk, jak to czasem u niedźwiedzi. Przekształcił się w formę zwierzęcą, zrobił z wampirów mielonkę, rozłupał czaszkę wilkowi, a potem przedarł się przez ogrodzenie Areny, żeby dopaść nawigatorów. Rzucili się do ucieczki, ścigał ich po trybunach. Mordował wszystko, co stało mu na drodze. Zmasakrował całą czwórkę i ponad setkę widzów. Potem rozbił ścianę i uciekł.

- O kurde. - Andrea osuszyła pół kubka koktajlu.

- No, nie najszcześniejsze zakończenie wieczoru.

Ogromny kodiak szalejący po ulicach Atlanty. Wyszkolony wojownik, niedźwiedziolak o inteligencji człowieka, silniejszy, większy i groźniejszy od prawdziwego niedźwiedzia. Urzeczywistnienie najgorszych koszmarów zmiennokształtnych.

- Urządzono wielką obławę. Andorf ukrył się w Zaułku Jednorożca.

Zaułek Jednorożca, rejon otchłannej, nieokiełznanej magii, przecinał centrum miasta niczym blizna. Zdradliwa magia kłębiła się

tam, zalegając również podczas panowania techniki. Nawet Wojskowe Oddziały Obrony przed Nadprzyrodzonymi nie zapuszczały się w zaulek na długo.

- Zwołano zgromadzenie klanów, żeby wspólnie poszukać sposobu rozwiązania sytuacji, która stawała się coraz poważniejsza. Ród domagał się wykluczenia zmiennokształtnych ze społeczeństwa, fanatycy znów tworzyli bojówki odwołujące się do symbolów Piętna Bestii. Robiło się coraz groźniej. Należało zakończyć ten cały burdel szybko i skutecznie. Najsilniejszy był wtedy wilczy klan.

- A jakżeby inaczej - prychnęła Andrea.

- Przewodził mu Francois Ambler. To do niego właśnie zwrócono się z żądaniem powstrzymania Andorfa. Nawet nie spróbował. Matka opowiadała mi, że po prostu wstał i wyszedł ze spotkania. Porzucił klan, przestał być alfą, opuścił miasto. - Rafael uśmiechnął się. - O tym, co działo się później, wiedzą tylko alfy. Ale wszyscy znają fakty. Trzy dni później Andorf pojawił się na schodach Kapitolu. Dwa dni potem Curran został Władcą Bestii. Pierwsze prawo, jakie ustanowił dla nowej wspólnoty, zabraniało członkom Gromady brania udziału i obstawiania w Rozgrywkach.

Zrobiłam szybkie obliczenia w głowie. W dwa tysiące dwudziestym czwartym miałam dziewięć lat. Curran był tylko kilka lat starszy ode mnie.

- Ile miał wtedy lat?

- Piętnaście.

- O kurde.

- Właśnie. - Rafael kiwnął głową.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, przetrawiając historię. Moja wątła nadzieja na łaskawe spojrzenie Gromady w sprawie Dereka wyparowała właśnie jak kamfora. Od tego prawa nie będzie żadnych odstępstw. I co teraz?

Andrea zamieszała koktajl.

- Jak wam się układa z Curranem?

Czasami marzyłam o posiadaniu supermocy. Na przykład zdolności telekinetycznych. Zwykle myślałam o tym w kontekście zmiżdżenia wrogów. W tej chwili jednak wykorzystałabym je do wypchnięcia krzesła spod Andrei, upewniając się, żeby spadając, mocno stukła sobie zadek.

Odwróciłam głowę, żeby splunąć przez ramię.

- Odpędzasz złe moce? - Oczy Rafaela rozszerzyły się ze zdumienia.

- Cóż, oboje wymówiliście zakazane imię. Muszę przedsięwziąć środki ostrożności. Potrzebuję kawałek niemalowanego drewna. Andrea, użyj mi czoła.

Andrea zachichotała.

- A odpowiadając na twoje pytanie: rewelacyjnie. Lepiej być nie może. Nie widziałam Jego Wybredności od dwóch miesięcy i jestem szczęśliwa jak prosię w deszcz. Jeśli fortuna mi sprzyja, odczepił się na dobre. Mam nadzieję, że znalazł sobie nową zabawkę.

Podczas rozbłysku Curran zemścił się na mnie za te wszystkie sytuacje, kiedy doprowadzałam go omal do apopleksji. Powiedział, że

wcześniej czy później się z nim prześpię i jeszcze za to podziękuję. Na pewno, prędzej piekło porośnie różami.

- Z tego, co wiem, nie ma nikogo - pocieszył mnie Rafael. - Od rozbłysku nikt nie widział Currana z żadną kobietą. To nic niebywałego, ale dość niezwykle jak na niego.

Wywróciłam oczami.

- To znaczy?

Rafael pochylił się nad stołem, zniżając głos.

- Widziałaś kiedyś, jak lew podchodzi stado?

- Nie.

- Jest konsekwentny. Gdy lew poluje, podkrada się do stada, przyczaja i upatruje sobie ofiarę. Nie spieszy się. Taki bawół czy jeleń nie ma pojęcia o jego obecności. Kiedy już wybierze konkretnego osobnika, wyskakuje z ukrycia i dopada go. Nawet jeśli jakiś inny jest łatwiej osiągalny, lew nie łapie pierwszego z brzegu. Wybrał i woli być głodny niż zmienić zdanie. Głupia filozofia, moim zdaniem, ale taka jest ich natura. Jeśli o mnie chodzi, nie marnuję okazji.

- Ta... - Głos Andrei ociekał sarkazmem.

Rafael spojrział na nią z wyrzutem.

- Taki jestem.

- Przede wszystkim jesteś człowiekiem. Siedzisz tu w ludzkiej formie, ubrany jak człowiek, artykułujesz ludzkie dźwięki. Nie ma wątpliwości, która część ma nad tobą kontrolę. Ale jak tylko ktoś ci wytknie twoje ekscesy, zaczynasz machać rękoma i krzyczeć: „To ta

bestia we mnie! Nie mogę nic na to poradzić!” - Andrea zreflektowała się i zamilkła.

Uznałam, że czas zmienić temat.

- Przeceniacie nasze relacje. Wkurzam Currana nieziemsko, a on znalazł sposób, żeby mi się odpłacić. To tyle.

- Może masz rację - ustąpił Rafael.

- Poza tym Jego Wysokość potrzebuje „czymogenki”, a ja taka na pewno nie jestem.

- Czymogenki? - zmarszczyła brwi Andrea.

Rozparłam się na krześle.

- Czy mogę ci przynieść coś do jedzenia, Wasza Wysokość? Czy mogę powiedzieć ci, jaki jesteś silny i mądry, Wasza Wysokość? Czy mogę cię wyiskać, Wasza Wysokość? Czy mogę cię pocałować w tyłek, Wasza Wysokość? Czy mog...

Urwałam, dostrzegając, że Rafael nagle skamieniał. Siedział niczym pomnik, ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt ponad moim ramieniem.

- Stoi za mną, tak?

Andrea kiwnęła głową.

- Ściślej, początek powinien brzmieć „Czy pozwolisz, proszę” - rzekł Curran głębokim głosem. - Jeśli już o tym mowa.

Obszedł stolik, sięgając do sąsiedniego po krzesło. Kiedy nie drgnęło, wyrwał je jedną ręką z posadzki, pozostawiając w niej sześć sterczących wkrętów. Przystawił krzesło przy mnie, tyłem do przodu,

usiadł okrakiem i położył ramiona na oparciu, żeby popisać się bicepsami.

Dlaczego ja?

- Owszem, możesz pocałować mój tyłek. Zwykle nie przepadam za naruszaniem przestrzeni osobistej, ale przecież jesteś Przyjacielem Gromady, a twoje usługi raz czy dwa nam się przydały. Staram się spełniać życzenia osób przyjaźnie nastawionych do moich ludzi. Mam tylko jedno pytanie, czy to całowanie będzie złożeniem hołdu, rodzajem oporządzenia czy też częścią gry wstępnej?

Rafał pobladł i skłonił nisko głowę.

- Za pozwoleniem, panie.

Curran skinął głową.

Hienolak pociągnął Andreę za rękę.

- Ale... - zaprotestowała, mrugając zaskoczona.

- Musimy już iść. - Uśmiech Rafaela był nieco wymuszony.

Odwrócił się i powlókł Andreę za sobą do wyjścia, zostawiając mnie i Currana samych. Zdrajcy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie odpowiedziałaś, to jak będzie? - drążył Curran.

- Nie - wyrzuciłam z siebie.

Curran uśmiechnął się, a mnie lekko podskoczyło serce. Nie tego się spodziewałam.

- To wszystko? To twoja cięta riposta?

- Tak. - Elokwencja to ja. W kłopotliwych sytuacjach posługuję się monosylabami, tak jest bezpieczniej.

Curran oparł brodę na skrzyżowanych przedramionach. Phi, żaden z niego cud. Miał na sobie spłowiałe dzinsy i stalową koszulkę polo. Ciężko wyglądać zabójczo w koszulce polo. Jemu się udało. Może dlatego, że w żaden sposób nie skrywała zarysu muskulatury torsu i zdecydowanych linii barków. Właściwie gdyby napiął mięśnie, materiał pękłby w szwach. Wiedziałam, że obleczone nim ciało jest twarde jak pancerz.

A może nie chodziło o ciało, a o aurę, jaką roztaczał? Curran potrafił być ucieleśnieniem grozy.

Byłam świadkiem, jak ryczał wściekle, jak jego furia stawała się niemal materialna, zmieniając w lodowate sztylety gniewu, i sama nie wiedziałam, co przeraża mnie bardziej. Żłoty płomień w oczach

Currana budził we mnie pierwotny lęk, uczucie wyzwolone blaskiem pierwszego ognia, zrodzone przed erą rozsądku, zanim pojawiła się logika, gdy ludzką egzystencją rządził strach przed kłami, pazurami i pożarciem. Ten lęk mnie obezwładniał. Nie umiałam go zrationalizować. Musiałam walczyć z nim samą siłą woli i jak na razie nie ustępowałam pola, ale nie miałam gwarancji, że potrafię mu się oprzeć, kiedy następnym razem spojrzy na mnie tym wzrokiem alfy.

Curran otaksował mnie niespiesznie. Zrobiłam to samo, kopiując jego uśmieszek. Jasne włosy, zbyt krótkie, by za nie chwycić. Nos, złamany i źle zrosnięty, dziwne jak na zmiennokształtnego, szczególnie tego kalibru. Szare oczy. Popatrzywszy w nie, ujrzałam tańczące w głębi iskierki. Serce znów zabiło mi mocniej.

No to mam problem.

- Podoba mi się ta fryzura - skomentował.

Dzień wolny od pracy, miałam rozpuszczone włosy. Zwykle zaplatałam je w warkocz lub spinałam w węzeł, żeby nie przeszkadzały, jednak dzisiaj spływały ciemnobrązową zasłoną, którą wiatr kołysał przy policzkach.

Poruszyłam lekko nadgarstkiem, wsuwając w dłoń szpilkę ukrytą w skórzanej opasce na przegubie. Zebrałam włosy, zwinęłam w kok, umocowałam szpilką i wyszczerzyłam zęby w uśmiechu. Ha!

- Istny cukiereczek. - Roześmiał się. - Nie nudzi ci się to udawanie twardzielki?

Cukiereczek. Wolałabym, żeby ktoś dźgnął mnie w oko niż nazwał cukiereczkiem.

- Czym zasłużyłam sobie na dostąpienie zaszczytu towarzystwa Waszej Wysokości? - I popsucia lunchu.

- Przyszła mi ochota na brzoskwinie - oświadczył pogodnie.

Od kiedy to zabójstwo członka Gromady jest przyczyną tak radosnego nastroju?

- Czy istnieje jakiś szczególny powód twojego zainteresowania Północnymi Rozgrywkami? - zapytał.

- Przelotne zamięłowanie do historii. - Stąpałam po grząskim gruncie. Nie miałam pojęcia, czy wie coś o Dereku. Lepiej jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. - Czy Gromada potrzebuje moich usług jako pracownika Zakonu?

- Nie w tej chwili. - Rozparł się wygodnie, sięgnął do talerza Andrei i wyciągnął ku mnie rękę. - Brzoskwinę?

Mój uśmiech stężał.

Podczas rozbłysku Curran dał mi zupę, którą zjadłam. Później alfa boud, Ciocia B., wyjaśniła mi, że zmiennokształtni przynoszą pożywienie swoim partnerom *in spe*. Tym samym określał się moim obrońcą, insynuował, że jestem od niego słabsza, oraz składał jednoznaczny propozycję. A ja je przyjąłem. Musiało go to strasznie ubawić. Tak czy owak, nawet wiedząc, co ten gest oznacza, i tak zjadłabym tę zupę, byłam wtedy półżywa. Skrzyżowałam ręce.

- Nie, dziękuję. Nie wezmę od ciebie niczego jadalnego.

- Ach, dowiedziałaś się. - Rozpołowił kawałek, wrzucając go sobie do ust. - Kto ci powiedział? Rafael?

- A czy to ważne?

W jego oczach zapłonęły złote ogniki.

- Nie.

Kłamca. Nie zamierzałam narażać Rafaela na kłopoty, a Curran na pewno nie będzie zachwycony, że ktoś popsuł mu zabawę.

- Przeczytałam w notatkach Grega. - Wyjęłam z kieszeni kilka banknotów, zwinęłam je i wcisnęłam pomiędzy solniczkę a pieprzniczkę.

- Idziesz już?

Twoje zdolności dedukcyjne powalają mnie na kolana, drogi Holmesie.

- Skoro nie potrzebujesz mojej profesjonalnej pomocy, wracam do obowiązków.

- Masz dzisiaj wolne. A ty skąd to wiesz?

Zjadł kolejną brzoskwinię.

- Podczas odpływu magii dyżur w Zakonie może trwać góra szesnaście godzin. Jeden ze szczurów widział, jak zdejmowałaś wczoraj staruszkę ze słupa telefonicznego. Niezła heca.

- Żyję, by dostarczać rozrywki. - Wstałam.

Ręka Currana wystrzeliła ku mojemu przegubowi. Wykonał ruch z kocią zwinnością, ale przez całe życie doskonaliłam refleks, więc chybił.

- Patrzcie państwo - mruknęłam, machając do niego przekornie dłonią, której nie zdołał pochwycić. - Pudło. Żegnam, Wasza Wysokość. Przekaż, proszę, moje kondolencje rodzinie.

Skierowałam się ku drzwiom.

- Kate?

Nagła zmiana w tonie głosu kazała mi się odwrócić. Na twarzy Currana nie było śladu poprzedniej wesołości.

- Jakiej rodzinie?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przed Przesunięciem ulica Ponce de Leon była jedną z większych arterii miasta. Sunące nią samochody jechały ze Stone Mountain przez Decatur i Druid Hills, mijały City Hall East w kierunku biurowców w centrum. Południowa Dzwonnica, Bank Ameryki i hotel Renesans były teraz nieledwie stertami gruzów, ale City Hall East stał nadal. Ostał się przypuszczalnie dlatego, że nie był zbyt wysoki, miał tylko dziewięć pięter. Możliwe, że w grę wchodził także jego wiek. Historyczny budynek ewoluował od 1926 roku, mieszcząc początkowo dom handlowy Searsa, później siedzibę rządu, a następnie przekształcając się w apartamentowiec otoczony terenami zielonymi, z pełną infrastrukturą obejmującą sklepy i restauracje. Istniał też trzeci, najistotniejszy powód, dlaczego budowla oparła się niszczącej sile magii. Dwie dekady temu owe blisko dwieście tysięcy metrów powierzchni wykupił Atlancki Uniwersytet Sztuk Tajemnych. Teraz w laboratoriach, bibliotekach, salach wykładowych przebywała kadra naukowa oraz studenci. Jeśli ktokolwiek mógł ochronić budowlę, to właśnie cztery setki magów.

Sąsiedztwo takiej masy ludzi, a tym bardziej studentów, którzy jak wszyscy młodzi dość impulsywnie wydawali pieniądze,

przyczyniła się do rewitalizacji Ponce de Leon. Ulica tętniła życiem, obfitując w masę sklepów, kramów i barów.

W porównaniu do niej ulica Martwego Kota była wąskim zaułkiem. Wciśnięty pomiędzy dwu-, trzypiętrowe kamienice rozszerzał się w niewielki plac, przy którym znajdował się sklepik ogólnogospodarczy oraz drugi, spożywczy. Staliśmy z Curranem na chodniku u wylotu przecznicy, odwróceniem bokiem do ruchliwej ulicy pełnej przechodniów oraz turkocących wozów konnych. Ciało znaleziono kilkadziesiąt metrów w głąb zaułka. Po wydarzeniu nie został żaden ślad. Żadnych plam krwi na chodniku. Żadnych oznak walki. Nic. Gdybym nie widziała na własne oczy trupa, nie domyśliłabym się, że miała tu miejsce zbrodnia.

Curran stał bez ruchu, wciągając głęboko powietrze. Mijały minuty. Naraz podniósł górną wargę, odsłaniając zęby. W gardle zadrgały pierwsze nuty warkotu. Oczy zabłyśły złotem.

- Curran?

Przez ułamek sekundy patrzył na mnie lew, który jednak zniknął szybko, kiedy Władca Bestii przybrał swą powszednią maskę dystansu.

- Czysta, porządna robota.

Uniosłam brwi.

- Posypali okolicę tojadem. Wysuszone, sproszkowane łodygi zmieszane z jakąś bazą, na przykład suchym detergentem. Może być soda oczyszczona albo boraks. Jeszcze lepiej działa pasta tojadowa,

ale i proszek skutecznie zabija zapachy. Jim musiał go zużyć chyba całe wiadro.

Postanowiłam zachować tę wiedzę na przyszłość.

- To co, nie ma szans nic wywąchać?

- Nie da się posypać powietrza - uśmiechnął się Curran. - Nawet tu, mimo wiatru i ruchu na ulicy obok, woń utrzymuje się nad ziemią. Powiedz, co widziałaś, a potem skonfrontujemy nasze informacje.

Zawahałam się. Rozmowa z Curranem przypominała spacer po polu minowym. Nigdy nie wiadomo było, co go rozdrażni, a Jim może to i skończony dupek, ale też mój ekspartner.

- Czemu nie zapytasz Jima? Na pewno chciałby ci przekazać wszystkie szczegóły osobiście.

Curran pokręcił głową, pochmurniejąc.

- Zawsze, gdy ginie ktoś z naszych, dowiaduję się o tym natychmiast. Bez względu na porę. Zeszłej nocy byłem w Twierdzy, a nikt mnie nie wezwał. Rano widziałem się z Jimem, o niczym nie wspomniał.

- Musiał mieć jakiś ważki powód, żeby to przed tobą ukryć.

- Kate, czy zaproponowałaś swoją pomoc w tej sprawie? Jako pracownik Zakonu?

A niech to.

- Owszem. Odrzucono ją.

- Jako Władca Bestii oficjalnie przyjmuję propozycję Zakonu.

Szlag. Porozumienie o wzajemnej współpracy zobowiązywało mnie do przekazania wszelkich informacji o tej sprawie. Spojrzałam na Currana bezradnie.

- Jak ty to robisz? Jakim cudem za każdym razem udaje ci się wmanewrować mnie w coś, czego staram się uniknąć?

Rysy Currana zmiękły odrobinę.

- Trening czyni mistrza. Gromada składa się z trzydziestu dwóch gatunków skupionych w siedmiu plemionach. Każde z nich ma jakieś swoje słabości. Szakale i kojoty walczą z wilkami, bo mają kompleks niższości i uważają, że muszą coś udowodnić. Wilki żyją w przekonaniu, że są istotami nadrzędnymi, łączą się z nieodpowiednimi partnerami, a potem uparcie odmawiają rozvodu, trzymając się tych idiotyzmów o tworzeniu par na całe życie. Hieny nie chcą nikogo słuchać, ciągle coś zawalają i wpadają w szał, gdy tylko uważają, że ktoś zagraża którejś z nich. Koty odmawiają wykonywania rozkazów jedynie po to, żeby dowieść, że mogą to zrobić. Tak wygląda moje życie. Przewodzę Gromadzie od piętnastu lat. W porównaniu z nimi, ty to bagatelka.

Jasne, a ja myślałam, że stanowię dla Currana wyzwanie.

- Daj mi chwilkę, muszę pozbierać do kupy moje ego.

- Twoje przywiązanie do zasad też sporo ułatwia - uśmiechnął się. - Przyparta do muru zawsze będziesz się starała zrobić to, co uznasz za słuszne, szczególnie jeśli ci się to nie podoba. Dokładnie tak, jak teraz.

- Widzę, że mnie rozgryzłeś.

- Rozumiem powody, dla których coś robisz, Kate. Czasami wkurza mnie sposób, w jaki dążysz do celu.

Czasami?

- Zapewniam cię, Wasza Wysokość, że całymi nocami nie śpię, przejmując się twoimi uczuciami.

- I tak być powinno. - W gardle Currana zawibrował warkotliwy śmiech. - Prowokowanie mnie nic ci nie da. Powiedz, co widziałaś. Chyba że mam się zwrócić do Zakonu drogą oficjalną?

Najwyraźniej dzień upływał pod hasłem: „Dajmy Kate lekcję pokory”. Trzymał mnie w garści. Wróciłam myślami do poprzedniego wieczoru, przypominając sobie szczegóły.

- Przyjechałam tu na mule. Na miejscu zastałam siedmiu zmiennokształtnych. Dwóch w wilczej formie węszyło po okolicy. Jeden kręcił się tu. - Podeszłam, wskazując punkt. - Samiec. Wyglądał jak wilk europejski, *Canis lupus lupus*, zmierzwione szare futro z płowymi znaczeniami, jaśniejszy pysk. Drugi był tu. - Przeszłam na drugą stronę ulicy. - Możliwe, że samica, ale nie jestem pewna. Brązowa sierść w odcieniu cynamonu, czekoladowy lub czarny pysk i ciemne uszy. Jasnożółte ślepia. Przypominał wilka z gór Cascade.

- George i Brenna - orzekł Curran, wpatrując się we mnie z uwagą. - Najlepsi tropiciele Jima. Mów dalej.

Wróciłam na drugą stronę Martwego Kota.

- Dwie zmiennokształtne zbierały do worka zwłoki. Jedna średniego wzrostu, drobnej budowy, jasnopolielate włosy, klasyczny

bob. Nie kojarzę jej twarzy. - Przesunęłam się w lewo. - Indianka, krągła, ciemna skóra, koło czterdziestki, długi warkocz. Ładna.

Curran milczał.

- Tu stała czujka. Tu także. - Machnęłam dłonią. - I jeszcze jeden tu. - Wskazałam punkt, gdzie zostałam zatrzymana. - Dwaj ubrani na czarno, podobni, ciemne włosy, Latynosi z domieszką indiańskiej krwi lub Meksykanie, młodzi, niewysocy, krępi, zwinni, na oko trudni przeciwnicy. Ten, z którym rozmawiałam, po trzydziestce, może bliżej czterdziestki. Krótkie włosy, na wojskowego, jasnobrązowe, piwne oczy, potężne mięśnie pakera. Nie tak szybki jak tamci, ale miałam wrażenie, że mógłby mnie podnieść razem z mułem. Lekki akcent, australijski lub nowozelandzki. Osłaniał lewe ramię, może niedawno był ranny. Mam opisać ich ubrania?

Curran pokręcił głową.

- Jak długo tu byłaś?

- Półtorej minuty, może dwie. - Zrobiłam kilka kroków, zatrzymując się tam, gdzie Brenna krzyknęła. - Tu Brenna znalazła rękę. Prawdopodobnie kobiecą, bo rękaw był jasny i połyskliwy. Jakaś brokatowa tkanina, wieczorowa sukienka lub bluzka, mężczyźni takich nie noszą, chyba że wyjątkowi ekstrawaganci.

- A Jim?

- Pojawił się nagle, jakby znikąd. Bardzo teatralne wejście. - Zadarłam głowę. - Ach, pewnie zeskokczył z tego balkonu. - Streściłam pokrótce rozmowę. - To wszystko. Ciała nie widziałam. Nie znam żadnych szczegółów.

Curran spoglądał na mnie z osobliwą miną. Czyżby cieniem podziwu?

- Nieźle. Dar wrodzony czy szkolenie Zakonu?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie Zakonu. Ojciec mnie nauczył. I w sumie kiepsko u mnie z pamięcią. Zwykle zapominam, co miałam kupić. Ale szkolił mnie w ocenie sytuacji zagrożenia, a siedmioro zmiennokształtnych nocą w zaułku, plus trup, zalicza się zdecydowanie do takich właśnie sytuacji. Twoja kolej.

- Umowa to umowa. - Curran wyszedł na ulicę. - Nie została zabita tutaj. Zapach krwi jest słaby, a na chodniku nie ma plam, choć wyraźnie nikt go nie czyścił. Ciało rozczłonkowano na co najmniej sześć części. Tu tylko podrzucano zwłoki. Wybrano to miejsce, bo kilka przecznic stąd znajduje się jedna z naszych siedzib. Bliżej już nie mogli dotrzeć, nie natykając się na nasze patrole. Była ich najmniej trójka, nie ludzi. Nie wiem czym są, ale nie podoba mi się ich smród.

Coraz lepiej.

- To wszystko, poza tym, że Jim zabrał ze sobą swoich najlepszych ludzi. Znam każdego, kogo opisałaś. Są bezkonkurencyjni.

I żadne z nich nawet nie zająknęło się o sprawie. Pytanie za milion dolarów: Dlaczego?

- Zaakceptowałaś pomoc Zakonu i teraz nie możesz się już wycofać - przypomniałam Curranowi. - Od tej pory biorę udział w

śledztwie, a to oznacza, że będę musiała wejść na twoje terytorium i zadawać niewygodne pytania.

- Sam mam ich kilka. - Oczy Currana nabiegły płynnym złotem. Włoski zjeżyły mi się na karku. Za nic w świecie nie chciałabym być teraz w skórze Jima.

- Skontaktuję się z tobą, żeby ustalić grafik przesłuchań - rzucił i odszedł, zostawiając mnie samą pośrodku pustej uliczki. Władca Bestii, mężczyzna ponad ludzkie konwenanse. Żadnego „dziękuję” czy „do widzenia”.

Wracając do cywilizacji, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od pół roku rozmawialiśmy z Curranem normalnie, przynajmniej przez większość czasu, nie usiłując się pozabijać.

Fakt ten obudził we mnie niepokój.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przed drzwiami mieszkania leżała niewielka paczka owinięta w papier pakowy. Zatrzymałam się, dumając, dlaczego nikt jej nie ukraść. Lokum, które odziedziczyłam po Gregu, nie znajdowało się co prawda w slumsach, ale też nie w najlepszej dzielnicy. Mój opiekun nie zawracał sobie głowy kwestią bezpieczeństwa, wybrał tę lokalizację ze względu na bliskość siedziby Zakonu.

Zmarszczyłam brwi, wpatrując się w pakunek. Spoczywał na burej wycieraczce przed lśniącymi nowością drzwiami - stare musiałam wymienić po burzliwej wizycie demona. Sąsiedzi określali mnie mianem „tej szalonej zołzy, co nosi miecz i mieszka pod 32”. Dbałam o podtrzymanie tego wizerunku, lecz mimo wszystko paczka powinna zniknąć stąd w ciągu sekundy od pozostawienia. Może to pułapka?

Dobyłam Zabójcy. Światło sączące się przez brudne okna za moimi plecami padło na matowy, prawie biały metal, kładąc się na główni perłowym blaskiem.

Trąciłam paczkę czubkiem miecza, na wszelki wypadek natychmiast odskakując.

Nic.

Pakunek ani drgnął. Tak, tak, a jak tylko go tknę, wystrzela ostrza, które posiekają mi dłonie na plasterki.

Kucnęłam, przecięłam sznurek i ostrożnie rozchyliłam papier, odkrywając zielony jedwab z wizytówką na wierzchu. Wyjęłam bilecik. *Zadzwoń do mnie, proszę. Saiman.*

Przeklinając pod nosem, wniosłam paczkę do mieszkania. Na sekretarce nie było żadnych wiadomości. Derek się nie odezwał.

Rozdarłam papier, wyrzucając zawartość przesyłki na łóżko. Szerokie, jedwabne spodnie w odcieniu fuksji, zielone pantofle i ao dai, długa szata wietnamska, coś pomiędzy tuniką a sukienką. Ubrania były przepiękne, szczególnie ao dai, haftowane jaśniejszą, zieloną nicią i zdobione maleńkimi cekinami koloru fuksji.

Wybrałam numer do Saimana.

- Cześć, Kate.

- Której części „nie randki” nie zrozumiałaś?

W słuchawce rozbrzmiało cichutkie westchnienie.

- Nie byłaś nigdy na Rozgrywkach, więc nie jestem w stanie opisać ci zaocznie ich specyfiki. To brutalne zawody, pełne przemocy. Nie obowiązują tam normy zdrowego rozsądku, nie zwycięża zimna krew. Każdy pali się, by udowodnić swoją siłę fizyczną. Jesteś atrakcyjną kobietą. Jeśli ubrałabyś się tak jak wczoraj, zasypano by nas wyzwaniem. Chyba oboje się zgodzimy, że nie zależy nam na zwracaniu uwagi. Miał rację.

- Wybrałem ten strój ze szczególną dbałością. Pozwoli ci na pełną swobodę ruchów. Jeśli to na siebie założysz, będziesz wyglądała mniej jak ochroniarz, a bardziej jak...

- Zabójczy cukiereczek?

- Towarzyszka. Bądź rozsądna, Kate. Tej nocy zagraj Emmę Peel u mego Johnsteedowego boku.

Nie miałam zielonego pojęcia, kim są Emma Peel i John Steed.

Głos Saimana złagodniał, nabierając ciepłych tonów.

- Zrozumiem, jeśli czujesz się zażenowana. Zawsze możemy renegotjować warunki naszej umowy.

Głębia aluzji brzmiącej w słowie „renegotjować” przyprawiłaby o rumieniec nawet doświadczoną *call girl*.

- Umowa to umowa - podsumowałam. Lepiej zapłacić tu i teraz. Nie uśmiechały mi się jakiegokolwiek długi wobec Saimana, a on dobrze o tym wiedział. Zostałam wrobiona po raz kolejny.

- Zielony pasuje do twojej karnacji - ciągnął Saiman pojednawczo. - Ao dai kazałem obstałować, powinno leżeć idealnie.

Nie miałam co do tego wątpliwości. Pewnie przyjął moją formę i zmierzył osobiście.

- Spróbuję.

- Będę po ciebie o dziesiątej. I jeszcze jedno, Kate, może jakiś makijaż...

- Bieliznę też mi wybierzesz?

Sarkazm ominął go ze świstem.

- Z wielką chęcią. Powinnaś nosić balkonетки, ale nie tym razem ze względu na opięty gors, lepiej sprawi się bezszwowy biustonosz usztywniony pianką... Może po prostu wpadnę i zobaczę, co tam masz.

Rozłączyłam się. Majtkowe party z Saimanem. Nigdy w życiu.

* * *

Osiem godzin później, wysiadając z samochodu Saimana na parkingu przed Areną, pomyślałam, że wybór stroju rzeczywiście był sensowny. Opięty na biuście zielony jedwab nie pozostawiał wątpliwości co do mojej płci, jednak tunika rozszerzała się dołem. Dodatkowo posiadała dwa pęknięcia kończące się kilka centymetrów ponad pasem spodni. Luźne rękawy doskonale ukrywały skórzane opaski nadgarstkowe, w które wsunęłam arsenał srebrnych szpilek.

Niestety, nie miałam gdzie ukryć miecza. Ale to nic. Wzięłam go do ręki.

Saiman otworzył mi drzwi. Na tę okazję przyjął postać wysokiego mężczyzny w średnim wieku, już nie pierwszej młodości, lecz nadal w formie. Ubrał się w elegancki ciemny garnitur i czarny golf. Twarz o wyrazistych rysach, szlachetny nos, mocna szczęka, szerokie czoło i jasne, piwne oczy pod gęstymi, siwymi brwiami. Srebrne włosy, idealnie przycięte, do tego czarna laska o gałce w kształcie smoczej głowy. Emanował aurą zdrowia, która nadawała wizerunkowi ostateczny, perfekcyjny szlif. Pachniał pieniędzmi i autorytetem. Jego głos był jak smak kosztownej kawy - głęboki, aksamitny, przełamany nutą goryczki.

- Obawiam się, Kate, że musisz zostawić miecz.

- Nie ma mowy.

- Na Arenę, z wyjątkiem dolnej kondygnacji, gdzie znajduje się Kocioł, nie wolno wносить żadnej broni. Nie wpuszczą cię z nim.

Cholera.

Westchnąwszy, położyłam Zabójcę między przednimi siedzeniami.

- Zostań tu. Pilnuj wozu.

Saiman trzasnął drzwiczkami.

- Posiada świadomość?

- Nie, ale lubię udawać, że tak jest.

Na naciśnięcie guzika w pilocie auto zareagowało dziwnym dzwonieniem.

- Co to?

- Zabezpieczenia. Lepiej go teraz nie dotykać. Idziemy? - Podał mi ramię. Oparłam palce na jego zgiętym łokciu. Umowa to umowa. Dzisiaj byłam jego zabójczym cukiereczkiem.

Przynajmniej wpasowałam się w rolę. Zwinęłam włosy w węzeł, w który wsunęłam kilka drewnianych patyczków o metalowym rdzeniu. Musnęłam nawet twarz różem w odcieniu pasującym do stroju. Już sama sukienka przydawała mi egzotycznego wyglądu, który pogłębiłam jeszcze za pomocą tuszu i ciemnego cienia. Nie byłam nigdy piękną, ale potrafiłam wypracować efekt intrygującej urody.

Pośrodku parkingu wznosił się masywny budynek. Eliptyczny, ceglany, trzypiętrowy, ciągnął się w obie strony, ginąc w mroku. Budowle tych rozmiarów były rzadkością w Atlancie.

Tknęło mnie na widok tej konstrukcji.

- Czy tu kiedyś nie stało coś innego?

- Cooler. Miejskie lodowisko. Oczywiście przebudowaliśmy je.

Uderzyła mnie koniugacja w tym zdaniu.

- My? Jesteś członkiem Izby?

- Nie. Ale Thomas Durand owszem. - Wskazał na swoją elegancką postać.

A więc nie tylko szłam na nielegalny turniej ubrana jak lalunia, szłam jeszcze tam w towarzystwie współwłaściciela tego interesu. Świetnie. Skoro więc wmieszałam się w hazard i nielegalne walki, to może na bis dodam do listy narkotyki i luksusowe dziwki? Westchnęłam i postarałam się nie wyglądać jak ktoś, kto zarabia na życie zabijaniem.

- To we włosach to sztyleciki? - zapytał Saiman.

- Nie. Wsadzanie sobie we włosy ostrych noży nie jest najlepszym pomysłem.

- Czemu nie?

- Po pierwsze, przy uderzeniu w głowę mogą się wbić w czaszkę. Po drugie, żeby ich użyć, trzeba je stamtąd wyciągnąć. Melodramatyczne wyjmowanie broni z włosów może skończyć się ich utratą. Nie mam zamiaru ganiać potem łysa.

Nad budynkiem górowała drewniana wieża stojąca kilkadziesiąt metrów dalej, na tyle jednak blisko, by umieszczone na platformie karabiny maszynowe oraz balista objęły zasięgiem obrys Areny. Strażnicy na wieży mieli na sobie charakterystyczne czarno-czerwone mundury.

- Czerwona Gwardia?

- Tak.

- Widać krwawy sport popłaca. - Inaczej gospodarze imprezki nie mogliby sobie pozwolić na zatrudnienie najdroższej jednostki militarnej w mieście. Znałam kilku czerwonogwardzistów, byli warci swojej ceny. W pewnym momencie zastanawiałam się nawet, czy do nich nie dołączyć ze względu na stałe dochody, ale robota była nudna jak diabli.

- Koloseum, duma Rzymu, mogło pomieścić pięćdziesiąt tysięcy ludzi. - Saiman pozwolił sobie na uśmiezek. - Pięćdziesiąt tysięcy widzów w czasach, kiedy najefektywniejszym środkiem transportu był koń. Zaiste, krwawy sport popłaca. Przyciąga także szumowiny, dlatego właśnie gwardia pilnuje terenu wokół Areny i obstawia wewnątrz, szczególnie na najniższym poziomie, przy Kotle, gdzie odbywają się walki. Na dole znajdują się pomieszczenia dla zawodników, a Izba nie toleruje potyczek poza Kotłem.

Ta noc z każdą chwilą komplikowała się coraz bardziej. Bujać się z Saimanem, wymknąć mu się niepostrzeżenie jak ninja, którym nie byłam, ominąć najlepszych ochroniarzy w Atlancie, spenetrować dolny poziom pełen gladiatorów, odnaleźć dziewczynę o ciemnych

włosach, przekazać jej liścik i wrócić, zanim Saiman zorientuje się, że coś jest nie tak. Pestka. Mogłabym to zrobić z zamkniętymi oczami. Po raz kolejny naszła mnie ochota, żeby dać Derekowi w zęby.

Przekroczyliśmy białą, szeroką linię namalowaną fluorescencyjną farbą.

- Co to?

- Od tej chwili znajdujemy się pod pieczęcią gwardii. Na terenie zakreślonym linią liczy się dla nich nasze dobro, poza nim jesteśmy zdani na siebie.

- Zabito kiedyś kogoś na parkingu?

- Gdybyś nie pracowała dla Zakonu, powiedziałbym ci, że dwa razy w zeszłym miesiącu, ale ponieważ dla niego pracujesz, muszę udawać niewiedzę. - Saiman obdarzył mnie wstydliwym uśmiechem. Daruj sobie.

Skierowaliśmy się ku jasno oświetlonemu wejściu, obstawionemu czterema czerwonogwardzistami. Dwaj byli uzbrojeni w karabiny, pozostali mieli chińskie włócznie przyozdobione szkarłatnymi proporczykami. Dziwna broń, ale efektowna.

Minęliśmy strażników, wkraczając przez wąski, łukowaty pasaż do westybulu. Na naszej drodze stało dwóch gwardzistów w towarzystwie kobiety. Mężczyźni robili wrażenie, jakby tylko czekali na okazję, żeby złapać plecaki z ekwipunkiem, popędzić do lasu i wysadzić jakieś gniazdo loupów. Wciśnięta pomiędzy nich kobieta była ode mnie nieco wyższa i szczuplejsza, ubrana w brązową, skórzaną kamizelkę, uzbrojona w rapier. Lewą rękę osłaniała gruba

rękawica. Ostrze broni połyskiwało zielenią, jakby zrobiono je z kolorowego szkła. Dziesięć do jednego, że broń była magiczna.

Zmierzyłam kobietę wzrokiem. Krótkie, rude włosy. Szare oczy o twardym wyrazie.

- Rene - powitał ją Saiman. - Zawsze miło cię widzieć. - Znow zrobił tę swoją sztuczkę prestidigitatorską i podał jej dwa kartoniki.

Rene rzuciła na nie okiem, oddała Durandowi i otaksowała mnie spojrzeniem, które nie pozostawiało wątpliwości, że ani na moment nie zwiodło jej moje haftowane ao dai.

- Nie waż się zabić kogoś na moim terenie.

- Przyłóż się do pracy, a nie będę musiała.

Pozwoliłam Saimanowi poprowadzić się przez westybul.

- Rene jest... - zaczął konfidencjonalnie, nachylając się ku mnie.

- Szefem ochrony. - Jej rapier...

- Jest zaczarowany, prawdopodobnie zatruty, a ona potrafi posługiwać się nim z nieprawdopodobną szybkością.

- Znasz ją?

Skrzywiłam się.

- Rapier to broń pojedynkowa, najlepsza w walce jeden na jeden.

Wymaga precyzji, tak wąską klingą niełatwo jest trafić w któryś z ważnych organów, a tym bardziej w naczynie krwionośne. Zwykły rapier nie powstrzymałby rozjuszonego zmiennokształtnego. Zadaje niewystarczająco rozległe obrażenia, a to znaczy, że jeśli Rene chce być skuteczna, musiała wzmocnić go magią lub trucizną i zapewne potrafi zadawać błyskawiczne ciosy, żeby te dodatki mogły zadziałać.

Stawiam na truciznę, bo Rene nosi na lewej dłoni rękawicę, czyli nie chce dotykać palcami klingi, nawet podczas panowania techniki. Mam rację?

- Owszem. - Saiman wydawał się odrobinę zbity z tropu.

Rapier Rene działał prawdopodobnie na takiej zasadzie jak Zabójca. Moja broń dymiła w obecności nieumarłych, rozpuszczała też ich tkanki. Pozostawiona w ciele nieumarłego absorbowała rozpuszczone ciało. Niestety, rzadko miałam okazję, żeby dać mu na to czas, więc Zabójca cieniał i słabł po intensywnych walkach. W rezultacie musiałam go dokarmiać. Postawiłabym sporą część zarobków na to, że rapier Rene też wymagał odnawiania energii.

Skręciliśmy w wąską klatkę schodową i, wdrapawszy się po stopniach, wkroczyliśmy w zupełnie inny świat. Włoskie płytki na posadzce, na przemian rude i piaskowe, tworzyły skomplikowane wzory złożone z drobniejszych oraz większych szachownic. W niszach jasnobrzoskwiniowych ścian po prawej stronie stały masywne, ceramiczne donice z formowanymi bambusami. Po lewej, wysokie łuki osłaniały ciężkie, rude zasłony. Pomędzy archiwoltami zawieszono zdobne magiczne latarnie, teraz niezapalone. Lampy tuzina wolno obracających się pod sufitem wiatraków zalewały hol miękkim światłem. Zza stor sączył się jednostajny gwar zbierających się widzów. Znajdowaliśmy się na trzeciej kondygnacji.

Uderzenie magii zdławiło elektryczność. Lampy zgasły. Wiatraki zwolniły, zatrzymując się, a ściany rozbłysły światłem magicznych latarni, wypełniając pomieszczenie błękitną poświatą.

Ponad gwar wybił się niski, gardłowy wrzask, chrapliwy, nieczłowiecki, w którym lęk, furia i ból zlewały się w jedno. Włoski na karku stanęły mi dęba. Saiman obserwował moją reakcję z zadowoleniem.

- Dokąd idziemy? - zapytałam, ignorując dźwięk.

- Do foyer dla VIP-ów. Wspominałem przecież, że potrzebuję twojej fachowej opinii. Członkowie zespołu, który masz ocenić, zwykli szwendać się tam przed walką.

- Co to za drużyna? - zapytałam, myśląc o schowanej pod opaską karteczce od Dereka. Przekazać wiadomość Liwii z drużyny Rozpruwaczy.

- Rozpruwacze.

No oczywiście.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Półokrągłe tarasowe foyer wypełnione było zaledwie w jednej trzeciej. Większość światła dawały świece ustawione po kilka na niewielkich, okrągłych stolikach. Tylną ścianę tworzyła ogromna, panoramiczna szyba wychodząca na parking, za którym leżało pogrążone w ciemnościach miasto.

Podchodząc do stolika przy oknie, zlustrowałam obecnych. Szesnaście osób, w tym trzech ochroniarzy, cztery kobiety, dwie ciemnowłose, ale żadna nie wyglądała na zawodniczkę. Kiedy mój wzrok padł na mężczyznę siedzącego nieopodal, poczułam, jakby poraził mnie prąd, jakby przewód dotknął mego ramienia. Z pewnością ponad metr osiemdziesiąt, potężny, odziany w szarą, miękką skórę, w większości skrytą pod zgrzebnym płaszczem. Długie, ciemne włosy opadały na ramiona.

Przyłgnął do mnie spojrzeniem. Jego jasnoniebieskie oczy emanowały siłą. Siedział w swobodnej pozie, rozluźniony. Gdyby ktoś nastąpił mu na stopę, pewnie uprzejmie przeprosiłby, że znalazł się na czyjejś drodze. Jednak coś w tym facecie sygnalizowało ogromną moc, zdolność do strasznej przemocy. Wiedział z absolutną pewnością, że jest w stanie zabić każdego w tym pomieszczeniu i

świadomość ta przewyższała potrzebę udowodnienia swoich możliwości.

Płyn w jego szklance był przejrzysty. Woda czy wódka? Woda oznaczała kogoś, kto chciał pozostać trzeźwy i przez to stanowił większe zagrożenie.

Saiman odsunął mi krzesło ustawione tyłem do mężczyzny.

- Gdzie indziej - syknęłam.

Facet nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Proszę?

- Inne krzesło.

Saiman płynnie przemieścił się na drugą stronę, powtarzając gest. Usiadłam. Saiman także zajął miejsce.

Podeszła kelnerka, zasłaniając mi widok. Saiman zamówił koniak.

- A dla damy? - zapytała kobieta.

Saiman już otwierał usta.

- Woda, bez lodu - ubiegłam go.

Saiman zmilczał. Kelnerka odeszła, odsłaniając ciemnowłosego gościa, który tymczasem zmienił odrobinę pozycję, aby lepiej nas widzieć. Spoglądał na mnie, jakby szukał czegoś w mojej twarzy. Przybrałam minę „ochroniarz”, jasno i wyraźnie mówiąc: „Proszę bardzo, możesz sobie patrzeć; tknij go, a zmiążdżę ci krtań”.

- Nie musisz udawać, że jesteś moją ochroną - zapewnił mnie Saiman.

- Nie musisz udawać, że jestem twoją dziewczyną. - Chodziło o zasady. Gdyby ktoś zabił go pod moim nosem, mogłabym spakować swoje zabawki i zająć się hodowlą świń.

- Nic na to nie poradzę, jesteś niesamowita.

- Czy w tym momencie powinnam omdleć?

Mężczyzna wstał, kierując się ku nam. Prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Zaalarmował mnie sposób, w jaki się poruszał, płynnie, jakby nie miał stawów. Szermierz. Doskonały fechtmistrz, biorąc pod uwagę grację przy takim wzroście. Wysoki, gibki, śmiertelnie niebezpieczny.

- Może zabrzmiało to niegrzecznie, ale staranie się o twoje względy jest jak mecz koszykówki z jeżozwierzem. Żaden komplement nie pozostaje bez kary.

- Więc przestań komplementować.

Do foyer wszedł młody rudzielec. Zauważywszy go, szermierz przystanął w pół kroku. Młody człowiek zbliżył się do niego energicznie i powiedział coś cicho, postawą wyrażając do rozmówcy szacunek należny przełożonemu. Szermierz rzucił mi ostatnie spojrzenie i wyszedł.

Saiman zachichotał.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Kelnerka przyniosła napoje, wodę we flicie oraz ciemnobursztynowy napój w masywnej koniakówce z rżniętego kryształu. Saiman podniósł kieliszek za czaszkę, podgrzewając trunk i wciągnął powietrze, wdychając bukiet.

- To naturalne, że wzbudzamy zainteresowanie mężczyzn. Jesteś urzekającą kobietą. Zwracasz uwagę. Fascynujesz. Poza tym moje towarzystwo też ma swoje zalety. Jestem atrakcyjnym, szanowanym człowiekiem sukcesu. O wielkim majątku. Cieszę się tu nienaganną reputacją. Twoja uroda i moja pozycja tworzą intrygującą mieszankę. Przekonasz się jeszcze, jak pociągasz mężczyzn. Moglibyśmy być naprawdę zabójczym duetem...

Wyprostowałam rękę, wsuwając w dłoń szpilkę. Podałam Saimanowi.

- A to co?

- To szpilka.

- I co mam z nią zrobić?

Prosto do celu. Nazbyt łatwo.

- Przekłuj nią sobie głowę. Przesłania mi widok.

Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Wyższy, potężny, z wielką czaszką porośniętą króciutkim językiem, szedł pewnie wyprostowany jak struna. Miał na sobie czarne spodnie, wojskowe buciory i nic poza tym. Wyraziste, czarne tatuaże na mocarnych ramionach wiły się w górę, rozciągając na tors i wyżej, na kark. Masa misternych wzorów. I wszystkie tego samego koloru.

Za nim postępował mężczyzna o włosach tak jasnych, że przypominały barwę cytryny. Przycięte równo z uszami, falowały w nieładzie wokół wąskiej twarzy. Dziwna fryzura, jak na faceta, ale nie wyglądał w niej ani odrobinę kobieco.

- No i proszę. - Saiman rozparł się na krześle.

- Rozpruwacze?

- Tak. Ten w typie dzikusa to Cesare, to jego pseudonim. Ten drugi to Mart.

- A ich prawdziwe imiona? - Jeśli ktoś je znał, to właśnie mój towarzysz.

- Nie mam pojęcia - rzekł Saiman, sącząc koniak. - I to mnie niepokoi.

Rozpruwacze skęcili ku naszemu stolikowi.

- Mam na coś zwracać szczególną uwagę?

- Chcę wiedzieć, czy są ludźmi. Przyjrzałam się badawczo Martowi. Szczupły, niemal chudy, w długim, rozpiętym szarym trenczu. Pod spodem nosił strój, który można było określić mianem kostiumu włamywacza - czarny, ściśle przylegający, zakrywający całe ciało, zaś na nogach miękkie buty. Gdyby nie obcisłość ubrania, nie dostrzegłabym napięcia mięśni, kiedy zbierał się do skoku. Wylądował na blacie naszego stolika.

Fantastyczny zmysł równowagi, nawet się nie zachwiał. Opadł na palce, stół ledwie drgnął.

Patrzył przed siebie, prezentując mi ostro zarysowany profil. Bardzo jasne tęczy z szarą obwódką, zdecydowanie ludzkie. Zwarty układ szkieletu, męski, bez śladu słabości. Wąskie kości, harmonijne, silne mięśnie. Długie kończyny stworzone do skakania. Żadnego dziwnego zapachu. Jak dla mnie człowiek, ale znałam

Saimana długo i nie widziałam, żeby kiedyś się mylił. Coś go zastanawiało, ale co?

Jeśli masz wątpliwości, weź kij, szturchnij ul i zobacz, co wyleci. Klasnęłam.

- Nie wiedziałam, że Arena ma takie cheerleaderki. Możesz to powtórzyć? Tylko tym razem włóż w to więcej życia.

Mart odwrócił się, wbijając we mnie nieruchome spojrzenie. Zupełnie jakbym patrzyła w oczy jastrzębia; bystre, zwiastujące gwałtowną śmierć.

Udałam namysł i strzeliłam palcami.

- Wiem, czego ci brakuje. Pomponów!

Żadnej reakcji. Zdawał sobie sprawę, że go obrażam, ale nie był pewien, w jaki sposób.

Saiman zachichotał.

Mart nie spuszczał ze mnie wzroku. Miał idealną skórę. Zbyt idealną. Żadnych skaleczeń, zadrapań, blizn. Żadnych pieprzyków czy pryszczycy. Jak polerowany na szkło alabaster.

- Co sprowadza pana na nasz stolik? - zapytał Saiman tonem konwersacji. Ani cienia zaniepokojenia. Musiałam przyznać, Saiman miał jaja.

Wytatuowany mężczyzna skrzyżował ręce na piersi. Nieproporcjonalnie długie kończyny nadawały mu tyczkowaty wygląd. Rzeźbione ramiona, twarde mięśnie, ale nie nazbyt rozbudowane. Wbił w Saimana wzrok.

- Przegrasz - rzucił, dobitnie wypowiadając słowa. Mówił niskim głosem ze śladami akcentu, którego nie potrafiłam zidentyfikować.

Powoli wyciągnęłam dłoń w kierunku twarzy Marta. Złapał mnie za rękę. Nawet nie dostrzegłam tego ruchu, po prostu nagle moje palce znalazły się w jego uchwycie. Żelazny uścisk. Błyskawiczna akcja.

Był chyba szybszy ode mnie. To może być interesujące. Nie napinałam mięśni.

- Och, jaki jesteś silny. - Naprawdę był silny. Ale nie osłaniał się. Ciekawe, czy zdołałby zablokować moją rękę, gdybym stuknęła kieliszek i wbiła mu tulipana w gardło. Kusilo mnie, żeby sprawdzić.

- Mart! - Głos Saimana zabrzmiał jak trzaśnięcie z bicia. - Uszkodź mi towar, a będziesz musiał go kupić.

Mart popatrzył na niego. Wyglądało to dziwacznie, bo odwrócił samą głowę jak sowa. Albo kot. Puścił moje palce. Zlekceważył mnie pewnie dlatego, że byłam kobietą ubraną w kolorową sukienkę.

Do foyer weszła ciemnowłosa dziewczyna. Młoda, najwyżej osiemnastoletnia. Rysy umiejscawiały jej pochodzenie w rejonach Delhi. Wielkie, ciemne oczy, pełny owal twarzy, zmysłowe usta, czarna fala włosów sięgających talii. Ubrana była w proste dzinsy oraz bluzę z długim rękawem, ale sposób poruszania się, lekko wydęte wargi, ściągnięte łopatki, postawa eksponująca biust sprawiały, że wyobrażałam ją sobie w sari. Egzotyczna hinduska księżniczka. Mężczyźni śledzili ją wzrokiem. Trzy do jednego, że była to Liwia,

docelowa odbiorczyni liściku Dereka. Przestałam się dziwić, że młody wilkołak oszalał na jej punkcie.

Podeszła do stolika, przystając kilka kroków od nas.

- Asaan - rzekła do Marta, nie podnosząc na niego wzroku. - Pani cię woła.

Wytatuowany odsłonił zęby. Najwyraźniej popsowała mu zabawę w zastraszanie.

Dziewczyna spuściła niżej głowę.

Lada moment Rozpruwacze stąd pójda, a razem z nimi zniknie moja szansa na przekazanie karteczki od Dereka. Co robić?

Dwie kobiety siedzące przy stoliku nieopodal wstały nagle, ruszając ku dyskretnym drzwiom w rogu, za którymi zapewne znajdowała się toaleta.

- Muszę iść do łazienki - oświadczyłam nieco może zbyt głośno. Podniosłam się, patrząc na dziewczynę. - Chodź ze mną, nie chcę iść sama.

Spojrzała, jakbym niespodziewanie zaczęła mówić po chińsku. Głupia dziewczucha.

- Nie pójdę sama - powtórzyłam. - Tam mogą być zboczeńcy.

Wytatuowany ruchem głowy wskazał drzwi w kącie.

- No dobra - westchnęła.

W drodze dobiegł mnie głos wytatuowanego.

- Twoja dziewczyna będzie krzyczała, kiedy umrzesz.

- To groźba? - zaśmiał się Saiman.

- Obietnica.

Weszliśmy do toalety. Odwróciła się do wyjścia natychmiast, gdy tylko ciężkie drzwi zamknęły się za nami.

- Proszę, wszystko w porządku. Idę, chyba że mam cię poprowadzić do kabiny za rękę?

- Jesteś Liwia?

- Tak. - Zamrugła zdziwiona. - Jestem przyjaciółką Dereka.

Jakby otrzymała cios. Zachwiała się.

- Znasz Dereka?

Wyciągnęłam karteczkę.

- To do ciebie.

Wyrwała mi liścik i natychmiast zaczęła go czytać. Jej oczy się rozszerzyły. Zmięła papier, wrzucając go do otworu w blacie, pod którym znajdował się śmietnik.

- Masz jakieś kłopoty?

- Muszę iść. Zostanę ukarana, jeśli będę tu zbyt długo.

- Czekaj. - Chwyciłam ją za ramię. - Pomogę ci. Powiedz, o co chodzi.

- Nic nie możesz zrobić! Jesteś tylko dziwką. - Wywinęła się, rozdzierając przy tym rękaw swojej bluzy, pchnęła drzwi i wypadła.

Bywają chwile, kiedy przydaje się żmudny trening umysłu. Pomaga zachować trzeźwość, kiedy włączysz się kanałami po uda w ściekach, polując na regenerującego się bez końca robaka impala. Powstrzymuje też od wrzasku, kiedy dwoje smarkatych idiotów zamierza popełnić samobójstwo z udziałem Rozpruwaczy, wszelkimi siłami unikając szansy na ocalenie.

Notka. Wyrzuciła ją. Dałam słowo, że nie przeczytam listu przed dostarczeniem, ale skoro Liwia już to zrobiła i wrzuciła do śmieci, karteczka stała się własnością ogółu. Ja byłam Anną Ogół, więc technicznie rzecz biorąc, mogłam do niej zajrzeć.

Dwie kobiety, które widziałam wcześniej, wyszły z kabin, kontynuując wymianę zdań na temat czyichś bicepsów. Minęły mnie, podchodząc do lustra, żeby poprawić i tak perfekcyjne makijaże.

Jeszcze raz przebiegłam w myślach tok mojego rozumowania. Trochę to naciągane, ale machnęłam na obiekcje.

Weszłam na blat i zanurzyłam dłoń w otworze. Palcami natrafiłam na kłęby mokrych ręczników papierowych.

Kobiety patrzyły, jakby nagle na głowie wyrósł mi żyrandol.

Uśmiechnęłam się grzecznie, wyjęłam rękę i zajrzałam do śmietnika. Płytki, szeroki pojemnik pełen papierowych chusteczek. Mogłabym sobie tam grzebać do jutra. Blat był marmurowy, ale szafka pod nim metalowa. W szafce znajdowały się drzwiczki umożliwiające dostęp do kosza. Szarpnęłam za uchwyt. Zamknięte.

Panie uznały, że najlepiej będzie ignorować moją dziwną aktywność i powróciły do swojej dyskusji anatomicznej.

Obejrzałam zamek. Otwieranie zamków nie było moją mocną stroną. Za to rozwalanie ich - owszem.

Cofnęłam się, żeby zrobić sobie miejsce na wymach. Dobrze, że blat umieszczono dość wysoko, trudno bowiem uderzyć nisko z odpowiednią siłą. Zrobiłam krok i kopnęłam w szafkę. Zadudniło. W drzwiczkach powstało wgniecenie, ale zamek trzymał.

Kobiety zamarły.

Kopnęłam ponownie, celując we wgniecenie.

Łup.

Porządne te drzwiczki.

Łup.

Poddały się, spadając z hukiem na posadzkę. Uśmiechnęłam się do przerażonych kobiet.

- Wpadł mi tam pierścionek zaręczynowy. Wiecie, jak to jest. Dziewczyna zrobi wszystko dla diamentów.

Uciekły.

Wyjęłam kosz i zaczęłam go przeszukiwać. Ręcznik papierowy, chusteczka, zużyty tampon... Ble. Kto wrzuca tampony do kosza na papier? O, jest.

Rozprostowałam kartkę. „Dzisiaj przy Czerwonym Dachy o stałej porze”.

Kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Olśniewająco piękna dziewczyna, najwyraźniej własność zabójczej drużyny niełudzi, gladiatorów. Młody wilkołak z nadmiernie rozwiniętym instynktem opiekuńczym. Derek się zakochał - nic innego nie popchnęłoby chłopaka do złamania prawa Currana - i zamierzał ją uratować. I tym samym wskoczyć na zjeżdżalnię, na końcu której czekała go utrata klejnotów rodowych.

Dobra, kiedy to ta „zwykła pora” i który „Czerwony Dach”? Zajazdy „Czerwony Dach” były jedyną siecią hotelarską, która jeszcze funkcjonowała. Każda buda z pomalowanym na czerwono dachem

była natychmiast rozpoznawana jako miejsce, gdzie można wynająć pokój. Problem w tym, że nie miałam pojęcia, gdzie w tym rejonie miasta znajduje się jakiś „Czerwony Dach”.

Rozpruwacze wyglądali mi na typy z lekką manią prześladowczą, co oznaczało, że najprawdopodobniej wyjadą z Atlanty zaraz po walce. Trzymali Liwię krótko, więc dłuższa jej nieobecność szybko zwróci ich uwagę. Derek był idiotą, ale bystrym idiotą. Na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Spotkanie ustalił prawdopodobnie w pobliżu ich trasy powrotnej. W najlepszym razie porozmawiają tylko, a ona będzie mogła wrócić do swoich, nie wzbudzając podejrzeń. W najgorszym postara się o jakiś środek transportu, którym uciekną. Co doprowadzi do tragedii.

Wkopałam kosz pod blat, przystawiłam drzwiczki, poprawiłam sukienkę i wyszłam z łazienki.

Saiman siedział sam. Reakcją na moją długą nieobecność było uniesienie brwi - mina, którą podpatrzył u mnie - to oznaczało, że jest rozdrażniony. Ale nie na tyle, by nie wstać, kiedy podchodziłam do stolika.

- Jeszcze minuta i poprosiłbym kierownictwo o zorganizowanie grupy poszukiwawczej - skomentował.

- Ty jesteś kierownictwem.

- Nie, ja jestem właścicielem. *Touche*.

- Co to za sprawa z tymi Rozpruwaczami?

- Chyba nie pojęłaś natury naszej umowy. - Zaoferował mi ramię. - Twoim zadaniem jest ocena drużyny. Masz obowiązek

informować mnie o swoich spostrzeżeniach i zapewniam cię, że nie mogę się doczekać twojego sprawozdania. Aż drzę z niecierpliwości.

- Drżysz?

- Zaiste. Możemy już iść na salę?

Westchnąwszy, pozwoliłam wyprowadzić się z foyer. Byłam już zmęczona tym napięciem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zeszliśmy na parter, do kolejnego eleganckiego holu z arkadami.

Saiman podszedł do jednego z łuków, pozornie losowo wybranego, i przytrzymał zasłonę, za którą znajdował się niewielki balkon. W półokrągłej loży otoczonej z przodu niewysoką barierką stały cztery wyściełane fotele. Balkon znajdował się blisko areny widowiskowej.

Weszłam do środka. Sala była zbyt wielka, by nazwać ją pomieszczeniem. Prostokątna, przestronna, miała co najmniej sto pięćdziesiąt metrów długości. Wokół rozmieszczono trzy rzędy balkonów, każdy mogący pomieścić sześciu-ośmiu widzów i zaopatrzone w osobne wejście, które, prawdopodobnie jak nasze, prowadziło na obszerny korytarz. Zarządcy próbowali w ten sposób zminimalizować groźbę stratowania w razie popłochu.

Ściany schodziły poniżej parteru. Wokół znajdującej się na poziomie piwnicy niecki nie było miejsc dla widowni. Nagi beton opadał lekko ku środkowi, tworząc pochyły pas okalający piaszczysty ring zabezpieczony dodatkowo gęsto ustawionymi stalowymi słupami, połączonymi sztywną siatką. Kocioł. Balkon, na którym się

znajdowaliśmy, wystawał bardziej niż inne i gdybym się odpowiednio rozpędziła, mogłabym doskoczyć do ogrodzenia.

Trudno było mi oderwać wzrok od piaszczystej łąchy. Odwróciłam głowę.

- Miejsca specjalne?

- Najlepsze. Najbliżej Kotła, a jednocześnie bezpiecznie. - Saiman wskazał w górę. Ponad naszymi głowami, ukryty od zewnątrz pluszową storą, widniał brzeg kraty. - Mogę ją opuścić jednym naciśnięciem dźwigni. Są też oczywiście dodatkowe zabezpieczenia. - Skierował wzrok w dół.

Na lewo od nas, na betonowej posadzce stał E-50, unowocześniona broń maszynowa umieszczona na obrotowej podstawie, obsługiwana przez dwóch czerwonogwardzistów. Nie znałam się zbyt dobrze na broni automatycznej, ale tę kojarzyłam - używały ich Wojskowe Oddziały Obrony przed Nadprzyrodzonymi, kiedy zaistniało zagrożenie ze strony zbiegłych wampirów. E-50 wystrzeliwała pociski średnicy pięćdziesięciu milimetrów na odległość blisko kilometra. W zasięgu sześciuset metrów tworzyła krąg śmierci. Na sto przebijała stalową płytę jak papier. Strzelała z maksymalną prędkością pięciuset pocisków na minutę. Oczywiście po takiej kilkuminutowej ciągłej serii topiła się lufa, ale nie miało to znaczenia, ponieważ jeśli nie zlikwidowało się wampira w ciągu pierwszych sekund, każda broń stawała się nieskuteczna.

Takie samo działko stało po drugiej stronie. Nic, co znalazłoby się pomiędzy nimi, nie miało szans na przeżycie. Niestety, broń ta

działała, o ile działali obsługujący ją ludzie. Jeśli chciałabym wykręcić jakiś numer, najpierw poz byłabym się strzelców.

Na wypadek odpływu techniki kolejne dwie jednostki gwardzistów rozstawiono nieco dalej od działek. Jedno stanowisko zaopatrzone w balistę, drugie w różnego rodzaju niepalną broń dalekiego zasięgu.

- Widzę, że ubezpieczyłeś się na wypadek powtórki wybryku Andorfa.

Jeśli Saiman był zaskoczony moją wiedzą na temat historii turniejów, nie pokazał tego po sobie.

- Owszem, nie zamierzamy pozwolić, by wydarzyło się coś podobnego. Ale zapewniam cię, że wielu zmiennokształtnych nadal bierze udział w zawodach.

- Jakim cudem? Wbrew zakazowi Władcy Bestii?

- Sprowadzamy zawodników spoza Gromady. Walczą, a potem wywozimy ich, zanim minie trzydniowy okres na zgłoszenie.

Wszyscy obcy zmiennokształtni w ciągu trzech dni od przyjazdu mieli obowiązek zwrócić się do władz Gromady o pozwolenie pobytu na jej terenie. Inaczej Gromada sama się do nich zgłaszała, z niezbyt przyjemnym rezultatem.

- Wychodzi chyba dość drogo?

- Opłaca się. - Uśmiechnął się Saiman. - Sama kwota uzyskana ze sprzedaży biletów z nawiązką pokrywa koszty sprowadzenia zawodników. Ale prawdziwe pieniądze pochodzą z zakładów. Na

dobrej walce Izba zarabia do trzech ćwierci miliona. Najwyższy dochód z mistrzostw przekroczył dwa miliony.

Ja, przy całym ryzyku związanym z pracą, wyciągałam najwyżej trzydzieści patyków rocznie.

Zapatrzyłam się w piasek. Budynek rozplynął się w nicość. Ogrodzenie, beton, działka, Saiman, wszystko stopiło się w palącym słońcu, bezlitosnym, oślepiającym blasku. Słyszałam gwar na trybunach, szybkie *staccato* hiszpańskiego, piskliwy kobiecy śmiech, okrzyki bukmacherów przyjmujących zakłady. Czułam obecność ojca, źródło opanowania i równowagi. Uspokajający ciężar ważonego w dłoni miecza. Czułam zapach własnej rozgrzanej słońcem skóry i unoszące się z piasku opary krwi.

- Usiądziemy? - Głos Saimana wyrwał mnie z zadumy. Na szczęście.

Zajęliśmy miejsca. Kurtyna na końcu hali rozsunęła się, ukazując dwa naprzeciwległe wejścia, jedno pomalowane krzykliwą, złotą farbą, drugie w odcieniu wesolutkiej czerni.

Saiman pochylił się ku mnie.

- Zawodnicy wchodzą Złotymi Wrotami, martwi opuszczają arenę Wrotami Północy. Jeśli „zaliczysz złotą bramkę”, znaczy, że zwyciężyłaś.

Długi, głęboki gong przetoczył się przez halę, uciszając widownię. Złotymi Wrotami weszła drobna kobieta w srebrzystej sukni.

- Witajcie! Witajcie w przybytku walki, gdzie życie i śmierć tańczą na krawędzi ostrza. - Jej głos, niski, jak na kobietę, niósł się po całej hali. - Rozpoczynamy Rozgrywki.

- To Sophia, animatorka.

Kobieta zniknęła w Żółtych Wrotach.

Z góry zjechała uczepona na łańcuchach tablica wyników, zatrzymując się nad Wrotami Północy. Wisiała na niej oprawiona w drewniane ramki papierowa plansza z pięknie wykaligrafowanymi nazwiskami: RODRIGUEZ vs. CALLISTO, oraz liczbami: - 175+200. Rodriguez był faworytem. Stawiając na niego, należało wydać sto siedemdziesiąt pięć dolarów, żeby wygrać dodatkowe sto. W wypadku wygranej Callisto wydane sto dolarów oznaczało zwrot stawki i dodatkowe dwieście zysku.

- Ludzie. Średnio ciekawe. - Saiman machnął ręką. - Co z tymi Rozpruwaczami? Chciałbym usłyszeć twoje zdanie.

- Obaj, Cesare i Mart, są gladiatorami, tak?

Saiman przytaknął.

- Widziałeś kiedyś, żeby krwawili?

- Cesare podczas walki z panterołakiem został kilkakrotnie zadrapany w klatkę i plecy. Mart jak dotąd nie został zraniony.

- Zauważyłeś, jaką ma idealną skórę?

Saiman zmarszczył czoło.

- Jest równomiernie wybarwiona, owszem, ale nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Nic dziwnego. Ktoś, kto traktuje skórę jak glinę, którą można urabiać i kształtować, nie dostrzeże znaczenia faktu posiadania perfekcyjnej cery. „Pryszcz” nie występował w słowniku Saimana.

- Normalni ludzie mają różnego rodzaju niedoskonałości. Blizny, dzioby, pryszcze, rozszerzone pory, siniaki. Mart nie. Jego skóra jest jednolita i nienaturalnie perfekcyjna.

- Może posiada zdolności regeneracyjne?

- Nawet zmiennokształtni mają blizny. Ich złamania leczą się szybciej, ale i tak musi to potrwać. Na skórze zapisana jest historia ludzkiego życia, Saiman. Na przykład blizny z czasów, kiedy dopiero uczyli się walczyć. Ale on nie. Jak dawno go poznałeś?

- Jakies dwa miesiące temu.

- Zatem był w Georgii późnym latem. Zauważyłeś, żeby miał oparzenia słoneczne?

- Nie.

- Człowiekowi z taką karnacją po półgodzinie na słońcu Atlanty zaczyna obłazić skóra. Czemu jest bielszy od kwitnącego derenia? I czy widziałeś go z inną fryzurą?

Niemal słyszałam trybiki obracające się w mózgu Saimana.

- Nie - przyznał wreszcie.

- Zawsze ta sama długość włosów?

- Tak.

Kiwnęłam głową.

- Dobrze, teraz Cesare. Wytatuowany od stóp do głów?

- Tak.

- Zauważyłeś, że tusz wygląda na bardzo świeży? Po pierwsze, tatuaż wykonuje się etapami. Skomplikowane wzory wymagają dłuższej pracy. Sam proces dla wielu jest swoistym rytuałem, tak samo ważnym jak efekt. Tusz z czasem płowieje, na słońcu szybciej. Jego tatuaże, przynajmniej te, które widziałam, są dokładnie w tym samym odcieniu czerni. Tak, jakby nigdy nie wychodził na zewnątrz.

- Może zaplanował całość wcześniej i używa filtra słonecznego?

- Wątpię, by dało się, ot tak, wejść do salonu tatuażu z projektem plemiennych wzorów rozrysowanych na całe ciało. Zresztą sam mówiłeś, że krwawił. Rany zdeformowałyby rysunek, szczególnie przy tak misternych liniach jak u niego. Byłyby gdzieś przerwane, nadszarpnięte, rozlane. Nic takiego nie dostrzegłam.

Harmonijne rysy Saimana ściągnęły się w wyrazie zatroskania.

Kiedy krew, wydzielina lub tkanka traciła łączność z ciałem, jej właściciel nie mógł ukryć już swojej magii. M-skaner wychwytywał każdy jej ślad i przetwarzał na kolorowe wykresy, fioletowe dla wampirów, zielone dla zmiennokształtnych, niebieskie lub szarawe dla ludzi. Żaden problem wziąć próbkę krwi i przebadać ją m-skanerem. Kolor inny niż niebieski czy srebrny oznaczał nieczłowieka. M-skanera nie dało się oszukać.

- Skanowałeś ich?

- Kilkakrotnie. Obaj niebiescy. Stuprocentowi ludzie.

Dziwne.

- Piekielnie trudno obalić wyniki m-skanowania. Ale fakt pozostaje faktem, masz tu dwie chińskie laleczki, jedną niemal białą,

drugą pomalowaną w czarne zawijaski. W dodatku nie darzą cię sympatią. Na twoim miejscu zatrudniłabym osobistą ochronę. I uprzedziła, że może mieć do czynienia z wyjątkowymi napastnikami.

Do Kotła weszło dwoje ludzi. Rodriguez, mężczyzna po czterdziestce, niski, żylasty, uzbrojony był w krótkie, zakrzywione kukri. Dociążone na końcu zatapiały się w ciele niemal same. Callisto przerastała Rodrigueza prawie o głowę i górowała nad nim masą o jakieś piętnaście kilogramów. Miała oliwkową karnację i nieproporcjonalnie długie kończyny. Walczyła toporem. Nosiła także srebrny łańcuch okręcony wokół prawego przedramienia.

Zabrział gong. Callisto zamachnęła się toporem. Gdyby trafiła, ostrze rozplątałoby przeciwnika, ale Rodriguez uchylił się zwinnie niczym kot. Callisto zaatakowała ponownie. Wyprowadzając cios, odłoniła lewą stronę. Rodriguez nie wykorzystał szansy, robiąc znowu unik. Tłum zawył.

Oparłam się o barierkę, śledząc poczynania Rodrigueza. Posiadał umiejętności i doświadczenie w walce, ale twarz Callisto wykrzywił niebezpieczny grymas okrucieństwa.

- Kto zwycięży, Rodriguez czy Callisto? - zapytał Saiman.

- Callisto.

- Dlaczego?

- Przeczucie. Jest bardziej zdeterminowana.

Rodriguez wykonał pchnięcie, raniąc przeciwniczkę w udo. Na jej nodze wykwitła szkarłatna strużka. Poczulałam zapach krwi.

Callisto szarpnęła ręką. Łańcuch zatoczył łuk, z niesamowitą precyzją owijając się wokół szyi Rodrigueza. Końcówka zawisała ponad ramieniem gladiatora i dostrzegłam przytwierdzoną do niej trójkątną główkę. Metalowe szczęki rozwarły się, kłapiąc groźnie. Callisto szarpnęła za łańcuch. Ogniwa zlały się w podłużne ciało stalowego węża, który zacisnął zwoje.

Rodriguez ciął go w rozpaczliwym wysiłku, ale ostrze ześlizgnęło się po metalu. Walka dobiegła końca. Tłum ryknął z ukontentowaniem.

Rodriguez posiniał i padł na kolana. Broń wysunęła się z bezwładnej dłoni, upadając w piasek. Rozpaczliwie, targał miazdzące mu gardło sploty.

Callisto patrzyła na przeciwnika. Mogła dobić go toporem, ale po prostu stała, obserwując, jak się dusi.

Trwało to ponad cztery minuty. W końcu, kiedy nogi Rodrigueza przestały drgać, Callisto odwinęła łańcuch, który znów przekształcił się w zwykły sznur ogniw. Uniosła go do góry, potrząsając. Widzowie szaleli.

Rozluźniłam zaciśnięte pięści. Jedyne siłą woli powstrzymywałam się przed skokiem do Kotła, aby ściągnąć Rodriguezowi tę rzecz z szyi.

Nie sądziłam, że Saiman może mnie jeszcze czymś nieprzyjemnie zaskoczyć. Myliłam się.

Z Północnych Wrót wyłoniło się czterech mężczyzn w szarych uniformach. Załadowali ciało na nosze i wynieśli tą samą drogą.

Saiman rozparł się wygodnie.

- Jak mówiłem, nudne.

- Raczej przerażające.

- Dlaczego? Sama zabijasz, Kate, widziałem. Przyznam, że robisz to oczywiście bardziej umiejętnie.

- Zabijam, kiedy muszę. W obronie własnej lub innych. Nie odebrałabym życia, żeby zaspokoić mordercze instynkty tłuszczy. A tym bardziej nie torturowałabym nikogo dla czyjejś rozrywki.

Saiman wzruszył ramionami.

- Zabijasz, żeby przeżyć i żeby uspokoić błędnie pojęte sumienie. Ci tutaj zabijają dla pieniędzy oraz satysfakcji, że są lepsi od leżących u ich stóp zwłok. Istota naszych motywów pozostaje ta sama, Kate, to wyrachowanie. Altruizm jest mrzonką utkaną przez słabe umysły, chcące wykorzystać cudzą siłę i umiejętności. Niczym więcej.

- Jesteś jak bóg z greckiej mitologii, Saiman. Nie ma w tobie krzty empatii. Przerośnięte ego przesłania ci cały świat. Uważasz, że samo pragnienie czegoś daje ci prawo do sięgnięcia po to, bez względu na szkody, jakie możesz przy okazji wyrządzić. Na twoim miejscu miałabym się na baczności. Przyjaciele i obiekty boskiego pożądania padają jak muchy. Bóg kończy zwykle żaloszny i samotny.

Saiman obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem i zamilkł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Walki toczyły się jedna po drugiej, częściej niż to konieczne kończąc się śmiercią jednego z zawodników. Zbyt wiele krwi, zbyt wiele rzezi, zbyt wiele popisów. Zbyt wiele entuzjazmu amatorów gaszonego chłodnym doświadczeniem. Od czasu do czasu Saiman pytał mnie o przewidywany wynik starcia. Odpowiadałam, nie rozwodząc się nad tematem. Marzyłam o powrocie do domu.

Gong zadźwięczał ponownie. Na opuszczonej tablicy widniały dwa imiona: ARSEN VS. MART - 1200+900. Arsen był zdecydowanym faworytem.

- Chciałbym zaoferować ci posadę - odezwał się Saiman.

Uczucie odrazy nie pozwoliło mi wykrzesać niedowierzania.

- Nie.

- Nie jest to oferta natury erotycznej.

- Nie.

- W sześciu walkach prawidłowo wytypowałaś zwycięzcę.

Chciałbym zatrudnić cię jako konsultanta.

Członkowie Izby przed turniejem oceniają szanse walczących, chcąc przewidzieć zyski, jakie przyniesie dany pojedynek...

- Nie.

Na piasek wstąpił Mart. Bez płaszcza, w samym tylko obcisłym, czarnym trykocie. Poruszał się cicho, ciemny, zwinny cień, w którym jedyną jasną plamę stanowiły włosy. Niósł dwa ostrza niczym dwa promienie przekute w stal. Daisho. Klasyczna katana oraz krótki wakizashi.

- Trzy kawałki od turnieju.

Spojrzałam na Saimana.

- Nie.

Przez Arenę przetoczył się głęboki ryk. Z początku niski, przeciągły, nieludzki, przeszedł w grzmot zakończony kakofonią prychnięć oraz krótkich, ostrych krzyków. Tłum zamarł. Moja ręka powędrowała ponad ramię, ale nie natrafiła na rękojeść Zabójcy.

- Co to było?

Twarz Saimana rozjaśniła się chełpliwą uciechą.

- To Arsen.

Z trzewi Złotych Wrót wyłonił się ogromny kształt. Kroczył ciężko, powoli, pozostając na granicy kręgu światła. Cienie definiowały szerokie bary, atletyczną klatkę, zamazując bryłę wielkiego hełmu.

Czerwonogwardzista otwierający zawodnikom wejście na ring wyglądał, jakby miał ochotę umknąć, gdzie pieprz rośnie.

Arsen ryknął znowu, wystrzelił w światło i pędem wbiegł do Kotła. Gwardzista zatrzasnął za nim bramkę i uciekł.

Arsen wpadł na łachę i zatrzymał się na środku, wzbijając tumany piachu. Z jego gardła wydobył się kolejny ryk. Oniemiała widownia patrzyła wstrząśnięta na ring.

Miał grubo ponad dwa metry wzrostu i twarde, potężne mięśnie, które zdawały się rozrywać czarną skórę. Krótkie futro porastające gęsto tors tworzyło na brzuchu węższą linię, która rozszerzała się niżej, nie do końca skrywając ogromne przyrodzenie. Wstęgi włosów biegnące wzdłuż tyłu nóg oraz ramion schodziły się na masywnym karku, spływając długą grzywą. Z wielkiej czaszki wyrastały dwa jasne rogi. Jego twarz nosiła znamiona ludzkie i bycze - okolice nosa i ust należały do byka, ale błyszczące pod krzaczastymi brwiami oczy były ludzkie. Ze szczęki zwisała zapleciona w warkoczyki broda. Nogi kończyły się kopytami. Jedną dłonią, zakończoną dwoma grubymi palcami i kciukiem, zdołałby objąć całą moją głowę. Drzewce włóczni, którą trzymał w lewej ręce, musiało mieć z pięć centymetrów grubości.

Po chwili przypomniałam sobie o zamknięciu ust.

- Bykołak?

- Nie. Coś bardziej egzotycznego - rzekł Saiman. - Urodził się taki i nie potrafi przyjąć formy ludzkiej. To minotaur.

Arsen potrząsnął łbem i grzebnął kopytem, wyrzucając w górę fontanny piachu. W lewym uchu błysnęły złote kółka kolczyków. Był czystą siłą, energią i furią przyobleczonego w ciało, które tylko czekały, żeby się wyrwać.

Mart nie poruszył się. Stał z mieczami skierowanymi ku ziemi.

- Arsen jest moim zawodnikiem. - Głos Saimana pobrzmiwał dumą.

- Gdzie go znalazłeś?

- W Grecji, a gdzie indziej?

- Sprowadziłeś go z Grecji? - Łodzią. Przez ocean kipiący od burz i węży morskich. Musiało go to kosztować fortunę.

Saiman skinął głową.

- Było warto. Nie stać mnie na byle co. Poświęciłbym okrągłą sumkę, żeby upokorzyć Rozpruwaczy. W porównaniu z tym to marne grosze.

Arsen zaryczał i, nie spuszczać wzroku z Marta, zniżył głowę.

Mart stał nadal nieruchomy i cichy.

Z nozdrzy minotaura buchnęła para. Arsen przygarbił się i zaatakował. Ruszył z miejsca pędem, niczym nacierający tryk.

Mart nie drgnął nawet, żeby zrobić unik.

Dziesięć metrów. Siedem. Trzy.

Mart skoczył do góry nieprawdopodobnie wysoko, jak kawałek jedwabiu, który nagle unosi się, znikając z pola widzenia. Poszybował w powietrzu, opadając na kark przeciwnika. Przez chwilę dosłownie jechał na minotaurze, utrzymując równowagę z dziecinną łatwością, po czym zeskoczył lekko na piasek. Arsen zawrócił błyskawicznie, wyprowadzając klasyczne pchnięcie włócznią. Mart zanurkował pod grotem, odbijając drzewce krótszym ostrzem. Jego katana mignęła, rozcinając prawe udo przeciwnika. Niemal w tej samej chwili błysnęła ponownie, raniąc lewe, a Mart już odskakiwał z zasięgu minotaura.

Wszystko trwało mgnienie oka.

- Już po nim.

- Co? - oburzył się Saiman.

- Twój Arsen jest trupem. Obie tętnice udowe przecięte.

Z nóg minotaura siknęły strugi krwi. Mart odwrócił się w stronę naszej łoży i skłonił teatralnie, rozkładając ramiona, w których trzymał zakrwawione miecze.

Wściekłość zmieniła rysy Saimana w nierozpoznawalną maskę.

Mart skierował się ku Złotym Wrotom.

Arsen wydał słaby jęk. Szkarłatne fontanny tryskały w rytm uderzeń serca. Nogi ugięły się pod nim, uderzył kolanami o piach. Zadrżał, przechylił się i padł na twarz.

Tłum eksplodował wiwatami. Saiman zerwał się na równe nogi, wybiegając z łoży. Odczekałam chwilę, żeby się na niego nie natknąć, po czym sama wypadłam na korytarz, jakby włosy stały mi w płomieniach. Domyślałam się, że impreza dobiegła końca. Czas poszukać „Czerwonego Dachy”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nawet najlepszy plan ma słabe strony. Mój posiadał dwie. Po pierwsze, nie miałam bladego pojęcia, gdzie szukać zajazdu. Po drugie, nie dysponowałam żadnym transportem. Jeden problem rozwiązałam szybko, łapiąc pierwszego lepszego gwardzistę i zadając odpowiednie pytania. Jedyna w tym rejonie filia „Czerwonego Dachy” znajdowała się na zachód, przy południowo-zachodniej linii geomantycznej, dwadzieścia minut konno lub ponad godzinę piechotą. Trzy kwadransy biegiem. Dochodziła druga w nocy, a podczas panowania magii szanse na znalezienie konia, równały się zeru. Nikt rozsądny na tyle, by mieć ze sobą konia nie włączył się o tej porze, a nawet jeśli, broniłby się, raczej kiepsko przyjmując perspektywę utraty wierzchowca. Żałowałam, że nie wzięłam butów do biegania.

Zanurzyłam się w noc. Magia odarła wejście Areny z jaskrawej iluminacji. Ujawniła za to wtopione w ściany runy i tajemne symbole, które jarzyły się czerwienią i żółcią, układając w zawile wzory solidnej osłony. Diabelnie mocnej osłony - cały budynek otaczał jaśniejący kokon magii ochronnej, utkany gęściej niż zabezpieczenia skarbcza bankowego.

Odetchnęłam głęboko, wraz z powietrzem wydychając niepokój. Czulałam za sobą mroczną, przytłaczającą obecność Areny. Chciwość i żądza krwi tworzyły opar oblepiający każdego, kto tam wchodził.

Kamienny budynek pełen ludzi w strojach wieczorowych czy też piaszczysty plac otoczony drewnianymi trybunami, miejsce nie miało znaczenia. Nigdy nie zapomniałam walki na piasku, nie zdawałam sobie tylko sprawy, że moje wspomnienia unoszą się tak blisko powierzchni.

W ziarna piasku wmieszanych było wiele moich pierwszych razy. Pierwszy raz walczyłam sama, bez gwarancji, że ojciec mi pomoże. Pierwszy raz zabiłam kobietę. Pierwszy raz zabiłam przy ludziach i pierwszy raz zostałam za to nagrodzona przez żądny krwi tłum.

Mój ojciec uznał, że takie doświadczenie jest mi niezbędne, więc się nie sprzeciwiałam. Próba ta musiała jednak pozostawić we mnie niezatarty ślad, bowiem na sam widok piasku swędziała mnie skóra, jakby przyłgnęły do niej drażniące drobinki. Strzepnęłam iluzoryczny pył, odrzucając wraz z nim wspomnienia. Miałam ochotę wziąć jak najszybciej prysznic. Derek pewnie już czatował w umówionym miejscu, oczekując na Liwię. Był rozważnym wilkiem. Dotarł do „Czerwonego Dachy” na pewno kilka godzin przed czasem. Ja też musiałam się tam dostać. Ale najpierw najważniejsze - odzyskać Zabójcę. Skierowałam się do samochodu Saimana.

- Kate?

Kątem oka dostrzegłam wychodzącego z budynku Saimana.
Cholera.

- Kate! Przystanęłam.
- Rozgrywki skończone. Jesteśmy kwita. Zrównał się ze mną.
- Wybacz moje gwałtowne wyjście...
- Nie potrzebuję twoich przeprosin. Chcę mój miecz.

Wypełniłam swoją część umowy, teraz muszę iść.

Już otwierał usta, ale musiał ujrzeć w mojej twarzy coś, co kazało mu zmilczeć. Kiwnął tylko głową.

- Dobrze. Podeszliśmy do wozu.
- Jak zamierzałaś wydostać go bez mojej pomocy?
- Rozbijając szybę. - Przekroczyliśmy białą linię.
- Chciałaś zniszczyć mój samochód?
- Uhm.
- Zdajesz sobie sprawę, że jest dobrze zabezpieczony?

Poczułam na sobie czyjś wzrok. Wrażenie było tak silne, jakby trafiła mnie cegła w plecy. Obejrzałam się przez ramię. Tuż za linią, za którą wyszliśmy dosłownie przed chwilą, stał wytatuowany Rozpruwacz. Podświetlona reflektorem sylwetka z twarzą ukrytą w cieniu.

- Mamy towarzystwo.

Saiman dostrzegł Cesare'a.

- Zabawne. Nie przypuszczałem, że dałem im podstawy sądzić, jakobym był podatny na dziecinne metody zastraszania.

- Odnoszę wrażenie, że mają duże gorsze zamiary - rzuciłam, przyspieszając kroku. Opływowa czarna bryła Saimanowego samochodu znajdowała się kilkanaście metrów dalej.

Ktoś przeskoczył rząd wozów i wylądował w kucki, zagradzając nam drogę. Mężczyzna o długich, czarnych włosach. Spojrzał na nas. Oczy jarzyły mu się jak dwa węgielki. Z otwartych ust wysunął się rozdwojony język. Uniesione wargi odsłoniły rzędy zakrzywionych kłów.

No jasne.

Kątem oka zauważyłam, że Cesare stoi poza linią, nieporuszony.

Mężczyzna z węzowym językiem podczołgał się, znacząc chodnik śliną kapiącą z kłów. Wokół rozniósł się silny zapach jaśminu. Uperfumowana ślina potwora. Do czego to doszło?

Saiman zbladł, ujmując mocniej laskę.

Rozjarzone oczy śledziły każdy jego ruch. Napastnik podniósł ręce, ukazując dwa wąskie, zakrzywione sztylety podobne do zębów jadowych węża.

Ja w ogóle się w tym wszystkim nie liczyłam. Świetnie.

Saiman przekręcił gałkę laski. Pomiedzy uchwytem a drzewcem błysnął metal. Laska skrywała sztylet, a on zamierzał go heroicznie użyć.

Napastnik wydał dziwny, głuchy dźwięk, od którego zjeżyły mi się włoski na karku. Sprężył się i skoczył. Jednym niesamowitym, niewiarygodnym susem pokonał dzielącą nas kilkunastometrową

odległość. Saiman cofnął się, wyszarpnął sztylet i ustawił w pozycji do ataku.

Pierwsza zasada ochroniarza: usuń podopiecznego z drogi napastnika.

Podciąłam Saimanowi nogę, jednocześnie mocno uderzając w pierś. Tak się skupiał na perspektywie zadania ciosu, że przyjęta pozycja uniemożliwiła mu zachowanie równowagi. Runął na ziemię jak kłoda. Wyrwałam Saimanowi z ręki drewnianą pochwę sztyletu i skierowałam w górę.

Pseudolaska ugodziła lądującego człekowęża pod mostek. Stęknął z bólu i zaskoczenia. Obróciłam się, grzmocąc go drzewcem w skroń.

Drewno pękło wzdłuż. Taki cios ogłuszyłby normalnego człowieka. Napastnik powinien teraz leżeć przede mną bez ducha.

Człekowąż zachwiał się tylko lekko, potrząsnął głową i zaatakował sztyletem. Zrobiłam unik, jednocześnie odciągając go od Saimana w stronę samochodu.

Promień reflektora przesunął się po nas, zatrzymał na sekundę, po czym ruszył znowu. Strażnicy musieli nas zauważyć.

Napastnik młócił sztyletami energicznie, lecz niecelnie. Nadal ciężko dyszał. Kiedy otrząśnie się po ciosie, będziemy w dupie. Samochód był tuż-tuż. Krok. I jeszcze jeden. Saiman dźwignął się na nogi.

- Trzymaj się od tego z daleka! - rzuciłam.

Człekowąż zerknął przez ramię, jednocześnie tnąc prawą ręką dla zmyłki. Chwyciłam go za przegub, przyciągnęłam i wraziłam odłamek laski pod żebra, w nerki. Zaskrzeczał z bólu. Przerzuciłam go przez biodro wprost na samochód Saimana.

Grzmotnął o drzwi pasażera. Zakłęcie zabezpieczające ugięło się z jasnożółtym rozbłyskiem i pochwyciło ofiarę. Sypnęły się pomarańczowe iskry. Przyklejony do tarczy ochronnej człekowąż wił się i szarpał. Spazmatyczne ruchy przypominały obsceniczny taniec. Z jego piersi uniósł się smród palonego ciała. Napiął mięśnie ramion, zapierając się o karoserię dłońmi, w których nadal ścisnął sztylety. Próbował się uwolnić. Same zabezpieczenia mogły nie wystarczyć. Uparcie bronił się przed śmiercią.

Wyszarpnęłam patyczki z włosów, chwytając je mocno w garść.

Z odgłosem rozdieranego papieru nadwreżone zabezpieczenia puściły. Człekowąż wyrwał się, natychmiast atakując. Kopnęłam go w kolano. To był porządny, silny cios. Kiedy upadł, złapałam za włosy i wbiłam mu pałeczkę w lewe oko. I jeszcze jedną, i jeszcze, i jeszcze. Cztery. Wrzasnął. Wzmocniłam uchwyt, wrażając patyczki w oczodół najgłębiej, jak się dało. Sztylety wypadły przeciwnikowi z rąk. Podniosłam jeden i poderżnęłam mu gardło. Ostry jak brzytwa nóż prawie odciął głowę. Fontanna krwi zbryzgała mnie czerwonym deszczem. Okręciłam się, szukając wzrokiem Cesare'a, ale Rozpruwacz zniknął.

Ciało mężczyzny z węzowym językiem leżało bezwładne w kałuży krwi. Spojrzałam na Saimana, unosząc zakrwawiony palec.

- Zdecydowanie nie człowiek.

Saiman wykrzywił twarz z wściekłości.

- To zniewaga! Jestem właścicielem siódmej części Areny!

Zabezpieczenia samochodu zostały złamane.

- Mógłbyś otworzyć?

Drżącymi rękoma wydobył pilota i wdusił guzik. Bez rezultatu.

- Przyływ magii - przypomniałam.

Zaklął, wyciągnął kluczyki i otworzył drzwiczki. Zgarnęłam Zabójcę i od razu poczułam się raźniej. Saiman przeczesał palcami czuprynę.

- Musisz ze mną wrócić do Areny.

- Zapomnij. Mam ważne spotkanie.

- Jesteś świadkiem!

Staralam się mówić powoli i wyraźnie.

- Muszę teraz gdzieś iść.

- Jesteśmy na pustkowiu. Nie masz samochodu.

- Mam nogi.

- Jeśli pójdziesz ze mną i opowiesz, co się stało, to cię odwiozę.

Potrząsnęłam głową. Za długo to potrwa.

- Załatwię ci konia!

Przystanęłam w pół kroku. Koń trzykrotnie skróci czas dotarcia na miejsce. Odwróciłam się.

- Szybkie zeznanie, Saiman. Bardzo szybkie. Potem dasz mi konia i odejdę.

- Dobrze!

- Mówiłaś chyba, że te patyki we włosach to nie ostrza? - zagadnął mnie w drodze do budynku.

- Bo nie. To szpikulce. Oddychaj głęboko, Saiman. Ręce ci się trzęsą.

* * *

Oczy Rene były przejrzyste i zimne jak kryształowa głębia górskiego jeziora. Saimanowe wybuchy oburzenia nie naruszały jej lodowatego spokoju.

- Ile może trwać przyniesienie jednego trupa?!

- Ciało będzie tu lada moment.

Oparłam się o biurko. Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu ochrony. Cenne sekundy uciekały. Nic nie mogłam na to poradzić. Rene wykonywała swoją pracę, a ja musiałam jej na to pozwolić. Zerknęła na mnie.

- Wycięłaś serce?

- Nie było takiej potrzeby. Zrobiłam mu siekanę z mózgu i odcięłam głowę. Nie spotkałam istoty zdolnej zregenerować głowę.

- Ja też - przyznała Rene.

Saiman podniósł kubek, spojrzął z niechęcią i cisnął o ścianę. Naczynie roztrzaskało się na kawałeczki. Popatrzyłyśmy na niego.

- Twój kawaler zachowuje się nieco histerycznie - skomentowała Rene.

- Myślisz, że laniem wbiłabym w niego trochę męskości?

Saiman zaniemówił. Muszę oddać Rene sprawiedliwość - nie roześmiała się. Choć miała na to wielką ochotę.

Oddziałik gwardzistów wniósł na noszach ciało człekowęża. Za nimi weszło jeszcze dwóch strażników i jeden cywil, starszy mężczyzna. Mężczyzna podał Rene wielką księgę oprawioną w skórę i powiedział coś szeptem. Odpowiedziała krótkim skinieniem.

- Zależy nam na bezpieczeństwie naszych gości, a tym bardziej członków Izby. Jednakże... - Podniosła rękę, odginając palce. - Po pierwsze, zdarzenie miało miejsce poza terenem naszej jurysdykcji. Rejon, za który odpowiadamy, ogranicza biała linia. Po drugie, ta istota nie została zarejestrowana na liście członków drużyny Rozpruwaczy ani ich personelu pomocniczego. Nikt go nie zna. Fakt, że członek zespołu Rozpruwaczy był świadkiem wydarzenia nie oznacza, że drużyna ma coś wspólnego z tym atakiem. Nie miał on obowiązku wam pomagać, może zwyczajnie przyglądał się walce. Po trzecie, prawie cały zespół Rozpruwaczy oprócz Marta i dwóch pomocników opuścił teren Areny już na początku pierwszej rundy, czyli około trzech godzin temu...

Przebiegł mnie zimny dreszcz.

- Zawsze tak robią?

Rene przerwała.

- Zawsze tak robią? - powtórzyłam.

- Nie - odparła z namysłem. - Zwykle zostają, żeby przyglądać się walkom.

Derek nigdy nie robił niczego bez odpowiednich przygotowań. Na pewno przybył na miejsce spotkania ze sporym wyprzedzeniem. Rozpruwacze mieli trzy godziny, podczas których wiele mogło się

wydarzyć, a tymczasem ja bawiłam się w świadka dla uciechy Saimana.

Odwróciłam się do niego gwałtownie.

- Potrzebuję konia, natychmiast.

Saiman zawahał się.

- Koń! Inaczej przysięgam, dokończę to, co ten tutaj zaczął.

* * *

Sylwetka „Czerwonego Dachy” majaczyła na przeciwległym obrzeżu zniszczonego placu, otoczona z dwóch stron stertami gruzu niegdyś będącego budynkami. Dwukondygnacyjna budowla, której górne piętro zapadło się z jednej strony pod ciężarem karminowego dachu, przypominała zgarbionego staruszka w czerwonej czapce.

Zatrzymałam się na skraju placu. Bułany wałach parsknął, robiąc bokami po galopie przez opustoszałe ulice miasta.

Spękany asfalt znaczyły krwawe smugi. W srebrnej poświacie lśniły jak tłuste, czarne plamy smoły.

Zeskoczyłam z konia i wkroczyłam na plac. Fala magii opadła po drodze, a podczas przyływu techniki nie byłam w stanie wyczuć pozostałości magii, śladu zaklęcia czy świadectw czarów. Miałam przed sobą tylko zapyłony asfalt i krew. Dużo krwi. Była wszędzie, długie, porozlewane pasma i wachlarzowate rozbryzgi.

Podeszłam do jednej z kałuż i zanurzyłam w niej palce. Ostygła. To, co się tu wydarzyło, miało miejsce już jakiś czas temu.

Poczułam, jakby lodowata dłoń zacisnęła się na moim sercu. Strach zaparł mi dech w piersiach, wyssał całe powietrze wokół. Mogłam przeczytać liścik wcześniej...

Wzięłam dławiącą mnie kulę poczucia winy oraz lęku i wepchnęłam głęboko w zakamarki umysłu. Zadanie, które mnie czekało, wymagało jasnego myślenia. Z bólem postanowiłam zmierzyć się później, w tej chwili musiałam skupić się na miejscu wydarzeń i przeanalizować to, czego się dowiem.

Plac na pewno był sceną przemocy, ale nie wyglądał, jakby toczyła się tu walka z wilkołakiem. Zmiennokształtni mogli przyjąć dwie postaci - człowieka oraz zwierzęcia. Wyjątkowo utalentowani potrafili także przybrać formę bojową, pośrednią pomiędzy ludzką a zwierzęcą - wielkiego humanoida uzbrojonego w pazury oraz kły bestii. Większość miała problemy z jej utrzymaniem, niewielu zachowywało w niej zdolność mowy, ale mimo utrudnień w takim wcieleniu wilkołak jest najskuteczniejszy w walce. Derek był jednym z najlepszych. Przemieniłby się natychmiast po rozpoczęciu starcia.

Gdyby to on walczył na placu, na asfalcie widniałyby ślady pazurów. Tu i ówdzie leżałyby kłęby wilczej sierści. Kawalki ciała - zwykle darł przeciwników na strzępy. Nic takiego nie znalazłam. Może nie brał udziału w jatce? Może przyszedł i się wycofał? Wepchnęłam nadzieję w ten sam kąt, gdzie wcześniej umieściłam poczucie winy. Później.

Nieco dalej dostrzegłam jasne, lśniące krople jakiejś substancji. Podeszłam bliżej, ostrożnie omijając smugi krwi, i uklękłam. Iskra

tlącej się we mnie nadziei zgasła. Wszędzie rozpoznałabym ten kolor. Były to krople stopionego srebra, które zastygło w chłodzie nocy. Zdrapałam kilka i włożyłam do kieszeni. Bez użycia magii nie dało się roztopić srebra na środku ulicy, więc albo Rozpruwacze mieli ze sobą kogoś, kto potrafi się nią posługiwać, albo...

Odwróciłam się, słysząc ostre warknięcie. Na skraju placu stały dwa wilki. Ich ślepia jarzyły się jasnożółtym blaskiem niczym dwie pary ognistych księżyców. George i Brenna.

George marszczył nos, odsłaniając czarne dziąsła i śnieżnobiałe kły. Stał na szeroko rozstawionych łapach i warczał.

Wstałam z klęczek bardzo powoli, unosząc ręce.

- Nie mam złych zamiarów.

Brenna kłapnęła zębami, pryskając śliną. Zjeżone futro przypominało nabity kolcami płaszcz.

- Nie brałam udziału w tej jatce. Znacnie mnie, jestem Przyjacielem Gromady. Zabierzcie mnie do Jima. - Póki nie dotknęłam Zabójcy, miałam szansę rozwiązać tę sytuację pokojowo. Gdyby skoczyli na mnie trzymającą miecz, mogłabym ich zranić. Zostałam wyszkolona do zabijania, byłam w tym dobra, a wyrzut adrenaliny podczas walki z dwoma prawie stukilogramowymi potworami mógł sprawić, że zrobiłabym coś, czego żałowałabym do końca życia.

Moje słowa utonęły w głuchym warkocie. Dwa wilki sprężyły się do skoku, rozsiewając wokół aurę żądzy krwi niczym zabójcze

perfumy. Ręka, którą posługiwałam się mieczem, zaczęła mnie swędzieć.

- Nie róbcie tego. Nie chcę was skrzywdzić.

Wysoki skowyt zagłuszył warkot. Noc rozstąpiła się, ukazując smukły kształt przeskakujący wilki. Pędziła na mnie wysoka, kudłata istota - zmiennokształtny w formie bojowej. Szybował ponad asfaltem z rozłożonymi ramionami i rozwartą szczęką. W ułamku sekundy wyobraziłam sobie, jak jego wielkie zakrzywione kły miażdżą mi czaszkę jednym kłapinięciem.

Wilki ruszyły do ataku. Cholera.

Uchyliłam się, unikając zabójczych szczęk, i jednocześnie wraziłam łokieć w splot słoneczny potwora. Wierzgnął, porażony bólem i wrzasnął, kiedy wbiłam mu dwie srebrne szpile w szyję, za uchem. Sięgnął, aby je wyrwać.

Zaraz za nim nadciągały dwa wilcze monstra.

Były tuż-tuż.

Kopnęłam pierwszego napastnika w kolano, łamiąc kość, i względnie unieruchomionego pchnęłam na George'a. Wykonałam szybki obrót, wsuwając w dłoń kolejny kolec, którym zaraz poczęstowałam Brennę. Cholera. Chwyciła mnie zębami za przegub, omal nie odgryzając dłoni. Wsunęłam jej szpilkę w gardło. Puściła moją rękę, miotając się i charcząc, usiłując wypluć palący język kawałek srebra.

Przygięło mnie od ciosu otrzymanego w plecy. Odwróciłam się, podbiłam pokryte pomarańczowym futrem ramię kolejnego

napastnika. Odsłonięta pacha umożliwiła mi wbicie igły w staw barkowy. Zmiennokształtny zawył. Jego ramię zwiotczało.

Otoczyli mnie. Poczułam pazury na barku. Zęby zaciskające się na udzie. Kopałam, uderzałam, dźgałam, wysuwając szpilki spod opasek przegubowych i zatapiając je w futrzastych cielskach. Kości pękały pod moimi ciosami. Wykręciłam się, miażdżąc jakiś pysk, a potem nagle przestrzeń wokół mnie przestała istnieć. Owłosiona rudawa ręka zgniatała mi tchawicę, zaciśnięte palce odcinały dopływ krwi do mózgu. Klasyczny chwyt duszący. Szarpnęłam się w tył, kopiąc obiema nogami, ale miałam za mało miejsca, żeby nadać kopnięciom odpowiednią siłę. Nie mogłam oddychać. Czułam, jakby moją klatkę piersiową opasywał rozpalony do czerwoności, metalowy pierścień, który zaciskał się coraz mocniej, miażdżąc mi płuca. Nad głową widziałam potężne, rozwarte szczęki, a twarz owiało mi śmierdzące tchnienie. Co to za pomarańczowy zwierz? - to była moja ostatnia myśl, zanim osunęłam się w mrok.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gardło bolało, udo płonęło żywym ogniem. Albo zostałam oblana wrzącym olejem, kiedy leżałam nieprzytomna, albo ugryzł mnie wilkołak. Czułam każdą kość, jakby ktoś przepuścił mnie przez wyżymaczkę. Otworzywszy oczy, ujrzałam siedzącego na krześle Jima.

- Pieprz się - warknęłam, siadając.

Jim potarł twarz, jakby chciał usunąć gnębiące go troski.

Bolało mnie całe ciało, choć raczej nie odniosłam żadnych nieodwracalnych uszkodzeń. W ustach czułam smak krwi. Przesunęłam językiem po zębach. Wszystkie na miejscu.

- Zabiłam kogoś?

- Nie, ale dwóch moich ludzi wypadło na jakiś czas z gry. Dopóki nie zrosną im się kości.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Stałam spokojnie z rękami w górze, o tak. - Uniosłam ramiona.

- Nie dobyłam miecza. Nie groziłam. Stałam tam jak uległa suka i prosiłam o umożliwienie rozmowy z tobą. I co dostałam?

Jim milczał. Dupek.

- Pokaż mi jednego zmiennokształtnego w Atlancie, który mnie nie zna. Twoi ludzie mnie skojarzyli. Wiedzą, kim jestem, wiedzą, co robię, a mimo to zaatakowali. Współpracowaliśmy przez lata, Jim, walczyłam z Gromadą i dla Gromady. Walczyłam u twego boku. Jestem sprzymierzeńcem, który przez cały ten czas zapracował sobie na zaufanie. A i ty, i oni traktujecie mnie jak wroga.

Spojrzenie Jima ochłodziło.

- Tu zyskasz zaufanie, jak porośniesz futrem.

- Rozumiem. Więc jeśli jutro użre mnie loup, będzie to znaczyło dla ciebie więcej niż wszystko, co do tej pory zrobiłam. - Wstałam. Udo piekło nieznośnie.

- Co z Derekiem?

Głucha ściana.

- Ja pierniczę, Jim, co z dzieciakiem?

Nic. Po tym całym gównie, w którym nurzaliśmy się razem, odrzucił mnie. Ot tak. Nie miała znaczenia więź, która łączyła mnie z Derekiem. Nie miały znaczenia lata, w ciągu których osłaniałam Jima i mogłam liczyć na to samo z jego strony, podczas tych wszystkich zleceń wykonywanych dla Gildii. Jedną autorytatywną decyzją stracił mnie z niewysokiej pozycji, którą zębami i pazurami wywalczyłam sobie w Gromadzie przez ostatnich kilka miesięcy. Siedział przede mną chłodny, milczący, zupełnie obcy.

Słowa, które wypowiedział, stoczyły się z jego ust jak kamienie.

- Powinnaś już iść.

Miałam tego dość.

- W porządku. Nie powiesz mi, dlaczego twoi ludzie mnie zaatakowali. Nie powiesz mi nic o Dereku. Twoje prawo. Załatwimy to więc po twojemu. Jamesie Damaelu Shrapshire, pełniąc czynnie obowiązki szefa ochrony Gromady, pozwoliłeś znajdującym się pod twoimi rozkazami członkom Gromady celowo zranić pracownika Zakonu. Przynajmniej trzech z napastników zamieszanych w zajście przybrało formę bojową. Według Kodeksu Georgii, zmiennokształtny w tej postaci traktowany jest jak osoba uzbrojona. Twoje działania podpadają pod O.C.G.A., paragraf 16-5-21c, kwalifikujący je jako czynną napaść na pokojowo nastawionego oficera na służbie i jest karany ograniczeniem wolności od pięciu do dwudziestu lat. Formalne doniesienie o popełnieniu przestępstwa zostanie złożone w Zakonie w ciągu dwudziestu czterech godzin od tej chwili. Radzę ci poszukać dobrego prawnika.

Chłód w spojrzeniu Jima stopniał, ustępując miejsca niedowierzaniu. Przez chwilę patrzyłam mu prosto w oczy.

- Nie dzwoń do mnie, nie przychodź. Jeśli czegoś potrzebujesz, skorzystaj z drogi oficjalnej. Następnym razem, jak się spotkamy, miej się na baczności, bo oberwiesz w tej samej sekundzie, w której naruszysz moją przestrzeń osobistą. A teraz zwróć mi miecz, wychodzę stąd i lepiej, żeby żaden z twoich idiotów nie stanął mi na drodze.

Skierowałam się ku wyjściu.

Jim wstał.

- W imieniu Gromady chciałbym złożyć przeprosiny...

- Nie. To nie były działania Gromady. Ty ponosisz za to całkowitą odpowiedzialność. Jestem na ciebie tak wściekła, że brak mi słów.

- Kate... Zaczekaj.

Jim podszedł i przytrzymał mi drzwi. W korytarzu siedziała trójka zmiennokształtnych, drobna kobieta o ciemnych, krótkich włosach, Latynos oraz paker, z którym rozmawiałam na miejscu zbrodni. Na szyi kobiety, w miejscu, gdzie srebro unieszkodliwiło wirusa Lyc-V, widniała szarawa pręga. Cześć, Brenna. Prawdopodobnie musieli rozciąć jej gardło, żeby wyjąć szpilkę. Rana zasklepiła się, ale minie kilka dni, zanim zniknie przebarwienie, ślad po martwym wirusie.

Zmiennokształtni byli wrażliwi na wszystkie metale mennicze, dlatego nosili biżuterię stalową lub platynową, ale jeśli chodzi o właściwości toksyczne względem wirusa, srebro biło na głowę i złoto, i miedź.

Zmiennokształtni spojrzeli na Jima.

Naprężone mięśnie szczęk drżały, obcisła czarna koszulka uwidoczniła napięcie ramion i karku. Czuł się przyparty do jakiegoś muru, który tylko on widział.

- To moja wina.

- Moja wina? - I tyle? Tyle miał mi do powiedzenia?

Skinął z namysłem.

- Moja wina. Mam wobec ciebie dług.

- Wezmę pod uwagę twoją skruchę. - Potrząsnęłam głową, ruszając dalej.

- Przepraszam, Kate. Spieprzyłem. Źle to rozegrałem.

Tym razem zabrzmiało to szczerze. Miałam ochotę kopnąć go w globus, odejść i iść tak, póki nie wydostanę się z tego piekła. Rozważyłam jednak wszystko ponownie. Jim przeprosił mnie w obecności swoich podwładnych. Na nic więcej nie mogłam liczyć. Nie padnie na kolana, żeby błagać mnie o wybaczenie. A przecież nie o mnie i Jima tu chodziło, tylko o złotego chłopca.

Jim jakby odebrał moje myśli.

- Zaprowadzę cię do niego.

To ułatwiało sprawę. Ruszyłam za nim. Mijając zmiennokształtnych, Jim przystanął.

- Jest teraz z nami - rzucił.

Ponury korytarz zaprowadził nas do rozklekotanych schodów. Na klatce panował zaduch, a stopnie trzeszczały niebezpiecznie, kiedy po nich schodziliśmy. Nie wyglądało to na żadną z oficjalnych siedzib Gromady i nigdy tu nie byłam. Na pewno nie zapomniałabym wewnątrz wytapetowanych w pandy. Jim z każdym krokiem coraz bardziej posępniał.

Nadal gotowałam się ze złości.

- Swoją drogą, co to za stwór z rudawą sierścią?

- Dingołak.

Chyba już nic nie mogło mnie zaskoczyć. Cóż, przynajmniej nie miał okazji porwać mi dziecka.

U stóp schodów znajdowały się ciężkie drzwi. Jim obrzucił je spojrzeniem zarezerwowanym dla najgorszych wrogów.

- Zmasakrowali go - wycedził nieoczekiwanie. Ledwie rozróżnialne słowa tonęły w głuchym warkocie. - Doszczętnie zmasakrowali. Nawet jeśli przeżyje, już nigdy nie będzie taki, jak wcześniej.

* * *

W pokoju panował półmrok. Niewielka lampka podłogowa oświetlała szklaną, prostokątną kadź wypełnioną brudnozieloną cieczą. Pojemnik był płytki, miał najwyżej pół metra wysokości, więc z początku wzięłam go za trumnę.

Szybko zrozumiałam pomyłkę. Już wcześniej widziałam taki zbiornik. Zmiennokształtni nazywali go basenem. Było to urządzenie przyspieszające rekonwalescencję wynalezione przez doktora Doolittle'a, samozwańczego lekarza zmiennokształtnych z Gromady i spoza niej.

W zielonej cieczy spoczywało nagie ciało podłączone rurkami do aparatury podtrzymującej życie.

W całym swym dwudziestopięcioletnim życiu nie widziałam zmiennokształtnego podłączonego do sprzętu reanimacyjnego.

Uklękałam przy zbiorniku ze ściśniętym gardłem.

Derek był odrutowany od stóp do głów. Nabiegłe krwią opuchlizny znaczyły miejsca złamań. Lewa noga poniżej kolana była bezkształtną krwawą masą z ciemnoszarymi pręgami. Fioletowe

wybroczyny na prawej musiały powstać wskutek złamania najtwardszej kości szkieletu, udowej.

Kolejne ślady strzaskanych kości widniały powyżej łokcia i w nadgarstku prawej ręki. Bliźniacze sińce znajdowały się na drugiej. Ta nieludzka symetria identycznych uszkodzeń obu kończyn w tych samych punktach przypawiła mi o atak furii.

Moje serce zwolniło, do głowy uderzyło gorąco, a palce zlodowaciały. Powietrze w płucach stężało w bryłę lodu. To nie było zwykłe pobicie, tylko pokaz siły. Celowa demonstracja okrucieństwa i nienawiści. Zmasakrowali Dereka, zmiażdżyli tak dokładnie, jakby chcieli unicestwić każdy kawałek jego istoty. Zacisnęłam pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie.

Na pokrytym krwiami torsie zarys żeber wyznaczały granatowe linie zbiegające się ku szyi, gdzie tworzyły ciemną obrożę. Klatkę piersiową od lewego boku aż po prawy bark przecinała ziejąca rana. Była czarna. Nie sina, nie bordowa - czarna.

Spojrzałam na twarz Dereka, a raczej coś, co kiedyś nią było. Teraz w tym miejscu znajdowała się miazga roztrzaskanych kości i porozrywanych tkanek, jakby ktoś próbował wyrzeźbić z ciała nowe oblicze, ale przerwał, porzucając tworzywo na pastwę rozkładu.

Targnął mną szaleńczy gniew. Znajdę cię. Dopadnę cię, skurwysynu, i zapłacisz mi za to. Rozerwę cię gołymi rękoma.

Ostatnie trzeźwe myśli opuściły mój umysł. Pokój skurczył się, jakbym traciła ostrość widzenia, przestrzeń wokół wypełniła czerwona mgła amoku. Chciałam wrzeszczeć, kopać, rozbić coś, ale ciało nie

słuchało. Pogrzeżyłam się w odrętwieniu, ogarnięta potwornym uczuciem bezsilności.

Czas zwolnił, minuty ciągnęły się niczym kapiący z łyżki miód. Derek leżał nieruchomo, umierając w kadzi zielonkawej cieczy. Jego pierś unosiła się lekko, ale poza tym wyglądał jak martwy. Gdyby był człowiekiem, nie przeżyłby nawet do połowy tej masakry. Czasem zdolność regeneracji oznacza tylko więcej cierpienia.

Ktoś położył mi dłoń na ramieniu. Odwróciłam głowę i ujrzałam dobrotliwą twarz doktora.

- Chodź. - Pociągnął mnie, pomagając wstać. - Napijemy się herbaty.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W niewielkiej kuchni Doolittle wyjął z zamrażarki wytłoczoną tackę i wykręcając ją, napełnił szklankę kostkami lodu. Doławszy do nich mrożonej herbaty, postawił naczynie przede mną.

- Pij, to pomoże.

Posłuchałam, bardziej z szacunku dla doktora niż pragnienia. Napój był niesamowicie słodki, jak syrop. Lód zachrzęścił mi w zębach.

- Dlaczego nie zdrowieje? - przemówiłam bezdźwięcznym, drewnianym głosem. Brzmiało to bardziej jak szereg przypadkowych słów niż zdanie.

Doolittle usiadł naprzeciwko mnie. Łagodny w obejściu, roztaczał wokół siebie aurę bezpieczeństwa. Zwykle pod jego wpływem ogarniał mnie spokój. Sama jego obecność wystarczała, żeby się wyciszyć. Ale nie tym razem. Wpatrywałam się w twarz doktora, poszukując potwierdzenia, że Derek z tego wyjdzie, zawiodłam się jednak. W poważnych, smutnych oczach nie dostrzegłam charakterystycznych iskierek wesołości. Doolittle wyglądał jak przygnębiony starzec, garbiący się nad swoją szklanką herbaty.

- Lyc-V potrafi czynić cuda - zaczął. - Ale podlega ograniczeniom. Szara barwa oznacza miejsca, gdzie wirus uległ destrukcji. W tkankach Dereka braki te są zbyt duże, by zapewnić regenerację. Resztki podtrzymują go przy życiu, ale nie wiem, na jak długo. - Zajrzał do szklanki. - Pobili go niemal na śmierć. Kości są połamane lub zmiażdżone w tylu miejscach, że nawet nie jestem w stanie ich zliczyć. Później, kiedy skończyli z biciem, rozorali mu klatkę piersiową i włali w ranę stopione srebro.

Ręce same zacisnęły mi się w pięści.

- Oblali nim także jego twarz. Potem zrzucili chłopaka z wozu na środku ulicy, kilka przecznic od naszej południowej siedziby.

Doolittle sięgnął za siebie i podał mi czystą ściereczkę.

Przyjęłam ją, spoglądając na doktora pytająco. Uśmiechnął się lekko.

- Do otarcia twarzy.

Dotknęłam policzka, był mokry. Przycisnęłam gałganek do oczu.

- Płacz przynosi ulgę. Nie ma powodu do wstydu.

- Czy można mu jakoś pomóc? - Mój głos brzmiał normalnie. Po prostu nie mogłam przestać płakać. Rozpacz przejęła nade mną kontrolę, wyciskając łzy z oczu.

Doktor potrząsnął głową.

Mój mózg zaczął znowu działać, na początku wolno niczym stary, zepsuty zegar, który naprawiono po wielu latach. Rozpruwacze napadli Dereka przy „Czerwonym Dachy”, pobili, po czym zostawili

nieopodal siedziby Gromady. Ludzie Jima znaleźli go i po zapachu dotarli na miejsce jatki.

- Nie przemienił się - powiedziałam.

W oczach Doolittle'a pojawiło się nieme pytanie.

- Nie było nigdzie śladów wilka. Litry krwi, zbyt wiele, jak na jedną istotę, więc musiał walczyć i zadawał im rany, ale nie znalazłam ani kępki futra, ani jednego zadrapania na asfalcie. W formie bojowej potrafił zabić wampira. Powinien zmienić się zaraz na początku starcia, ale nie zrobił tego. Jak to możliwe?

- Nie wiemy - odparł Jim.

Stał oparty o framugę jak posępny cień usztywniony gniewem. Nie zauważyłam, kiedy przyszedł.

- Zdolność regeneracji i zmiany kształtu są ze sobą ściśle powiązane - rzekł doktor i napił się herbaty. - Istnieją sposoby na wywołanie przemiany. Próbowaliśmy wszystkich w nadziei, że wybudzi się ze śpiączki. Coś go jednak blokuje.

Nie wydawali się tym zaskoczeni.

- Dlaczego mam wrażenie, że was to nie dziwi?

Doolittle westchnął ciężko.

- Derek nie jest jedyny - oświadczył Jim.

* * *

Pierwsze zdjęcie przedstawiało zwłoki mężczyzny. Zmasakrowana twarz, zmiażdżona czaszka. Zgnieciona głowa przypominała konchę łopaty. Wycięto mu mostek, a sterczące żebra bieleły na tle krwawej masy wnętrzości.

Czarno - biała fotografia surrealistycznie kontrastowała z kuchennym obrusem w biało - czerwonej kratce. Wyglądała jak makabryczny portal do mrocznego świata koszmaru.

Jim nalał sobie herbaty.

- Ależ ulepek. - Skrzywił się po spróbowaniu.

- Trochę słodczy nikomu jeszcze nie zaszkodziło - stwierdził doktor urażony i dołał mi syropu.

Jim pokręcił głową.

- Północne Rozgrywki. Finały szesnaście lat temu skończyły się tragedią. Wielki pieprzony niedźwiedź zapomniał się i wpadł w szal. Zabił masę ludzi.

Nie przerywałam. Nie chciałam, żeby przestał mówić.

- Ci, którzy powinni powstrzymać kodiaka, nie zrobili tego. Curran wziął wtedy sprawy w swoje ręce i opanował sytuację. Tak czynią alfy. Nikt po tym wydarzeniu nie miał wątpliwości, kto jest u władzy.

Jim usiadł, opierając się łokciami o blat.

- Pierwsze prawo alfy musi być nieodwołalne. Jest wyznacznikiem stanowiska przywódcy. Bez względu na okoliczności alfa musi bronić tego prawa, bo jeśli ktoś je kwestionuje, tym samym podważa jego władzę. Pierwsze prawo Currana brzmiało: „Trzymać się z daleka od Rozgrywek”. To rozsądna zasada. Nie zależy nam na zadawaniu się z instytucją, której celem jest nasza widowiskowa śmierć. Nawet Ród nie bawi się w turnieje, odkąd zeszły do podziemia.

Zamilkł. Podobnie jak Curran, Jim ukrywał swoje emocje, ale tym razem zdradziły go oczy. Poważne, zatroskane, pełne niepokoju. Był pozornie opanowany, lecz wyczułam, w jakim znajdował się stanie. Jim był spięty. Targała nim obawa.

- Dlaczego więc wmieszałeś się w ten bajzel z Rozgrywkami? - zapytałam.

- Zwożą tu obcych zmiennokształtnych. Niektórzy są na poziomie. Kilka miesięcy temu sprowadzili pumę z Missouri. Przyzwoita kobieta. Ale większość to szumowiny. Naruszają nasze terytorium. Stanowią zagrożenie. To sprawa ochrony, czyli moja.

Kawałki układanki zaskoczyły nagle.

- Podstawiłeś kogoś. Miałeś w Arenie swojego człowieka. I nie poinformowałeś o tym Currana, uznałeś, że to byłoby nierozsądne. - Jim podjął decyzję, która leżała w gestii tylko i wyłącznie przywódcy Gromady. To był nie tylko kiepski pomysł. To był skutkujący pewną i natychmiastową śmiercią pomysł.

Jim podsunął mi zdjęcie.

- Garabed. Porządny, silny kot. Armeńczyk. Znalazłem go, podobnie jak tamtych, przecnicę od naszej północnej siedziby.

Teraz zrozumiałam, dlaczego Jim nie mógł powiedzieć Curranowi o martwym zmiennokształtnym. Znając Currana, zdusiłby całą operację w zarodku. Władca Bestii musi bronić ustanowionych przez siebie praw. Teraz jednak, po zamordowaniu jednego z jego podwładnych, Jim nie mógł odpuścić. Musiał ustalić oraz ukarać winnego. Po pierwsze, żeby pomścić śmierć, po drugie, ponieważ

gdyby tego nie zrobił, straciłby zaufanie wśród swoich. Najważniejszym obowiązkiem alfy była obrona klanu, a załoga Jima była jego klanem.

- Garabed też się nie przemienił? - zapytałam.

- Nawet nie zaczął.

Na miejscu Jima posłałabym na turniej drugą wtyczkę. Kogoś przebiegłego, bystrego i odpowiednio wyszkolonego. Kogoś, kogo trudno byłoby namierzyć i zdjąć...

- To ty wysłałeś tam Dereka.

Jim przytaknął.

- Jest najlepszym tajniakiem w mojej ekipie. Wygląda... - zająknął się. - Wyglądał jak bezmózgi piękniś. Nikt nie bierze go serio. Za to on zwraca uwagę na wszystko.

- Co poszło nie tak?

- Wkręcił się tam miesiąc wcześniej. - Skrzywił się Jim. - I wrócił z jakąś dziwną historyjką o Rozpruwaczach. To nazwa jednej z drużyn. Pojawili się znikąd kilka tygodni temu i to z wielkim hukiem. Przynajmniej połowa z nich, według m-skanera, to ludzie, ale Derek twierdził inaczej. Nie pachnieli mu odpowiednio. Uważał, że mają coś do nas. Nie do Gromady, ale do wszystkich zmiennokształtnych. Ponoć chodziło o to, że jesteśmy po części ludźmi, po części zwierzętami, a tamci nienawidzą jednych i drugich. Mówił, że mają w drużynie dziewczynę, człowieka i rozwodził się o tym, jak to ona chce przejść na naszą stronę i że jeśli ją stamtąd

wyciągniemy, powie nam wszystko o Rozpruwaczach oraz morderstwie Garabeda.

- A ty odmówiłeś?

Jim opróżnił jednym haustem trzecią część szklanki.

- Wyjaśniłem, że to zbyt ryzykowne. Rozpruwacze podróżują w grupie, piętnasto-, dwudziesto-, czasem trzydziestoosobowej, zawsze uzbrojeni.

- Jakby wiedzieli, że wchodzą na terytorium wroga.

Jim kiwnął głową.

- I nie można ich śledzić po zapachu? Przecież muszą mieć jakąś bazę?

Jim skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

- Problemem nie jest ich wyśledzenie, tylko lokalizacja tej bazy.

- Czyli? - Dlaczego miałam przeczucie, że nie usłyszę nic dobrego? Przy moim szczęściu, nie wątpiłam, że zaraz usłyszę coś szalonego, w rodzaju Zaułka Jednorożca...

- W Zaułku...

Podniosłam rękę.

- Nie musisz kończyć.

Zaułek Jednorożca był czystym koszmarem. Rządziła tam zdziczała magia, szalejąca pomiędzy szkieletami zrujnowanych wieżowców, zbyt potężna, żeby ją okiełznać, zbyt niebezpieczna, żeby z nią walczyć. Pod wpływem jej mocy zwykłe przedmioty stawały się tam śmiertelnym zagrożeniem. W Zaułku roiło się od istot stroniących od światła, karmiących się pomniejszych potworami, przedających

własną, złą magię. Szaleni mistycy o tajemnych mocach, zdegenerowane loupys, nekromanci-banicy, ci, którzy nie mieli dokąd pójść, od których odwrócili się wszyscy przyjaciele i rodzina, którym strach przed wyrokiem „strzelać bez ostrzeżenia” oraz desperacja pomieszała zmysły, tylko oni ważyli się wkroczyć w Zaułek Jednorożca. Większość z nich stawała się pokarmem dla ohydnych poczwar. Nieliczni, którym udało się przeżyć, popadali w obłąd, o ile wchodząc tam, posiadali w ogóle zdrowe zmysły.

Nieprzypadkowo Andorf, sprawca klapy ostatnich legalnych Rozgrywek, szukał schronienia w Zaułku Jednorożca. Nie bez powodu Curran wyznaczył na nasze pierwsze spotkanie obrzeża Zaułka, wystarczająco blisko niebezpiecznej strefy, by pozbyć się tchórzy i zabić głupców.

Ściganie trzydziestu potworów w ludzkiej skórze, nocą, w Zaułku Jednorożca, było brutalnym i niecodziennym sposobem na popełnienie samobójstwa.

- Wejście na teren ich bazy w ogóle nie wchodziło w rachubę - ciągnął Jim. - Ale przypuśćmy nawet, że udałoby się porwać dziewczynę, zanim dotrą do Zaułka. Wykradlibyśmy jedno z nich. Winni czy nie, ludzie nieludzie, rozpoczęliby z nami wojnę. Nie możemy sobie na to pozwolić.

- W każdym razie nie bez dobrego powodu - wtrącił doktor.

- A Derek miał tylko mglisty zapach i jakąś gadułę. Powiedziałem dzieciakowi, żeby przestał zajmować się dyrdymałami i dostarczył konkretne dowody.

Poszedł tam jeszcze raz, jednak wiedziałem, że ta dziewczyna go opętała.

- Widziałam ją - powiedziałam. - I wcale mu się nie dziwię.

- Jakim cudem? - zdumiał się Jim.

- Skończ swoje, a potem ja opowiem, co wiem.

- Derek się nie sprzeczał, ale podejrzewałem, co się święci. Chciał ją uratować, tak czy inaczej. Dlatego wycofałem go. Zaproszenia były niemal nie do zdobycia, a bilety kosztowały trzy patyki na osobę. Derek nie miał takich pieniędzy, a nawet jeśli jakoś by je zdobył, zwykły bilet nie dałby mu możliwości wejścia na dolny poziom. Objechałem go za głupie pomysły i kazałem smarkacza pilnować. Uznałem, że to wystarczy.

Tak, więc Derek widział Saimana na Rozgrywkach i rozpoznał po zapachu. Skojarzył, że Saiman i Durand, współwłaściciel Areny, to ta sama osoba i że posiada „pełnodostępowe” zaproszenia.

- Odsunąłem Dereka, żeby ochłonął, a tymczasem wprowadziłem na jego miejsce Linnę. - Jim podsunął mi kolejne zdjęcie. Przedstawiało kobietę leżącą na stole sekcyjnym. Jej sylwetka wydała mi się dziwnie niekształtna. Przyjrzałam się bliżej. Ciało było rozczłonkowane. Zostało pocięte, a potem ponownie złożone.

- Pocięli ją na kawałki - powiedział Doolittle. - Każdy dokładnie tej samej długości. Prawdopodobnie żyła, kiedy to robili. I tak, ona także nie dokonała przemiany. Miała na sobie ubranie.

- Zbierałem ją z chodnika, kiedy przyszłaś. - Jim zacisnął szczęki. - Niedługo później wrócił ogon Dereka. Dzieciak wystrychnął go na dudka. A potem znaleźliśmy Dereka.

Nie potrzebowałam dalszych wyjaśnień. Ludzie Jima podjęli trop i ruszyli na miejsce zbrodni, gdzie natknęli się na mnie ubabraną krwią Dereka.

- Teraz ty - ponaglił Jim.

Opowiedziałam mu wszystko. Kiedy dotarłam do części o wizycie z Curranem w punkcie porzucenia zwłok Linny, Jim miał minę, jakby chciał mnie udusić. Nie przerywał, dopóki nie skończyłam. Jim oświadczył, że musi się napić jeszcze herbaty. Prawdopodobnie miał ochotę na coś mocniejszego, ale obecność doktora wykluczała raczenie się wysokoprocentowymi trunkami. Doolittle niechętnym okiem patrzył na alkohol.

- Powiedziałeś już Curranowi?

- Nie.

- On wie o tym miejscu? - Proszę, powiedz, że tak.

- Nie, to jedna z moich prywatnych dziupli.

- Zatem jak na razie według Currana uprawiacie samowolkę?

Skinął.

- Raczej uważa, że są pojedynekami - poprawił doktor. - Właściwy termin to „pojedynki”. Kot nie mówi ci całej prawdy, ale Curran jest przekonany, że spora część ochrony odłączyła się od Gromady i w tej chwili przewraca miasto do góry nogami, żeby ich

znaleźć. Wydał rozporządzenie nakazujące Jimowi natychmiast się z nim skontaktować.

- Zadzwoń do niego rano - rzekł Jim.

- Co tylko pogorszy sprawę, bo Władca Bestii każe mu wracać do Twierdzy, a problem w tym, że ten oto młody człowiek ów rozkaz zignoruje.

Jim warknął ostrzegawczo. Po doktorze spłynęło to jak woda po kaczce.

- Czemu miałbyś to zrobić? - zwróciłam się do Jima.

- Mam swoje powody.

- Sprzeciwienie się bezpośredniemu rozkazowi przywódcy jest naruszeniem Prawa Gromady - ciągnął Doolittle. - Zgodnie z tradycją, Jim będzie miał trzy dni na zmianę decyzji. Jeśli zostanie przy swoim, Curran postąpi tak, jak postępują alfy w wypadku, kiedy zagrożona jest ich pozycja. Perspektywa zabicia przyjaciela to trudny zgryz. Może doprowadzić do szaleństwa.

Szalony Curran plasował się na liście katastrof w tej samej grupie co monsuny, tornada, trzęsienia ziemi i inne klęski naturalne.

- A ty? Jak się w to wplątałeś? - zapytałam Doolittle'a.

- Porwaliśmy go - wyjaśnił Jim. - W świetle dnia, z wielkim hukiem. Jest kryty przed Curranem.

- Ja tylko umieściłem Dereka w basenie i opatrzyłem rany moich porywaczy. - Doktor potrząsnął głową. - Oczywiście dałem wyraz sprzeciwu wobec brutalnego pakowania do wozu i siadania na mnie.

Skoro Jim zadał sobie tyle trudu, aby zapewnić doktorowi status niewinnej ofiary, musiał spodziewać się burzy o sile huraganu, kiedy Curran go znajdzie.

- Ja zostałem porwany - uśmiechnął się doktor. - Więc nie mam się czym martwić. Natomiast osoba, która z własnej woli pomaga Jimowi spiskować przeciw alfie, to co innego.

- Masz jakieś bezpieczne miejsce, żeby się przycząić? - Oczy Jima rozblęły zielenią.

Doolittle wstał, kładąc rękę na moim ramieniu.

- Zastanów się, zanim podpiszesz na siebie wyrok śmierci.

Wyszedł, zostawiając mnie i Jima samych.

Curran stanowił śmiertelnie groźnego przeciwnika w walce. I nigdy za mną nie przepadał. Co więcej, wprost ostrzegł, żebym trzymała się z daleka od wewnętrznych rozgrywek Gromady. Tym razem nie miałam żadnego pola manewru.

- Jim?

Podniósł na mnie wzrok i teraz zobaczyłam wyraźnie strach przebijający się przez mury jego samokontroli. Jim był przerażony. Nie bał się o siebie, znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że zagrożenie własnej osoby nie wzbudza w nim lęku. Stracił grunt pod stopami, jakby ktoś strącił go w ciemność, gdzie zerwał się na równe nogi niepewny, z której strony nadejdzie cios.

Miał „swoje powody” i chciałam je poznać.

- Dlaczego nie skontaktujesz się z Curranem od razu i nie zakończysz tej kołomyi?

Jim zapatrzył się w szklankę. Mięśnie na jego ramionach naprężyły się wyraźnie. Toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę, a ja nie wiedziałam, która strona wygrywa.

- Siedem lat temu Appalachy opanowała plaga loupów. Dopiero co przyłączyłem się do Gromady. Poszedłem z nimi likwidować zagrożenie. Tennessee od razu dało nam pozwolenie na wejście, ale Karolinie Północnej zabrało aż dwa lata, zanim przyznała, że sami sobie z tym bajzłem nie poradzą. Wkroczyliśmy. To dopiero są góry. Stare szkocko-irlandzkie rody, separatyści, sekciarze przenoszą się tam, osiadają na jakimś szczycie i zaczynają się mnożyć. Ich dzieci stawiają swoje domy, jeden przy drugim. Ludzie ciągną tam, żeby żyć z dala od zgiełku. Każdy pilnuje własnego nosa. Nikt nie chciał z nami rozmawiać. Nikt nie wiedział, że całe rodziny, całe klany zamieniały się w loup. A jeśli nawet, nikt z tym nic nie robił. Byłaś u Buchananów, więc wiesz, co znaleźliśmy.

Śmierć. Wszędzie natrafiali na trupy, na wpół zjedzone ciała dzieci w kałużach krwi; kobiet i mężczyzn, zgwałconych, rozszarpanych na kawałki i jeszcze raz zgwałconych po śmierci. Ludzi obdartych żywcem ze skóry. Znaleźli loup.

- Przeczesywaliśmy hrabstwo Jackson, kiedy wezwali nas miejscowi gliniarze. Na Caney Fork płonęło domostwo, a żaden z policjantów nie chciał doń iść. Twierdzili, że właściciel, Seth Hayes, strzela do wszystkich, którzy wejdą na jego teren. Powiedzieli, że jesteśmy bliżej, dotrzemy tam szybciej i prosili, żebyśmy zajrzeli.

Brednie. Wiedzieli, że Hayesowie zmienili się w loup. Pewnie wiedzieli o tym od jakiegoś czasu. Bo po co posyłałoby zmiennokształtnych do zwykłego pożaru?

- Dom stał na szczycie urwiska. Dotarcie do niego zajęło nam godzinę. Do tego czasu z budynków nic prawie nie zostało. Spalone resztki, gryzący dym i ten smród. Smród loupów.

Znałam ten odór. Ciężki, duszący, kwaśny, oblepiał język drażniącym, gorzkim kozuchem i zatykał gardło. Smród ciała człowieka, który zatracił się w otchłani szaleństwa wywołanego wirusem Lyc-V. Miałam z nim styczność. Raz poczuty, nigdy nie pozwalał o sobie zapomnieć.

- Dzieciak siedział w pogorzelisku - ciągnął Jim bezbarwnie. - Wywlókł ciała dwóch sióstr, w każdym razie to, co z nich zostało, i czekał, aż z nim skończymy. Brudny, chudy, wygłodniały dzieciak umazany krwią własnego ojca. Cuchnął jak loup. Byłem za tym, żeby go zabić. Spojrzałem na niego i powiedziałem: „loupi bękart”. Ale Curran się sprzeciwił. Postanowił zabrać dzieciaka. Uznałem, że mu odbiło. Po tym, przez co smarkacz przeszedł, nie mogło zostać w nim nic z człowieka. Widziałem to w jego oczach. Ale Curran usiadł przy nim i przekonał, by poszedł z nami. Dzieciak nie mówił. Pewnie nie miał go kto nauczyć.

Jim przejechał ręką po włosach.

- Nie znaleźliśmy nawet jego imienia, do cholery! Chodził za Curranem jak cień, na salę treningową, do Twierdzy, wszędzie. Podczas zebrań starszyny siadywał pod drzwiami, niczym pies.

Curran czytywał mu na głos. Siedział, czytał, a potem pytał o zdanie. Robił tak dzień w dzień, przez cały miesiąc, aż kiedyś dzieciak odpowiedział.

Oczy Jima zapłonęły.

- A teraz ten chłopak jest w lepszej formie przejściowej ode mnie. Nauczył się w niej mówić. Kiedyś może zostanie wilkiem alfa. Nie mogę mu tego zrobić.

- Czego zrobić?

- Muszę to jakoś odkręcić, Kate. Daj mi szansę, żebym to wyprostował.

- Jim, bredzisz.

Doolittle wrócił, niosąc talerz smażonych kulek kukurydzianych.

- Nie znając kontekstu, trudno jej będzie zrozumieć, Jim. Pozwól, że ja wyjaśnię. - Usiadł, podsuwając mi talerz. - Podczas stresu, czy to wywołanego czynnikiem psychologicznym, czy fizycznym, u zmiennokształtnych następuje stymulacja namnażania wirusa. Im silniejsze nagromadzenie wirusa w naszych organizmach i im szybciej następuje, tym większe prawdopodobieństwo zmiany w loupą.

- To dlatego loupizm stanowi największe zagrożenie w okresie dojrzewania - skwitowałam.

- Dokładnie. Derek znajduje się teraz w stanie ogromnego stresu. Coś go blokuje i jeśli uda nam się usunąć przyczynę, wirus w jego ustroju namnoży się w ogromnych ilościach i błyskawicznym tempie.

Eksploduje dosłownie jak bomba biologiczna. Dotarł do mnie sens tego, co mówił.

- Derek może przemienić się w loupa.

- To bardzo prawdopodobne. - Jak bardzo?

- Według mnie na jakieś siedemdziesiąt pięć procent.

Położyłam łokcie na blat, podpierając brodę pięściami.

- Jeśli Curran dowie się o wszystkim, będzie musiał zabić Dereka, w przypadku gdy ten zmieni się w loupa - kontynuował doktor. - To jego obowiązek jako Władcy Bestii. Zasady Gromady jasno stanowią, że kiedy jeden z członków zmienia się w loupa, obowiązkiem nadrzędnego alfy jest pozbawienie go życia.

Boże. Zabicie Dereka byłoby dla Currana jak zamordowanie syna lub brata. Tak wiele pracy włożył, żeby wyciągnąć go ze stanu graniczącego niemal z loupizmem. Jeśli Derek popadłby w szaleństwo... Curran musiałby go zabić. Musiałby zrobić to osobiście, ponieważ tak nakazywało prawo. To tak, jakbym ja musiała zabić Julie.

Doktor odchrząknął.

- Curran nie posiada rodziny. Jako jedyny przeżył masakrę. Wychował go Mahon, ocalił w podobny sposób, jak później Curran Dereka. Zabicie chłopaka pozostawi w nim piętno na zawsze. Zrobi to. Nigdy nie uchylał się od odpowiedzialności i nie zrzuciłby tego ciężaru na nikogo innego. Ostatnie kilka lat i tak były dla niego ciężkie. Jest Władcą Bestii, a jednocześnie tylko człowiekiem.

Przed oczyma stanął mi obraz Currana stojącego nad ciałem Dereka. Mogłam mu tego oszczędzić. Dla jego dobra, a nie żeby pomóc Jimowi. Nikt nie powinien znaleźć się w sytuacji zmuszającej do zabicia dzieciaka, którego się ocaliło. Będzie wściekły. Rozedrze Jima na strzępy.

- Mamy trzy dni - przypomniałam. - Jeśli do tego czasu nie znajdziemy rozwiązania, pójdę do Currana i wszystko opowiem. Jeżeli Derek zmieni się w loupę wcześniej, zabiję go sama. - Proszę, Boże, kimkolwiek jesteś, nie pozwól na to.

- To jest mój obowiązek - sprzeciwił się Jim.

- Nie. Curran oficjalnie przyjął pomoc Zakonu. To oznacza, że w kwestiach związanych z tą sprawą przewyższam cię rangą. Teraz to mój obowiązek i wypełnię go. - Trzy dni. Przez trzy dni mogłam sporo działać. - Pogódź się z tym - powiedziałam, widząc minę Jima i zwróciłam się do doktora: - Co hamuje wasze przemiany?

- Magia - odparł Doolittle. - Bardzo potężna magia.

- Pierwsze: jedzenie, drugie: prokreacja, trzecie: przemiana. Trudno z tym walczyć - mruknął Jim.

- Jednak Rozpruwacze znają sposób. Wiedzą, jak was zablokować. I prawie unicestwili Dereka. - Zacisnęłam szczęki.

- Twój miecz dymi - zauważył doktor.

Rzeczywiście, z miecza unosiły się jasne smużki. Zabójca karmił się moim gniewem.

- To nic takiego. - Zabębniłam palcami o blat. - Może udałoby mi się zatrzymać Rozpruwaczy, ale nie mam powodu, żeby ich

wsadzić. Brak nam dowodów, że mieli coś wspólnego z napadem na Dereka.

- Jego krew zostawiła na nich zapach - przypomniał Jim.

- Na mnie też. Na placu było tyle jego krwi, że każdy, kto tamtędy przechodził, mógł wejść z nią w kontakt. To za mało. Przeskanowałaś miejsce zdarzenia?

- Wyszedł niebieski i zielony. - Jim wzdrygnął się z obrzydzenia.

Czyli m-skan nie powiedział nic nowego. Może pomodlę się do panny Marple, żeby mnie natchnęła...

- Kolejny problem w razie przesłuchania to Rozgrywki - kontynuowałam. - Powiedzmy, że ich zatrzymam i zacznę zadawać pytania w stylu: „Co robiliście na tym placu?”. Jeśli przyznają, że wracali z Rozgrywek, w których brali czynny udział, nie będę mogła zignorować informacji o nielegalnym turnieju odbywającym się w mieście. Gliny, Zakon i WOON na pewno wiedzą o Rozgrywkach, ale nic z tym nie robią. Taki brak reakcji oznacza albo grube pieniądze, albo potężne wpływy.

- Odbiorą ci śledztwo zanim na dobre się rozpocznie - przyznał Jim.

I właśnie dlatego lubiałam pracować z Jimem. Nie tracił czasu na wyzywanie od tchórzy, głupie komentarze i sugestie, że boję się nacisków. Rozumiał, że ze zwierzchnikami na plecach sprawa skomplikowałaby się jeszcze bardziej i ciągnęła wolniej niż melasa na mrozie. Po prostu przyjął to do wiadomości, przechodząc do rozważania innej opcji. Żadnego dramatyzowania i rozdierania szat.

- Więc oficjalnie nie możemy nic zrobić - podsumowałam.

- Właśnie.

Doolittle tylko potrząsnął głową, wracając do zajadania kukurydzianych kulek.

- W takim razie, żeby dostać się do Rozpruwaczy, będziemy musieli stanąć do walki w Arenie.

- Na to wygląda.

- Dlaczego nigdy nie pracujemy razem przy czymś łatwym? - zapytałam.

- Dbam, żeby dostarczać ci wyzwań. Utrzymują cię w formie.

Pochyliłam się nad stołem, rysując palcem linię.

- To Zaulek Jednorożca. Trzydzieści dwie przecznice długości, dziesięć szerokości. Długi i wąski. - Kiedyś obejmował trzydzieści na osiem przecznic, ale po rozbłysku rozszerzył się o kilka kolejnych. - Rozpruwacze wchodzą tam i znikają, tak? A twoi ludzie nie są w stanie ich wyśledzić?

- Do czego zmierzasz?

- Pamiętasz tego ognistego ptaka dwa lata temu? Połowa okręgu Chatham stała w płomieniach, a ptak śmierdział jak dym. Nie mogłeś go wytropić i przepalał każdą pułapkę, jaką na niego zastawiliśmy. I wkurzał się jeszcze bardziej.

- Pamiętam - zadumał się Jim. - Podrzuciliśmy mu oposa z urządzeniem namierzającym.

- Mógłbyś zdobyć taki aparacik?

- Da się zrobić.

- Jaki to ma zasięg?

- Jakieś czterdzieści kilometrów przy dominacji techniki.

Uśmiechnęłam się. To więcej niż teren Zaułka Jednorozca.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jim skrzywił się, stając przed drzwiami mieszkania Saimana.

- Zboczeniec - fuknął.
- Woli określenie „dewiant seksualny”.
- Semantyka.

Plan obgadaliśmy po drodze. Nie był to plan wybitny, ale i tak stanowił postęp wobec mojego tradycyjnego „wpadnij i wyprowadź wszystkich zainteresowanych z równowagi, póki któryś nie zechce cię zabić”. Teraz musiałam tylko sprzedać mój cudowny lek Saimanowi.

Otworzył jako wysoka, długonoga blondynka o szyderczym uśmiešku. Jim najeżył się. Gdyby miał sierść, stałaby na sztorc.

Większość ludzi, widząc w swoich progach dwójkę uzbrojonych łotrzyków, rozważyłaby sytuację z każdej strony. Szczególnie gdyby jeden z łotrzyków kilka godzin wcześniej groził śmiercią w razie niedostarczenia konia, a drugi był potężnym facetem o rozjarzonych oczach, ubranym w wykończony futrem płaszcz, z bronią w ręku i miną wyraźnie mówiącą, że celem jego egzystencji jest rozsmarowywanie głów przechodniów na okolicznych murach. Saiman kiwnął jedynie na powitanie, wpuszczając nas do środka.

- Wejdźcie.

Usiadłam na sofie. Jim stanął za mną, nieco z boku, zakładając ręce na piersiach. W tle pulsowała łagodna muzyczka w rytmie techno. Saiman nie zadał sobie trudu, żeby wyłączyć odtwarzacz.

- Zwróciłam ci konia - powiedziałam. - Zostawiłam na dole, u strażników. - Jim przyprowadził dla mnie luzaka.

- Zatrzymaj go. Nie potrzebuję konia. Napijesz się czegoś?

Narażając się na kolejny wykład o luksusie? Niech pomyślę...

- Nie, dzięki.

- A ty? - Saiman zwrócił się do Jima, ale dostrzegłszy Śmiercionośne Spojrzenie, dał kotołakowi spokój, przedkładając bezpieczeństwo nad wymogi gościnności. - W takim razie pozwolicie, że ja sobie coś naleję. Lepiej mi się myśli ze szklanką w dłoni.

Przygotował sobie martini, po czym przysiadł na sofie, zakładając nieprawdopodobnie długą nogę na drugą i eksponując dekolt. Tak, tak, masz ładne cycuszki. Wyluzuj.

- Jak sprawa z Rozpruwaczami? - zagałam.

Saiman zerknął na Jima.

- Gorzej niż bym chciał.

- Zakon się nimi interesuje. - Praktycznie rzecz biorąc, nie minęłam się z prawdą, skoro ja się nimi interesowałam, a pracowałam dla Zakonu. A najbardziej zainteresowana byłam uśmierceniem ich w sposób jak najbardziej wymyślny i możliwie bolesny.

- Doprawdy? - Saiman uniósł brew, znów małpując moją mimikę.

- Co więcej, teraz to sprawa osobista. Zamierzam ich wyeliminować.

Saiman przyjrzał mi się bacznie.

- Czy to ma coś wspólnego z tym młodym człowiekiem?

Nie było sensu kłamać.

- Owszem.

Saiman zasalutował w moim kierunku szklanką.

- Uważam, że pobudki osobiste są najskuteczniejszym motorem działania.

Nie wątpię, samolubny dupku.

- A czego chcesz ode mnie?

- Proponuję współpracę. - Byłam coraz lepsza w te gierki. Nawet nie zwymiotowałam, wypowiadając to zdanie. Sukces osiąga się małymi kroczkami. - Chcesz się pozbyć Rozpruwaczy, podobnie jak Gromada i ja. Połączymy siły. Twój wkład to umożliwienie udziału w Rozgrywkach, nasz - mięśnie.

- Ja zapewniam sposobność, wy narzędzia?

Przytaknęłam.

- Dzielimy się informacjami oraz środkami, które pomogą nam osiągnąć cel. Potraktuj to jak umowę biznesową. - To powinno do niego przemówić.

Saiman nachylił się, patrząc na mnie w skupieniu.

- Dlaczego miałbym iść z tobą na współpracę? Jak bardzo ci na tym zależy, Kate?

W gardle Jima zawibrował ostrzegawczy warkot. Oparłam się wygodnie i założyłam nogę na nogę, imitując pozę Saimana.

- Ty potrzebujesz nas bardziej niż my ciebie. Zawsze mogę wejść do Areny, pomachać legitymacją służbową i narobić trochę problemów. Jestem w tym niezła.

- Co ty nie powiesz - mruknął Saiman.

- Zrobię dużo szumu wokół Północnych Rozgrywek, a szczególnie skupię się na Rozpruwaczach. Prędzej czy później dopiekę im tak, że będą chcieli mnie zabić, a wtedy razem z Jimem zdejmemy ich jednego po drugim. Jim ma o co kruszyć kopie. Tymczasem ludzie zaczną omijać turniej, zyski Izby spadną, a ty stracisz sporo kasy.

Obdarzyłam go uśmiechem. W zamierzeniu miał być słodki, ale Saiman na jego widok pobladł i odsunął się nieco ode mnie. Zanotowałam w myślach, żeby ograniczyć ćwiczenie psychopatycznych grymasów na rzecz słodkich minek.

- Skoro nie chcesz z nami współpracować, będziesz musiał wynająć sobie fizycznych do rozwiązania problemu z Rozpruwaczami. Z tego, co widziałam na parkingu, nie mogą się wprost doczekać, żeby wsadzić cię w pierwszy lepszy pociąg w zaświaty. Potrzebujesz ochrony, o którą będziesz musiał się mocno postarać, nie mówiąc, że słono za nią zapłacisz. Sądząc po pokazie umiejętności Marta, pozostaje ci zatrudnić ludzi z najwyższej półki, przynajmniej jeśli chcesz jeszcze chwilę pozostać wśród żywych. Kiedy Rozpruwacze zafundują kilku twoim ochroniarzom skrzydła i

aureole, będziesz musiał wynająć nowych. Problem w tym, że w tym czasie dorobisz się opinii klienta, którego goryle padają jak muchy. Ceny dla ciebie wystrzelą pod niebo, a jakość oferowanych usług spadnie. Wbrew powszechnym przekonaniom, większość ochroniarzy nie ma skłonności samobójczych. Sam więc widzisz, że to ty bardziej potrzebujesz nas. Z tobą czy bez, i tak zabijemy Rozpruwaczy. Nie zależy nam na pieniądzach, szukamy zemsty.

Saiman spojrzał, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

- Nie znałem cię z tej strony.

Tę stronę wykorzystywałam w trakcie pertraktacji pomiędzy Gildią a Zakonem, których to prowadzenie należało do moich obowiązków.

- Przemysł to sobie - zakończyłam, wstając. - Masz mój telefon.

- Czy w tym twoim szaleństwie jest jakaś metoda? - zapytał.

- Dobij umowy, a zobaczysz. - Nie ufałam Saimanowi ani na jotę, wolałabym więc podpisany krwią, wiążący magicznie cyrograf, ale ostatecznie mógł być zwykły uścisk dłoni. Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej by na nią nie napluł.

Zdażyłam zrobić trzy kroki w kierunku drzwi, kiedy usłyszałam:

- Zgadzam się.

* * *

- Oto, co wiemy. - Część informacji dostarczył mi Jim, podsumowałam je wszystkie razem. - Rozpruwacze pojawili się na scenie jakieś dwa miesiące temu. Większość to ludzie, przynajmniej według m-skanerów.

- Niebieskie sygnatury - stwierdził Saiman z niechęcią.

- Ale ustaliliśmy, że Rozpruwacze nie są do końca ludźmi. Jednakże Izba, kiedy uznała ich za „nienadprzyrodzonych”, chcąc nie chcąc, dała im fory. Ich odmienność jest nie do udowodnienia, a większość ludzi przegrywa w walce ze zmiennokształtnym czy wampirem. W ten sposób popłynęliście na niemałe sumy, prawda?

Saiman potwierdził skinieniem głową.

- Tak, są też inne powody, dla których tak zależało Rozpruwaczom na „człowieczeństwie”. Udział w turnieju mogą brać tylko te drużyny, w których składzie jest co najmniej trzech ludzi lub istot człowiekopodobnych, jak zmiennokształtni. Bez tego nie mogliby stanąć do Rozgrywek.

- Podsumowując: nie wiesz, czym są, w jaki sposób udaje im się oszukać m-skanery ani dokąd udają się po walkach?

- Tak. - Saiman zmarszczył z odrazą zgrabny nosek. Grymas ten idealnie wpisywał się w jego aktualną, długonogą blond powierzchowność.

- Informacje to nie twoja specjalność, jak widać - stwierdził Jim.

Wielkie dzięki, chodząca dyplomacja. Saiman spojrzał na kota nieprzyjaźnie.

- Dwadzieścia jeden lat temu, dwudziestego trzeciego kwietnia, zabiłeś człowieka, który zamordował twojego ojca. Odsiadawali razem wyrok. Przyszpiliłeś zabójcę do ziemi łomem, przesywając mu brzuch, a następnie rozczłonkowałeś. Lekarz ocenił, że facet umierał

trzy godziny. Nazywał się David Stiles. Nigdy nie odpowiedział za tę zbrodnię.

Nieźle.

- Ujawniam te fakty tylko po to, aby zaprzeczyć posądzeniom o niekompetencję. Handluję informacjami. Jestem w tej dziedzinie ekspertem. Jeśli mówię, że nie wiadomo, do jakiego gatunku należą Rozpruwacze, stwierdzenie to ma wagę profesjonalnej opinii specjalisty.

Jim zaśmiał się, odsłaniając garnitur białych zębów.

Saiman uraczył go przyjacielskim skinieniem głowy. Może i zebrał szczegółowe informacje o Jimie, ale w ogóle go nie znał. Jim był jaguarem. Pokazywał zęby tylko tym, których zamierzał zabić. Nie teraz, na razie Saimana potrzebował, ale pewnego dnia, w najmniej spodziewanym momencie Saiman stanie twarzą w twarz ze swoją śmiercią.

A ja nie miałabym z tym absolutnie nic wspólnego.

- Wracając do Rozpruwaczy. Wiesz może, czego chcą?

- Owszem, to wiem. Wilczego Diamentu - odrzekł Saiman.

Czekałam na jakieś rozwinięcie tematu, ale zajął się popijaniem swojego martini. Dobrze. Skoro tak...

- Co to ten Wilczy Diament?

- To wielki, żółty topaz.

- A skąd nazwa? - zainteresował się Jim.

Saiman zajrzał do kieliszka.

- Ma dokładnie taką barwę, jak oczy wilka. Kamień jest większy niż moja pięść.

Niezła błyskotka. Topaz ma wartość samą w sobie, a jako nagroda nadaje turniejowi legendarnego wymiaru - najznamienitsi wojownicy walczą o baśniowy klejnot i chwałę. W rzeczywistości Rozgrywki były zwykłą jatką, gdzie odbierano życia ku uciechu zgrai padlinożerców. Chwała? Śmierć dla czyjegoś zysku i rozrywki nie jest chwalebna.

- Skąd macie ten kamień? - zapytał Jim.

- Jeden z członków Izby zdobył go i przekazał jako główną nagrodę w tej edycji Rozgrywek. To ekstrawaganckie trofeum, właśnie w naszym stylu. Nasi klienci cenią sobie egzotykę.

Topaz większy od pięści dorosłego był rzeczywiście wyjątkowy. Wygrzebałam z pamięci okruchy wiedzy na temat klejnotów. Topaz był jednym z dwunastu apokaliptycznych kamieni chroniących Nowe Jeruzalem. Żółty kryształ miał ponoć uspokajać nerwy i chronić noszącego od koszmarów. Właściwości ochronne przypisywano zresztą wszystkim kamieniom - szczególnie jeśli tak naprawdę nie wiadomo, jakie magiczne cechy posiadają albo jeśli nie posiadały żadnych. Postanowiłam doczytać o topazie w jakiejś książce o gemmologii.

- Prześledziłem historię kamienia do trzech posiadaczy wstecz - rzekł Saiman. - Nie wydaje się, żeby posiadał jakieś nadnaturalne właściwości. Jest z nim związanych kilka legend, owszem, ale to normalne w przypadku klejnotu tej wielkości. Powtarza się w nich

motyw, że kamień nie może być sprzedany czy odebrany siłą, a tylko przekazany w darze albo wygrany. Inaczej przyniesie właścicielowi śmierć. Zdołałem ustalić, że to bzdura, jednak Rozpruwacze zdają się wierzyć w klątwę. Przyszli do nas niedługo po zakupie kamienia z pytaniem, jak mogą go zdobyć. Biorąc pod uwagę ich zamiłowanie do brutalności, oczekiwałem, że spróbują topaz ukraść albo przejąć siłą, ale jak do tej pory nic takiego nie zrobili.

- Najpilniejszym problemem do rozwiązania jest zbyt mała wiedza o Rozpruwaczach - powiedziałam. - Dlatego w pierwszej kolejności musimy ją uzyskać.

- A niby jak mielibyśmy to zrobić? - Saiman uniósł brew, obdarzając mnie uwodzicielskim uśmiechem, który nie zrobił na mnie wrażenia, po pierwsze dlatego, że należał do Saimana, po drugie, że należał do Saimana w ciele blondynki.

- To proste. Zabijemy jednego z nich.

Saiman rozważył moje słowa.

Łatwo powiedzieć, trudniej przejść do czynów.

- Wiemy, że Rozpruwacze podróżują w grupach, przez co trudno za nimi iść. Wiemy też, że znikają w Zaułku Jednorożca, a tam nie da się wysledzić ich ani po zapachu, ani po magii. Jesteśmy jednak w posiadaniu urządzenia, dzięki któremu możemy ustalić ich miejsce pobytu na terenie Zaułka. Zabijemy jednego z nich i w ciele umieścimy pluskwę. Kiedy zabiorą zwłoki, namierzemy ich kryjówkę i zaczniemy obserwację w czasie dla nas najdogodniejszym. Musimy dowiedzieć się wielu rzeczy. Ilu ich jest, jak są zorganizowani, czy

mają strażników, czy strażnikami są ludzie, jak zdobywają pożywienie, czym się żywią, czy wychodzą na polowania, a jeśli tak, to czy zdołamy schwytać łowców i - rozedrzeć ich na strzępy, gdy tylko zdradzą, w jaki sposób pomóc Derekowi - przesłuchać ich.

- Nie masz wątpliwości, że potrafisz zabić Rozpruwacza, co? - Saiman zajrzał do kieliszka, jakby zaskoczony brakiem trunku.

Pomyślałam o Dereku umierającym powoli w kadzi z zieloną ciecżą. Pomyślałam o połamanych kościach, zmasakrowanej twarzy, o bólu...

Saiman poruszył się nerwowo.

- Kate, z twojego miecza unosi się dym... Wzięłam się w garść.

- Załatw wejście do Kotła. Resztę zostaw mnie.

- Chętnie, ale to niemożliwe. - Saiman wzruszył ramionami. - Rozpruwacze biorą udział jeszcze tylko w jednej walce przed finałem, który jest rozgrywką drużynową. Ta ostatnia runda to kategoria Pięści. Nie nadajesz się.

- Ja to zrobię - oświadczył Jim.

Saiman potrząsnął głową.

- Dużo bym dał, żeby szef ochrony Gromady wystąpił w Arenie, lecz niestety, ty też się nie kwalifikujesz. Pięści to naprawdę potężni gladiatorzy.

Fakt, Jim nie zaliczał się do wagi superciężkiej. Nawet w formie przejściowej był zwinny, szybki i zabójczy, jednak na pewno nie wielki.

- Ale mam kogoś, kto się nada - uśmiechnął się Saiman. - Siebie.

Lanie, które spuścili mi ludzie Jima, musiało uszkodzić mój słuch.

- Kto to taki ten Siebie?

- Siebie, czyli mnie.

Zacisnęłam powieki.

- Co ty robisz? - zdziwił się Saiman.

- Liczę do dziesięciu. - Curranowi pomagało, więc może mnie także... Nie, na mnie nie działało.

Otworzyłam oczy.

- Żyję z zabijania. Jestem w tej dziedzinie ekspertem. Uznaj więc, że to stwierdzenie ma wagę profesjonalnej opinii specjalisty: to skok na główkę do basenu z rekinami. Dobre chęci nie zastąpią umiejętności, siły fizycznej ani refleksu, bez których nie ma szans na pokonanie Rozpruwacza. W Kotle zginiesz momentalnie, bolesną śmiercią, a ja nie będę mogła cię stamtąd wyciągnąć.

- Nie widziałas, jak walczę w swojej pierwotnej formie.

Przed moimi oczami stanął obraz płasającego w śniegu złotowłosego adonisa.

- Nie, ale widziałam, jak tańczysz. Twoja pierwotna forma, choć zabójczo działa na napalone kobiety i gejów, nie wyrze tego samego skutku w przypadku Rozpruwaczy. Rozwałę ci głowę, a my stracimy szansę na podrzucenie pluskwy.

Saiman uśmiechnął się oszczędnie i niewesoło.

- To nie była moja oryginalna forma. *Touche*.

- W takim razie mam nadzieję, że to dwugłowy smok ziejący ogniem.

- Daj mi szansę przegrać - poprosił Saiman. - Obiecuję, że jako zwłoki nie zaprotestuję, kiedy będziesz wypowiadała sakramentalne: „a nie mówiłam?”. Walka odbywa się dzisiaj. Mogę liczyć na was w roli pomocników?

Nie mieliśmy wyboru.

- Tak.

- Muszę pojawić się na pierwszej części w oficjalnej postaci. Po walce, zakładając, że uda mi się doprowadzić do śmierci przeciwnika, Rozpruwaczy zatrzyma Czerwona Gwardia. To da nam godzinę przewagi. Zawsze tak robimy, Izba nie życzy sobie tarć pomiędzy drużynami gladiatorów. Tymczasem dotrzecie do Zaułka, żeby wszystko przygotować. Ja zostanę w Arenie, żeby odzyskać siły. Mam tam prywatny apartament.

No, chyba że po walce trafi do prywatnej szuflady w kostnicy. Myśl ta zawisła w powietrzu niczym żałobny całun. Żadne z nas nie wypowiedziało jej na głos.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Po spotkaniu Jim odstawił mnie do mieszkania, zostawiając konia Gromady. Chciałam jechać z nim, chciałam być w kryjówce Jima na wypadek, gdyby Derek oprzytomniał. Żywiłam irracjonalne przekonanie, że moja obecność go uzdrowi.

Ale to nie wchodziło w grę. Gdybym wróciła z Jimem, nie wyspałabym się, a potrzebowałam snu i jedzenia, żeby zachować siły. Rozpruwacze nie będą zachwyceni, kiedy jeden z nich zginie. Jeśli Saiman dokona tego, co obiecał, mogą szukać zemsty. Musiałam być wyspana i w dobrej formie. Wzięłam prysznic, szorując dokładnie skórę i włosy perfumowanym mydłem, żeby zabić zapach załogi Jima, zjadłam zimny befszytk z ciemnym chlebem, pomidora, trochę sera, łyknęłam tabletkę drogocennej aspiryny i zasnęłam.

O ósmej obudził mnie dzwonek telefonu. Podniosłam głowę, wpatrując się z niechęcią w aparat. Dzwonił i dzwonił, hałasując pod czaszką. Włączyła się sekretarka, a głos, który usłyszałam, otrzeźwił mnie błyskawicznie.

- Kate?

Curran. Niedobrze. Dwie godziny snu to za mało, żeby sobie z nim skutecznie poradzić.

- Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

Podniosłam słuchawkę.

- Jestem.

- Sprawdzasz, kto dzwoni?

- A czemu nie? Dzięki temu unikam rozmów z idiotami.

- Czy to obelga? - W głosie Currana zawibrował warkot.

- Nie jesteś idiotą - zapewniłam go. - Jesteś śmiertelnie groźnym psychopatą z kompleksem boga. Czego chcesz?

- Widziałaś się z Jimem?

- Nie.

- Nie dzwonił do ciebie?

- Nie. - Ale jego goryle sprali mnie na kwaśne jabłko.

- Co z Derekiem?

- Nie wiem. Też go nie widziałam.

Chwila milczenia.

- Kłamiesz. Do diabła.

- Czemu tak sądzisz?

- Nie zapytałaś mnie o Dereka.

To oduczy mnie podejmowania dyplomatycznych w zamierzeniu konwersacji zaraz po przebudzeniu.

- Bo mnie to nie obchodzi. Powiedziałeś, że mam pomagać w śledztwie. Obiecałeś pełną współpracę i możliwość przesłuchania twoich ludzi. To było w piątek. Dzisiaj jest niedziela. Minęły dwie doby. Wykiwałeś mnie, Curran. Jak zwykle zresztą. Wyobrażasz sobie, że przylecę na każde twoje skinienie, ale twoja kochana

Gromada nie będzie współpracowała z obcymi, tak? Nie pomył się, to, co słyszysz, to obojętność. - I brednie. Cała kupa bredni.

- Pleciesz.

Dwa zero dla Currana.

- To bardzo ważne, Kate. Jim otwarcie mi się sprzeciwił. Zignorował bezpośredni rozkaz zebrania swoich ludzi i stawienia się u mnie. Nie mogę na to pozwolić. Ma siedemdziesiąt dwie godziny, żeby zająć ostateczne stanowisko. Po tym czasie będę musiał go znaleźć.

- Znasz Jima od wieków. Czy nie zasługuje na mały kredyt zaufania?

- Nie w tych okolicznościach. - Ostry ton na moment zniknął z głosu Currana. Alfa ustąpił miejsca człowiekowi. - Nie chciałbym być do tego zmuszony.

Nerwowo przełknęłam ślinę.

- On też pewnie tego nie chce.

- W takim razie mi pomóż. Powiedz, co wiesz.

- Nie.

- Na chwilę zapomnij, że to ja - westchnął. - Schowaj ego do kieszeni. Jestem Władcą Bestii. Ty pracujesz dla Zakonu. Podlegasz mi w tym śledztwie. Żądam ujawnienia informacji, jakie posiadasz. Rób, co do ciebie należy.

Zabolało. Robiłam właśnie to, co do mnie należało. Robiłam, co w mojej mocy.

- Mylisz się. Nie podlegam ci. Jesteśmy równorzędni.

- Rozumiem. Czy Jim jest tam z tobą?

- Tak. Uprawiamy właśnie dziki seks. Przeszkadzasz nam.

Rozłączyłam się.

Telefon rozdzwonił się ponownie.

Automatyczna sekretarka.

- ...nie ułatwiasz, Ka...

Podniosłam słuchawkę i zaraz ją odłożyłam. Nie chciałam okłamywać Currana. Choćby dla jego dobra. Nie miałam w tym momencie ochoty na kombinowanie i szermierkę słowną.

Moja sypialnia tonęła w przyjemnym półmroku, rozpraszonym jedynie wąską smugą światła sączącą się przez szparę w zasłonach wprost na moją twarz. Nakryłam głowę poduszką. Odpływałam już w rozkoszną krainę snu, nie niepokojona żadnym bijącym po oczach światłem, kiedy dosłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Drzwi do mieszkania otworzyły się.

Jedyną osobą, która posiadała drugi komplet kluczy do tego lokum, był dozorca, a on nigdy nie przyszedłby bez uprzedzenia.

Zmusiłam się do leżenia bez ruchu. W wyobraźni ujrzałam swój obraz - na głowie poduszka, wystający spod kołdry zadek w białych majtkach. Niezbyt korzystna pozycja do obrony. Leżałam jednak, wyteżając zmysły. Ktoś skradał się do łóżka. Ciche kroki, coraz bliżej. Bliżej. Bliżej.

Teraz!

Szarpnęłam się, wyprowadzając cios nogą. Pięta trafiła mniej więcej w korpus przeciwnika, a precyzyjniej, w męskie krocze.

Napastnik zwinął się wpół, a ja sięgnęłam po Zabójcę. Broni nie było tam, gdzie ją położyłam. Schyliłam się, zaglądając pod łóżko. Musiał wepchnąć miecz głębiej w trakcie mojego ataku.

Na kostce poczułam stalowy uścisk ręki. Przekręciłam się, z całej siły kopiąc przeciwnika w ramię.

Jęknął i wtedy ujrzałam jego twarz.

- Curran! - Wolałabym zobaczyć psychopatycznego mordercę. Ach, zaraz...

Chwila zaskoczenia kosztowała utratę przewagi. Curran runął całym ciężarem, odtrącając moją rękę, jakby była natrętną muchą, i przycisnął do podłogi. Prawe ramię przytrzymał nad głową, lewe uwięził pod sobą, a nogami zablokował moje. Przygnieciona, pozbawiona możliwości ruchu czułam się jak pakunek. Ściśnięta i zdana na jego łaskę.

- Myślałam, że to jakiś wariat! - warknęłam.

- I słusznie. - Zbliżył ku mnie twarz.

- Co ty wyprawiasz?

- Szukam Jima w twoim łóżku.

- Nie ma go tutaj.

- Właśnie widzę.

W oczach Currana zatańczyły złote iskierki. Patrzył na mnie strasznie zadowolony z siebie, odrobinę łakomie.

Próbowałam się wyrwać, ale chwycił mocniej. Zupełnie jakbym chciała wyzwolić się ze stalowego kaftana bezpieczeństwa. Nie

miałam szans na jakiegokolwiek działanie. Rozpłaszczona na podłodze pod Jego Bestialską Wysokością. Nigdy nie uwolnię się od tej traumy.

- Możesz już puścić - powiedziałam.

- Obiecujesz, że będziesz grzeczna?

- Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

Kąciki ust drgnęły mu lekko. Wcale nie zamierzał mnie puszczać. A ja nie posiadałam fizycznych możliwości, żeby się wyzwolić. Cholera.

- Bawi cię to, tak?

Skinął głową, błyskając bielą zębów.

- Jak się tu dostałeś?

- Mam swoje sposoby.

Oświeciło mnie. To on dwa miesiące temu wymienił drzwi, bo ja byłam pochłonięta działaniami zmierzającymi do zachowania życia.

- Zatrzymałeś komplet kluczy. Ty draniu. Jak często tutaj wpadasz?

- Raz na jakiś czas.

- Po co?

- Sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dzięki temu nie muszę sterczeć przy telefonie, oczekując na twoje „Ratunku!” w słuchawce.

- Nie wysilaj się, nie będzie więcej żadnych telefonów. Prędzej zdechnę niż do ciebie zadzwonię.

- I to mnie martwi.

Przytrzymujące moje nogi uda były twarde, jak rzeźbione w drewnie. Potężny tors przyciskał się do moich piersi. Gdybym

obróciła się nieco w prawo, pośladkami otarłabym się o jego krocze. Trochę w lewo, a zanurzyłabym twarz w jego szyi.

- Nie jestem jedną z twoich poddanych. - Był zdecydowanie zbyt materialny, zbyt ciepły, a nade wszystko był zbyt blisko. - Nie muszę wykonywać twoich rozkazów, a już na pewno nie potrzebuję twojej ochrony.

- Uhm - mruknął. Najwyraźniej fascynowała go moja twarz, bo wpatrywał się w oczy, usta...

- Przychodzisz tu też, kiedy jestem?

- Czasami.

- Usłyszałabym cię.

- Wracasz po dwunastu godzinach wykończona i padasz. A ja potrafię zachowywać się cicho. - Rozluźnił nieco chwyt. Leżałam bezwładnie. To było wyjście - wzbudzić w Curranie fałszywe poczucie kontroli. Stolik, na którym leżał sztylet, miałam w zasięgu ręki.

- Władca Bestii, mój osobisty prześladowca. Rany, marzenie każdej laski.

- Prześladowanie to nie moja działka.

- Nie? A jak nazwiesz to, co właśnie robisz?

- Kontrolowaniem przeciwnika w celu uniknięcia przykrego uszkodzenia ciała.

- Co jeszcze robisz podczas mojej nieobecności? Czytasz pocztę? Grzebiesz w szufladzie z bielizną?

- Nie, nie grzebię w twoich rzeczach. Wpadam, żeby się upewnić, czy jesteś cała i zdrowa. Uspokaja mnie myśl, że jesteś w jednym kawałku we własnym łóżku. Nic nie ukradłem...

Wyszarpnęłam rękę i grzmotnęłam Currana łokciem w splot słoneczny. Aż stęknął. Wyrwałam się, złapałam sztylet i usiadłam okrakiem, kolanami przygważdżając mu ręce do podłogi, przystawiając ostrze do szyi. Nie miotał się.

- Poddaję się - powiedział z uśmiechem. - Twój ruch.

Hm. Siedziałam okrakiem na Władcy Bestii w samej bieliźnie, grożąc mu nożem. Co, u diabła, zrobić teraz?

Curran wskazał oczyma moje ramię.

- To ślady pazurów - powiedział ostro. - Wilczych. Kto to zrobił?

- Nikt! - Cóż za błyskotliwa odpowiedź. A jaka przekonująca...

- Jeden z moich? - Złote iskry przerodziły się w błyskawice.

Każdy zmiennokształtny w Atlancie był jednym z jego, więc co to za pytanie?

- A odkąd to tak się troszczysz o moje zdrowie? Chyba pomieszało ci się coś w kwestii natury naszej znajomości. Nie pasujemy do siebie. Jesteś furiatem z obsesją na punkcie władzy. Wiecznie próbujesz mi rozkazywać, co doprowadza mnie do szału. Ja prędzej pierzem porosnę niż dam sobą rządzić. Wkurzam cię tak, że masz ochotę mnie udusić.

- Raz! Tylko raz próbowałem!

- O jeden raz za dużo. Rzecz w tym, że nie bawią nas grzeczne gierki. Oboje...

Wyszarpnął ręce spod moich kolan, nie bacząc na przystawiony do szyi sztylet, przyciągnął moją twarz do swojej i pocałował.

Poczułam muśnięcie języka na wargach i zalała mnie fala gorąca. Wsunął mi palce we włosy. Nagle zapragnęłam poznać jego smak. Pocałował mnie już kiedyś, tuż przed potyczką ze strzygoniem. Myślałam o tym pocałunku miesiącami. Nie mógł być tak wspaniały, jakim uczyniły go wspomnienia. Powinnam spróbować jeszcze raz i uwolnić się od tych fantazji, żeby nie zawracać sobie nimi już głowy. Rozchyliłam wargi.

O. Słodki. Boże. Świat eksplodował.

Smakował odurzająco, jak młode wino.

Wtuliłam się w Currana, chłonąc smak, zapach, rozkoszując się ciepłem i bliskością mocarnego ciała. Zawirowało mi w głowie.

Całuj mnie. Całuj jeszcze. Nie przestawaj.

Co do licha?! Zupełnie mi odbiło?

- Nie! - Zaczęłam go odpychać. Przytrzymał mnie jeszcze chwilkę, a potem puścił z niskim, pożądlwym warknięciem. Zerwałam się na równe nogi, cofając nieco chwiejnie. - Czyś ty zwariował?

- Co? Czyżbyś zapomniała o „W życiu, nawet gdybyś był ostatnim facetem na tej planecie”?

- Wynoś się!

Przeciągnął się, jak zadowolony kocur.

- Jak było?

- Nijak - skłamałam. - Żadnych fajerwerków. Nic. Jakbym całowała brata.

Odurzenie i cudowny zawrót głowy nie ustępowały. Pragnęłam dotknąć Currana, wsunąć dłonie pod koszulkę, poczuć pod palcami silne ramiona... Pragnęłam dotyku jego warg.

Nie! Żadnego dotykania. Żadnego całowania. Nie. Nie i jeszcze raz nie.

- Naprawdę? To czemu mnie objęłaś?

Sukinkot.

- Chwilowa niepoczytalność. - Wskazałam drzwi.

- Na pewno nie chcesz, żebym został? Zrobiłbym ci kawę, zapytał, jak minął dzień.

- Wynocha. Już.

Westchnął teatralnie, wstając bez podpierania się rękoma. Cholerny pozer.

Wyciągnął ku mnie sztylet, trzymając za ostrze, tak żeby w chwili przekazywania upadł na ziemię.

- Chcesz go z powrotem?

Nigdy nie upuszczam broni, chyba że celowo.

Wyrwałam mu ostrze z ręki i, trzymając przed sobą, zmusiłam Currana, by wycofał się do wyjścia. Otworzył drzwi, ale zatrzymał się jeszcze w progu.

- Siedemdziesiąt dwie godziny, Kate. Ani minuty więcej. Jim zdaje sobie z tego sprawę, podobnie jak z tego, że go szukam. Teraz ty także już wiesz.

- Rozumiem, rozumiem - syknęłam.

- Może buziak na do widzenia?

- A może kopniak w zadek? Zatrzasnęłam za nim drzwi, oparłam się o nie i zsunęłam na podłogę, przytłoczona tym, co przed chwilą zaszło.

Władca Bestii. Lew Atlanty. Pan Po Mojemu Albo Wcale. Frustrujący, irytujący, niebezpieczny łajdak, który wystraszył mnie śmiertelnie, tak że w panice straciłam kontrolę nad ustami.

Pocałował mnie. Gorzej, przyznał, że wślizguje się do mieszkania, obserwuje mnie podczas snu, przewrócił na podłogę, a potem pocałował. Powinnam była złamać mu nos. Ale nie, oddałam pocałunek. I chciałam więcej.

Próbowałam spojrzeć na to trzeźwym okiem. Powiedziałam Curranowi, że nigdy się z nim nie prześpię. On odparł, że owszem, zrobię to. Dla niego wszystko było grą, w której chciał zwyciężyć. Ktoś wspomniał kiedyś, że gdyby ustawić w rzędzie były kochanki Currana, wyszłaby z tego niezła parada. Chciał sobie ze mnie zrobić kolejne nacięcie na ramie łóżka. Poddając się, dołączyłabym do korowodu jego kobiet - Kate Daniels, Śledczy Zakonu, którą Jego Futrzasta Wysokość bzykał, dopóki się nie znudził, po czym zostawił dla lepszych zabawek, rzucając w kąt jak niepotrzebną, szmacianą lalkę.

Jawny związek z Curranem oznaczałby zawodowe samobójstwo. Agenci Zakonu mieli być z definicji bezstronni. Nikt nie chciałby ze mną współpracować, gdybym przespała się z przywódcą zmiennokształtnych.

Co więcej, kiedy Curran straciłby zainteresowanie moją osobą, zabrałby mi serce, zgniótł na krwawą miazgę, oddał szczątki i spokojnie odszedł.

Mimo że zdawałam sobie z tego sprawę, nadal go pragnęłam. Przyciągał mnie niczym magnes. Pragnęłam go bardziej niż kogokolwiek wcześniej. Dla tych kilku momentów, kiedy sprawiał, że czułam się bezpieczna, chciana, pożądana. Które były iluzją. Musiałam wziąć się w garść.

Podniosłam się z gniewnym warknięciem i zaczęłam ubierać.

* * *

Po pełnym wrażeń przebudzeniu udało mi się dotrzeć do biura już bez dalszych przeszkód. Siedziba Zakonu mieściła się w klockowatym, siermiężnym budynku z cegły, który podczas przyływu magii był tak dokładnie opasany tarczami zaklęć, że WOON mogły oblegać go bezskutecznie całymi tygodniami. W mieście znajdowała się jeszcze kwatera główna Zakonu, ale nie miałam wystarczających uprawnień, by znać jej lokalizację.

Wspięłam się na drugie piętro, otworzyłam drzwi i wkroczyłam na korytarz. Długi, szary, ciągnął się niczym wąski, ponury tunel, na końcu którego majaczyły czarne drzwi. Pośrodku czerni lśniło

wypolerowane godło przedstawiające lwa, herb rycerza-obroncy, kierownika sekcji i mojego bezpośredniego zwierzchnika.

- *Witaj, moja droga.* - W głowie rozbrzmiał mi głos Maxine.

- Dzień dobry, Maxine. - Wystarczyłoby się skupić i pomyśleć te słowa, ale wolałam normalnie mówić. Potrafiłam siłą umysłu zmiażdżyć świadomość nieumarłego, jednak w telepatii byłam beznadziejna. Weszłam do swojego pokoju, spodziewając się ogromnej sterty papierów na biurku. Błat był pusty. Dziewiczy. Bezstertowy.

- Maxine? Co się stało z moimi aktami?

- *Rycerz - obrońca postanowił cię odciążać.*

- To dobrze czy źle?

- *Zakon docenia twoją pracę. Szczególnie tę, którą wykonujesz późno w nocy.*

Doznałam olśnienia. Ted dawał mi nieoficjalne przyzwolenie na zajęcie się sprawą Północnych Rozgrywek. Nie będzie żadnego urzędowego śledztwa. Ted wiedział o turnieju tyle, na ile było to możliwe. Brakowało mu jednak środków bądź pretekstu do nadania sprawie biegu. Ja stanowiłam jego szansę. Wpychał mnie w Północne Rozgrywki jak patyk pomiędzy szprychy. Posiadałam odpowiednie umiejętności, ale w razie czego można mnie bez żalu spisać na straty. Wszelkie problemy dało się usprawiedliwić moim statusem współpracownika, nie członka Zakonu. Nie należałam do grona rycerzy. Nie miałam odpowiedniego szkolenia. Zakon wyparłby się

jakiegokolwiek wiedzy na temat moich działań, zarzucił mi niekompetencję i wykopał na bruk.

Do gabinetu weszła Andrea, zamykając za sobą drzwi.

- Dzwonił Rafael. Właśnie dowiedział się o nowym rozporządzeniu. Jeśli jakikolwiek członek Gromady spróbuje cię skrzywdzić, czeka go długa i nieprzyjemna rozmowa z Curranem.

Zasalutowałam teatralnie.

- Hura. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak nieporadna, iż potrzebuję ochrony Jego Wysokości.

- Zostałaś zaatakowana?

- Uhm. Ale miałam dobry nastrój, więc nikogo nie zabiłam.

Andrea przysiadła na krześle.

- Co się dzieje?

Wstałam i aktywowałam zaklęcia ochronne. Na podłodze rozjarzył się skomplikowany, pomarańczowy wzór. Tę tarczę stosował mój opiekun, do którego należał gabinet. Ludzie zwierzali się rycerzom-wróźbitom ze swoich tajemnic, sekretów w rodzaju tych, które wyjawia się w konfesjonale lub u terapeuty. Zaklęcia Grega tworzyły barierę dla dźwięku, widoku i magii. Nawet telepatia Maxine nie była w stanie się przez nią przebić. Potrzebowałam miesiąca, żeby odtworzyć glify na podłodze i poznać ich działanie. Otworzyłam szufladę i wyjęłam z niej akta, które położyłam przed sobą.

- Twój ruch.

Andrea podniosła rękę.

- Nie ujawnię żadnych przekazanych mi informacji, chyba że za pozwoleniem osoby, która ich udziela. Nie wykorzystam uzyskanej tu wiedzy dla osobistych korzyści ani pod przymusem, ani też dla ratowania siebie lub osób trzecich. Przysięgam na honor rycerza Zakonu.

To nie była zwykła formułka. Więcej ludzi wydalono z Akademii z powodu złamania przysięgi niż podczas innych testów woli. Zmuszana biciem, podtapianiem, biczowaniem, przykładaniem rozżarzonego żelaza większość ludzi powie wszystko, byle tylko uniknąć dalszych tortur. Na plecach miałam jasną pręgę, ślad po pocałunku gorącego żelaza. Dowodził, że się nie złamałam. Andrea nosiła podobną bliznę. Do końca swych dni będziemy pamiętać sekrety, których musiałyśmy chronić podczas próby przysięgi i nigdy ich nie zdradzimy. Nawet przypadkiem.

Podaliśmy jej teczkę. Przeczytała zawartość, po czym spojrzała na mnie. Opisałam w raporcie wszystko, łącznie z wizytą Currana.

Andrea zamrugnęła zaskoczona.

- Cholera. Kurde, jasna.

- Może być sama cholera jasna.

- Szef ochrony Gromady został pojedyńkiem, Derek umiera, a ty jesteś towarzyszką Władcy Bestii.

- Jim nie jest pojedyńkiem, po prostu chwilowo nie stosuje się do rozkazów.

- Czyli jest pojedyńkiem!

No dobra, w tej kwestii kłócić się nie zamierzałam.

- I jeszcze jedno, nie jestem żadną towarzyszką Currana.

- Z jakiej ty się urwałaś choinki, dziewczyno. - Andrea pokręciła głową. - Zakrada się do twojego mieszkania, żeby cię otulić kołderką. To objaw opiekuńczości. On uważa, że jesteście parą.

- Niech sobie uważa, co mu się żywnie podoba. Uważanie to nie rzeczywistość.

Oczy Andrei zrobiły się jak spodki.

- Właśnie zdałam sobie sprawę... On traktuje cię jak zmiennokształtną alfę. To nie do końca tradycyjne ludzkie zaloty. Prosił cię już, żebyś zrobiła mu kolację? Kolacja jest bardzo ważna.

- Nie, nie prosił. - Prędej piekło zamarznie niż ugotuję coś Curranowi. - Słuchaj, nie jestem zmiennokształtną, a on spotykał się już wcześniej z ludzkimi kobietami.

- To nie ma znaczenia. - Andrea zabębniła palcami na blacie. - Takie bezpośrednie podejście jest rodzajem wyzwania. W ten sposób samiec alfa zaleca się do samicy alfa. Chodzi o rywalizację, polowanie i próbę sił. Całość nie jest szczególnie romantyczna. Wiem, że to pokręcone, ale to zawołowany komplement.

- Może sobie wsadzić ten komplement tam, gdzie słońce nie dochodzi.

- Mogę cię zacytować?

- Nie ma sprawy. Zbyt ciężko pracowałam na to, co mam, żeby skończyć jako jego przelotna miłostka.

Wrzucając teczkę do szuflady, natrafiłam palcami na starą książkę w miękkich okładkach. „Narzeczona dla księcia”. Tej nocy w

Savannah, kiedy nieomal mnie pocałował, czytał właśnie tę książkę. A kiedy kazałam mu odejść, powiedział: „Jak sobie życzysz”.

Andrea spochmurniała.

- I co teraz? Zamierzasz zniknąć na jakiś czas?

Przytaknęłam.

- Muszę się temu wszystkiemu przyjrzeć z bliska, a nie mogę tego zrobić z Curranem na karku.

- Potrzebujesz pomocy?

- Owszem. Oddałam próbki srebra do analizy. To pewnie potrwa z dzień lub dwa. Gdybyś mogła odebrać wyniki...

- Jasne. - Andrea machnęła ręką. - Miałam na myśli raczej pomoc wymagającą użycia broni.

- Ach. Na razie nie. Ale zgłoszę się do ciebie, jak znajdę jakiś łeb, któremu brakuje kulki.

- Koniecznie. I postaraj się nie zginąć.

- Da się zrobić.

Popatrzyłyśmy po sobie.

- No? Jak było? - zapytała. - Z Curranem?

- Nie pozwolę mu więcej na żadne całowanie, bo inaczej skończymy w łóżku.

Andrea znowu zamrugwała.

- Cóż - rzekła w końcu. - Przynajmniej wiesz, czego się trzymać.

* * *

Po telefonie do Jima wyszłam z biura. Pokręciłam się trochę w przedpołudniowym tłumie, ale nikt mnie nie śledził. Wreszcie

przystanęłam przy budzie z kurczakami. Glenda powitała mnie uśmiechem. Pulchna kobieta o miodowych włosach miała kiedyś problem z widmowymi węzami. Trwało to tydzień, ale udało mi się zlokalizować na jej poddaszu przyczynę kłopotów i ją wyeliminować. Od tej pory do swoich skrzydełek zawsze dostaję uśmiech gratis. Podałam jej dziesiątaka.

- Chcesz pięć sztuk? - zapytała Glenda.

- Nie. Chcę zadzwonić. - Taką rozmowę najlepiej przeprowadzić poza biurem.

Glenda położyła aparat na ladzie, sprawdziła sygnał i wzięła dziesięć dolarów.

Wybrałam numer Twierdzy, przedstawiłam się bezcielesnemu kobiecemu głosowi po drugiej stronie i poprosiłam o połączenie z Władcą Bestii. Odezwał się niemal natychmiast.

- Zamierzam ukryć się razem z Jimem.

Cisza, która zapadła po moim oświadczeniu, brzmiała zdecydowanie złowrogo. Może myślał, że jego superpocałunkowe moce mnie zmieniły? Marzenia. Musiałam trzymać go z daleka od sprawy Dereka. Nie potrzebował dodatkowego obciążenia.

- Myślałam o tym, co zdarzyło się dzisiaj rano. - Starłam się mówić spokojnie i do rzeczy. - Kazałam zmienić zamki. Jeśli jeszcze raz przyłapię cię w moim mieszkaniu, złożę oficjalną skargę. Przyjęłam od ciebie jedzenie, pod przymusem, ale przyjęłam. Uratowałeś mnie raz albo dwa i nawet widziałeś prawie nagą. Zdaję sobie sprawę, że oceniasz to wszystko według norm

zmiennokształtnych i oczekujesz, że położę się przed tobą z rozłożonymi nogami.

- Niekoniecznie. - Jego głos był tak spokojny jak mój. - Może być na czworakach. Albo przy ścianie, jeśli wolisz. Tudzież na stole kuchennym. Możesz być nawet na górze, jeśli będzie warto.

Nie zazgrzytałam zębami - mógłby usłyszeć. Uczepiłam się spokoju i rzeczowości.

- Nie rozumiesz. Mówię: nie.

- Nie?

- Żadnego seksu, w żadnej pozycji, żadnych nas.

- Chciałem cię pocałować, wtedy, w twoim domu, w Savannah.

Co, u diabła, z tym moim sercem, terminuje na mistrza kowalskiego?

- I?

- Bałaś się. Nie takiej reakcji pragnąłem.

Spokój i rzeczowość.

- Pochlebiasz sobie. Nie jesteś aż tak straszny.

- Dzisiaj rano, gdy cię pocałowałem, znów się wystraszyłaś.

Zaraz po tym, kiedy prawie odleciałaś z rozkoszy.

Odleciałaś?!

- Boisz się, że coś może być między nami. Rany.

Z trudem to przełknęłam.

- Za każdym razem kiedy myślę, że osiągnąłeś szczyt arogancji, ty pokazujesz mi nowe możliwości. Twój egoizm jest jak wszechświat, ciągle się rozrasta.

- Miałaś ochotę zawlec mnie do łóżka.

- Miałam ochotę wsadzić ci sztylet pod żebro i uciec z wrzaskiem. Włamałeś się do mnie i zacząłeś obśliniać! Jesteś chory! I nie wyjeżdżaj mi tu z wyczuwaniem mojego pożądanego, bo to brednie!

- Nie potrzebuję używać do tego nosa. Wystarczyło spojrzeć na to rozmarzenie w oczach. I poczuć twój język w ustach.

- Ciesz się tym wspomnieniem - warknęłam. - Bo nie będziesz miał okazji go odświeżyć.

- Idź grać w te swoje gierki z Jimem. W razie potrzeby was znajdę.

Arogancki dupek.

- Wiesz co? Jeśli znajdziesz nas przed upływem trzech dni, osobiście ugotuję ci kolację i podam na tacy, nago.

- Przyrzekasz?

- Tak! Pieprz się!

Rzuciłam słuchawkę. Tak, idealny przykład spokoju i rozsądku.

Stojący za ladą starszy mężczyzna patrzył, jakby wyrosły mi rogi.

Glenda oddała mi pieniądze.

- To dopiero rozmowa. Warta tych dziesięciu dolców.

Odwróciłam się w chwili, kiedy pod budę podjeżdżała Brenna, prowadząc luzaka.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Poszłam do Dereka. Siedziałam przy nim pół godziny, póki nie wszedł Doolittle i nie zobaczył mojej miny. Zaproszona na przymusową herbatkę grzecznie podreptałam do kuchni. Owionął mnie zapach jedzenia. Gęsty, smakowity aromat dobrze przyprawionego mięsa i świeżego ciasta. Wiedziona zapachem zakotwiczyłam przy stole w momencie, kiedy Jim wyciągał na deskę złotobrazową pieczeń. Odcinał perfekcyjnej grubości plastry polędwicy o idealnym, różowawym środku. Byłam bliska omdlenia.

- Befszyk Wellington?

Jim zmarszczył brwi.

- To, że ty nigdy nie masz nic porządnego w lodówce, nie...

- Ty, Derek i Julie bardzo dbacie o wolną przestrzeń w mojej lodówce.

Brenna wyciągnęła miskę z sałatką.

- Nakrycia są w szafce - powiedział Jim.

Wyjęłam talerze, sztucce i rozłożyłam je na stole. Doolittle postawił przede mną szklankę mrożonej herbaty. Spróbowałam. Była tak słodka, że łyżka by w niej stała.

Jim położył mi na talerzu plaster pieczeni. Mój Wellington wyglądał dobrze, ten był absolutnie doskonały.

Brenna usiadła obok.

- Przepraszam za to udo.

Chwilę mi zajęło skojarzenie rany na nodze z siedzącą przy stole cichą kobietą.

- Och, to nic. Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę igłę.

Rana na gardle zbladła, ale szara linia nie zniknęła.

- Nie ma sprawy. To nie pierwsze moje spotkanie ze srebrem.

- Gdzie reszta? - zapytałam.

Nie doczekałam się odpowiedzi. Pleciugi z tych zmiennokształtnych.

Odkroiłam kęs pieczeni i włożyłam do ust. Ambrozja. Jim kroił swoje mięso z precyzją chirurga.

- Curran dzwonił.

Trójka zmiennokształtnych wstrzymała oddechy.

- Chciałam o tym powiedzieć, zanim zaczniecie jeść, żeby uniknąć przypadków zadławienia.

- Co mówił?

- Masz trzy dni, żeby się do niego zgłosić. - Udałam głos Currana. - Inaczej sam cię znajdzie. A tego nie chce.

- Coś jeszcze?

- Głównie przeklinał. Powiedziałam, że jesteśmy w trakcie gorącego seksu i że przeszkadza.

Brenna puściła herbatę nosem. Jimowi chwilę zajęło bezpieczne przelknięcie kęsa.

- Niepotrzebnie to powiedziałaś.

- I tak nie uwierzył. - Nie kontynuowałam tematu. Informacja o porannych ćwiczeniach i obietnicy podawania nago osobiście ugotowanej kolacji przyprawiłaby Jima o apopleksję. - Nie znajdzie nas tu, prawda?

- Nie lekceważ naszego władcy - rzekł Doolittle.

- Trudno powiedzieć - poparł go Jim. - Curran jest uparty. W końcu nas znajdzie, ale trochę to potrwa.

Miałam nadzieję, że się nie myli. Inaczej oboje mielibyśmy się z czego tłumaczyć.

* * *

Czekaliśmy na Saimana na parkingu przed Areną.

Czarny płaszcz Jima falował w rytm kroków, odsłaniając czarną skórzaną kamizelkę, czarne spodnie i buty z metalowymi czubami. Naturalnie także czarne. Umięśniona sylwetka sprawiała wrażenie wręcz nierealnej, przypominał mistrza walk w szczytowej formie. Potężne, pięknie zarysowane mięśnie, zwinne ruchy, postawa draba. I groźny mars na obliczu. Wyglądał, jakby miał ochotę kogoś sprać.

- Przydałyby ci się ciemne okulary - powiedziałam. - Inaczej ktoś weźmie cię za japiszona.

- Niech tylko spróbuje.

Samochód Saimana wślizgnął się na parking. Saiman wysiadł w wytwornej, eleganckiej postaci Thomasa Duranda, wyjął z bagażnika

obły przedmiot owinięty płótnem i okręcony sznurkiem. Zarzucił go sobie na ramię, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że pakunek miał ponad metr długości i z pół szerokości.

Skierowaliśmy się ku wejściu. Saiman dogonił nas i przekazał brzemię Jimowi. Jim podniósł przedmiot bez wysiłku. Oczywiście mógł być lekki, ale sądząc po tym, jak niósł go Saiman, musiał swoje ważyć.

- Wasze wejściówki. - Saiman podał mi żółte kartoniki i zwolnił, puszczając nas przodem.

Strażnicy rzucili okiem na bilety i przekazali Rene. Natychmiast mnie rozpoznała. Obrzuciwszy Jima taksującym spojrzeniem, zwróciła się w moją stronę.

- Gratulacje, kochaniutka. Zmieniłaś właściciela? Dobrze cię traktuje?

- Istny z niego misiaczek.

Misiaczek wyglądał jak nałogowy morderca na głodzie. Rene wyszczerzyła się do mnie.

- Właśnie widzę. Pierwsze drzwi na prawo. Zarejestrujcie się. - Rene zerknęła w kierunku drzwi, gdzie Saiman robił swoje wielkie wejście. - Pospieszcie się. Twój eks właśnie idzie. Nie mam czasu na kolejny atak hysterii.

* * *

Najniższy poziom składał się głównie z długiego korytarza tworzącego pierścień. Czerwonogwardziści roili się tam niczym muchy na końskim truchle. Wielkie, zabójcze muszyska uzbrojone w

łańcuchy, sieci i paralizatory. Żadna bójka nie miała tu szans nawet zaiskrzyć. Wewnątrz pierścienia, dokładnie pod Kotłem, znajdowała się sala treningowa. W ścianie korytarza ciągnął się rząd wejść do kwater gladiatorów, pomieszczeń, gdzie walczący oczekiwali na swoje starcia.

Jim oparł się o futrynę naszej kwatery, stojąc w progu niczym strażnik piekieł. Przechodzący gwardzista obszedł go szerokim łukiem.

Usiadłam na ławce. Wcześniej zwiedziłam wszystkie pomieszczenia. To, w którym się znajdowaliśmy, było długie i wąskie jak szyjka butelki. Nie posiadało drzwi wejściowych. Dwóch gwardzistów wystarczyłoby, żeby w razie kłopotów zatrzymać tu tuzin lub nawet więcej ludzi.

Po lewej niewielkie drzwi prowadziły do szatni mieszczącej trzy prysznicze oraz ławkę. Stąd też wchodziło się do toalety, trzech muszli oddzielonych przepierzeniami. Po drugiej stronie znajdowało się wejście do sypialni z ośmioma piętrowymi pryczami. W aktach Zakonu znalazłam informację, że podczas mistrzostw drużyny mieszkały tu przez trzy dni.

Ponad nami ryczał tłum, podniecony czyjąś śmiercią.

Opadły mnie wyrzuty sumienia. Zepchnięte w głąb świadomości poczucie winy czyhało tylko na odpowiedni moment, żeby wypłynąć. Powinnam ochronić Dereka. Na placu samotnie stawiał czoła napastnikom. Wiedział, co go czeka i że pomoc nie nadejdzie.

Ostatnim jego wspomnieniem było rozlewające się po twarzy płynne srebro.

Ze ściśniętym z żalu sercem szukałam w głowie jakichkolwiek słów, licząc, że rozmowa rozproszy przykre myśli.

- Mojemu ojcu by się tu spodobało. Ze wszystkich aren, na jakich z nim byłam, ta jest najlepiej wyposażona i chroniona.

Jim nie przestawał wpatrywać się w korytarz i śledzić wzrokiem gwardzistów.

- Co za ojciec zabiera dziecko w takie miejsca?

- Taki, który chce, by córka przywykła do widoku śmierci.

Można powiedzieć, że wszystko poszło zgodnie z jego planem.

- Ta. Papłania też cię nauczył?

- Nie. To twoja zasługa.

Zapadło milczenie. Przerwał je Jim.

- Mój ojciec nienawidził zabijania. Nie potrafił zabić nawet wtedy, kiedy powinien.

- Nie każdy wyrasta na potwora.

Kolejne wiwaty. Wrzask ucichł po chwili do poziomu zwykłego gwaru. Wyciągnęłam noże do rzucania i zaczęłam je czyścić.

- Był człowiekiem - odezwał się znowu Jim.

- Gromada go nie przemieniła? - Zwykle partnerzy zmiennokształtnych sami stają się zmiennokształtnymi.

- Nie.

A więc Jim był mieszańcem. Nie domyśliłabym się, szczególnie patrząc, z jaką nieufnością traktował obcych.

- Jak sobie radził w klanie?

Jim ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Jesteśmy kotami. Pilnujemy własnego nosa. Zaakceptowali go, bo był lekarzem. W Gromadzie nie ma ich wielu. Przyjaźnił się z Doolittle'em. Razem studiowali.

Przypomniałam sobie słowa Saimana. Mówił, że Jim zamordował współwięźnia i zabójcę ojca.

- Jak znalazł się w więzieniu?

- Dziecko rysiów zmieniło się w loupą. Mała dziewczynka, dziesięcioletnia. Alfy wtedy nie było na miejscu, więc przyprowadzili ją ojcu do uspienia. Humanitarna śmierć i tak dalej.

Kiedy zmiennokształtny staje się loupem, nie ma już odwrotu.

- Nie potrafił tego zrobić - ciągnął Jim. - Dał dziewczynce zastrzyk, żeby usnęła. Rodzinie powiedział, że chce zatrzymać ciało, aby poszukać przyczyn loupizmu. Uwierzyli mu. Ukrył ją w piwnicy, w klatce. Pobrał próbki tkanek i chciał znaleźć lekarstwo. Uwolniła się. Zabiła dwoje ludzi, zanim ją złapali. W tym ciężarną kobietę. Był proces. Dostał dwadzieścia pięć lat.

Jim nadal na mnie nie patrzył.

- Drugiego dnia odsiadki koleś z celi, David Stiles, dźgnął go w nerkę. Później odnalazłem tego faceta, zapytałem, czemu to zrobił. Dopilnowałem, żeby nie kłamał. Wiesz, co mi powiedział? - Jim odwrócił się do mnie. - Bo tak. Bez powodu.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

- Ojciec pomagał ludziom. Potraktował to złoupione dziecko jakby było normalne. Ja potraktowałem normalne dziecko jak loupą, a sześć lat później pozwoliłem pozbawić go twarzy. Doolittle mówi, że Derek umiera. Niewiele mu zostało czasu. Gdyby mój ojciec żył, splunąłby mi w twarz.

To była stara rana, którą rozdrapał i pozwolił mi zobaczyć. Nie potrafiłam dać Jimowi ukojenia, ale mogłam pokazać mu własną bliznę.

- Gdyby mój ojciec wiedział, że na własne życzenie i dla dobra drugiej osoby robię to, co robię, uznałby to za swoją porażkę.

- Dlaczego?

- Bo odkąd nauczyłam się chodzić, powtarzał mi, że muszę polegać tylko na sobie. Że nie wolno mi się angażować ani przywiązywać do drugiego człowieka, nawet do niego. Wysyłał mnie do lasu na parę dni z samym tylko nożem. Kiedy miałam dwanaście lat, zostawił w Labiryncie. Miesiąc włóczyłam się ze Złomiarzami. Kilkakrotnie zostałam pobita, dwa razy nieomal zgwałcona. - Złożyłam palce w symbol gangu Złomiarzy. - Nadal pamiętam, jak to się robi.

Jim tylko patrzył.

- Przyjaciele są niebezpieczni - powiedziałam. - Czujesz się za nich odpowiedzialny. Starasz się chronić. Chcesz im pomóc, ale za bardzo ci zależy i w następnej chwili rozpaczasz, że nie dałeś rady. Przez przyjaciół czujesz się bezradny. Dlatego ojciec chciał zrobić ze

mnie socjopatkę. Socjopata nie posiada zdolności empatii. Skupia się tylko i wyłącznie na swoich celach.

- Nie bardzo mu się udało - rzekł Jim cicho.

- Nie. Jego plan miał słaby punkt. Zależało mu na mnie. Pytał, co chcę zjeść na obiad. Wiedział, że lubię zielony kolor, i jeśli miał wybrać pomiędzy niebieskim i zielonym swetrem, kupował mi zielony, nawet jeśli kosztował więcej. Lubię pływać, dlatego podczas każdej podróży wyznaczał trasę tak, żeby przechodziła w pobliżu rzek lub jezior. Widziałam też, jak sam troszczy się o innych. Przy całej jego udawanej obojętności istnieje miasteczko w Oklahomie, które go cześci, i wioska w Gwatemali, gdzie postawili ojcu drewniany pomnik przy wejściu do osady, żeby chronił ich przed złymi duchami. Pomagał ludziom, jeśli uznawał, że tak trzeba. - Potrząsnęłam głową. - Wiem dokładnie, jaki obraz mnie stworzył sobie ojciec, i nigdy taka nie będę. Wcale nie chcę. Mam swoje zasady. Trzymam się ich. I tak jest wystarczająco ciężko. Jeśli to oznacza, że ojciec miałby mi splunąć w twarz, trudno.

* * *

Minęły dwie godziny, zanim w kwaterze pojawił się Saiman. Wkroczył energicznie, z zarumienioną twarzą.

- Pluskwa?

Jim podał mu mały, kolorowy krążek wielkości dwudziestopięciocentówki.

- To nadajnik - powiedział. - Im głębiej umieścisz go w trupie, tym lepiej. Wepchnij do gardła. Ważne, żeby go nie znaleźli.

Saiman wziął nadajnik i zniknął za drzwiami, zabierając po drodze pakunek.

Mijały minuty. W szatni rozległ się huk.

- Myślisz, że da radę? - zapytał Jim.

- Nie, ale nie mamy wyboru.

Siedzieliśmy w milczeniu. Ponad nami w Kotle coś zawyło, wprawiając sufit w głuchy rezonans.

- Zimno - stwierdził Jim.

Ja też to poczułam. Suchy, przenikliwy chłód mający źródło w pomieszczeniu, gdzie przebywał Saiman.

- Pójdę sprawdzić, co z nim - rzekłam, wstając.

Zapukałam. Zlodowaciałe drewno oparzyło mi palce.

- Saiman?

Żadnej odpowiedzi.

Pchnęłam skrzydło, które otworzyło się zapraszająco. Szatnia w kształcie litery L pozwalała zobaczyć tylko kawałek wnętrza i oświetloną błękitnym blaskiem magicznej latarni kabinę prysznicową z odsuniętą zasłonką. Z metalowego ramienia deszczowni zwisał sopel.

- Halo, jest tu kto?

Pod moimi podszwami chrzęściła warstewka lodu. Podeszłam do załomu, ostrożnie stawiając stopy na oszronionej powierzchni. Poślizgnęłam się, zatrzymując na ścianie, i wtedy go ujrzałam.

Siedział zgarbiony na ławce. Ogromne plecy wygięte w łuk podkreślający potężne mięśnie pod skórą tak białą, jakby nie

dopływała do niej krew. Splątane włosy opadały na ramiona niebiesko-zieloną grzywą, spod której wzdłuż kręgosłupa ciemniał pas sierści, ginący w zgrzebnych, spodniach z wilczej skóry. Nawet na siedząco był większy ode mnie, zbyt wielki, jak na człowieka.

- Saiman?

Stwór przekręcił głowę, zwracając na mnie przenikliwe, jasnoniebieskie oczy, zadumane, lecz pełne mocy. Przypominały dwa kawałki lodu skrzące się ogniem diamentu. Miał oblicze wojownika wyrzeźbione ręką mistrza, przerażające, emanujące siłą, arogancją, z domieszką okrucieństwa. Głęboko osadzone oczy ocieniały dodatkowo grube krechy błękitnych brwi. Wydatne kości policzkowe, szerokie nozdrza i szczeka tak potężna, że z łatwością pewnie miażdżyła kości. Zniknął filozof, wykwintny erudyta, perorujący na temat znaczenia luksusu. Ławka ugięła się pod ciężarem prymitywnej, zimnej i prastarej niczym lód istoty.

Miałam ochotę skryć się przed tym wzrokiem, podeszłam jednak do ławki i usiadłam. Nawet nie drgnął. Musiałam przy nim wyglądać jak niemowlę.

- To twoja forma pierwotna? - odezwałam się cicho.

- Taki się urodziłem. - Niskie, głębokie brzmienie głosu przypominało głuchy ryk.

- A ten złoty tancerz z dachu?

- Taki mogłem być. Taki powinienem być. Płynie we mnie wystarczająco dużo jego krwi, by z łatwością przybrać ten kształt, ale

nie oszukuję się. To prawdziwy ja. Nie wyprę się swojego pochodzenia.

W tej kwestii zgadzaliśmy się całkowicie.

Na górze coś łupnęło. Wybuchł wrzask widowni. Saiman zadarł monstrualny łeb.

- Boję się. Ironia, nieprawdaż? Cóż za absurd. Uniósł potężne ramię, porośnięte srebrnobłękitnymi włosami. Jego palce drżały.

- To normalne - powiedziałam. - Tylko szaleńcy nie czują strachu przed walką. Brak im świadomości, czym jest umieranie.

- Czy ty się boisz, Kate?

- Zawsze.

- Dlaczego więc to robisz?

Westchnęłam.

- Strach to ból. Rani. Pograżam się w nim, wykorzystuję jak ośkę do ostrzenia miecza. Staję się dzięki niemu lepsza, bardziej skoncentrowana. Ale nie mogę bać się zbyt długo, bo lęk wysysa ze mnie siły.

- Jak go pokonujesz?

- Zabijam.

Błękitne oczy nabrały dziwnego wyrazu. Pojawiło się w nich przerażenie zmieszane z zaskoczeniem.

- To wszystko? Żadnych szlachetnych pobudek?

- Nie zawsze istnieją szlachetne pobudki. Zwykle jest po prostu jakiś powód. Konieczność ocalenia kogoś lub czegoś. Przyjaciela, kochanka, niewinnego, który nie zasłużył na cierpienie. Czasem to

całkiem egoistyczny powód. Własne bezpieczeństwo, dobre imię, zdrowe zmysły. Innym razem to praca. Ale decyzja o podjęciu walki, a sama walka to dwie różne sprawy.

- Jak możesz żyć w ten sposób? To musi być straszne.

Wzruszyłam ramionami.

- Podobnie jak ty nie mam złudzeń. Zostałam poczęta, urodzona i wychowana w jednym celu: aby stać się perfekcyjnym zabójcą. I to właśnie robię. - Żeby na koniec zabić Rolanda, najpotężniejszego człowieka na ziemi.

- Już czas - odezwał się Jim zza drzwi.

Saiman westchnął ciężko, wstając. Głową sięgał sufitu. Grubo ponad dwa i pół metra. Nieźle.

- Wolisz Asa?

Słowa te uderzyły mnie jak grom. Kawalki informacji ułożyły się w całość. Saiman, złoty w czasie rozbłysku, tańczący na dachu, świętujący „czas bogów”, łatwość przemian, narcyzm, wybujałe ego i teraz ogromny potwór, gigant. Zagapiłam się na niego oszołomiona. Nie powinien w ogóle istnieć.

- Tamtą formę, Kate? Podoba ci się?

- Tak - rzekłam, zmuszając się do zachowania spokoju. - Więc jak? Jesteś bogiem czy twój przodek popełnił jakiś mezalians z człowiekiem?

Po raz pierwszy się uśmiechnął, odsłaniając zębiska, których nie powstydziliby się niedźwiedź polarny.

- W ćwierci. To wystarczy. Reszta to lód i człowiek.

Schylił się, podnosząc pakunek. Płótno odwinęło się, ukazując ponadmetrowej długości maczugę nabitą metalowymi kolcami grubości mojego palca. Garbiąc się, przeszedł przez drzwi. W tym momencie usłyszałam jęk zaskoczenia, który wyrwał się z ust Jima.

Saiman nie zatrzymał się, wychodząc na korytarz krokami dwukrotnie dłuższymi od moich. Jim stał pod ścianą z obnażonymi zębami.

- Chodź. - Zabrałam Zabójcę i podążyłam za Saimanem.

Przechodziliśmy szpalerem wciśniętych w ściany czerwonogwardzistów.

- Czym on, do diabła, jest? - syknął Jim, doganiając mnie.

- Wikingowie - wydyszałam, puszczając się biegiem.

- Co: wikingowie?

- Asowie, bogowie nordyccy.

- Nic mi to nie mówi.

Przed nami majaczyły Złote Wrota. W jasnym prostokącie widziałam Kocioł i morze widzów. Saiman przystanął w cieniu z maczugą na ramieniu.

- Powiedział, że jest w jednej czwartej Asem, co oznacza prawdopodobnie, że babką była bogini wikingów. Ale tylko jedno nordyckie bóstwo miało umiejętność zmiany formy i nie było Asem. To Loki, oszust, kłamca, gigant, który stał się bogiem. Saiman jest wnukiem dwóch bóstw nordyckich.

Saiman przerzucił maczugę do ręki z łatwością dziecka wymachującego plastikową pałką baseballową i przestąpił wrota, wkraczając w krąg światła.

Tłum zamarł. Cisza się przeciągała, oniemiaли ludzie potrzebowali czasu, żeby pogodzić się z widokiem ponaddwupółmetrowego humanoida. Saiman nie czekał. Z maczugą w ręku wszedł do Kotła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Rozpruwacz czekał na drugim końcu piaszczystej łąchy. Nieludzko wielki, nadmiernie umięśniony, miał sylwetkę mistrza sztangi wagi ciężkiej. Budową przypominał karykaturalnie atletyczną figurkę z komiksów. Stając z nim do walki, musiałabym uderzać w stawy, a gdyby się napiął, miecz mógłby nie przeciąć takiej masy mięśni.

Rozpruwacz nie miał na sobie nic poza butami. Całe jego ciało pokrywały skomplikowane linie wzorów. Uzbrojony był w dwa ogromne topory, ostre jak brzytwa i w założeniu dwuręczne.

Saiman wszedł na piasek wolnym, pewnym krokiem. Przerastał przeciwnika bez mała o głowę, co tamtemu dawało jakieś dwa trzydzieści metra wzrostu. Mimo tej różnicy ważyli na oko tyle samo. Tors Saimana znaczyły linie żeber, tamten nie dałby rady podnieść monety z ziemi, nie klękając.

Czerwonogwardzista zatrzasnął bramkę ogrodzenia i umknął pod ścianę.

Wraz z zamknięciem furty determinacja Saimana wyparowała. Zaczęły drżeć mu ramiona. Objął się, chcąc je opanować. Wyczuwałam jego przerażenie z daleka. Rozpruwacz także to dostrzegł i wyszczerzył się, odsłaniając zęby. Były spiłowane w szpic

jak u rekina. Zapach krwi i rozgrzanego piachu wypełnił mi nozdrza. Zmrużyłam oczy, ruszając w stronę Kotła... I odbiłam się od szerokiej piersi strażnika.

- Stój. Jeśli przekroczysz Wrota, twój zawodnik przegra walkowerem.

To nie była moja walka.

Oparłam się o złoty łuk. Jim stanął obok. Teraz wszystko leżało w rękach Saimana.

Rozpruwacz podrzucił jeden z toporów; ostrze zamigotało w błękitnym blasku magicznych latarni. Pochwycił broń z niewiarygodną szybkością. Tłum ryknął zachwycony.

Przez salę przetoczył się dźwięk gongu. Kiedy zamarł, Saiman zerknął na nas.

- No, chodź - wychrypiał Rozpruwacz z akcentem, którego nie rozpoznałam. Potrząsnął toporem. - Dalej! Zaraz skrócę cię o głowę.

Saiman zawahał się.

- Chodź!

Saiman odwrócił się do mnie. Oczy płonęły mu lękiem. Pożałowałam, że zgodziłam się na ten dumny pomysł. Nie był wojownikiem. Same gabaryty nie wystarczą. Jeśli nie posiadał odwagi, by zabić w obronie swego życia, był tylko wielkim trupem.

- Dalej - szepnęłam. Pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy. Kiedy tylko przełamie strach i zada pierwszy cios, pójdzie łatwo. Ale musiał się ruszyć.

Rozpruwacz wzniosł ramiona, jakby pytał widownię o wyjaśnienie. Rozległy się gwizdy i okrzyki, początkowo pojedyncze, szybko ogarnęły salę, zmieniając się w hałaśliwą burzę.

Rozpruwacz podniósł topór. Ryk ucichł.

- Posiekam cię - oznajmił.

Natarł, wymachując ostrzem. Saiman cofnął się o krok. Rozpruwacz wykrzywił usta pogardliwie, nie zwalniając. Twarz zniekształcił mu paskudny grymas. Zaatakował.

Saiman uchylił się, ale ostrze lewego topora drasnęło mu udo. Lodowobiałą skórę zabarwiła krew. Na potwornym obliczu Saimana odmalowało się oszołomienie. Przeciwnik zatrzymał się, pławiąc w wiwatach.

Saiman spoglądał na sączącą się krew. Jego usta zadrżały, brwi ściągnęły się, a w oczach pojawiły niebezpieczne ogniki.

Ból. Zdałam sobie sprawę, że to właśnie ból był bodźcem, który działał na Saimana. Saiman bał się bólu, a teraz, kiedy go doświadczył, zrobi wszystko, aby się to nie powtórzyło.

Ze straszliwym rykiem zamachnął się maczugą. Rozpruwacz odskoczył, pałka uderzyła w ziemię, wzbijając fontanny piasku. Nie zatrzymując się, Saiman poderwał broń i ruszył do ataku. Rozpruwacz zrobił unik, o włos unikając rozerwania twarzy kolcami. Uchyłał się to w prawo, to w lewo, ale Saiman wywijał maczugą, jakby nic nie ważyła. Topornik zaczął uciekać.

Błyszczące oczy Saimana wypełniła pustka. Rycząc wściekle, gonił przeciwnika po całym Kotle. Ogarnęła go ślepa furia, nie

pozostawiając miejsca na myśli. Nie miałam pewności, czy w ogóle wie, gdzie się znajduje i co robi, ale na sto procent wiedział jedno: że musi zabić Rozpruwacza.

- Zamroź go - mruknął Jim. - Zamroź.

Nasze spojrzenia spotkały się. Jim pokręcił głową. Jak wojownicy z podań nordyckich, Saiman był pod wpływem berserka. Nie pamiętał nawet, że posiada magię.

Rozpruwacz zatrzymał się, odchylił, unikając ciosu, a potem sam zamachnął toporem na rękojeść maczugi, chcąc zbić Saimana z nóg. Dobrze pomyślane. Zamach Saimana wzmocniony uderzeniem powinien przeważać go w przód, odkrywając ramię i bok.

Topór zderzył się z pałką. Lód przeskoczył na ostrze, wpełzł przez drzewce i zmroził pięść topornika. Rozpruwacz wrzasnął. Zadał rozpaczliwy cios w łokieć Saimana, ale ten puścił broń, ciskając przeciwnika na ogrodzenie. Rozpruwacz uderzył o siatkę tuż przy nas. Nie zdążył się nawet odbić. Saiman przyskoczył do niego z twarzą wykrzywioną obłędem, splótł dłonie w jedną wielką pięść i grzmotnął w czaszkę Rozpruwacza jak młotem.

Rozpruwacz uchylił się w ostatniej chwili i cios opadł na jego bark. Trzasnęły kości. Topornik ryknął z bólu. Saiman chwycił go za ramiona, potrząsnął jak lalką i uderzył czołem w twarz. Trysnęła krew, zamazując rysy Saimana. Błyskawicznie przyparł oszołomionego przeciwnika do siatki, zasypując gradem potężnych razów.

Ogrodzenie zaskrzypiało, wyginając się lekko. Każdy cios wbijał plecy Rozpruwacza w siatkę, zostawiając w skórze romboidalne wgłębienia. Głowa zwisała bezwładnie, podskakując w rytm uderzeń. Saiman nie przestawał tłuc pięściami, warcząc, nieświadomy krwawej masy tkanki i kości, pokrywającej mu dłonie. Drut wrzynał się w ciało Rozpruwacza coraz głębiej.

- Przetrze kolesia przez to ogrodzenie jak przez sito - mruknął Jim.

Tłum oniemiał wstrząśnięty brutalnością ataku. W ciszy niesło się echo ciężkiego oddechu Saimana, wściekłych chrząknięć i głuchych uderzeń.

Odwróciłam się do strażnika.

- Rozpruwacz jest martwy, zabierzcie go.

Gwardzista spojrzał na mnie jak na wariatkę.

- Zgłupiałaś? Nikt nie wejdzie teraz do Kotła. Każdy skończyłby tak, jak ten tutaj.

Jednemu ze stojących za nami strażników wyrwał się jęk:

- Chryste...

Nie pozostało nam nic poza obserwowaniem, jak zatracony w amoku Saiman wyładowuje swoje przerażenie i gniew na kawałku mięsa, które niegdyś było Rozpruwaczem.

Kilka minut później magia opadła gwałtownie i Saiman odstąpił wreszcie od swojej ofiary. To, co zsunęło się na piasek, w niczym nie przypominało człowieka. Było mokrą, czerwoną, miękką stertą tkanek, w której jedyny stały element stanowiły czarne buty.

Saiman podniósł maczugę. Szaleństwo zniknęło z jego oblicza. Rozejrzał się, potrząsając głową, jakby zaskoczony swoją obecnością w tym miejscu. Wreszcie uniósł broń w geście zwycięstwa.

Rozległ się pojedynczy, męski głos:

- Brawooooooooooooo!

Trybuny eksplodowały burzą okrzyków.

Saiman obrócił się uniesiony falą wiwatów i zachwiał, urażając zranioną nogę. Był bliski zdobycia tytułu jedynego człowieka ze zdolnością regeneracji, który wykrwawił się na śmierć.

- Tędy! - wydarłam się, wymachując rękoma. - Chodź tutaj!

Saiman zatoczył się oszołomiony.

- Tu! - wrzasnął Jim, przekrzykując tłum i zapewne uszkadzając mi bębenki. Wetknęłam palec do ucha i pokręciłam nim.

Saiman odwrócił się w końcu w naszą stronę. W jego oczach zapaliły się iskry świadomości. Pokulał ku nam, wlokąc za sobą maczugę. Strażnik uchylił bramkę i odskoczył natychmiast jak oparzony. Saiman przystanął przy ogrodzeniu. Na litość boską!

- Tędy! - Pomachałam do niego. - Tutaj! Utykając, przeszedł przez furkę, podpierając się maczugą, i byłby upadł u naszych stóp, gdyby Jim go nie podtrzymał. Naraz zaroilo się wokół od gwardzistów. Otoczył nas czerwono - czarny, żywy mur.

- Utrata krwi - jęknął Saiman.

- Następnym razem pamiętaj, żeby się uleczyć - prychnął Jim, starając się go utrzymać.

- Wygrałem.

- Tak, wygrałeś - potwierdziłam. - Świetnie się spisałeś.

Saiman upuścił zakrwawioną maczugę. Podniosłam ją, uginając się pod ciężarem. Ważyła ze trzydzieści kilogramów. Dźwignęłam pałkę na ramię.

Ruszyliśmy korytarzem, posuwając się wolno w kręgu gwardzistów.

- Podłożyłeś pluskwę? - mruknął Jim.

- Tak. Wepchnąłem pod zebra. Muszę usiąść.

- Trzymaj się, jesteśmy prawie na miejscu. - Na twarzy Jima nie było znać wysiłku, ale napięte mięśnie drgały pod skórą.

- Już po wszystkim - jęknął Saiman. - Tak się cieszę, że już po wszystkim.

* * *

- No dobrze, panowie.

Chciałam zauważyć, że nie jestem panem, ale ton Rene wyraźnie sugerował, żeby nie przerywać.

Zlustrowała nas wzrokiem. Saiman siedział na podłodze, oparty o ścianę. Wypił kilka litrów wody, nim krwawienie ustało. Rana zasklepiła się i teraz gigant odpoczywał z zamkniętymi oczyma. Jim stał obok, postawą zniechęcając do naruszania swojej przestrzeni osobistej. Czterech gwardzistów blokowało wyjście z kwater. Dwóch kolejnych czaiło się za Rene, obserwując nas bacznie niczym złodziei u jubilera.

- Rozpruwacze to nowa drużyna. To ich pierwsza strata.

Druga, wliczając faceta na parkingu.

- Zrobimy to regulaminowo. Rozpruwacze zostają. Macie godzinę na opróżnienie kwatery i wyjście. To da wam sporą przewagę. Dobrze radzę, nie zwlekajcie. Zależy nam, żeby uniknąć nieprzyjemnych wypadków poza Kotłem.

W korytarzu zrobił się ruch.

- Rozpruwacze chcą złożyć gratulacje.

- Zwariowaliście?! - oburzyłam się, stając pomiędzy wejściem a Saimanem z mieczem w ręku. Nie pamiętałam nawet, kiedy po niego sięgnęłam.

- To tradycja. Ma dwudziestoletnią historię i nie będziemy robić wyjątków - rzekła Rene.

Strażnicy rozstąpili się, przepuszczając Marta i Cesare'a. Rene i gwardziści wyglądali jak psy, które właśnie zwietrzyły jelenia.

Mart spojrzał na mnie swoim martwym wzrokiem.

- Gratulujemy zwycięstwa - zadudnił Cesare.

- Ślicznie. Pogratulowaliście - powiedziała Rene spokojnie. - A teraz wynocha.

Mart nie spuszczał ze mnie oczu.

- Wynocha, już - powtórzyła Rene z naciskiem.

Odwracając się, cisnął we mnie niewielkim patykiem. Uchyliłam się, ale niepotrzebnie. Jeden ze strażników zasłonił mnie ostrzem, przecinając przedmiot w locie. Na podłogę spadły dwie części mojej ozdoby do włosów. Pamiątka, którą zostawiłam po sobie w ciele człękowęża.

Czubek rapiera Rene spoczywał na krtani Marta.

- Jeszcze jedno takie zagranie, a zostaniecie zdyskwalifikowani.

Mart uśmiechnął się do mnie uroczo i radośnie.

Wyszczrzyłam się do niego. Spróbuj.

Uklonił się lekko, nie zważając na grożące mu ostrze. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Rene podążyła za nim jak cień.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Odprowadziliśmy wielkoluda do apartamentu Duranda, wyjaśniając po drodze, że szacowny członek Izby życzy sobie poznać zwycięzcę. Saiman natychmiast padł na królewskie łoże. Jego ciało zadrgało, przybierając oficjalną postać, w której występował w Arenie. Kiedy zasnął, okryłam go kocem i razem z Jimem opuściliśmy pokój.

Wydostaliśmy się z budynku bez przeszkód. Dosiedliśmy koni, kierując się do centrum.

Jim jechał jak mumia - sztywny, ze ściągniętymi łopatkami, starając się, o ile to możliwe, nie poruszać żadną częścią ciała.

- Temu wierzchowcowi należy się medal za cierpliwość - oświadczyłam i zostałam natychmiast obrzucona gradem przekleństw.

Spędziłam dużo czasu w towarzystwie Jima, zdołałam więc wyłowić spomiędzy tyrady wulgaryzmów sens wypowiedzi - gdyby wiedział o przyplywie techniki, wziąłby samochód zamiast dwóch ochłapów mięsa o kościstych kończynach i skłonnościach do hysterii.

Objechaliśmy centrum, zmierzając ku południowym obrzeżom Zaułka Jednorozca. Rozpruwacze zawsze udawali się tam prostą drogą, na północ. Istniała możliwość, że wyczują nasz zapach, ale nie powinni nic podejrzewać, skoro jechaliśmy w przeciwną stronę.

Na miejsce dotarliśmy nieco po czwartej. Mieliśmy jeszcze sporo czasu do świtu. Przed nami, niczym ropiejąca rana w strukturze miasta, ciągnął się Zaułek. Zrujnowane biurowce, pochyłe, wybebeszone, otoczone stertami gruzu, przypominały wraki tonące we wzburzonym morzu asfaltu. Blask księżyca migotał na tysiącach odłamków pogruchotanych szyb. Z nieczynnych linii wysokiego napięcia zwisały żółte firany mchu żerującego na metalu.

Parę przecznic od Zaułka droga zrobiła się za trudna dla koni. W przeciwieństwie do północnego krańca, gdzie niektóre ulice wiodły w głąb dzikiego terytorium, tutaj przejścia blokowały rumowiska, tworzące wyspy gruzu na rzekach ścieków. Smród wyciskał mi łzy z oczu. Nigdy nie odczuwałam palącej potrzeby wsadzania nosa w brudną pieluchę, ale wyobrażałam sobie, że efekt byłby podobny.

Z cienia wyłonił się mężczyzna. Rozpoznałam dingolaka. Wręczył Jimowi kluczyki do samochodu.

- Wyprzedzili was - powiedział ochryple. - Jakies pół godziny temu. Przybyli od północy, jechali około półtora kilometra i zatrzymali się.

Jim kiwnął głową, dingolak zabrał konie i zniknął, roztapiając się w mroku. Podążyłam za Jimem do jednej z ruin. W środku stał jeep Gromady. Mój towarzysz wsiadł i taśmą przykleił do deski rozdzielczej niewielki ekran. Na wyświetlaczu pojawiła się zielona siatka z zarysem ulic Zaułka. Mniej więcej pośrodku mapy pulsowała kropka.

- Szybcy są, skubańcy - skrzywił się Jim. Rozpruwacze dotarli tu pierwsi, mimo naszej godzinnej przewagi. Fakt, jechaliśmy okrężną drogą, ale i tak poruszali się z nadludzką prędkością.

Jim zdjął płaszcz i podał mi niewielkie prostokątne pudełko. W środku znajdowały się farbki maskujące w trzech kolorach, każda w osobnej przegródce. Na wieczku przyklejono nawet lustro. Większość barwników camo występowała w formie sztyftów tak twardech, że trzeba było cholerstwo rozcierać w palcach, żeby je rozgrzać, a i tak smarowanie się nimi przypominało szorowanie po twarzy watą szklaną.

- Fajne cacko.

- Mam wejścia - uśmiechnął się Jim.

Rozprowadziłam na policzkach i czole brązową szminkę, dodając parę nieregularnych szarych i zielonych plam, starając się zatrzeć rysy. Jim pomalował się błyskawicznie, nie patrząc w lustro.

Kropka na wyświetlaczu nie drgnęła.

Sprawdziłam zapasy przy pasie, bandaże, plastry, zioła. Zestawu regeneracyjnego nawet nie brałam. Te środki nie zawsze działały jak trzeba. Trudno powiedzieć, jak zachowałyby się w Zaułku. Mogły im wyrosnąć zęby i straciłabym kawałek skóry. Wolałam leczyć rany tradycyjnymi metodami. Wyszliśmy z samochodu, ruszając drogą równoległą do Zaułka.

Pół godziny później dotarliśmy pod wykręcony plastikowy szkielet reklamy dawno zapomnianych kosmetyków. Znajdowaliśmy się jakieś osiemset metrów na południe od kropki. Jeszcze kawałek i

moglibyśmy natknąć się na wartowników Rozpruwaczy. Nie mieliśmy pewności, że takowych w ogóle mają, jednak nie mieliśmy również pewności, że nie. Teraz czekało nas wejście do Zaułka Jednorożca. Dobrze, że przynajmniej trwał odpływ magii.

- Chcesz iść pierwszy? - zaproponowałam.

- Nie, ty przodem, ja za tobą.

W Zaułku moje wycucie magii było lepsze.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek dożyję tego dnia.

- Nie mów hop, dzień jeszcze daleko.

Nie mógł sobie odpuścić.

Przed nami leżała sterta mokrych, lśniących od rosy głązów.

Prześlizgnęłam się pomiędzy nimi.

Niczego nie dotykaj.

Nie myśl.

Zaufaj zmysłom.

Wiedziałam, że Jim idzie dokładnie po moich śladach. Zatrzymałby się natychmiast, gdybym stanęła.

Zagłębiliśmy się w wąską uliczkę, omijając kupy śmieci. Z pasm wiszącego nad nami mchu kapał korodujący śluz.

W dziurze po oknie na pierwszym piętrze budynku po prawej rozjarzyła się para ślepi. Wąskie, pozbawione tęczówek, szkarłatne źrenice śledziły każdy nasz ruch, ale ich właściciel nie uczynił nic, co wskazywałoby, że zamierza za nami iść.

Obeszliśmy kolejną stertę gruzu, za którą leżała metalowa klatka. Wystarczająco duża, by pomieścić człowieka, lśniła nowością.

Żadnej rdzy czy zadrapań. Szłam dalej, nie spuszczać klatki z oka. Ścieżka była na tyle wąska, że musieliśmy przejść obok niej.

Siedem metrów.

Pięć.

Trzy.

Poczułam niepokój. Przystanęłam.

Klatka wystrzeliła w górę, otwierając się jak kwiat. Pręty zadrzały, metal rozplynał się, przemieniając w owadzie odnóża uzbrojone w ostre szpony. Ciemny kształt okryty czarnym pancerzem rzucił się na nas, z wyraźnym zamiarem rozdarcia pazurami.

Pochyliłam się, wbijając mu miecz w podbrzusze.

* * *

Wczołgałam się w cień bramy najbliższej ruiny. Jim, okryty mrokiem niczym płaszczem, wyłowił z kieszeni niewielką fiolkę. Podciągnęłam koszulę na plecach i poczułam piekącą wilgoć środka dezynfekującego wżerającego się w ranę. Usłyszałam cichy trzask oddzieranego przylepca. Jim przyłożył gazę do rany i umocował ją plastrem. Nie miałam zamiaru zostawić w Zaułku ani kropli krwi. Biorąc pod uwagę moje pokręcone pochodzenie, z pewnością by eksplodowała.

W ciągu półgodzinnej podróży po Zaułku zostaliśmy zaatakowani już czterokrotnie, za każdym razem przez istoty, których nie potrafiłam nawet nazwać. Koszula Jima wisiała w strzępach. Jego rany zasklepiały się szybko, ale krwawe smugi na materiale dowodziły, że mocarne ciało doznało niejednego uszczerbku.

Opuściłam koszulę i spojrzałam w górę. Ponad nami zobaczyłam duży budynek. Nie hotel ani biurowiec, te zwykle pięły się wzwyż, a kiedy upadały, waliły się jak kłody lub rozpadały od dachu, piętro po piętrze, ścierane na proch szczękami magii. W przeciwieństwie do nich pobliska budowla była długa i dość niska. Pasaż handlowy? Jeden z sieciowych domów towarowych, które już nie istniały, jak Sears czy Belks?

Budynek o spłowiałym tynku stał pomiędzy przecznicami. Dach i górne piętro zostały pożarte przez magię. Powykręcane stalowe zbrojenia sterczały z murów jak kości na wpół rozłożonego truchła. Przez szczeliny prześwitywała zieleń. Popatrzyłam na Jima, który kiwnął głową. To musiała być baza Rozpruwaczy.

Przyczailiśmy się.

Pięć minut.

Kolejne pięć. Niebo posiniało, zwiastując niedaleki wschód słońca. W burej szarówce przedświtu widoczna przez szpary zieleń nabrała kształtów. Drzewa. Z tego, co wiedziałam, w Zaułku nie było żadnych parków. Skąd więc te drzewa?

Przedzieranie się przez gąszcz do jaskini Rozpruwaczy byłoby szczytem głupoty. Nie miałam ambicji osiągnięcia tego szczytu. Już lepiej wdrapać się po murze na najwyższe piętro i zbadać teren.

Siedzieliśmy, nasłuchując. Obserwując. Czekaając.

Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Dotknęłam nosa. Jim pokręcił głową. Nie wyczuł nic szczególnego. Magia uderzyła w nas gwałtowną falą. Brutalna moc przetoczyła się po całym Zaułku.

Nadeszła, wyciskając mi dech z płuc, i zwolniła, popadając w zwodniczy zastój. Nie za dobrze.

Ciszę rozerwał głuchy grzmot.

Jim syknął.

Po chwili zza muru dobył się kolejny ryk, jakby wielka trąba chciała zagrać fanfary, lecz wydusiła z siebie jedną potężną nutę, nasyconą tak silną magią, że poczułam jej dotyk na skórze. Nieruchomą szarość przedświt zburzyło stłumione tornado hurgotu. Słyszałam ten dźwięk wielokrotnie, ale tylko w kinie. Brzmiał jak ryk silnika samolotu.

Przemknęłam na drugą stronę ulicy. Jim popędził za mną, skoczył na mur i wspiął się po nim jak jaszczurka. Dobrze być kotołakiem. Dopadłam ściany i, wczepiając się w pęknięcia tynku, chwytając żebrowania, rozpoczęłam wędrówkę w górę.

Jim dotarł na szczyt budynku, do zrujnowanej ściany i nagle krzyknął ostro, boleśnie. Szarpnął ramionami do tyłu, wygiął się i stracił oparcie pod stopami. Zawisł w powietrzu, rzucając się konwulsyjnie.

Zdwoiłam wysiłki. Wreszcie zaczepiłam palcami o skraj ściany szczytowej. Tynk odpadł pod moim ciężarem. Zsuwając się, zdołałam chwycić wystający pręt i podciągnąć się z powrotem.

Poczułam dziwne szczypanie, jakby jęzor ostrego papieru ściernego zlizywał z mojego ciała naskórek. Zdarł warstwę z twarzy, spod ubrań, spomiędzy palców, z wnętrza ucha, nozdrzy i powiek.

Zakęcie ochronne. Rozpruwacze założyli na szczycie budynku magiczną pułapkę. Sprytnie. Nie wyczułam jej i wpadliśmy w nią oboje.

Magia piekła boleśnie, wżerając się w każdy milimetr skóry i unosząc do góry. Krzyknęłam, ale natychmiast zasłoniłam wypełniające się ogniem usta.

Ogłuszył mnie szybki, rytmiczny łomot własnego serca. Czułam się rozdzierana, pochłaniana kawałek po kawałku. Niezdolna do obrony, miotalam się na niewidzialnej nici. Ubranie wiszącego obok Jima rozrywało się, odpadając strzępami.

Trudne sytuacje wymagają podejmowania trudnych decyzji. Wyrzuciłam z siebie słowo mocy. *Dair*. Uwalniam cię.

Magia wyrwała się ze mnie, zalewając falami bólu, jakbym wyszarpnęła sobie wnętrzności. Zamroczone, poczułam w ustach smak krwi. Osłona rozpadła się, znikając. Uderzyłam stopami w solidny mur i zamarłam, bojąc się ruszyć. Trzęsłam się jeszcze przez chwilę, dochodząc do siebie.

Używanie słów mocy podczas rozbłysku było proste. Teraz, przy tak niskim poziomie magii, wypowiedzenie w krótkim czasie kolejnego mogło kosztować utratę świadomości.

Coś wylądowało obok. Silne dłonie pochwyciły mnie, podtrzymując; ostre pazury zadrapały skórę. Jim.

Ciemność przed oczyma rozproszyła się i ujrzałam wpatrzona we mnie zielone ślepie. Jim odwrócił się, wskazując na drzewa. Powiodłam wzrokiem za jego palcem i jęknęłam.

Rozległa, zalesiona dolina rozciągała się szeroko, ścieląc aż do podnóża majaczących w oddali błękitnych szczytów. Zieleń upstrzona była gdzieniegdzie szarymi wypukłościami omszałych skał. Rosnące tu drzewa osiągały niewiarygodną wysokość, a ich korony tworzyły gęsty stelaż dla kwitnących obficie pnączy. W zieloności, niczym klejnoty, migotały ptaki. Wiatr pachniał kwiatami i czystą wodą.

Obejrzałam się przez ramię. Miejskie cmentarzysko. Spojrzałam przed siebie - bajkowa dżungla. Dolina pomieściłaby ze trzy Atlanty.

Podczołgałam się do ściany. Czy to jakiś inny wymiar? Ukryta, przesycona magią rzeczywistość? Portal do alternatywnego świata? Skoro Rozpruwacze zadali sobie tyle trudu, żeby zastawić magiczną pułapkę, która zabijała każdego intruza, to miejsce musiało być dla nich niezwykle ważne. Może to ich dom?

Jim pokręcił głową, wciągając w nozdrza powietrze tak, jak czynili to zmiennokształtni, chcąc uchwycić zapach. Naraz zaszła w nim niesamowita zmiana. Kontury ciała zadrgały, rozplynęły się, wygładzając pod wpływem tchnienia dżungli. Zwykła kanciastość formy bojowej nabrała wdzięku i elegancji, niczym idealnie wyważony sztylet, jego ludzka i zwierzęca część osiągnęły równowagę. Na futrze pojawiły się złotawe refleksy, przy których ciemne znaczenia wyglądały jak z czarnego aksamitu. Rozwarł szczęki, a z jego gardła dobył się niski, miękki warkot przypominający mruczenie. O ile wielkie koty w ogóle mruczą.

Przerwał je odgłos grzmotu.

Na wschodzie, spomiędzy drzew wynurzała się złota budowla. O kwadratowym obrysie, którego kąty podkreślały masywne wieże ze srebrzystymi kopułami, wyglądała jak pałac. Mury parteru mieniły się bogactwem rzeźbień i lśniących metalicznie zdobień. Piętro opasywały krużganki, szerokie, subtelne łuki podtrzymywane smukłymi kolumnami połączonymi niską, ażurową barierką. Dach budynku porastał kwitnący ogród, egzotyczna feeria barw, przy których bladło nawet piękno dżungli. Osobliwe drzewa rozpościerały konary obwieszane szkarłatnymi girlandami winorośli. W kipiącym od barw kwietnym kobiercu lśniły ozdobne sadzawki.

Grzmot narastał. Mirażowy pałac, bucząc, płynął wzwyż, wznosił się ponad korony drzew, szybował ku niebu. Spod fundamentów dobywała się chmura pary, ciągnąc się za budynkiem jak biały welon. Po chwili pałac zniknął nam z oczu, pozostawiając na niebie dodatkowy obłok.

Zamrugałam kilkakrotnie, po czym wyciągnęłam do Jima rękę.

- Uszczypnij mnie.

Auć. Poczułam na skórze ostre pazury.

Oblizalam czerwone kropki na przedramieniu, czując na języku ostry smak magii. Tak. Nie śnię. Naprawdę widziałam odlatujący złoty pałac.

W miejscu gdzie stał budynek, została niewielka polana. W morzu zieleni widniały jasne budowle, tarasowe dachy, wielkie wrota i mająca w oddali kamienna iglica.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - mruknęłam.

- Powinniśmy iść w odwiedzin. Zgłodniałem. Omal nie spadłam ze szczytu budynku. Jim nie potrafił mówić w formie przejściowej. Przynajmniej do teraz. Wielkie szczęki zniekształcały słowa, ale dało się go zrozumieć.

- Dżungla ci służy.

- Czuję się tu jak w raju.

- Wiesz, że jak tam zejdziemy, to możemy nie wyjść z tego raju?
Jim wzruszył ramionami.

- No to sru.

Spojrzałam pod nogi, szukając podparcia dla stopy.

Nagle opasało mnie silne ramię. Jim odbił się od skraju i w następnej chwili szybowaliśmy ponad ziemią. Serce skoczyło mi do gardła. Wpadliśmy w zieloną strzechę, lądując na grubym konarze. Przypomniałam sobie o oddychaniu.

- Następnym razem będę wdzięczna za uprzedzenie.

Jim wydał z siebie chrapliwy dźwięk, podejrzenie przypominający rechot.

- Witajcie w dżungli.

* * *

Roślinność była bardzo gęsta. Smukłe drzewa o owalnych liściach, rozłożyste korony, teki oplątane figowcami. Krzewy uginające się pod ciężarem różowych i fioletowych kwiatów przypominających storczyki. Ciemne, chropowate pnie akacji o zwisłych kwiatostanach wydzielających ciężką, słodkawą woń. Wysokie, powykręcane drzewa, których gałęzie usiane gęsto jaskrawopomarańczowymi

kwiatami wyglądały, jakby stały w płomieniach. Wszystko połączone pajęczyną pnączy, rozsiewającą delikatny jaśminowy aromat.

Staralam się poruszać cicho, ale Jim raz czy dwa pokazał mi zębiska. Sam przemykał w gąszczu na miękkich łapach, sunąc pomiędzy zaroślami niczym zwiewna, śmiercionośna zjawa.

Wspięliśmy się na niewysoki pagórek, przystając na jego szczycie. Przed nami rozciągało się starożytne miasto. Rozpadające się budowle zajmowały przestrzeń rozległej polany. Ruiny domów i pawilonów sterczały jak granitowe wyspy pośród morza zielonej trawy. Szeroka, wybrukowana gładkimi kostkami droga przebiegała ukośnie przez miasto, prowadząc do wielkiego placu. Na odległym krańcu polany majaczyła sylwetka wieży. Na wysokiej, kwadratowej podstawie piętrzyły się schodkowo kolejne kondygnacje. Przypominała świątynię drawidyjską, ale mogłam się mylić, nie byłam ekspertem od architektury hinduskiej.

Spojrzałam na Jima. Ruszył naprzód, przeskoczył na dach najbliższego budynku i zagłębił się w miasto. Usadawiłam się w zaroślach, czekając na jego powrót.

W koronach drzew śpiewały ptaki. Przyjrzałam się bacznie okolicy. Nie dostrzegłam śladów obecności zwierząt, żadnych węży sunących po konarach, odcisków łap na ziemi czy zadrapań na pniach. W takim miejscu powinny żyć małpy, lisy, może nawet wilki. Nic nie wskazywało na to, że poza ptakami są tu inni przedstawiciele fauny. Dżungla była dziwnie wymarła.

Jim wylądował na trawie obok mnie.

- Jeden budynek, tam dalej, kilku Rozpruwaczy, trzech, może więcej.

- Myśliwi?

- Możliwe. Silny zapach zwierząt i krwi.

No tak, latający pałac swoją drogą, ale Rozpruwacze musieli coś jeść. Na ich miejscu zostawiłabym w dżungli niewielką grupę łowców i wracała co jakiś czas po mięso.

- Także ludzkiej - dodał Jim. To nigdy nie wróżyło dobrze. Skierowaliśmy się ku ruinom. Jim pokonywał drogę, skacząc po dachach, i przemykał pod murami.

Rosnące pomiędzy domami pomarańczowe, żółte, szkarłatne, egzotyczne kwiaty przesycaly powietrze ciężką wonią. Wyczułam drewno sandałowe, wanilię, cynamon, jaśmin, cytrusy. Może Rozpruwacze robili na boku perfumy...

Wkrótce dotarliśmy do placu z pomnikiem w formie wielkiego, kamiennego rydwanu. Zaprzężone do niego słonie zostały wyrzeźbione z wielką dbałością o szczegóły, od pomarszczonych trąb po zakończone kitkami ogony. Sam rydwan, wsparty na zdobnych, niesamowicie realistycznie wykonanych kołach, przypominał mniejszą, bogatszą wersję latającego pałacu.

Zaprzęgiem powoził nieproporcjonalnie ogromny mężczyzna; wielkością dorównywał słoniom. Z jego barków wyrastało mnóstwo ramion wyglądających jak pióra w pawim ogonie. Na ramionach wspierało się kilka głów. Nie widziałam pomnika w całości, ale jeśli

zachowano symetrię, głów było przynajmniej dziesięć. Największa miała twarz pięknego człowieka, pozostałe - potworów.

Jim wskoczył na dach budynku naprzeciwko pomnika. Przyczał się, spoglądając na mnie.

Uklękałam przy kołach rydwanu. Dom, na którym Jim zajął miejsce, był w świetnym stanie. Długi, miał solidne ściany i wąskie okna. Był też ciemny, obcy i pełen Rozpruwaczy. Miło.

Jim wskazał kciukiem za siebie. „Idź na tyły”.

Pobiegłam bokiem, okrążyłam teren, kryjąc się pośród ruin, i stanęłam za budynkiem. Dobyłam miecza i przemknęłam pod ścianą do narożnika, skąd mogłam widzieć plac z pomnikiem.

Jim zeskoczył z dachu, zerknął na mnie, po czym stanął w lekkim rozkroku i rozwarł szczęki. Z jego gardła wydobył się ryk, zakończony groźnym fuknięciem.

Wyzwanie.

Przez plac przetoczył się głuchy grzmot. Przed dom wyszło dwóch ludzi, stając plecami do mnie. Mężczyźni, atletyczni, o szerokich barach, ubrani byli w identyczne koszulki i spodnie. Jim splunął i warknął, przykuwając ich uwagę. Żaden z przeciwników nie usłyszał, że się zbliżam.

Jeden z mężczyzn rozdarł koszulkę. Na jego plecach pojawiło się pęknięcie, z którego wystrzeliło zmierzwione futro. Istota zsunęła z barków ludzką skórę, spod której wyłoniły się zdeformowane obojczyki.

Potem szarpnął skórę na piersi, zrywając ją jak jednorazowe ubranie szpitalne. Powłokę kopnął na bok, jednocześnie rozrastając się, dopóki nie osiągnął ponad dwóch metrów wzrostu. Czarne, pomarańczowo pręgowane futro było negatywem tygrysiego ubarwienia. Kiedy rozprostował ramiona, zrozumiałam, na czym polega deformacja sylwetki - spod łopatek wyrastała druga para rąk. Podniósł cztery muskularne ramiona, otwierając i zaciskając pięści.

Jego towarzysz parsknął jak koń, zrzucając swoją powłokę. Kształtem przypominał człowieka, miał, dzięki Bogu, odpowiednią ilość kończyn, za to jego krwistoczerwona skóra pokryta była drobnymi łuskami.

Spodziewałam się komitetu powitalnego, ale nikt nie wspominał o darmowym striptizie.

Jim warknął. Czteroreki sprężył się, skacząc naprzód. Ogłuszający ryk zadzwonił mi w uszach. Niski, pierwotny zew ogromnego drapieżnika polującego w ciemnościach na swoją ofiarę. Jim cofnął się. Jego warczenie utonęło w grzmiącym pomruku.

Stwór przyjął ten należny objaw lęku jeszcze donośniejszym rykiem, niosącym ze sobą obietnicę bezlitosnej śmierci. Był dużo większy od Jima i na oko pięćdziesiąt kilogramów cięższy. Jim syknął. Cztery ramiona przywołały go gestem.

Kotołak skoczył na przeciwnika. W momencie kiedy zwarli się w wirze kłów i pazurów, zatopiłam Zabójcę w plecach czerwonoskórej istoty. Ostrze weszło głęboko, przecinając kręgosłup i wysunęło się, wysysając na zewnątrz niewielką ilość krwi.

Rozpruwacz zaczął się odwracać, lecz nogi ugięły się pod nim. Kiedy padał, ujrzałam jego twarz, była ludzka i niewiarygodnie piękna.

Z trzewi dżungli wyrwał się niski pomruk. Smukły kształt przeskoczył nade mną, lądując na bruku. Stwór płci żeńskiej. Jej brzuch i pierś pokrywało futro, zaś na grzbiecie sterczały długie kolce. Palce zakończone miała pazurami długości mojej dłoni. Błysnęła żółtymi ślepiami, ruszając do ataku.

Machnęła ręką, zbyt szybko. Uchyliłam się, ale pazury rozorały mi skórę na boku. Skoczyła, chcąc zająć mnie od tyłu. Nie odwróciłam się, przekładając tylko miecz i pchnęłam do tyłu, wbijając jej Zabójcę pod żebra. Ostrze zagłębiło się w tkanki, a kiedy napotkało elastyczny opór, wyrwałam je szybko.

Nie bacząc na ranę, istota znowu zamachnęła się na mnie ręką. Okręciłam się, odskakując. Pazury minęły moją twarz o włos. Nie przestawałam się uchylać. Stworzenie atakowało raz za razem. Żadnej finezji, żadnej techniki. Nacierала jak kot, starając się bezpośrednio wbić we mnie pazury. Walczyła tak jak człekowąż na parkingu.

Schyliłam się, unikając pazurów, i cięłam po wewnętrznej stronie uda. Kosztowało mnie to szramę na plecach, ale odturlałam się bezpiecznie.

Atak, atak, atak. Tańcz ze mną, kochana.

Z każdym krokiem istota traciła coraz więcej krwi. Jej zamachy straciły zabójczą prędkość. Ciężko dyszała. Zatoczyła się w przód. Wykorzystałam sytuację, łapiąc ją i nabijając na miecz.

Zabójca przeszył ciało na wylot.

Po drugiej stronie placu czterórki oderwał się od Jima, podbiegł w stronę drzew, podskoczył niewiarygodnie wysoko i zniknął pomiędzy konarami. Jim popędził za nim, rozplywając się w gąszczu. Nie traciłam czasu na pogoń za nimi. I tak nie doścignęłabym Jima, a ten nie potrzebował pomocy w nadrzewnych łowach.

Wyciągnęłam miecz z trupa.

Czerwonoskóry leżał na ziemi, charcząc. Wejście do domu stało otworem. Starłam krew z ostrza i ruszyłam do budynku.

Szybko obeszłam trzy duże pomieszczenia i, nie znajdując innych Rozpruwaczy, wróciłam na plac. Kucnęłam przy czerwonoskórym. Rana na plecach była bardzo głęboka. Kawalek kręgosłupa przemieścił się, więc nawet przy zdolnościach przyspieszonej regeneracji stwor nie stanie na nogi w najbliższym czasie.

- Kilka dni temu młody wilkołak próbował porwać waszą dziewczynę - powiedziałam. - Pobiliście go, skatowaliście i porzuciliście nieopodal siedziby zmiennokształtnych. Jednak nie zabiliście go. Dlaczego? - zapytałam z nadzieją, że mówi po angielsku.

Łuskowate wargi rozciągnęły się w grymasie przypominającym uśmiech, odkrywając przy okazji wężowe kły.

- Żeby przesłać... wiadomość.

- Jaką wiadomość?

- Jesteśmy silniejsi. Zatryumfujemy nad mieszkańcami.

No dobra.

- Jakimi mieszańcami? Zmiennokształtnymi?

- Pół człowiek, pół zwierzę... Dwie rasy stopiły się w jedną...
Hołota... Pokonamy ich... Zwyciężymy... Zaw... - Rozkaszłał się.

- Jakaś szansa na pokój?

Stwór podniósł z wysiłkiem głowę. Romboidalne źrenice skupiły się na mnie.

- Nie... wiemy, co to pokój - wychrypiał. - Nie zawieramy...
układów. Zabijamy. Zabijamy i palimy. Jemy mięso. Świętujemy.
Przejmujemy tereny mieszańców...

- Chodzi wam o terytorium należące do Gromady, tak?

Próbował powiedzieć coś jeszcze. Nachyliłam się.

- Wezmę cię - oświadczył. - Wiele, wiele razy. Aż będziesz
krwawić...

- Pochlebiasz mi.

Uniósł rękę, kreśląc linię na mojej piersi.

- Wytnę ci serce... Nie upiekę... Zjem na surowo, jak zabiję
kundli.

Do niczego to nie prowadziło.

- Czym jesteś?

- Wojownikiem... czempionem.

Ładny mi czempion ze złamanym kręgosłupem. - Jak się
nazywacie?

Popatrzył w niebo.

- Niezrównana... armia... zakwitnie czerwonym kwieciem krwi...
Niebawem. Bardzo niedługo. Zdobędziemy klejnot. Wypełnimy

obietnicę daną Sułtanowi Śmierci, zniszczymy mieszańców...
Zajmiemy ich miejsce, wzrośniemy w siłę, a gdy nadejdzie czas...
Sułtan Śmierci ukorzy się przed nami.

- Kim jest Sułtan Śmierci?

Stwór zaciął się w milczeniu.

Z futerału przy pasku wyciągnęłam pojemnik z gazem do zapalniczek oraz zapalki.

- Ten płyn pali się długo bardzo gorącym płomieniem. Powiedz, jak odwrócić magię, której użyliście na zmiennokształtnym, a nie wyleję go na ciebie i nie podpalę.

- Jestem ponad tobą... człowieku.

- Ale nie ponad bólem - zripostowałam, odkręcając pojemnik.

Uśmiechnął się, przelękając. Nie powiedział już nic więcej. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Zaczął bełkotać niezrozumiale, jakby nagle stracił rozum. Rzucił się konwulsyjnie, chwytając za gardło...

Dusił się.

Wbiłam mu miecz w usta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dwadzieścia minut później gardłowy kaszel obwieścił powrót Jima. Poczekalam na niego przy ciele. Zeskoczył z drzewa, upuszczając na trawę trupa. Wypukłe oczy spoglądały na mnie martwo z nieruchomego oblicza, które nie nosiło żadnych ludzkich rysów. Najbliżej opisałabym je jako pysk krzyżówki tygrysa z psem Fu.

- Zmiennokształtny? - zapytałam.

- Nie. Nie ten zapach.

Jim popatrzył na dwa nieruchome ciała i trącił nogą czerwonoskórego. Brak reakcji skomentował cichym prychnięciem.

- Połknął własny język - wyjaśniłam.

Jim westchnął, krzywiąc się z typowo kocim fatalizmem.

- Zdążyłaś coś od niego wyciągnąć?

- Podrzucenie Dereka miało oznaczać wypowiedzenie wojny.

Według zmarłego jesteście hołotą, mieszańcami dwóch ras i nie ma możliwości zawarcia pokoju. Nienawidzą Gromady. Planują was zabić w chwalebnej jatce, możliwie jak najbardziej krwawej, a potem ucztować na waszych trupach. Zaczną, gdy tylko zdobędą klejnot. Sprzymierzyli się z Sułtanem Śmierci, który pomoże im was wytluc,

potem chcą zniszczyć i jego. A, i zostanę zgwałcona, wiele, wiele razy.

Trudno przewracać oczami w pośredniej formie, jednak Jim dzielnie podjął tę próbę.

- Co to za Sułtan Śmierci?

- Cholera wie.

Roland pasował tu jak ulał, ale nic nie powiedziałam. Całe moje życie skupiało się wokół Rolanda. Odkąd zaczęłam rozumieć świat, wiedziałam, że muszę go zabić i że jeśli dowiedziałby się o moim istnieniu, zrobiłby wszystko, żeby się mnie pozbyć. Dysponował potężną mocą. Legendy o nim powtarzano od wieków, a historia niemal każdej starożytnej cywilizacji wspominała o okresach jego panowania. Polowanie na Rolanda było równoznaczne z próbą zabicia boga. Do takiej konfrontacji potrzebowałam więcej doświadczenia i mocy. Do czasu ich zdobycia musiałam się ukrywać, żyjąc ze świadomością, że w każdej chwili może się o mnie dowiedzieć. Moja mania prześladowcza była tak silna, aż dziw, że jeszcze nie zaglądałam pod własne łóżko w poszukiwaniu jego szpiegów.

Każde nieznane zagrożenie, każdy tajemniczy wróg czy obca istota władająca potężną mocą kojarzyły mi się z Rolandem. Tak, Sułtan Śmierci pasował do niego idealnie - w końcu to on sprowadził na świat nieumarłych. Jednakże tytuł ten mógł należeć do kogoś zupełnie innego. Obsesja na jego punkcie dotyczyła w końcu tylko mnie, nie całej ludzkości.

- Wiesz, Jim, odniosłam wrażenie, że ten klejnot to jakaś ich tajna broń. Mówił o nim takim tonem, jakby żołnierz z WOON-u oświadczył: „Nasze jednostki powietrzne spadną na wroga jak grom z jasnego nieba”.

Jim zaklął szpetnie.

Zaprowadziłam go do budynku. W pierwszym pomieszczeniu znajdował się długi stół. Na blacie leżała rozpostarta ofiara Saimana. Z pleców i pośladków wycięto kawałki mięsa, które spoczywały obok jak porcje w masarni. Podeszłam do wielkiej, stalowej zamrażarki, którą ustawiono obok stołu. Nie podłączono jej do prądu - w ruinach nie było żadnego źródła zasilania. Zamrażarkę wypełniał lód oraz mięso. Steki, szynka, żeberka, kotlety, dziczyzna, zapakowane w folię, papier lub luzem, barwiąc lód na czerwono. Wskazałam w kącie, gdzie leżało kilka kawałków z resztkami gładkiej, brązowej skóry.

Jim powąchał je, cofając się z obrzydzeniem.

- Człowiek? - upewniłam się.

- Tak - potwierdził, spluwając na podłogę. Mniej więcej tak samo zareagowałam, kiedy, patrząc na mięso, zaczęłam podejrzewać jego pochodzenie. Dranie schwytały człowieka, poćwiartowały i przygotowały do zjedzenia. Nawet nie poznamy jego imienia. Ani płci. Ktoś gdzieś tam po prostu nie wrócił do domu i nikt nigdy nie dowie się, dlaczego. Na myśl o tym zrobiło mi się niedobrze.

Jim spojrzał na stół, na którym leżały porcje mięsa odcięte od trupa.

- Kanibale.

- Mają zasadę: mięso to mięso. Nie wybrzydzą. To nie wszystko.

Weszliśmy do kolejnej izby. Zakurzona, była prawie pusta poza leżącymi w kącie kilkoma siennikami. Na kamiennej ścianie wisiała płachta papieru pakowego, pokryta rysunkami. Pierwsza scena, namalowana złotą, czerwoną i zieloną farbą, przedstawiała wnętrze piekielnej kuźni. Do stojącej na środku wanny lał się roztopiony metal. Po bokach stały kowadła, a na umocowanych do sufitu hakach wisiały różne narzędzia oraz pioruny. Wokół unosił się dym, zamykając rysunek w ramie ciemnych kłębow. Potężny, odziany w skórzaną kamizelę kowal przyglądał się krytycznie na wpół wykutemu mieczowi. Wielki, brodaty, miał czerwone, rozjarzone oczy.

Kolejna scena ukazywała wymoszczone poduszkami pomieszczenie. Wśród piernatów pólleżał piękny, odziany w zwiewną szatę mężczyzna otoczony nagimi kobietami, które podawały mu owoce i girlandy kwiatów. Subtelne rysy jego twarzy nie nasuwały na myśl podobieństwa do kowala, ale zdradzała go broda. Musiał się natrudzić przy myciu.

Trzecia część była niedokończona. Ołówkowe kontury wypełniono tylko złotą farbą. Piękny mężczyzna z poprzedniej scenki stał się bogiem. Posiadał trzy dodatkowe głowy i sześć ramion. Jedna z głów patrzyła prosto na oglądającego, dwie na boki, zaś czwarta twarz zwrócona była tyłem. Północ, południe, wschód i zachód.

Z pleców mężczyzny wyrastały ogromne skrzydła, pomiędzy którymi znajdował się obraz otoczonego murem bajkowego miasta,

pełnego wież i kopuł. Malunek nie przypominał kompozycji z żadnej konkretnej, znanej mi mitologii, styl najprędzej porównałabym do kreski komiksowej. Postaci były wyczelowane, muskulatura mężczyzny nadmiernie podkreślona, a wszystkie kobiety miały niewielkie pośladki, nieproporcjonalnie długie nogi i idealnie krągłe, wielkie piersi.

- Kojarzy ci się to z czymś?

Jim pokręcił głową.

- Hm, mnie też nie.

Zdjęłam ze ściany papierową płachtę i zwinęłam w rulon.

Jim zarzucił sobie na barki trupa ze stołu i wyszedł na zewnątrz.

Wróciłam do zamrażarki. Chciałam pochować ludzkie szczątki, ale nie mieliśmy na to ani czasu, ani odpowiednich narzędzi. Wyjęłam niewielką sakiewkę, odwiązałam rzemyk i posypałam zapasy zielonym proszkiem, uważając, żeby żadna drobinka nie spadła na mnie.

- Doprawiasz mięsko? - zapytał stojący w wejściu Jim.

- Cykuta. Czyli szalej jadowity. - Schowałam sakiewkę. - Po półgodzinie wywołuje wymioty, konwulsje i śmierć lub trwałe uszkodzenie systemu nerwowego. Mały prezencik gastronomiczny.

Wyszliśmy na plac. Jim zabrał z ziemi czterorękiego stwora i wskazał wzrokiem trzy pozostałe ciała. Potrzebowaliśmy ich jako dowodów. Czyli czekało mnie poniesienie jednego z nich. Miałam do wyboru ponaddwumetrowego łuskowatego potwora, zieloną kolczastą istotę oraz gościa z wyciętą szynką. Hm, niech pomyślę...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W kontekście nieprzyciągania uwagi niesienie trupów w pełnym świetle dnia, szczególnie trupów o sześciu kończynach, jest jak urządzenie pokazu fajerwerków na głównym placu miasta. Tym bardziej, jeśli tragarze są zakrwawieni i wyglądają, jakby przeciągnięto ich przez ciernisty żywopłot. Nie wspominając o tym, że jeden z nich jest kotołakiem w formie bojowej, a drugi kobietą dźwigającą zwłoki bez zadka.

Na szczęście obrzeża Zaułka Jednorożca nie były zbyt uczęszczanym miejscem. A nawet jeśli, to w te rejony zapuszczali się tylko wyjątkowi idioci. Najwyraźniej większość głupców wyjechała z Atlanty na wakacje, tak więc jedynie ja i Jim dzierżyliśmy sztandar idiotyzmu.

Nawet pozbawiona sporych połci ciała ofiara Saimana ważyła tonę. Z dżungli do miasta przedostaliśmy się bez problemów, ale targanie tego ciężaru przez cały Zaułek i jeszcze kawałek do samochodu wyczerpało mnie zupełnie. Zapadłam w swoisty trans, skupiając się jedynie na stawianiu stopy za stopą. Jak przez mgłę pamiętam moment, kiedy po dotarciu do miejsca, gdzie stał samochód, zastaliśmy dwa wierzchowce. Dingolak musiał zamienić

nasz środek transportu, kiedy w czasie naszej nieobecności miasto zalała fala magii. Niestety, po dopilnowaniu obowiązków odszedł.

Ledwie przypominam sobie ładowanie trupów do znalezionej w kącie, porzuconego wózka i siadanie na koźle. Jim, jako przodownik na Curranowej liście najpilniej poszukiwanych, musiał unikać rzucania się w oczy. Droga przez zakorkowane miasto ciągnęła się w nieskończoność i tylko ból w boku nie pozwolił mi zasnąć z lejcami w dłoniach. Warstwa brudu po przedzieraniu się przez dżungłę, zmieszana z krwią Rozpruwacza, zastygła mi na twarzy i włosach w skorupę, dodatkowo utwardzoną promieniami porannego słońca. Dzięki temu nie miałam jednakże kłopotów z awanturami w korkach. Na mój widok nawet najbardziej zajadli uczestnicy ruchu zjeżdżali na bok.

Jadąc, myślałam o Rolandzie.

Nie miałam matki. Miałam za to Vorona, którego nazywałam ojcem. Wysoki, o krótko przyciętych włosach Voron towarzyszył mi przez całe dzieciństwo, wspierając spokojem i siłą. Voron potrafił zabić każdą istotę. Potrafił rozwiązać każdy problem. Zażegnać wszelkie zagrożenie. Byłam w stanie zrobić wszystko dla jednego z jego nieczęstych uśmiechów. Był moim ojcem, jedną z dwóch stałych w moim życiu.

Drugą był Roland.

Poznałam go jako bohatera z bajki opowiadanej mi przez Vorona przed snem. Pewnego razu był sobie człowiek, który żył przez wieki. Budowniczy, artysta, uzdrowiciel, duchowny, prorok, wojownik i

mag. Czasami niewolnik. Innym razem tyran. Magia upadała, ustępując miejsca technologii, a potem znów przejmowała władzę, a on trwał niezmienny, odwieczny, niczym piasek, płynąc przez wieki, napędzany obsesją o świecie idealnym.

Posiadał wiele imion, teraz jednak zwał się Rolandem. Był mentorem wielu mężczyzn, kochankiem wielu kobiet, ale nikogo nie darzył taką miłością, jak mojej matki. Moja matka była dobra, mądra, wielkoduszna i napełniała Rolanda życiem. Któregoś dnia zapragnęła mieć dziecko. Minęły tysiąclecia od czasu, kiedy Roland spłodził ostatnie, gdyż jego potomek dziedziczył płynącą w pradawnej krwi potęgę oraz całą ambicję, a Roland dość już musiał zabić własnych latorośli, które wystąpiły przeciw niemu.

Lecz kochał moją matkę, więc postanowił uszczęśliwić ją dzieckiem. Jednak dwa miesiące po poczęciu naszły Rolanda wątpliwości. Zaczął mieć obsesję, że potomek stawi mu opór, postanowił więc zabić go w łonie.

Ale matka kochała swoje nienarodzone dziecko. Im głębiej Roland pograżał się w swojej obsesji, tym bardziej oddalała się od niego.

Roland miał generała. Nazywał się Voron, czyli kruk z rosyjska. Zwano go tak, bo kroczyła za nim śmierć. Voron także kochał moją matkę.

Kiedyś, podczas nieobecności Rolanda, matka uciekła, a Voron uciekł razem z nią. Był przy moich narodzinach. Przez te kilka miesięcy w trakcie ucieczki czuli się szczęśliwi. Jednak Roland ruszył

za nimi w pościg. Matka wiedziała, że z ich dwójki to Voron jest silniejszy i ma większe szanse umknąć, dlatego chcąc ratować mi życie, została z tyłu, żeby opóźnić pogoń. Zatopiła sztylet w oku Rolanda i została przez niego zabita.

Kiedy Voron kończył opowiadać, sprawdzaliśmy, czy pod poduszką leży nóż, a potem zasypiałam kołysana nadzieją zabicia swojego prawdziwego ojca.

Gdziekolwiek poszliśmy, cokolwiek robiliśmy, towarzyszył nam cień Rolanda. Roland stał się moim celem i sensem istnienia. Dał mi życie, ja odbiorę mu jego.

Znałam go od podszewki. Voron służył Rolandowi przez pół wieku i gdyby nie moja matka, byłby służył kolejne stulecia, młody i zdrowy dzięki rolandowej magii. Przekazał mi wszystko, co sam wiedział o swoim dawnym mistrzu. Wiedziałam, jak Roland wygląda. Voron pokazał mi jego zdjęcie. Zapamiętałam każdy szczegół, zanim je spaliłam. Rozpoznawałam go w pomnikach, w rycinach z ksiąg historycznych, a raz znalazłam jego podobiznę na renesansowym obrazie bitewnym. Czytałam fragmenty Biblii, które się do niego odnosiły. Wiedziałam, kim są jego oficerowie, jakiej broni używa, jakie posiada moce. A w ciągu tylu wieków zyskał potężne moce. Potrafił jednocześnie kierować setką nieumarłych.

W boju wykorzystywał własną krew, tworząc z niej straszliwą broń i niezniszczalną zbroję. To właśnie ta pieprzona krew stanowiła źródło mojej magii.

Voron był wielkim wojownikiem. Zebrał każdą kroplę wiedzy o Rolandzie, wlewając ją we mnie, szlifując mnie jak ostrze. Wzmocnij się. Przetrwaj. Zabij Rolanda. Zakończ to raz na zawsze. Ale do tego czasu ukryj się.

Cztery miesiące temu podjęłam decyzję o wyjściu z ukrycia. Od tamtej pory bez przerwy zastanawiam się, czy dobrze postąpiłam. Nie posiadałam wystarczających sił ani doświadczenia pozwalającego na walkę z Rolandem, ale teraz działałam otwarcie i ostateczna konfrontacja z nim była nieunikniona.

Instykt podpowiadał mi, że to on był Sułtanem Śmierci. To oznaczało, że jeśli zacznę grzebać przy tej sprawie, mogę natknąć się na osobę z jego najbliższego kręgu. Myśl ta napawała mnie lękiem.

Bałam się Rolanda. Jednak bardziej bałam się o Dereka. Bałam się także o Currana.

Kiedy zatrzymałam się przed kryjówką zmiennokształtnych, był już późny ranek. Odsłoniłam brezent przykrywający wóz. Jim spał sobie smacznie na trupach. Przyjął z powrotem ludzką formę, więc był goły jak nowo narodzone niemowlę. Potrząsnęłam nim kilkakrotnie, lecz najwyraźniej wcielił się w rolę Śpiącej Królowy, ja zaś nie zamierzałam budzić go pocałunkiem.

Zastukałam do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Poruszyłam klamką i drzwi ustąpiły. Zajrzałam, wołając, ale nikt do mnie nie wyszedł.

Brenna miała pełnić wartę przy drzwiach, a jedyne, co mogło odwołać ją z posterunku... Proszę, żeby tylko Derek nie umarł.

Na myśl o zejściu do piwnicy ugięły się pode mną nogi. Nie zniosłabym patrzenia na martwego Dereka.

Musiałam tam iść, ale nie potrafiłam się ruszyć. Przełknęłam nerwowo ślinę, wpatrując się w mrok.

Ciała. Trzeba zabrać trupy. Tak, koniecznie.

Wniesienie czterorękiego nieboszczyka przez drzwi okazało się nadzwyczaj skomplikowane. Podjęłam trzy próby, zanim straciłam cierpliwość. Kiedy Brenna pojawiła się na górze, sytuacja była już opanowana.

- Co z Derekiem? Żyje?

- Jeszcze żyje.

Aż osłabłam z ulgi. Musiałam usiąść.

- Myślałam, że masz pilnować drzwi? - powiedziałam, wsuwając Zabójcę pod pachę.

- Owszem. Musiałam kogoś wpuścić - odparła, wpatrując się w ciało u moich stóp.

- Ale nie Currana, mam nadzieję?

- Nie.

- Świetnie. - Pozbierałam odcięte ramiona i wskazałam brodą kadłub. - Możesz wziąć ten większy kawałek?

* * *

Doolittle zmierzył mnie wzrokiem i zaordynował natychmiastowy prysznic. Pół godziny później czysta, zabandażowana i zaopatrzona przez Brennę w kubek parującej kawy poczułam się prawie jak człowiek. Doolittle zniknął w czeluściach domu, żeby sprawdzić stan

Dereka. Zostałam sama z dwoma trupami. W połowie kawy do pokoju dowlókl się zły, rozespany Jim. Poczęstowawszy mnie paskudnym grymasem, klapnął na stołku.

- Co teraz?

- Teraz czekamy.

- Na co?

- Na eksperta. Jest u Dereka.

Siedzieliśmy w milczeniu. Byłam wykończona. Doolittle okazał się niekwestionowanym mistrzem magomedycyny. Plecy prawie mnie nie bolały, a bok dokuczał tylko odrobinę. Czułam się jednak tak zmęczona, że prawie się przewracałam.

Musiałam skontaktować się z Andreą w sprawie analiz srebra. Chciałam zadzwonić, ale aparat był głuchy.

Do pokoju weszła młoda kobieta. Bardzo niska, drobnej budowy, miała szeroką, okrągłą twarz o ciemnoorzechowej cerze. Oczy, powiększone okularami ze szklami grubości denek od butelek, były bardzo ciemne, niemal czarne, a ich wykrój świadczył o domieszce azjatyckiej krwi. Otaksowała mnie wzrokiem, kiedy podeszłam, żeby zamknąć za nią drzwi.

- Indonezyjka - oznajmiła, przewieszając torbę na drugie ramię.

- Co?

- Zastanawiałaś się, jaką „ką” jestem.

- Mam na imię Kate.

- Dali.

Spojrzała na Jima. Kiedy mnie mijała, dostrzegłam w jej torbie książkę, na okładce której widniał obrazek wysokiego, smukłego mężczyzny dzierżącego w dłoni nieprawdopodobnie ogromny miecz. U jego stóp strategicznie upozowane leżały trzy kobiety. Jedna z nich miała kocie uszy.

Dali nie spuszczała wzroku z Jima.

- Wiesz mi przysługę. Jeśli mnie tu znajdzie, jestem trupem.

On, czyli kto? Miałam nadzieję, że nie Curran.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność - zapewnił ją Jim.

- Gdzie ciała?

- Za tobą.

Dali odwróciła się, potykając o nogi bezrękiego czterorękiego i z pewnością złapałaby pięknego zająca, gdyby była zwykłym człowiekiem. Ale że nim nie była, podskoczyła, lądując z gracją na pewnych nogach. Prawdziwy skarb, taki refleks zmiennokształtnego.

Poprawiła okulary, piorunując mnie wzrokiem.

- Nie jestem aż tak ślepa - prychnęła. - Tylko roztargniona.

Niewykluczone, że była także telepatką.

- Nie - rzekła. - Po prostu nie jestem głupia. Taaak.

Obejrzała korpus czterorękiego stwora.

- A niech mnie. Polimeliczna symetria. Jest więcej jakichś nadprogramowych kończyn? I czy musiałaś mu obciąć ramiona?

- Tak. Nie chciały przejść przez drzwi.

- Mówisz tak, jakbyś była z tego dumna.

Cóż, byłam dumna. Dałam przykład kreatywnego rozwiązywania trudnej sytuacji.

Dali upuściła torbę na podłogę, klęknęła przy ciele i przyjrzała się ziejącej w piersi dziurze po sercu. Jim zrobił mu niezłe ziaziu.

- Opowiedzcie mi wszystko dokładnie. Opisałam pułapkę, dżunglę, latający pałac, ruiny, pomnik wielogłowego woźnicy, walkę. Jim od czasu do czasu dorzucał jakiś komentarz. Dali kiwnęła głową, podniosła lewe górne ramię trupa, przyjrzała się reszcie, zmarszczyła brwi...

- Więc kto nie powinien wiedzieć, że tu jesteś? - zapytałam. Tylko nie mów, że Curran, tylko nie mów, że Curran...

- Władca Bestii - wyręczył ją Jim.

Cholera jasna.

- Ma areszt domowy - dodał.

- Za co?

- Zafundowałam sobie przejażdżkę. - Dali uniosła stopę nieboszczyka, przyglądając się pazurom. - Miękka i giętka. Żadnego stężenia pośmiertnego.

- Skazał cię na areszt domowy za przejażdżkę?

- Wrzuciła ochroniarzowi do drinka pigułkę gwałtu, zadymiła gumami i urządziła sobie wyścigi na autostradzie Buzzard. Po ciemku.

- Głos Jima miał temperaturę góry lodowej.

- Wkurzasz się, bo zrobiłam z Theo głupka. - Dali odłożyła ramię. - Nie moja wina, że twoja droga maszyna do zabijania była tak pochłonięta perspektywą dobrania się do moich chłopięcych piersi, że

nie pilnowała swojego drinka. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o co tyle hałasu.

- Według prawa jesteś ślepa, nie możesz zdawać egzaminu na prawo jazdy, a w dodatku beznadziejnie prowadzisz. - Górna warga Jima uniosła się lekko. - Stanowisz zagrożenie na drodze.

- Na Buzzard nikt nie szuka bezpieczeństwa. Przyjeżdżają tam dla dreszczyku emocji. Gdyby wiedzieli o mojej ślepcie, mieliby tylko więcej smaczku. To moje ciało. Mogę z nim robić, co mi się podoba. Jeśli chcę się zabić, mam do tego prawo.

- Tak, tyle że musiałaś jakoś dojechać na Buzzard - wtrąciłam. Potrzebowałam więcej kawy. - A gdybyś rozbiła się po drodze albo co gorsza zrobiła krzywdę innemu kierowcy, pieszemu, dziecku przechodzącemu przez ulicę?

Dali zamrugwała zdziwiona.

- Wiesz co? Dokładnie to samo powiedział Curran. Niemal słowo w słowo. No dobra - westchnęła. - Przyznaję, to nie był najlepszy z moich pomysłów. Macie coś poza ciałami?

Jim wręczył jej rulon. Rozciągnęła go i zmarszczyła czoło.

- Masz, trzymaj tutaj, a ty, Jim, złap tutaj. Dobra, teraz go rozwińcie.

Czyżby naprawdę chciała, żebym się ruszyła? Chyba oszalała. Podreptaliśmy w przeciwne strony, rozwijając rulon na całą długość. Studiowała przez chwilę rysunki, po czym kiwnęła do siebie głową, a do nas machnęła ręką.

- Możecie puścić. Domyślcie się już, z jakiej mitologii pochodzi wasz delikwent, prawda?

Strzeliłam w ciemno.

- Hinduizm. Mamy dżunglę, ruiny z budowlą w stylu świątyni drawidyjskiej, rydwan ciągnięty przez słonie oraz faceta z dużą ilością głów i ramion. Poza tym jest tygrysowaty czteroręki stwór. W niewielu mitologiach występują istoty o humanoidalnych kształtach z taką ilością nadprogramowych kończyn i łbów. Wielogłowe smoki owszem, wieloręcy giganci tak, ale nie na stworach ludziopodobnych. I ta dziewczyna mówiła do jednego z Rozpruwaczy „asaan”. Sprawdziłam, to zwrot używany w stosunku do guru bądź drawidyjskiego wyznawcy sztuki wojennej.

Dali przyjrzała mi się z uwagą.

- Też nie jesteś głupia.

- Uhm. Ale to wszystko, co wiem.

- Wydaje mi się, że to rakszasa. - Trąciła trupi korpus stopą. - A jeśli mam rację, jesteście w dupie.

* * *

- Na początku był Wisznu, wtedy nazywany Narajana, wcielenie najwyższej boskości.

Dali usiadła na podłodze obok ciał.

- Narajana unosił się na powierzchni wszechobecnym wód, otulony splotami białego węża i świetnie się bawił, dopóki z pępka nie wyrósł mu kwiat lotosu. W pąku odrodził się Brahma, twórca światów. Brahma rozejrzył się, dostrzegł dryfującego, szczęśliwego

Narajanę i ni z tego, ni z owego ogarnął go obsesyjny lęk, że ktoś może skraść tę wodę. Dlatego stworzył czterech strażników, dwie pary. Pierwsza dwójka przysięgła czcić wodę, były to jaksze. Druga para przysięgła strzec wody, były to rakszasy.

- Przejdź do mocnych i słabych stron - zażądał Jim.

- Rakszasy to urodzeni wojownicy. Zostały w tym celu stworzone. Według legendy są poczynane i rodzą się jednego dnia, a potem rosną bez przerwy, aż do osiągnięcia wieku matki. Są mięsożercami, nie mają skrupułów przed jedzeniem także i ludzkiego mięsa. Występują w różnorodnych kształtach i gabarytach. Są świetnymi iluzjonistami i magami.

Westchnęłam. Coraz lepiej.

- Myślałam, że rakszasy to połączenie człowieka i tygrysa, coś jak zmiennokształtny w formie bojowej, tylko z tygrysim łbem.

- Rzeczywiście, zwykle opisuje się je jako tygrysopodobne stwory, ale to dlatego, że tygrys jest najstraszniejszą istotą, jaką potrafi przedstawić hinduski artysta. Słonie są co prawda większe, ale to roślinożercy, a poza tym trzymają się z dala od ludzi, podczas gdy tygrysy to bezszelestni mordercy, którzy polują na ludzi.

Humanoidalny tygrys posiadający inteligencję oraz dodatkową parę ramion, brzmiało to jak ucieleśnienie grozy z najgorszych koszmarów.

- Rakszasy, zdając sobie sprawę ze strachu, jaki wzbudza tygrys, często przyjmują jego formę. Jednakże legendy mówią, że mogą być one piękne, jak i brzydkie. Z trzech braci rakszas jeden może być

piękny ponad ludzkie wyobrażenie, jeden może być gigantem, a jeden posiadać nawet dziesięć głów. Ale to zależy. Niektóre źródła twierdzą, że nie da się zobaczyć rakszasy w pierwotnej formie, a tylko w tej, którą w danym momencie przedkłada ponad inne.

- Coś jeszcze? - zapytał Jim miękko.

- Potrafią latać.

Cudownie.

- Nasze nie latały. Za to skakały niewiarygodnie wysoko.

- Może przez niski poziom magii. Albo błędny przekaz, albo przez niewystarczającą ilość ludzi, którzy wierzą w dany mit. Albo wszystkie wymienione. Wybierzcie sobie, jak wam pasuje.

- Czy rakszasy potrafią zablokować w jakiś sposób przemianę zmiennokształtnego? - zapytałam.

Dali zastanawiała się chwilę.

- Są zmiennokształtnymi, lecz innymi niż my. Bazują na iluzjach. Wspominałaś, że zdjęły ludzkie skóry? Trudno uwierzyć, że zapomnielibyście zabrać czegoś takiego.

Skupiłam się, przypominając sobie scenę wychodzenia z domu.

- Skóry zniknęły.

- Właśnie. - Przytaknęła Dali. - To dlatego, że, technicznie rzecz biorąc, w ogóle nie istniały. Magia nie magia, ale upakowanie czegoś takiego - trąciła stopą trupa - w ludzką skórę, jest fizyczną niemożliwością. Wchłaniają ludzi w pewien sposób, fizycznie, mentalnie lub duchowo, albo na każdy z tych sposobów, a potem przyjmują jego formę. Naraz pojęłam.

- Zdzieranie skóry było iluzją. Miało stanowić element zastraszenia.

- Dokładnie. Udawali, że ściągają skórę, żeby was zdekoncentrować. Rakszasy są wyjątkowo aroganckie, podstępne, lecz niezbyt bystre. Ich legendarny król, Rawana, jest najlepszym tego przykładem: dziesięć głów, ale niewiele w nich mózgu. Latający pałac, który widzieliście, zakładając, że nie zwariowaliście zbiorowo, to prawdopodobnie wimana Puszpaka, starożytna machina latająca. Rawana wykradł go poprzedniemu właścicielowi i latał nim w tę i w tę, aż natknął się na odpoczywającego Sziwę Niszczyciela. - Dali zawiesiła głos dla dramatycznego efektu.

Hinduistyczne wierzenia nie były moją mocną stroną, jednak nawet ja słyszałam o Sziwie. Żadnego boga o przydomku Niszczyciel Światów nie należało traktować lekko. Gdy nie przebywał w domu, ciesząc się towarzystwem żony i dwóch synów, biegał po lasach owinięty kobrami, z zarzuconą na plecy świeżo zdartą, ociekającą krwią skórą z tygrysa. Najstraszliwsze bestie skórował jednym dotknięciem małego palca. Jego gniew przyrównywano do Rudry, ryczącej burzy. W groźnym aspekcie był absolutnie przerażający, w łagodnym skory do śmiechu. Na czole miał trzecie oko, które skierowane na zewnątrz paliło wszystko na jego drodze, okresowo niszcząc cały wszechświat. Do wszystkiego, co tyczyło się Sziwy, należało podchodzić w białych rękawiczkach, biokombinezonie czwartej klasy i najlepiej w czołgu. Dali uśmiechnęła się, podejmując opowieść.

- Rawana rozsierdził Sziwę. Wtedy Niszczyciel Światów uwięził go w klatce o kamiennych prętach. Trzymał tam Rawanę, każąc mu śpiewać, dopóki nie znudził się słuchaniem i nie wypuścił. Rawana był modelowym rakszasa, aroganckim kabotynem, kierującym się impulsem. Inni starają mu się w tym dorównać. Macie do czynienia ze straszliwymi bufonami, przekonanymi o własnej wyższości. Jesteście dla nich jadalną publiką. Wykorzystają każdą sztuczkę, żeby uzyskać teatralny efekt, uwielbiają robić z siebie widowisko dla tłumów.

Jeśli czyjaś główną rozrywkę stanowiło zabawianie tłuszczy, Północne Rozgrywki nadawały się do tego idealnie.

Odwróciłam kubek do góry dnem. Kawy nie było.

Nawet jeśli, to turniej traktowali jako element poboczny. Chodziło im o klejnot. Dlaczego tak im na nim zależało? W tym całym morzu oderwanych informacji żadne kawałki nie układały się w logiczną całość. Otworzyłam usta, chcąc zapytać Dali o topaz, ale Jim był szybszy.

- O co chodzi z tą dżunglą?

Skrzywiła się.

- Nie mam pojęcia. Może to jakaś nisza głębszej magii. Albo portal do magicznej krainy. Musiałabym mieć więcej informacji, żeby wypowiadać się na ten temat. A przy okazji, pić mi się chce tak, że język przykleił mi się do podniebienia.

Jim przyniósł jej z kuchni szklanek wody. Wypiła połowę jednym haustem.

- Podsumowując, rakszasy nas nie znoszą.

- Nas, w sensie zmiennokształtnych czy nas, w sensie ludzi? - zapytałam.

- Jednych i drugich. W tym miejscu wracamy do Rawany. Rawana był bardzo przewrotny i ta właśnie cecha doprowadziła go do zguby. Pędzony żądzą zdobycia nieśmiertelności postanowił przechytrzyć samych bogów. Posiadał dziesięć głów. Raz na każde sto lat odrąbał sobie jedną, składając ją w ofierze. Gdy została mu ostatnia, bogowie zeszli na ziemię w swej niebiańskiej chwale i zapytali, czego chce w zamian za tak wielkie oddanie. Rawana poprosił o to, aby żadna istota nie mogła go zabić. W swej pysze wymienił wszystkie stworzenia prócz ludzi i zwierząt, uznając je za zbyt słabe, żeby mogły mu zagrozić. Kiedy otrzymał swój dar, ruszył na podbój niebios. Spalił miasto bogów i zabił niebiańskie tancerki. Wtedy Wisznu wpadł w gniew. Zstąpił na ziemię i, odrodziwszy się w ludzkiej postaci jako Rama, zebrał armię zwierząt i z ich pomocą pokonał Rawanę.

Jeśli rakszasy były tak zadufane, jak twierdziła Dali, to musiały nienawidzić ludzi i zwierząt z mocą tysiąca słońc. Zmiennokształtni zaś łączyli w sobie obie te rasy. Dwa w jednym. Z tej perspektywy zaciekle wrogość Rozpruwaczy względem mieszańców stawała się jasna.

- Czy w mitologii jest coś o topazie zwanym Wilczym Diamentem? Wielkim żółtym kamieniu? - zapytałam.

Dali zmarszczyła czoło.

- Topaz jest powiązany z Bryhaspati, Jowiszem.

- Tym romańskim bogiem? - upewnił się Jim.

- Nie, z planetą. Nie cały świat kręci się wokół greckorzymskiego panteonu, Jim. Także Rudra Mani, klejnot Sziwy, jest żółty. Sziwa nosi go na szyi. Swoją drogą, to Sziwa właśnie obdarzył rakszasy zdolnością latania.

- Ten kamień jest wielki - wtrąciłam. - I potężny.

- Rudra Mani jest bardzo duży. Wielkości głowy noworodka mniej więcej.

Saiman mówił raczej o rozmiarze pięści... Albo była to wielka pięść, albo bardzo małe dziecko... No, chyba że miał na myśli swój kułak w pierwotnej formie.

- I co z tym kamieniem?

Dali wywróciła oczyma.

- Uważany jest za symbol czystości. Z drugiej strony przypominam, że należy do Sziwy, z którym nigdy tak naprawdę nic nie wiadomo. To istota, która jednego dnia, znajdując dziecko rakszasy, uznaje, że jest słodkie, i dlatego daje mu umiejętność latania, a innym razem miazdzy demony dla zabawy.

Jim skrzyżował ramiona po napoleońsku.

- Jednym słowem mamy do czynienia z kamieniem należącym do dualistycznego boga ze spaczonym poczuciem humoru.

- Mniej więcej. Niewiele wiadomo o Rudrze Mani, ale sprawdzę to. Nie wiemy też, czy klejnot, o którym mówicie, jest Rudrą Mani czy zwykłym świecidełkiem. To wszystko wygląda dość mgliście. Kamień może znaczyć wiele lub nic.

Nie zdziwiłabym się, gdyby jednak okazał się Rudrą Mani. Cała ta sprawa aż kipiała od mitologii. Mieliśmy rakszasy związane z Sziwą i osadzone w wierzeniach hinduistycznych. Sziwę, który posiadał duży żółty kamień oraz rakszasy, które wzięły udział w turnieju, aby zdobyć wielki żółty klejnot. Trudno uznać coś takiego za zbieg okoliczności.

Dobrze, że przynajmniej nie groziła nam obecność Sziwy. Rozbłysk minął, więc nie mógł się ujawnić. Nie, Sziwa był bogiem w każdym calu.

Spojrzałam na krwawy strzęp, który tak niedawno walczył na arenie z Saimanem. Przy czterorękim olbrzymie wyglądał niepozornie.

- Czemu on nadal jest w ludzkiej skórze? - zapytałam.

Dali popatrzyła na mnie zbita z tropu.

- Co?

- Ten tutaj. Jego kolesie przy pierwszej okazji zdarli skórę, zaczęli ryczeć i wymachiwać wszelkimi dostępnymi kończynami. A topornik nadal jest w ludzkiej formie. Dlaczego?

Dali odstawiła kubek.

- Hm, zakładasz z góry, że to nie człowiek. Ale nawet jeśli to rakszasa, może po prostu nie chciał zmienić formy. Mówiłaś, że udają ludzi, pewnie nie zmienił się, żeby nie spalić przykrywki.

- Saiman zrobił z niego miazgę - wtrącił Jim. - Uwierz, zmieniłby się. To kwestia instynktu przetrwania.

Fakty zaczęły tworzyć w mojej głowie pewien obraz. Był niepełny, ale podsunął mi konkretną myśl.

- A może nie mógł? Może coś go powstrzymywało? Podobnie jak u Dereka. Jakiś przedmiot, zaklęcie, coś, co tłumi magię.

- Coś, co umożliwiłoby też oszukanie m-skanerów - podchwycił Jim.

Dali zrzuciła buty i zaczęła zdejmować sukienkę.

- Muszę się przemienić. W zwierzęcej formie jestem wrażliwsza na magię i mam lepszy węch.

Odwrociłam wzrok. Zmiennokształtni dzielili się na dwie grupy. Jedni byli bardzo wstydliwi, drudzy nie mieli oporów przed rozebraniem się na środku głównej ulicy. Dali bez wątplenia należała do tych drugich.

Niski ryk wielkiego kota przetoczył się kaskadą dźwięków po mojej skórze. Podniosłam głowę.

Na środku pokoju stał biały tygrys. Jaśniejący niczym śniegowy posąg spoglądał na mnie błękitnymi ślepiami, ogromny, nierzeczywisty jak duch północy, tajgi i zimowych polowań. Ciemne pasy znaczyły jej opływowe kształty kruczą czernią. Była czymś więcej niż zwykłym zwierzęciem, więcej niż zwierzęcą formą zmiennokształtnego, była esencją majestatu. Zaparło mi dech w piersiach.

A potem kichnęła. I jeszcze raz. Zamrugnęła, podnosząc łeb. Dostrzegłam wpatrzona we mnie jedno niebieskie oko. Drugie zwrócone było w bok. Zjawiskowy tygrys zezował jak kot syjamski.

Tygryś uniosła łapę, patrząc na nią zdziwiona. Postawiła ją na ziemi i ryknęła oszołomiona.

- Tak, to twoje łapy - powiedział Jim spokojnie. Na dźwięk jego głosu wielki kot cofnął się i, potknąwszy o trupa, klapnął na nim niezgrabnie.

- Usiadłaś na dowodzie - zauważył Jim.

Tygryś zerwała się i obróciła, omal nie zbijając mnie z nóg wielkim zadem. Prychnęła pytająco.

- Tak, jest tu nieżywa istota. Połóż się, Dali, uspokój. Zaraz oprzytomniejesz.

Tygrys ułożył się na podłodze, łypiąc podejrzliwie na trupy.

- Po przemianie miewa krótkotrwałe zaniki pamięci - wyjaśnił Jim. - Zaraz jej przejdzie. Ten zez też zniknie. Niektóre koty reagują w ten sposób na stres.

- Bywa agresywna? - Nie chciałam sobie nagrabić użyciem przemocy wobec zezowatego tygrysołaka z amnezją.

Twarz Jima przybrała dziwny wyraz, tak nietypowy, że dopiero po chwili zidentyfikowałam go jako przejaw zakłopotania.

- Nie. Rzyga po surowym mięsie i krwi.

- Co?!

- Nawet cię nie drapnie, zaczęłaby wymiotować. Jest wegetarianką.

O rany.

- Ale w zwierzęcej formie... - Je trawę. Nie pytaj.

Dali podniosła się, wachając korpus czterorękiego. Przesunęła łbem, począwszy od stóp, niemalże dotykając nozdrzami ciała. Wiodła nosem po zakończonych pazurami palcach, wzdłuż nogi, polizła rzepkę kolanową i obniuchała udo. Po dotarciu do krocza wróciła, powtarzając operację z drugą nogą. Cały proces zajął jej około pięciu minut.

- Masz coś? - zapytałam.

Dali potrząsnęła wielkim łbem. Niech to. No to wracaliśmy do umierającego w wannie Dereka.

- Dobra - rzekł Jim. - Zmień się, coś mi przyszło do głowy.

Tygryś skinęła. Białe futro zafalowało, mięśnie zadrżały i nic poza tym.

- Dali? - Głos Jima był spokojny i opanowany.

Skóra tygrysa uniosła się, ale opadła na miejsce.

Błękitne ślepia wypełniła panika.

Tygryś ruszyła, w szaleńczym pędzie okrążając pokój, tratując ciała. Potrącona ogonem lampa spadła, zasypując podłogę okruchami szkła. Dali przebiegła po odłamkach, wpadając na wiszący na ścianie ekran LCD. Metalowa rama zsunęła się z haka i monitor runął wprost na łeb Dali. Skrzywiłam się.

Dali odskoczyła ogłuszona, a jej rozszalałe oczy napotkały wzrok Jima. Stał jej na drodze i patrzył.

Dali zadrżała, jeżąc się i prychnając.

Jim nie drgnął, wpatrując się w tygrysa zielonymi ślepiami.

Dali znieruchomiła na moment, po czym z ciężkim westchnieniem legła na podłodze.

Kocur alfa w akcji. Jim uklęknął przy niej.

- Nie możesz się zmienić?

Niskie miauknięcie oznaczało prawdopodobnie „tak”.

Z wielkich łap Dali ciekła krew, plamiąc białą sierść. Przy jej awersji pewnie nawet nie wyliże ran. Wzięłam apteczkę Doolittle'a, wyjęłam pęsetę i kucnęłam przy tygrysicy. Wyciągnęła ku mnie ogromną łapę. W poduszkach tkwiły trzy odłamki szkła, trofea po chwalebnej walce z lampą.

- Spróbuj się zmienić jeszcze raz - nakazał jej Jim. - Nie napinaj się, niech to będzie spokojny nacisk.

Uchwyciłam pęsetą pierwszy okruch, wrywając go jednym ruchem. Krew popłynęła mocniej. Dali szarpnęła się, pociągając mnie za sobą. Skrzywiłam się, rana w boku zapiekła.

- Nie ruszaj się - poprosiłam.

Dali miauknęła, ale rozluźniła łapę. Rana nadal krwawiła. Przytknęłam do niej gazę. Bez efektu. Cholera. Miała takie same objawy jak Derek - niemożność przemiany, zahamowana regeneracja. Upuściłam zakrwawiony kawałek mlecznego szkła na pokrywkę apteczki.

- Niech przemówią zapachy. - Głos Jima był równy, kojący. - Wyczułaś coś dziwnego w ciałach?

Dali pokręciła łbem. Wyjęłam kolejny okruch.

- Czujesz coś niepokojącego oprócz problemów ze zmianą formy?

Dali miauknęła ponownie. To właśnie problem ze zmiennokształtnymi - w zwierzęcej formie nie mogli mówić, a większość także pisać. Musieliśmy poprzestać na pytaniach, na które dało się odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Złapałam ostatni kawałek, ale pęseta ześlizgnęła się. Tkwił bardzo głęboko.

- Dali, rozcapierz łapę.

Rozsuwając poduszki, odruchowo wysunęła pazury.

- Dziękuję. - Zacisnęłam narzędzie na odłamku i pociągnęłam.

Tygrysie ciało zawrzało pod moimi palcami i naraz zamiast łapy, trzymałam ludzką rękę.

- O Boże. - Głos Dali drżał od wysokich tonów. - O Boże.

- Co zrobiłaś? - Jim wbił w nią intensywne spojrzenie, jak w upatrzoną ofiarę.

Po policzkach Dali pociekły łzy.

- Myślałam, że już na zawsze utknęłam w zwierzęcej formie. - Rozejrzała się wokół. - Zrujnowałam cały pokój. I twoja rana... Przepraszam.

- Nic się nie stało - mruknęłam, oglądając odłamek. Wydawał się żółtawy. Dziwne, klosz był biały. - Jestem przyzwyczajona.

Podłożyłam gazik pod pęsetkę, w razie gdyby okruch wypadł, i podeszłam do okna. Odłamek połyskiwał, rzucając żółtawy cień na białą gazę. No, proszę.

Jim zmarszczył brwi.

- Topaz?

- Tak sędzę. W sumie założę się, że to odprysk Wilczego Diamentu. - Wszystko pasowało. Rozpruwacze potrzebowali klejnotu, chcieli użyć go jako broni przeciw zmiennokształtnym. Dwa plus dwa dawało żółtawy okruch. - Myślisz, że hamuje transformację?

Jim rozciął sobie pazurem wewnątrz dłoni, wyjął z pęsety odłamek i włożył w ranę.

Oczy zapłonęły mu zielenią, wargi zadrżały, a mięśnie zafalowały, jeżąc włoski na przedramionach. Spojrzenie nabrało dzikości, jak u jaguara, ale ciało pozostało ludzkie.

Bez słowa wyszarpnął żółty okruch i rzucił na gazę, jakby parzył.

To było to. Topaz, broń, dzięki której rakszasy zamierzały zniszczyć Gromadę. Klejnotu nie można było skraść - żeby uniknąć klątwy, należało go wygrać. Wzięły udział w turnieju, aby zdobyć kamień, a potem planowały pewnie pociąć na małe kawałeczki i użyć do zablokowania transformacji zmiennokształtnych w zwierzęta lub formy pośrednie. Bez przemiany i możliwości samoleczenia Gromada stanie się dla rakszas armią mięsa.

- Musiałam na niego nadepnąć, kiedy wpadłam na trupa - mruknęła Dali.

- Stratowałam, chciałaś powiedzieć - poprawił ją Jim, wzdrygając się, jakby otrząsał się z wody. - Jeden z nich musi tkwić w dzieciaku, choć m-skaner go nie wykrył.

Dali dotknęła okrucha opuszką palca.

- Jest za mały. M-skanery nie są na tyle czułe, by wykryć tak niski poziom magii.

- Nie mam zamiaru ciąć Dereka na kawałki, żeby go znaleźć. Chłopak tego nie przeżyje. Musi być jakiś inny sposób - zastanawiał się Jim.

W mojej głowie skryzlował się plan.

- Jadę do Macon.

Jimowi zaiskrzyły się oczy.

- Julie, twoja podopieczna. Uczy się w szkole pod Macon. I jest niezwykle wrażliwa na magię.

Julie, dziecko, z którym los zetknął mnie podczas rozbłysku, miała wyjątkowy talent. Potrafiła odczytać linie magii lepiej niż najczulszy m-skaner. Umieściłam ją w najlepszej szkole prywatnej w okolicy, tylko dwie godziny drogi od linii geomantycznej.

- Jeśli ktokolwiek umie znaleźć odłamek w Dereku, to właśnie ona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zabębniłam palcami o kontuar. Wsłuchując się w sygnał, poprawiłam opatrunek na boku. Rana nadal krwawiła.

Usłyszałam kliknięcie, a zaraz potem w słuchawce odezwał się damski głos.

- Pani Daniels? - Tak?

- Nazywam się Citlalli. Jestem wychowawczynią Julie.

- Tak, pamiętam. - Przed oczyma stanął mi obraz niskiej brunetki o oczach madonny. Silna empatka. Empaci na podobieństwo surferów unosili się na falach ludzkich emocji, doznając uczuć żalu czy radości tak, jakby były ich własnymi. Świetnie sprawdzali się w zawodzie psychologa, choć bywało, że pacjenci przyprawiali ich o pomieszanie zmysłów.

Zasepiłam się. Coś było nie tak. Nie prosiłam do telefonu wychowawcy.

- Pani Daniels...

- Kate.

- Jest pani prekognitką, Kate?

- Nie, a dlaczego pani pyta?

- Pisałam właśnie do pani list w sprawie Julie i zaczęłam podejrzewać, że może ściągnęłam panią myślami.

Tylko nie to.

- Co z Julie?

- Nic poważnego, drobne problemy.

Julie była jednym wielkim problemem pędzącym wierzchem na problemie i poganiającym go problemowym batem. Ale Julie była też moja, więc mimo grzecznego tonu Citlalli, natychmiast zjeżyłam się gotowa do obrony.

- Proszę mówić - mruknęłam, starając się powściągnąć wrogość.

- Z winy długiej przerwy w edukacji będzie musiała powtórzyć klasę.

- Myślałam, że ustaliłyśmy tę kwestię podczas jej przyjęcia?

- Pod względem nauki wyprzedza program. Nie mam wątpliwości, że do końca roku dogoni rówieśników - zapewniła mnie Citlalli. - Jednakże ma kłopoty z integracją społeczną.

Ostatnie dwa lata mieszkała na ulicy, ukrywając się przed gangami. Na dodatek chłopak zrobił jej pranie mózgu. Czego się więc spodziewali?

Citlalli odchrząknęła. Moja irytacja musiała być tak silna, że kobieta ją wyczuła. Odetchnęłam, oczyszczając umysł. Emocje ucichły, ukryte w głębi jestestwa. Nauczyłam się tej techniki medytacyjnej już w dzieciństwie. Rzadko z niej korzystałam, lubiłam poddawać się emocjom. Lęk, gniew, oburzenie, miłość, odwaga, wszystkie wykorzystywałam jako dopalacze podczas walki.

Wiedziałam jednak, jak je stłumić, a z wiekiem przychodziło mi to coraz łatwiej.

- Przepraszam, nie chciałam pani urazić. Mówiła pani o problemach Julie?

- Dziękuję. Dzieci w jej wieku potrafią być bardzo okrutne. Rozwijają własną tożsamość. Ważne staje się dla nich miejsce w hierarchii grupowej. Julie ma poczucie niższości. Ma spore zaległości w nauce, więc nie może wybić się na tym polu, żeby zyskać uznanie. Nie celuje też w sportach, co jest częściowo winą długiego okresu niedożywienia, ale też nie jest w tym kierunku szczególnie utalentowana. Mamy tu kilku wybitnych sportowców, a ona zdaje sobie sprawę, że nigdy im nie dorówna. Nie wyróżnia się także w dziedzinie walk. Co prawda ci, którzy wiedzą o jej darze, są pod jego ogromnym wrażeniem, ale młodzi ludzie cenią sobie bardziej efektowne przejawy magii.

- Innymi słowy, Julie nie jest sportsmenką, nie jest wojownikiem, bierze korki, a jej magia jest nijaka, bo nie zieje ogniem ani nie topi metalu mrugnięciem oka.

- W skrócie. Niektóre dzieci w podobnej sytuacji sięgają do rodzinnej historii, aby umocnić swoją pozycję wśród rówieśników.

- A Julie nie ma żadnych znamienitych krewnych. - Żadnych bohaterów, żadnych wielkich magów.

- Ma panią.

- Ach.

- Opowiada różne historie. Piękne, przerażające opowieści o demonach, boginiach i wiedźmach. Wiem, że to prawda, bo czuję jej szczerłość. Jednak dzieci...

- Wyśmiewają się z niej, bo myślą, że kłamie.

- Tak. Kontrolujemy sytuację. Nikt nie zrobił jej krzywdy, aczkolwiek Julie jest dość porywcza...

- Jest jak odbezpieczony granat.

- Mówiąc wprost. Ma nóż.

Zamknęłam oczy, licząc do trzech. Zabrałam dziewczynce wszystkie noże, dwa razy przeszukałam ją i bagaże, zanim opuściłam szkołę.

- Nie chce się z nim rozstać. Moglibyśmy zabrać go siłą, ale to byłoby bolesne dla jej i tak znękanego ego. Lepiej, gdyby oddała nóż dobrowolnie, a jedyną osobą, która mogłaby Julie do tego nakłonić, jest pani.

Zerknęłam na zegarek. Jedenasta. A czułam się, jakby już był wieczór.

- Jaki Julie ma dzisiaj plan zajęć?

- Do pierwszej zajęcia wyrównawcze z algebry, potem przerwa obiadowa, wykład z arkan do trzeciej, lekcja nauki o społeczeństwie i łucznictwo do piątej...

- Czy łucznictwo to zajęcia grupowe?

- Tak, na wolnym powietrzu.

Jeśli się pospieszę, powinnam dotrzeć tam przed piątą.

- Mam do pani wielką prośbę. Proszę podejść do Julie podczas obiadu i tak, żeby inne dzieci słyszały, powiedzieć, że ciotka przyjedzie po nią w czasie łucznictwa.

- Oczywiście.

- Dziękuję. Odłożyłam słuchawkę.

- Dzieciak w porządku? - zapytał stojący w progu Jim.

- Tak. Jadę po nią.

- Wyślę z tobą kogoś.

- Nie potrzebuję obstawy.

Jim wsparł się o blat, nachylając ku mnie.

- Zawsze zakładam najgorsze. Ja wyszedłbym, gdzie zabrano moich martwych towarzyszy, trafiłbym tutaj i obserwował dom. Poszedłbym potem za tobą i zaatakował, gdy będziesz najsłabsza, czyli gdy będzie przy tobie dziecko. Ty umierasz. Julie umiera. Umiera Derek. Nie mówię ci, jak machać mieczem. To twoja domena. Moją jest ochrona. Weź kogoś ze sobą.

Magozakłęcie Doolittle'a wreszcie zadziało, rana przestała krwawić.

- Podaj mi naftę - poprosiłam.

Jim wyjął z szafki buteleczkę i zapalki. Podeszłam do zlewu, wrzuciłam zużyty opatrunek, polałam naftą i podpaliłam.

- Dobra. Daj mi Rafaela.

- Boudę? - Jim skrzywił się pogardliwie. - Chcesz w to wciągnąć boudę?

- Żadne z was nie może ze mną iść. Gdybyś nie zauważył, rozesłano za wami listy gończe. Ale mnie Curran nie kazał szukać.

- Wydajesz się tego pewna.

Znałam sposób myślenia Currana. Chciał mnie dopaść osobiście, schwytanie czyimiś rękoma nie sprawiłoby mu takiej satysfakcji. Nie pozbawiłby się tej przyjemności. Oczywiście wspomnienie o tym Jimowi musiałyby się skończyć opowiadaniem o rozmowie, w której padły słowa: „Nie tylko się ze mną prześpisz, ale będziesz o to błagała, a po wszystkim podziękujesz”. I o porannych odwiedzinach. Oraz serwowaniu kolacji nago. Co mi, do licha, odbiło, żeby się z nim całować?

- Curran nie ma nade mną władzy - wyjaśniłam, ostrożnie dobierając słowa. Miałam nadzieję, że Jim to kupi. - Nie posiada mocy prawnych do kontrolowania moich poczynań. Wydanie Gromadzie nakazu schwytania mnie byłoby równoznaczne z sankcjonowaniem porwania stróża prawa. - Co oczywiście nie powstrzymałoby Currana. - Pozwól mi zabrać boudę.

- A jeśli doniesie na nas Curranowi?

- Kocha się w mojej przyjaciółce. Poproszę go tylko, żeby pojechał ze mną po Julie. Nawet nie będzie wiedział, że ma to coś wspólnego z wami.

Jim pokręcił głową, ale wybrał numer i podał słuchawkę.

- Ty z nim rozmawiaj.

Wsluchiwałam się w sygnał.

- Możesz mi podstawić konie na zjeździe do Macon? Tylko jakieś wystrzałowe, takie, których sama bym w życiu nie wybrała?

- Nie ma sprawy.

Wreszcie w słuchawce rozległo się miękkie gruchanie Rafaela.

- Halo?

- Rafael? Chciałabym prosić cię o przysługę.

* * *

Rafael czekał na mnie przy linii geomantycznej, opierając się o jeepa. Samochód został przerobiony, był napędzany zaklętą wodą i wyglądał, jakby próbował wyrzygać silnik przez maskę.

Rafael za to wyglądał... Brakło mi słów. Streściłam mu plan w rozmowie telefonicznej, ale efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Miał na sobie wysokie, ciężkie buty do kolan, obcisłe skórzane spodnie, kamizelę, która opinała się na torsie niczym druga skóra, a wszystko w kolorze głębokiej czerni. Przez ramię przerzucił karabin, a u pasa przytroczył szeroki, prawie metrowej długości miecz w krótkiej pochwie. Miecz byłby zbyt ciężki dla przeciętnego człowieka. W górnej części ostrza zdobiły go wygrawerowane czarne runy. To wszystko plus kaskada czarnych włosów i błękit oczu dawało oszałamiający efekt. Nie wiedziałam, czy po tym szoku bardziej przydałby mi się kardiolog do przywrócenia akcji serca, czy też chirurg do nastawienia zuchwy.

Dwie przewoźniczki czekające na transport spoglądały na Rafaela, starając się nie ślinić zbyt jawnie. Przechodząc obok, usłyszałam, jak jedna z nich, ruda, trącając koleżankę łokciem, mówi:

- Czuję krwawą forszę.

Amunicja. Naboje były drogocennym towarem. W niektórych miejscach przyjmowano je zamiast gotówki, stąd powiedzenie „krwawa forsa”.

Rafael błysnął do nich uśmiechem.

- Rozbój na drodze to nie moja działka.

- Szkoda, dałabym ci się rozbujać.

Rafael skłonił się dwornie. Kobiety wydawały się bliskie omdlenia.

Przemaszerowałam kilka kroków i stanęłam przy nim, żeby dziewczyny nie zapomniały, po co tu są i nie wymiętosły mi ochroniarza.

- Popsuj zabawa - prychnęła ruda, zezując na mnie.

Rzuciłam jej groźne spojrzenie. Obie cofnęły się na drugi koniec platformy. Trudno im się dziwić. Też się wystroiłam. W przeciwieństwie do lśniącego od stóp do głów Rafaela postawiłam na matową czerń impregnowanej skóry. Dodatkowo od ramion po czubki miękkich butów okrywał mnie zamaszysty płaszcz Jima. Wyglądałam jak plama mroku o kobiecym kształcie. Jim nie był zbyt szczęśliwy, pożyczając mi swoją ulubioną część garderoby, ale nie posiadałam stroju odpowiadającego moim planom, a nie miałam kiedy i gdzie go zdobyć. Żyliśmy czasem pożyczonym od Dereka, a ten kurczył się niewiarygodnie szybko.

W płaszczu prezentowałam się stosownie niebezpiecznie i tajemniczo. Brakowało mi jedynie wielkiego neonu nad głową: CIĘŻKI PRZYPADEK. ZAINTERESOWANI USZKODZENIEM CIAŁA - FORMULARZE PO PRAWEJ.

Rafael uśmiechnął się szeroko.

- Spróbuj się zaśmiać, a oberwiesz - zagroziłam.

- Po co ci karabin? I tak wszyscy wiedzą, że nie umiesz strzelać.

Kto wszyscy? Niech staną przede mną, najlepiej nie dalej niż trzy metry, a przedyskutuję z nimi tę kwestię szczegółowo.

- Strzelam wystarczająco dobrze. - Pudłowałam tylko w osiemdziesięciu procentach. W każdym razie bronią palną. Z kuszą radziłam sobie lepiej, a z nożem całkiem nieźle. - Wiesz, że te runy na twoim mieczu są bez sensu?

- Tak, ale dobrze wyglądają.

Linia zamigotała. Niektórzy poetycko przyrównywali ten efekt do unoszącego się nad asfaltem gorącego powietrza. W rzeczywistości wyglądało to bardziej konkretnie - krótkie, kontrolowane pulsacje, jakby niewidoczna przykrywka uchylała się, wypuszczając kłęby zniekształceń, a potem gwałtownie zatrzaśkiwała. Z prądem geomantycznym nie było żartów. Pół metra pod ziemią płynęła rzeka czystej magii. Porywała wszystko, co znalazło się w jej zasięgu i unosiła z prędkością stu do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Każde stworzenie na tyle głupie, by wdepnąć w nurt, mogło pożegnać się z kończynami. Większość poruszających się linią korzystała z taksówek - spiętych w kolejkę drewnianych platform, ale do jazdy nadawało się cokolwiek na tyle mocnego, żeby utrzymać ciało.

Samochód, deska surfingowa, kawałek dachu. Widziałam nawet faceta jadącego na drabinie. Ryzykant.

Rafael wrzucił jałowy bieg. Popchnęliśmy samochód i wskoczyliśmy do środka. Jeep przetoczył się po platformie, zsuwając w rzekę magii.

Nurt chwycił nas w magiczne szczęki. Poczułam nieprzyjemne sensacje w okolicach pępka. Samochód znieruchomiał, jakby przytrzymany w niewidzialnym imadle, a ziemia pod nami zaczęła kręcić się, nabierając szybkości.

Rafael wyjął książkę i podał mi. Okładka, stworzona w czasach, kiedy komputerowa obróbka zdjęć była sztuką samą w sobie, przedstawiała nieziemsko przystojnego mężczyznę, którego stopa w ogromnym czarnym buciorze wspierała się na truchle jakiegoś potwora morskiego. Złota grzywa włosów spływała na szerokie bary, kontrastując z opalenizną i odsłaniając czarną przepaskę na lewym oku. Biała rozchełstana koszula ukazywała stalowe góry mięśni na perfekcyjnie wyrzeźbionej klacie, ugarniowanej sterczącymi sutkami. Atletyczne uda rozpięły tkaninę rozpiętych spodni, luźno obejmujących wąskie biodra, zaś strategicznie umiejscowiony cień skrywał największą erekcję świata. Krzykliwe, złote litery układały się w tytuł: „Korsarz i dziewczica”.

- Czwarta część cyklu do kolekcji Andrei? - domyśliłam się.

Rafael przytaknął, odbierając mi książkę.

- Tamtą, którą chciała, też kupiłem. Możesz mi coś wyjaśnić?

O rany.

- Mogę spróbować.

Pacnął książką w obleczone czarną skórą kolano.

- Pirat porwał brata tej laski i chce, żeby przespała się z nim w zamian za jego uwolnienie. Ci faceci to nie faceci. To tacy pseudo-zimne-dranie, którzy marzą o miłości „porządnej” kobiety.

- Nie żartuj, że to czytałeś? Rafael zgromił mnie wzrokiem.

- Oczywiście, że czytałem. Te książki są generalnie o piratach i dziewczynach, które ci porywają, żeby się z nimi bzykać i żeby ktoś mówił im, jak mają żyć.

Wow. Musiał chyba czytać powieść pod kocem z latarką, żeby uniknąć zaczepek i podejrzeń o zmianę orientacji. Albo naprawdę zakochał się w Andrei, albo cierpiał na agonalny przypadek chcicy.

- Ci goście są strasznie twardzi i groźni, wszyscy sikają w gacie na ich widok, a potem taki facet spotyka jakąś dziewczynę i przestaje być superalfą. Staje się zagubionym chłopcem, który szuka zrozumienia i chce rozmawiać o swoich uczuciach.

- Jest jakaś pointa tego wyводу? Rafael odwrócił się do mnie.

- Nie potrafię tak. Jeśli Andrea tego ode mnie oczekuje, to nie mam najmniejszych szans.

Westchnęłam ciężko.

- Kojarzysz zabawy w przebieranki? Francuska pokojówka, pielęgniarka...

- Uczennica szkoły katolickiej... Bingo.

- Nie miałbyś nic przeciwko, żeby Andrea założyła dla ciebie taki mundurek, prawda?

- Nie. - Wzrok mu się zaszklął; Rafael podryfował umysłem do jakiegoś odległego miejsca.

Strzeliłam palcami.

- Rafael! Skup się. Zamrugał, przytomniejąc.

- Podejrzewam, choć strzelam w ciemno, że Andrea też nie miałaby nic przeciwko, żebyś od czasu do czasu założył dla niej kostium pirata. Jednak nie radzę porywać jej krewnych. Mogłaby ci odstrzelić łeb. Kilkakrotnie. Srebrnymi kulami.

W oczach Rafaela pojawiło się zrozumienie.

- Ach, tak.

- A skoro jesteśmy przy temacie, może ty też mógłbyś mi wyjaśnić pewne sprawy. Załóżmy, że jest jakiś tam samiec alfa. Przypuśćmy, że podoba mu się jakaś samica. Co robi, żeby... - Jak to nazwać? Parzyć się? Spółkować?

- Dobrać jej się do majtek? - podsunął Rafael.

- Tak. Właśnie.

Rafael rozparł się wygodnie.

- Cóż, przede wszystkim musisz wiedzieć, że boudy to nie szakale, szakale to nie szczury, a szczury to nie wilki. Wszyscy mają swoje sztuczki. Generalnie chodzi o wykazanie się sprytem, umiejętnościami oraz udowodnienie, że jest się w stanie zapewnić jej opiekę i obronić ją, a w przyszłości także młode.

- Czy w grę wchodzi też włamywanie się do jej mieszkania?

Rafael uśmiechnął się półgębkiem.

- Ach, więc Jego Wysokość wykonał ruch. Poprosił cię już o kolację?

- Nie mówię o sobie i Curranie - warknęłam.

Zaśmiał się cicho.

- W zasadzie tak. Chodzi o wejście na czyjś teren. Gromada posiada terytorium, które należy do wszystkich. Ale są miejsca tradycyjnie uznawane za domeny poszczególnych klanów, jak działka wokół domu boud. To bardziej umowne zasady, lecz zapewniają prywatność klanową. Nie ma oficjalnych terytoriów klanowych czy indywidualnych, więc ich rolę pełni dom lub mieszkanie. Podczas godów samiec stara się udowodnić, że jest na tyle przebiegły, aby wdrzeć się na teren samicy i wyjść z tego cało.

- Uhm.

- Jak wspominałem, to złożona sprawa. I punkt honoru. Każdy klan ma swoje tradycje. U szczurów najważniejsze jest jedzenie. Gdy Robert, szczur alfa, starał się zwrócić uwagę Thomasa, wypchał jego materac M&Msami. Niewyszukane, jednak zadziałało. Są już ze sobą dwanaście lat. Wilki przykładają szczególną wagę do wyrafinowania i konwenansów. Weźmy Jennifer, samicę alfa. Ma dużo sióstr, chyba z pięć, z którymi dwa razy w tygodniu spotyka się na herbatce. Są Angielkami. Wspomniała kiedyś jednej przyjaciółce, że jej serwis jest niekompletny i wyszczerbiony, i że przydałby się nowy. W tym czasie o względy Jennifer starał się Daniel. Przypominam ci, że wilki mają fotograficzną pamięć. Włamał się więc do jej domu i podmienił wszystkie naczynia na antyczny serwis w idealnym stanie. Kiedy

wróciła do domu i otworzyła szafki, wszystko było tak, jak poukładała. Każdy talerzyk, filiżanka na swoim miejscu. Z tym, że od nowego serwisu. W zlewie zostawiła filiżankę z talerzykiem. Te też podmienił, a do filiżanki nalał dokładnie taką samą ilość wody, jaka była w starej.

Rafael wzruszył ramionami.

- Osobiście uważam, że to trochę sztywniackie, ale wilczyce rozwodziły się nad tym całymi latami. Co za klasa, elegancja, wysublimowanie... - Wywrócił oczami.

- A co robią boudy? - Nie mogłam się oprzeć.

Oczy mu zabłyśły.

- Stawiamy na poczucie humoru. Kiedy moja mama musiała wyjechać na krótko z miasta, tata przykleił wszystkie meble do sufitu.

Wyobraziłam sobie Ciocię B. wchodzącą do domu, gdzie meble stoją na suficie. Nie mogłam powstrzymać chichotu.

- I jak zareagowała twoja mama?

- Wkurzyła się o kota.

- Kota też...? - Nie mogłam uwierzyć.

- Och, nie - zaprzeczył pospiesznie Rafael. - Nie przykleił do sufitu kota, to byłoby okrutne. Ale mama miała klatkę transportową, którą przykleił. A potem wsadził do niej kota.

Zaczynałam podejrzewać, jak to się mogło skończyć, lecz zbyt dobrze się bawiłam, żeby mu przerywać. Pilnowałam, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Kot się zdenerwował i obsikał wszystko, a ponieważ górny wiatrak był włączony, rozniósł siki po całym pokoju...

Nie wytrzymałam i zgięłam się w pół. Rafael rechotał ze mną.

- Tata próbował posprzątać, ale wsiąkło w dywan na amen. Nie przewidział takich komplikacji. Nie był kociarzem.

- Coś takiego trudno pobić - wykrztusiłam.

- No.

- Chcesz coś zrobić dla Andrei?

Uśmiechnął się chytrze.

- Myślę o tym. To musi być coś wyjątkowego.

W końcu się wyśmiałam.

- A co robią koty?

- Koty są dziwne - pokręcił głową. - Trudno powiedzieć.

Zamilkliśmy.

- Więc co zrobił Curran? - zapytał wreszcie.

Obrzuciłam go spojrzeniem zwiastującym szybką i pewną śmierć.

Machnął ręką.

- Daj spokój. Mów. Należy mi się za tę wyprawę. Curran może mnie pociągnąć do odpowiedzialności za pomaganie tobie i temu kocurowi.

- Nie mówiłam, że to związane z Jimem.

- Przestań. Nie jestem głupi. Więc co zrobił Władca Bestii?

- Ale paszcza w kubel, pamiętaj.

Kiwnął głową.

- Zakrada się do mojego mieszkania i patrzy, jak śpię.

Rafael się zasepił.

- No, to dość bezpośrednie. Nie spodziewałbym się po Curranie szczególnego wyrafinowania, ale to zbyt proste nawet jak na niego. Zrobił coś dziwnego? Poprzestawiał coś?

- Nie.

Mars na czole Rafaela pogłębił się.

Zabębniłam palcami o kierownicę.

- Z tego, co zrozumiałam, zabawa polega na tym, żeby dać znać samicy o swoim pobycie na jej terytorium i ujść cało.

Rafael przytaknął.

- Nie sądzę, żeby Curran chciał, żebym się o tym dowiedziała. Nakryłam go przypadkiem. Jaki jest więc sens starań udowodnienia swojego sprytu, skoro kobieta się o tym nie dowie?

- Nie wiem. - Rafael popatrzył na mnie bezradnie. - Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie.

No to było nas dwoje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Świat stanął w miejscu. Samochód zatrzymał się gwałtownie, a siła bezwładu wgniotła mnie w fotel. Przez moment miałam wrażenie, że atomy w moim ciele ścieśniły się, wbrew prawom fizyki, a potem strumień magii wypłuł nas na bok. Jeep potoczył się kilka metrów, przystając łagodnie nieopodal ciemnowłosej kobiety, trzymającej dwa wierzchowce. Wsiadłam. Fryzy. Wielkie, masywne, czarne, o gęstych, falujących grzywach i długich, kruczych szczotkach pęcಿನowych. Konie rycerskie. Piękne, silne, diablo efektowne. Dzięki, Jim.

- To dla nas?

Kobieta zmierzyła mnie podejrzliwym wzrokiem.

- A ktoś ty?

- Kate Daniels.

- W takim razie dla was. To Marcus, a to Bathsheba.

- Wezmę klacz - oświadczył Rafael.

- Uważajcie na moje maleństwa.

- Jedziemy tylko do szkoły i z powrotem - zapewniłam ją. -
Zwrócę ci je za godzinę.

- Całe.

- Całe i zdrowe.

Dosiedliśmy koni. Kobieta obejrzała mnie, otaksowała Rafaela i prychnęła.

- Szkoda, że nie mam aparatu. Byłyby z tego niezłe zdjęcia reklamowe.

Tyle że aparat nie zadziałałby podczas przyływu magii, pomyślałam, ale grzecznie zmilczałam.

Pokłusowaliśmy ścieżką. Marcus okazał się zaskakująco uległy, reagował na najdrobniejszy sygnał, jakby czytał mi w myślach. Jeśli kiedyś upadnę na głowę i zechcę kupić konia, nie będę miała dylematu, jakiego wybrać.

Szkołę ujrzeliśmy już po kilku minutach jazdy. Widziany z siodła kompleks przypominał fortecę, ośmioboczną twierdzę otoczoną dwuipółmetrowym murem z łukową bramą zaopatrzoną w broń. Strażnicy na blankach bez wahania skierowali na nas łuki. Wartownik przy wejściu sprawdzał nasze dokumenty dobre pół minuty - czarne stroje, wielkie konie i efekciarska broń miały też swoje minusy. Wreszcie kiwnął głową.

- Czekaliśmy na was. Dziewczyna jest na dziedzińcu, tam, na końcu w lewo. - Wskazał.

Spięłam Marcusa, który ruszył płynnie. Przegalopowaliśmy wokół głównego budynku. Mój płaszcz powiewał dramatycznie nad zadem wielkiego konia. Naprzeciwko ustawionych pod murem tarcz strzelniczych stała grupka około dwudziestu dzieci. Czwórka z nich celowała z łuków do tablic, zaś reszta czekała spokojnie skupiona

przy wielkim wiązcie pod czujnym okiem potężnego mężczyzny w kolczudze oraz drobnej, ciemnej kobiety. Citlalli, wychowawczyni. Wspaniale.

Dzieciaki zamarły na nasz widok. Przeszukawszy gromadkę wzrokiem, dostrzegłam małą blondynkę, zbyt szczupłą i niską jak na trzynastolatkę. Moja dziewczynka. Stała sama, trochę z tyłu.

Zbliżyliśmy się do grupki. Marcus zatańczył niecierpliwie, niezadowolony z tak szybkiego końca przebieżki. Postarałam się przybrać odpowiednio mroczną postawę. Rafael zmarszczył się groźnie, spoglądając spode łba. Jego oczy zabłyśły jak dwa rubiny. Chłopcy pobledli. Dziewczynki mężnie walczyły z omdleniem.

Otrząsnąwszy się z osłupienia, Julie zaczęła się ku nam przepychać.

Spojrzałam na nią twardo. Skuliła się.

- Nóż - rzuciłam.

Wyjęła zza pazuchy jeden z moich czarnych sztyletów do rzucania. Niech to lichu. Liczyłam je tamtego dnia i mogłabym przysiąc, że był komplet. Modląc się, by Marcus stał spokojnie, wyrwałam Julie nóż, wyprostowałam się i cisnęłam nim w drzewo. Wszystko jednym, płynnym ruchem. Ostrze wbiło się w pień do połowy. Ktoś jęknął.

- Dostaniesz go po ukończeniu szkoły.

- Tak, proszę pani. - Julie błyskawicznie weszła w rolę.

Zwróciła się do mnie „proszę pani”. Czekałam, aż niebo przetnie błyskawica i na ziemię zstąpią czterej jeźdźcy Apokalipsy, jednak z jakichś tajemniczych powodów żadne ze zjawisk nie nastąpiło.

- Doszły mnie słuchy o twoich opowieściach.

- Przepraszam, proszę pani.

- Czy muszę ci przypominać, że podpisałaś w Zakonie zobowiązanie do zachowania tajemnicy?

Julie była ucieleśnieniem poczucia winy.

- Poszłaś do tej szkoły na własne życzenie. Jeśli jeszcze raz usłyszę, że ujawniasz tajne informacje, zabiorę cię stąd i zanim się obejrzyysz, wsadzę do Akademii. Zrozumiano?

- Tak, psze pani. - Julie wyprostowała się na baczność.

- Teraz pójdziesz ze mną.

- Mam zabrać rzeczy?

- Nie ma czasu. Gromada niezwłocznie potrzebuje twojej pomocy. - Derek potrzebuje twojej pomocy.

Był to sygnał dla Rafaela, który z zapierającą dech w piersiach gracją zsunął się z siodła i podszedł do Julie. Skinął jej głową w sposób, który bardziej przypominał ukłon.

- Julie, jeśli pozwolisz, Władca Bestii cię oczekuje.

Dziewczynka odkłoniła mu się dwornie.

- Oczywiście. Przekaż Jego Wysokości podziękowania za pamięć.

- Sama mu podziękujesz. Ucieszy się na twój widok.

Rafael pochylił się, nadstawiając dłoń. Julie natychmiast postawiła na niej stopę i dała się podsadzić na moje siodło. Wskoczyła, obejmując mnie w pasie chudymi ramionkami.

Rafael wziął krótki rozbieg i wskoczył na konia, nie podpierając się rękoma. Ściągnęliśmy wodze i ruszyliśmy galopem do bramy. Zwolniliśmy dopiero za murami.

- To było fajowskie! - zachwyciła się Julie.

- Powinno ci pomóc z dziećmi. Ale od tej pory radzisz sobie sama. Nie mogę pojawiać się i robić przedstawienia za każdym razem, gdy ktoś ci dokuczy. A teraz poważnie, kiedy ktoś zapyta cię, o co chodziło, powiesz, że nie wolno ci puścić pary z ust. Ludzie nie znoszą, jak ktoś wie więcej od nich. Doprowadza ich to do szału.

Julie objęła mnie mocno.

- Dzięki.

- Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

- Co się stało?

- Derek ma kłopoty.

- Och, nie - szepnęła Julie, przytulając się do mnie mocniej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Julie łkała. Klęczała przy zmalretowanym ciele Dereka, a łzy strumieniem ciekły jej po policzkach. Stałam za nią w milczeniu. Potrzebowała się wypłakać. Patrzenie na Dereka było bolesne i musiała to z siebie wyrzucić, inaczej nie dałaby rady nam pomóc.

Po kilku minutach otrząsnęła się, ocierając nos wierzchem dłoni. Podałam jej chusteczkę. Osuszyła oczy, wysiąkała nos i kiwnęła głową.

- Już.

Jim i Doolittle zbliżyli się do nas. Reszta czekała z tyłu, obserwując. Wśród nich Rafael. Ostrzegłam go, że pomaganie mi oznacza poważne kłopoty, ale uśmiechnął się tylko i poszedł za nami do kryjówki. Przez chwilę rozmawiał z Jimem, po czym został wpuszczony do środka.

Jim kucnął obok Julie, otwierając małe pudełko po ciastkach. Wewnątrz, na białej gazie, leżały dwa żółtawe okruchy, jeden z ciała, na które nadepnęła Dali, drugi z ofiary Saimana, który Doolittle znalazł podczas autopsji. Tkwił w ramieniu. Doktor i Jim powiedzieli mi, że po wyjęciu odłamka ciało zmieniło się, ale próby wyjaśnienia w co, spełzły na niczym. Sami również nie wydawali się do końca to

rozumieć. Szybko umieścili trupa w worku i zanieśli do piwnicy, odradzając mi oglądanie zwłok.

Julie wzięła w palce odłamek, wpatrując się w niego ze skupieniem. Przyglądała mu się dłużej, po czym odłożyła i przeniosła uwagę na Dereka.

- Tu. - Wskazała na poszarpane udo.

W ciemnej dłoni Doolittle'a błysnął skalpel. Lekarz zrobił nacięcie, rozszerzył brzegi i włożył kleszcze. Wstrzymałam oddech.

Po chwili wyjął narzędzie. W świetle lampy zamigotał zakrwawiony odłamek.

- Dzięki ci, panie. - Doolittle upuścił odprysk do puszki.

Nareszcie. Już po wszystkim.

- Tu. - Palec Julie powędrował na bok. Doktor zawahał się.

- Przetnij tu. - Dziewczynka dotknęła żebra Dereka.

Doolittle wykonał nacięcie, wydając następny kawałek.

- I tutaj. - Julie pokazała na klatkę piersiową, gdzie czerniła się pręga oparzeliny.

Do diabła! Ile tego w niego wsadzili?!

Doktor przeciął ranę.

- Nic.

- Głębiej - powiedziała.

Z rany trysnęła ciemna krew.

Wzdrygnęłam się. Cisza trwała całą wieczność. - Jest - oświadczył doktor wreszcie, wkładając odłamek do puszki. - Jeszcze jakieś?

- Nie - odparła Julie.

Podniosłam wzrok. Nic się nie zmieniło. Derek nadal leżał bez ruchu.

- Co teraz?

- Teraz czekamy.

* * *

Siedziałam po ciemku na taborecie, obserwując ciało Dereka. Od wyjęcia okruchów minęły trzy godziny. Derek ani drgnął. Nie dostrzegłam żadnej zmiany.

Doolittle spał na fotelu w pokoju naprzeciwko. Nawet podczas snu z jego twarzy nie zniknęły troska i śmiertelne znużenie. Nie zamykał oczu od dwóch dób, próbując utrzymać chłopaka przy życiu, ale uczucie bezsilności pokonało go w końcu. Przez pierwszą godzinę po tym, kiedy Julie odnalazła odłamki, czuwał z nami w pełnej gotowości. Jednak nadzieja z wolna zmieniła się w gorycz. Widziałam, jak powoli go ogarnia, aż doktor wreszcie opuścił swoje stanowisko i wyszedł. Zajrzałam do niego w drodze do łazienki - pólleżał w fotelu, pogrążony w głębokim śnie.

W progu pojawiła się Julie, niosąc dwa kubki. Podeszła, podała mi jeden i przycupnęła u moich stóp. Pociągnęłam łyk. Herbata z cytryną. Wyśmienita.

Sama uczyłam Julie, jak parzyć porządną herbatę. Nauka nie poszła w las.

- Co to za klatka? - zapytała dziewczynka, wskazując na dziurę w podłodze, w której połyskiwały srebrne pręty. - Mało do niej nie wpadłam.

- To klatka dla loupa - wyjaśniłam. - Mają takie w każdym porządnym domu zmiennokształtnych. - Gdyby Derek zmienił się w loupa, Jim i Doolittle będą go musieli szybko unieszkodliwić. Nie chciałam nawet o tym myśleć. A tym bardziej rozmawiać o tym z Julie.

- Jak się poznaliście? - zapytała cicho.

- Hm?

- Ty i Derek. Jak się poznaliście?

O tym też nie miałam ochoty mówić. Jednak lepsze to niż pogrążanie się w rozpacz.

- Szukałam zabójcy Grega. Zakon przekazał mi akta, nad którymi pracował mój opiekun. Poszłam po jego śladach, chcąc dowiedzieć się, kto go zamordował. W ten sposób trafiłam do Gromady. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale Greg ściśle współpracował z Gromadą. Zdobył ich zaufanie, sam też im ufał. Jednakże nie wiedzieli nic o mnie, podobnie jak ja o nich. Wiedziałam tylko, że Greg został rozszarpany na kawałki.

Napiłam się herbaty.

- Miałam dojscie do Jima, z którym wcześniej pracowałam dla Gildii. Jim powiedział Curranowi o moim dochodzeniu. Curran postanowił dowiedzieć się, na jakim jestem etapie śledztwa, więc Jim

zorganizował nam spotkanie. W Zaułku Jednorożca zresztą. Nie poszło zbyt dobrze.

- Niespodzianka - prychnęła Julie.

- Taa. Teraz myślę, że to był test. Jego Futrzasta Wysokość chciał się przekonać, z jakiej gliny jestem ulepiona, a ja dałam się podpuścić. - Wzruszyłam ramionami. - Człowiek uczy się całe życie. - Uniknęłabym wielu problemów, gdybym nie podkradła się wtedy, wołając „kici, kici”.

- I co?

- Zostałam zaproszona na zebranie Gromady, żeby omówić szczegóły. Widziałas, jak oni traktują obcych. Najpierw gryź, później pytaj. Sprowadzili mnie w środku nocy do Twierdzy. Weszłam do podziemnej sali wypełnionej tłumem zmiennokształtnych, którzy moim widokiem zachwyceni nie byli.

- Bałaś się?

- Bałam się coś zepsuć. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli nie przekonam ich do współpracy, może być bardzo ciężko. Ze zwykłego najmusa awansowałam nagle na kogoś, kto rozmawia z Władcą Bestii oraz wierchuszką Rodu, i czułam się przytłoczona. Nie przywykłam do tego.

- Aha, wiem, jak to jest - mruknęła Julie. - Chcesz wypaść jak najlepiej, a robisz z siebie głupka. Tak, jakby wszyscy wiedzieli o czymś, czego ty nie wiesz, i dlatego uważają się za lepszych.

Pogładziłam ją po cienkich włosach.

- Aż tak źle ci w tej szkole?

- Czasami. Zwykle jest w porządku. Choć niektórzy są wstrętni i paskudnie się zachowują, a jak im coś powiesz, robią z ciebie idiotę. - Zacisnęła pięści i wymęła przez zęby: - Wkurzają mnie, jak nie wiem co. Gdybyśmy byli na ulicy, to bym ich sprąła. Ale tak, to tylko wyszłoby, że nie umiem wygrać na ich głupich zasadach.

- No widzisz, wiesz więc, jak się czułam. - Mogłam z nimi walczyć. Tak byłoby najprościej. To przerzucanie się żarcikami oraz zonglowanie półprawdami oraz małymi kłamstewkami doprowadzało mnie do szału.

- No i co zrobiłaś?

- Szłam na środek, kiedy na drodze stanęła mi grupka młodych zmiennokształtnych. Banda krzykaczy. Wiedziałam, że Curran ich podpuścił, żeby zobaczyć, co zrobię. Jeden z nich zbliżył się za bardzo. Użyłam na nim słowa mocy, nakazując bronić przed resztą.

- To był Derek. - Domyśliła się Julie.

- Tak. Potem wszystko się skomplikowało, bo Curran uznał, że przejmując kontrolę nad jego wilkiem, rzucam wyzwanie jemu... - Machnęłam ręką. - Nieważne, koniec końców, Derek musiał złożyć przysięgę krwi, że będzie mnie bronił. Tylko w ten sposób mógł uniknąć śmierci z ręki Currana. Teraz jest już wolny od przysięgi, ale sama wiesz, jaki Derek jest. Nadal uważa, że jest za mnie odpowiedzialny, a ja ze swojej strony czuję się w obowiązku chronić jego tyłek...

Rozległ się chrapliwy wrzask i Derek zerwał się, wydzierając sobie igły od kroplówek.

- Zawołaj doktora! - Rzuciłam się ku wannie.

Chwycił mnie, wbijając pazury w skórę i miażdżąc mi ramiona. Wypełnione obłędem oczy błyskały dziko w rozoranej twarzy, a z piersi wyrywały się krzyki cierpienia.

- Jesteś bezpieczny - wrzasnęłam mu do ucha. - Już dobrze, już dobrze...

Skóra wybrzuszyła się, bliska rozerwania, ciemna szczelina ust rozwarła.

- Boli! To boli, boli!

Nagle pojawił się przy nas Doolittle ze strzykawką, a silne dłonie Rafaela zacisnęły się na przegubach Dereka, próbując oderwać go ode mnie. Derek walczył, wczepiając się w moje ramiona z dziką desperacją. Straciłam równowagę; Derek wciągnął mnie do zbiornika, orając skórę pazurami.

- Boli!

- Puść ją! - Doktor wbił mu igłę w ramię, ale bez efektu. - Ból jest zbyt silny, zamienia się w loupa!

Rafael szarpał, usiłując odciągnąć Dereka, ale ten tylko wczepiał się we mnie mocniej. Doolittle rzucił strzykawkę, chwytając Dereka z drugiej strony. Derek przygryzł sobie zdeformowane wargi kłami.

- Zabierzcie je stąd! - krzyknął doktor.

Ktoś wepchnął Derekowi w usta kawał surowego mięsa. Derek puścił mnie, miażdżąc zębami ochłap. Krew i strzępy mięsa fruwały po pokoju. Wydostałam się z kadzi. Jim pomachał Derekowi przed

nosem kolejnym stekiem. Derek wyrwał mu go z ręki i roztargał na kawałeczki.

Melodyjny głos Jima brzmiał jak kołysanka.

- Jedz, wilku. Jedz. Jesteś bezpieczny. O tak. Jedz. Wydostań się z tego szaleństwa.

Potworna istota, która niegdyś była Derekiem, zatopiła kły w mięsie. Pokój wypełniły mlaszczące odgłosy przeżuwania. Strząsając z ramion zieloną maź, dostrzegłam stojącą w progu Julie. Błada jak upiór wpatrywała się rozszerzonymi oczyma w Dereka.

Jim przepchnął się obok niej, wychodząc, i natychmiast wrócił z kolejnym płatem mięsa, który położył na podłodze. Derek wyczołgał się z wanny. Połamane nogi odmówiły posłuszeństwa. Padł na kolana, wgryzając się w mięso. Podeszłam do drzwi, wypychając Julie.

Opierała się.

- Nie.

- Lepiej na to nie patrzeć.

Doolittle rzucił na stół swoją torbę i otworzył ją. Wewnątrz błysnęły ułożone równo metalowe ostrza.

- Ale...

- Nie.

Wyciągnęłam dziewczynkę z pokoju. Rafael zamknął drzwi, pomagając mi wyprowadzić roztrzęsioną Julie.

* * *

W szafkach kuchennych stały opatrzone nalepkami drewniane pojemniki. W słoju opisanym jako cukier znajdowała się mąka. W

tym z napisem „mąka”, niewiarygodna ilość sproszkowanej chili. Kichnęłam. W pojemniku na chili upchnięto Smith&Wessona MP-45. Jęknęłam. Zasnęłam na kanapie przy Julie i po pięciu godzinach obudziłam się ze straszliwym bólem głowy, niezdolna do myślenia.

- Szukasz czegoś? - Do kuchni weszła Dali.

- Nie. Tańczę kankana. - Głupie pytanie.

Dali zamrugwała.

- Mogłabyś przy okazji tego tańca zrobić mi kawę? Czuję ją na dolnej półce, drugi słoik od lewej.

Odkręciłam pojemnik z napisem „boraks”. Kawa.

- Co jest, do licha?

- Jesteś w domu kocura, który zajmuje się szpiegowaniem. Uważa, że to sprytne. Na twoim miejscu uważałabym na szufladę ze sztucami. Nie zdziwiłabym się, gdyby była tam bomba.

Wyjęłam niewielki garnczek, wsypałam do niego kawę i dolałam wodę.

- Co z Derekiem?

- Nie wiem. Drzwi są zamknięte, siedzą tam od kilku godzin.

Kawa zabulgotała. Zdjęłam garnek z palnika, poczekałam, aż piana opadnie, i zagotowałam ponownie.

Dali wyjęła kubki.

- Dowiedziałam się czegoś o tym kamieniu.

Przelałam kawę do kubków. Dali obserwowała moje poczynania.

- Ja to zawsze połowę rozlewam - przyznała.

- Leję po ścianie, nic się nie rozlewa.

Na szczęście byłam sprawna manualnie.

- Co z tym klejnotem?

- W kilku starych źródłach piszą, że Rudra Mani ma zdolność uspokajania bestii i kojenia ludzkich cierpień.

Czyli inaczej tłumienia natury zmiennokształtnych i utrzymywania ich w jednej formie.

- Naprawdę? To znaczy z tym cierpieniem?

Dali zajrzała do kubka.

- Ten odłamek... On odbiera częśćkę ciebie. Straszne uczucie. Wołałabym umrzeć.

Ja też. Moją krew przepelniała magia, której musiałam się poddawać. Nienawidziłam człowieka, który przekazał mi to dziedzictwo. Choć napawające odrazą, jednocześnie stanowiło nierozdzielalną część mojego jestestwa. Gorzej czy lepiej, czułam się z magią pełna. To ona czyniła mnie tym, kim się urodziłam. Ludzie, którzy nie mogą żyć w zgodzie ze swoją naturą, popadają w szaleństwo.

- Rudra to jedno z imion Sziwy - podjęła Dali. - Znaczący „surowy” lub „bezkompromisowy”.

Pasowało idealnie. Właśnie tym byli zmiennokształtni, kompromisem pomiędzy bestią i człowiekiem. Klejnot zmuszał ich do pozostania jednym lub drugim. Zastanawiałam się nad tym podczas jazdy linią, w drodze ze szkoły. Byłam zbyt otępiła, by martwić się o Dereka. Przybliżyłam jego stan Julie, czując się przy tym, jakbym

rozdrapywała sobie ranę. Na początku ból nie do zniesienia, potem krwawienie, a potem brak czucia wokół rany.

Teraz pomyślałam o Zakonie. O Tedzie, który nie uznawał kompromisów. Ted pragnął, by ludzie pozostali ludźmi, bez względu na wszystko.

Umysł zasnuły mi czarne myśli, skoncentrowane wokół Rudry Mani.

- Czy mówi ci coś imię „Sułtan Śmierci”? - zapytałam.

Dali namyślała się przez moment.

- Nie mam pojęcia, kto to.

W tej chwili przypomniałam sobie o próbkach srebra, które oddałam do analizy. Magia opadła, kiedy spałam. Podniosłam słuchawkę. Nareszcie sygnał. Telefony były jednymi z tych kapryśnych urządzeń, które czasem działały podczas przyływu magii. Większość ludzi nie miała pojęcia, na jakiej zasadzie funkcjonują. Dla nich była to niemal magia. Czasem sama magia podzielała ich zdanie.

Wybrałam numer domowy Andrei. Odebrała po drugim sygnale.

- Cześć.

- Cześć.

- Mam przed sobą wyniki tej analizy - oświadczyła poważnie. - To nie srebro. To elektrum.

Elektrum, występujący w naturze minerał zawierający srebro, złoto i odrobinę miedzi, posiadał niezwykle silny potencjał magiczny. Był także wyjątkowo trujący dla zmiennokształtnych.

- Nie masz odpowiednich uprawnień, żeby dowiedzieć się reszty, więc ci nie powiedzą - rzekła Andrea. - Ale ja to zrobię. Ten konkretny jest bardzo stary i bardzo toksyczny. Wiesz, że moja tolerancja na takie rzeczy jest bardzo wysoka. A tej próbki nie mogę nawet wziąć do ręki. Kate? Pamiętasz umowę, którą zawarliśmy podczas rozbłyску?

- Tak. - Przyrzekliśmy sobie, że nigdy nie wyjawię Zakonowi pochodzenia Andrei, zaś ona nie zdradzi, iż posiadam o Rolandzie informacje, które wywołałyby epidemię zawałów wśród rycerzy.

- Tylko jedna osoba ma dostęp do tak znacznych ilości elektrum. Skład tego jest bardzo specyficzny. Zawartość...

- Złota pięćdziesiąt procent, srebra czterdzieści cztery, trzy miedzi, plus zanieczyszczenia.

- Tak.

Elektrum z Samos, z monet wybijanych na tej niewielkiej greckiej wyspie sześćset lat przed naszą erą. Serce podskoczyło mi do gardła. Logika ustąpiła całkowicie irracjonalnej manii prześladowczej.

- Wiesz, co to oznacza - zakończyła.

- Tak. Bardzo ci dziękuję.

- Uważaj na siebie.

Rozłączyłam się.

Roland. Tylko on dysponował tak dużą ilością elektrum z Samos. Prawdopodobnie zamierzał wykorzystać go do odlania kul lub powleczenia kołków, ale rakszasy stopiły ogromną porcję tylko po to, by wylać ją na twarz Dereka. Idioci.

Roland był Sultaniem Śmierci. Jeśli dalej będę się angażowała w sprawę rakszas, na pewno czeka mnie konfrontacja z jego szpiegami. Moje istnienie zostanie ujawnione.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Dali.

- W jak najlepszym - odparłam. Zawrzałam gniewem. Jeśli mnie odkryją, byłam zdecydowana walczyć z nim do końca, wszelkimi sposobami, tak, jak moja matka. Zmęczył mnie ten ciągły lęk i oglądanie się na każdym kroku za siebie. Myśl ta była irracjonalna, idiotyczna, ale upajająca. Na szczycie schodów pojawił się Jim.

- Ocknął się i mówi.

Zostawiłam kawę i rzuciłam się na dół.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Siedział na łóżku z nogami okrytymi niebieskim prześcieradłem. Zachował formę człowieka, a kolor jego skóry wrócił do normy. Włosy miał nadal ciemnobrązowe. I to wszystko, co pozostało z dawnego Dereka.

Zdeformowana twarz nie odzyskała symetrii. Owal stracił idealny kształt, a niegdyś subtelne, wyraziste rysy nabrały ostrej twardości. Część od górnej wargi po linię włosów wydawała się nierówna, jakby kości czaszki nie zrosły się prawidłowo. Kiedyś jego obecność w speluncie wywoływała gwizdy i komentarze, że jest za ładny. Teraz na jego widok ludzie będą spuszczać wzrok, szepcząc do siebie: „Patrz, ten koleś musiał przejść przez piekło”.

Podniósł głowę, a jego aksamitne oczy spoczęły na mnie. Zwykle skrzyła się w nich iskra humoru tłumiona opanowaniem wilka z Gromady. Teraz zniknęła.

- Cześć, Kate.

Wargi poruszyły się, ale nie od razu skojarzyłam niski, chrapliwy tembr z ustami Dereka.

- Uszkodzone struny głosowe?

Przytaknął.

- Nieodwracalnie - rzekł Doolittle cicho. Wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Zostałam sam na sam z Derekiem.

Przysiadłam na skraju łóżka.

- Masz głos jak ideał zawodowego zabójcy.

- Wygląd też. - Uśmiechnął się.

Efekt mnie zmroził.

- Masz jakiś zdrowszy kawałek, w który można cię trzepnąć?

- Zależy, kto miałby trzepać.

- Ja.

- W takim razie nie. - Skrzywił się.

- Na pewno? Nazbierało się trochę przez te kilka dni. Mam ochotę sobie ulżyć. - Głos mi się załamywał. Ledwo się trzymałam.

- Na pewno.

Całe poczucie winy, troska, niepokój, ból, żal, wszystko, co pieczołowicie wtłaczałam w najgłębsze zakątki jestestwa, żeby jako tako funkcjonować, wszystko spiętrzyło się w przytłaczającą falę. Usiłowałam to powstrzymać, ale jakbym próbowała powstrzymać przyływ. Wystarczył okrucieństwo ulgi, żeby przerwać tamę i zalać mnie natłokiem emocji. Czułam, że kręgosłup mi topnieje. Przycisnęłam ramiona do boków, starając się trzymać prosto i uniknąć przewrócenia się na materac. W gardle urosła mi wielka gęź. Serce waliło młotem. Bolało, bardzo bolało, a ja nie wiedziałam nawet, gdzie znajduje się źródło tego bólu. Wiedziałam tylko, że ogarnął mnie bez reszty.

Czułam na przemian uderzenia gorąca i zimne dreszcze, musiałam zacisnąć szczęki, żeby nie dzwonić zębami.

- Kate? - Zaniepokojony głos Dereka przywrócił mnie do rzeczywistości. Gdybym tylko mogła mówić, gdybym mogła płakać czy w jakikolwiek inny sposób uwolnić się od nawału emocji. Ale nie byłam w stanie wycisnąć ani jednej łzy, napięcie pozostało, wzmagając cierpienie.

Derek dźwignął się z poduszek, nachylając ku mnie. Nowa twarz zastężyła w nieruchomą, białą maskę.

- Przepraszam.

Oparł się czołem o moje, zamykając mnie w ramionach. Zawisłam we własnym świetle bólu niczym kropla w środku burzy.

- Nie możesz mi tego robić. - Mój głos brzmiał ochryple, jakbym nie używała go od wieków. - Nie możesz mi dawać do zrozumienia, że masz kłopoty, i jednocześnie nie pozwalać pomóc. Działać.

- Przepraszam. Już nigdy tego nie zrobię.

- Nie umiem sobie z tym radzić.

- Już nigdy, przysięgam.

Wszyscy, na których mi zależało, umarli nagłą, bolesną śmiercią. Moja matka zginęła, ponieważ zraniła sztyletem Rolanda, który chciał mnie zabić. Odebrano mi ją, zanim miałam szansę poznać. Mój ojciec zmarł w łóżku. Nie wiedziałam nawet, jak i dlaczego. Wysłał mnie w ramach zaprawy w dżunglę na trzy dni, z samym tylko nożem. Zapach uderzył w moje nozdrza już kilka kroków przed drzwiami. Znalazłam go w łóżku. Ciało było rozdęte,

skóra pokryta plamami, wyciekały z niego płyny. Przebił się mieczem, który nadal spoczywał w jego dłoni. Miałam wtedy piętnaście lat.

Greg zginął, wykonując zadanie. Kilka tygodni wcześniej pokłóciliśmy się, nasze rozstanie nie było miłe. Później ciało mojego opiekuna znaleziono rozdarte na strzępy, jakby ktoś przecisnął go przez sito.

Bran został dźgnięty w plecy. Był prawie nieśmiertelny, mimo to umarł na moich rękach. Oszalała z rozpaczy, omal nie doprowadziłam do tego, że stał się nieumarłym.

Zupełnie jakby kroczyła za mną sama Śmierć, prześladowała niczym podstępny wróg, wykradając z mojego świata tych, którzy byli dla mnie ważni. Nie tylko pozbawiała ich życia, ona ich unicestwiała. Za każdym razem, kiedy choć na moment traciłam czujność, podbierała i niszczyła kolejnego przyjaciela.

Derek wpisywał się w ten wzór idealnie. Nie opuszczała mnie myśl, że zginie, jak pozostali. Wyobraziłam sobie to tak żywo, że w mojej głowie tkwił obraz mnie samej stojącej nad jego zwłokami.

Wyjaśnienie tego byłoby trudne i bolesne.

- Myślałam, że umrzesz - powiedziałam po prostu.

- Ja też. Przepraszam.

Siedzieliśmy w milczeniu. W końcu burza emocji przycichła. Poruszyłam się; Derek cofnął się i odwrócił, pochylając głowę. Kiedy na mnie spojrzał, znów był opanowanym wilkiem Gromady.

- Twardziele z nas.

- Fakt, nie do zdarcia - przyznał, krzywiąc się.

- Powiedz mi o dziewczynie.

- Ma na imię Oliwia. Liwia. Poznałem ją w Arenie. Wymknęła się po rozpoczęciu rundy, rozmawialiśmy. Jest młodziutka. Jej rodzice mają duże pieniądze. Kochają ją, ale jest nieszczęśliwa.

- Bogate biedactwo?

Kiwnął głową.

- Nie zna swojego prawdziwego ojca. Matka wyszła ponownie za mąż, kiedy Liwia miała dwa lata. Opowiadała, że matka stroiła ją jak laleczkę, że oboje rodzice traktowali ją jak złote dziecko, kogoś wyjątkowego. A kiedy dorosła, zdała sobie sprawę, że owszem, jest piękna, ale nie wyjątkowa. Ani szczególnie inteligentna, ani utalentowana, ani nie posiada mocy magicznych. Mówiła, jak wymyślała sobie historie o tym, że jej biologiczny ojciec jest magiem i księciem.

- Pragnęła być kimś więcej niż była?

- Tak.

Ciężko dorastać w przekonaniu, że jest się gwiazdą, a potem spaść twardo na ziemię, uświadomiwszy sobie, że tylko rodzice tak myślą.

- Znalazła sobie „wyjątkowego”, bogatego chłopaka. Nawet nie lubiła go za bardzo, ale on, wzorem jej matki, całował ziemię, po której stąpała. Pewnego dnia zabrał Liwię na Północne Rozgrywki i tam wpadli na Rozpruwaczy, którzy rozpoznali w niej swoją. Jim wspominał, że wiesz o rakszasach. Powiedzieli Liwii, że jest w połowie rakszasą i jeśli się do nich przyłączy, odprawią rytuał, który

wyzwoli w niej moc pozwalającą zmieniać kształt oraz latać. Był tylko jeden haczyk. Rytuału nie można przerwać. Zrobiło mi się niedobrze.

- Zgodziła się?

- Tak. Powiedziała, że chciała wejść do klubów, gdzie zwykle bywali jej znajomi, i pokazać im swoje nowe moce.

- To głupie i płytkie.

- Wiem.

- Przeszła rytuał?

- Jeszcze nie. Jest długi, trwa kilka tygodni. Zaczęli od drobnych rzeczy. Zabijali zwierzęta. Nawet jej się to trochę podobało. Widziałem to po niej, była podekscytowana, dumna z siebie, kiedy to mówiła. Myślała, że jest twarda. Ale szybko robiło się coraz gorzej.

- Na ile gorzej?

- Kazali Liwii robić straszne rzeczy. - Derek wzruszył ramionami. - Niektóre może i w jakimś celu, ale inne... Zmusili ją, żeby torturowała innego rakszasa, w ramach ukarania za jakieś przewinienie. Wydaje mi się, że po prostu bawiło ich obserwowanie, jak postępuje proces jej demoralizacji. W końcu uznała, że więcej nie zniesie.

- Tyle że nie było już odwrotu - domyśliłam się.

- Tak. Poprosiła mnie o pomoc. Obiecałem, że to zrobię, ale sam nie dałbym rady. Potrzebowałem zaangażować w to Gromadę. Umówiliśmy się, że w zamian powie nam wszystko o rakszasach i Diamencie.

Ponoć zawarli układ z jakimś tajemniczym facetem. Mieli zdobyć Wilczy Diament i wykorzystać go przeciw Gromadzie. My ją z tego wyciągamy, ona wyjawia szczegóły ich planu. - Westchnął. - Resztę już wiesz. Poszedłem z tym do Jima, ale on się nie zgodził i wycofał mnie ze sprawy. Poszedłem do Saimana po wejściówki, zostawiłem ci liścik, załatwiłem transport i ruszyłem na umówione miejsce, żeby ją zabrać. Kiedy tam dotarłem, już czekali. Przynajmniej nie sprzedałem skóry tanio.

- Ona też tam była?

Kiwnął głową.

- Zrobiła coś?

- Tylko patrzyła.

- Nie zareagowała? Nie próbowała pomóc?

Zaprzeczył.

- Opowiedz o walce.

- Rzucili się we cztery. Natychmiast wbili we mnie dwa okruchy. Potem jeszcze więcej. Cesare, ten wielki, wytatuowany, to on wszystkim kierował. Malunki na jego ciele spływały, zmieniając się w wielogłowe węże. Ich ukąszenia paliły żywym ogniem. Co więcej? Walczyłem. Przegrałem. Bolało.

Cesare musiał umrzeć.

- Chcesz wrócić po dziewczynę? - zapytałam, znając odpowiedź.

- Jak tylko się z tego wykaraskam. Teraz to już nie potrwa długo.

Doktorek powiedział, że choć odłamki powstrzymywały działanie

wirusa, to nie jego namnażanie. Teraz lecę się w rekordowym tempie. Za cztery godziny powinienem być na nogach.

- Zdajesz sobie sprawę, że ona cię nie kocha? - Staralam się mówić spokojnie.

- Tak. - Przełknął głośno ślinę. - W końcowej części rytuału musi zjeść ludzkie dziecko. Dokona tego, bo jest za słaba, żeby się przeciwstawić. A potem nie będzie już odwrotu.

- Nie zrobiłaby tego samego dla ciebie, gdybyś to ty był na jej miejscu. Wykorzystuje cię.

- Nieważne, co ona robi. Liczy się to, co ja robię.

Zacytował mnie. Super. Trudno polemizować z własnymi słowami.

Bałam się, ale to należało powiedzieć.

- Ocalenie Liwii nie przywróci ci sióstr.

Drgnął.

- Byłem wtedy dzieckiem. Nie mogłem nic zrobić. Próbowałem, ale byłem za słaby. Teraz jestem silniejszy.

W tym tkwiła istota rzeczy. Cztery lata bezsilnego patrzenia, jak złoupiąły ojciec gwałci, dręczy i jedno po drugim zjada swoje dzieci. W Liwii Derek widział swoje siostry. Nie mógł się przeciwstawić wewnętrznemu przymusowi działania, na tej samej zasadzie, co ja nie mogłam zrezygnować z zemsty. Wiedziałam, że będzie próbował, póki rakszasy go nie zabiją.

* * *

Rekonwalescent uznał, że potrzebuje ruchu, użyczyłam mu więc swego ramienia. Wspólnymi siłami udało nam się dotrzeć do kuchni, gdzie Jim, Dali, Doolittle oraz Rafael raczyli się czekoladowymi ciasteczkami. Dali sączyła kolejną porcję kawy. Siedzący naprzeciw niej Rafael bawił się nożem. Doktor wyglądał jak biegacz, który właśnie ukończył maraton i na mecie usłyszał, że musi wracać. Na widok Dereka wytrzeszczył oczy.

- Uduszę cię własnymi rękoma, chłopcze. Dlaczego nie jesteś w łóżku?!

Derek wyszczerzył się. Dali zareagowała skrzywieniem, Doolittle wytrzeszczył oczy bardziej, a Jim zachował stoicki spokój. Rafael poprzestał na uśmiešku.

Posadziłam Dereka na krześle.

- Dlaczego wszyscy zawsze siedzą w kuchni?

- Bo tu jest jedzenie. - Dali wzruszyła ramionami.

- Musimy zdobyć Wilczy Diament - oświadczył Jim, spoglądając na mnie.

- Bez dwóch zdań. Kamień jest zbyt niebezpieczny dla Gromady. Rakszasy zamierzają go użyć jako broni przeciwko wam. - Sięgnęłam po ciastko. - Musimy mieć klejnot. I głowę Cesare'a.

Popatrzyli na mnie zaskoczeni.

- Dlaczego akurat głowę? - zapytał Doolittle.

- Bo jest łatwa w transporcie i można ją długo torturować. - Nie powiedziałam tego chyba na głos? Zerknęłam na twarze zebranych. Hm, owszem, powiedziałam.

- Jak się torturuje głowę? - zainteresowała się Dali.

- Wskrzesza się ją i sprawia, że na nowo przeżywa moment śmierci.

Jim odchrząknął.

- Tak. Więc wiemy, że nie możemy ukraść Wilczego Diamentu ani go odkupić.

- Jedyna opcja, to wygrać w turnieju - podsumował Rafael, którego Jim szybko wprowadził w sprawę. - Masz jakiś pomysł? - zwrócił się do mnie.

- Rozgrywki drużynowe zaczynają się pojutrze. Saiman nas zapisze.

- Niby czemu miałyby to zrobić?

- Najważniejsze pytanie brzmi, jakim cudem odłamki kamienia dostały się w ręce rakszas. Ktoś musi im pomagać. Ktoś, kto ma dostęp do klejnotu. Saiman ich nienawidzi. Grożą mu, napadli i upokorzyli, zabijając minotaura.

- Miał minotaura? - obudziła się Dali.

- Owszem. Przywłókł go tu aż z Grecji, a Mart załatwił sprawę dosłownie w minutę. Tak więc Saiman nienawidzi Rozpruwaczy. - Uśmiechnęłam się. - Ale nie może im nic zrobić. Jednak kiedy dowie się, że ktoś daje zawodnikom kawałki topazu, wpadnie w furję. Zaproponujemy mu dwie rzeczy. Po pierwsze, szansę na walkę z Rozpruwaczami w Kotle, i po drugie, możliwość odkrycia, który członek Izby im pomaga oraz w jakim celu. Nie oprze się temu.

- No dobra - zgodził się Jim, a do mnie dotarło, że przemyślał to już wcześniej. Nie wiedziałam tylko, dlaczego muszę za niego mówić.

- A co z Liwią? - wtrącił Derek.

- Są wyjątkowo arogancy. - Zerknęłam na Dali. Potwierdziła moje słowa skinieniem głowy. - Gdy cię rozpoznają, prawdopodobnie założą, że bierzemy udział w turnieju ze względu na dziewczynę, a wtedy z pewnością zabiorą ją ze sobą, żeby nas rozdrażnić. Turniej to jedyna szansa, żeby odbić Liwię, bo otwarty atak na tę ich latającą stodołę jest niewykonalny.

- Ich buta daje nam przewagę - przyznała Dali. - Jeśli w to wejdziemy, nie będzie odwrotu - stwierdził Jim. - Tam Rozpruwacze, tu Curran. To ostatnia chwila, żeby się wycofać.

W kuchni zapadło milczenie. Wszyscy rozważali jego słowa.

Jim podał mi telefon. Wybrałam numer Saimana. Odebrał natychmiast. Wyłuszczenie propozycji zajęło mi niespełna minutę. Potem po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

- Na ile jesteś tego pewna? - odezwał się wreszcie Saiman.

- Mam pięć okruchów kamienia i dwa trupy. Możesz je sobie obejrzeć, jeśli masz ochotę. Załatwisz nam wejście do turnieju?

- Trochę późno, ale tak, załatwię. Ale biorę miejsce Siłacza.

- Nie ma sprawy.

- Będziecie potrzebowali siedmiu zawodników. Udałam, że piszę w powietrzu. Tylko Doolittle nie zaczął rozglądać się za długopisem.

- W życiu nie widziałem takiej bandy idiotów - oświadczył, kręcąc głową. - To szaleństwo. Jak was zabiją, a tak się stanie, to nie przychodźcie później do mnie z płaczem.

To byłaby niezła sztuka.

Dali podała mi długopis. Papier nie zmateriałizował się sam z siebie, zaczęłam więc bazgrać na obrusie.

- Strateg, Strzałka, Siłacz, Szermierz, Stróż, Sztylet i Szeptacz. Wszyscy mają się stawić dzisiaj wieczorem o dziewiątej. Na czas mistrzostw będziemy skoszarowani. Żadnego kontaktu z zewnętrznym światem. To droga w jedną stronę, Kate. Nie da się zmienić zdania w trakcie i iść sobie do domu. Walka do samego końca.

- Rozumiem.

- Potrzeba jeszcze nazwy.

Zakryłam mikrofon dłonią.

- Musimy mieć nazwę dla drużyny.

- Łowcy - rzucił Rafael.

- Rycerze Walecznego Futra - podsunęła Dali.

- Klika Sprawiedliwych - powiedział Jim. - Liga Sprawiedliwych już zajęta.

- Głupcy. - Pokręcił głową Doolittle.

- Głupcy - powtórzyłam do słuchawki.

- Głupcy? - upewnił się Saiman.

- Tak.

- No to ustalone. Ekipa pomocników?

- Mamy doktora.

- Nie, nie macie! - zaprotestował Doolittle.

- Świetnie - ucieszył się Saiman. - Pamiętaj, wszyscy, co do jednego, mają być na miejscu o dziewiątej. Ani minuty spóźnienia.

Rozłączyłam się. Jim spojrzał na listę.

- Dziwadło bierze Siłacza. Kate, ty Szymierza. Derek?

- Stróż - rzekł Derek. - Zajmę się obroną.

- Dasz radę walczyć dwa dni jednym ciągiem?

Derek uśmiechnął się w odpowiedzi.

Dali drgnęła znowu.

- Przestań tak robić.

- Ty powinieneś być Strategiem - zwróciłam się do Jima. - Masz najwięcej doświadczenia.

Zostawały trzy miejsca.

Rafael dotknął listy czubkiem noża.

- Sztylet. Liczy się szybkość. - Jesteś pewien? - zapytałam.

- Jeśli jakimś cudem przeżyjecie, Curran obedrze was żywcem ze skóry - krakał Doolittle.

- To właśnie w tobie uwielbiam, doktoru - zaśmiał się Rafael. - Pełen optymizm. Szklanka w połowie pełna. Zawsze w skowronkach.

- On nie żartuje, Rafael - zastrzegłam. - Naprawdę nie musisz się w to pchać.

Hienolak rozpromienił się jeszcze bardziej.

- Jestem boudą, Kate. Mam gdzieś honor i zasady, ale tknij jednego z moich, a zabiję.

- Jestem wzruszony - wtrącił Derek. - Nie sądziłem, że tak ci zależy.

- Na tobie? Chyba żartujesz - obruszył się Rafael. - O Kate mi chodzi. Próbowali ją zabić, wtedy, na parkingu.

- Od kiedy to jestem ulubienicą boud? - zdziwiłam się szczerze.

- Odkąd podczas rozbłyску ryzykowałeś życiem dla jednej z naszych. Nikt inny nie zrobiłby dla nas czegoś takiego. Nawet z innych klanów. Zapytaj kota.

Jim nie odezwał się słowem.

- Wezmę Sztylet - powtórzył Rafael, stukając w listę. - Andrea Strzałkę. Nie kłóć się ze mną. Zabiłaby nas, gdybyśmy nie wzięli jej pod uwagę.

- Andrea jest rycerzem Zakonu - przypomniałam. - Nie wolno jej brać w tym udziału.

- Tak jak i nam - zripostował Rafael, sięgając po telefon.

- Zostaje jeszcze Szeptacz - przypomniał Jim. Wpatrywaliśmy się w zapiski. Szeptacz. Czyli mag.

- Któryś z twoich ludzi? - zapytałam Jima.

Potrząsnął głową.

- Zapytaj lepiej, gdzie w ogóle są jego ludzie - skrzywił się Doolittle. - No, dalej. Powiedz jej.

Jim nie wyrywał się do mówienia czegokolwiek.

- Gdzie Brenna?

- Na dachu, pilnuje.

- A reszta? - Rzeczywiście, nie widziałam ich od powrotu z Zaułka.

- Okazuje się, że w okolicy Augusty grasuje banda loupów - zaczął doktor, gromiąc Jima spojrzeniem. - Słyszałem w radiu. Miasto ogarnęła panika. W dodatku to bardzo dziwne loupy. Wyjątkowo łagodne. Fakt, pomordowały kilka sztuk bydła i to na widoku, problem w tym, że właściciele spokojnie przespali całe zajście. W dodatku jak do tej pory nie zaatakowały żadnego człowieka.

Mało nie wybuchnęłam śmiechem. Żaden loup nie zabiłby zwierzęcia, jeśli miał szansę dopaść człowieka. Uwielbiały ludzkie mięso.

- Dokonują dywersji - tłumaczył Jim bez przekonania.

Rafael przerwał na moment rozmowę z Andreą.

- To twój superpodstępny plan? - prychnął pogardliwie.

- Bo według Jima Curran jest zwykłym głupkiem i skończonym naiwniakiem. - Wzruszył ramionami doktor.

- Ja wezmę Szeptacza - oświadczyła Dali niespodziewanie.

W kuchni zapadła głucha cisza.

- Potrafię to robić. Uczyłam się.

- Nie ma mowy - zaprotestował Jim.

- Nie macie nikogo innego - upierała się Dali. - Nie jestem kruchym kwiatuszkiem. Dam sobie radę.

- A co robisz?

Dali wyprostowała się dumnie.

- Przeklinam.

- To nie zabawa. Możesz zginąć - ofuknął ją Jim.

- Nie bawi mnie to - odwarknęła.

Do kuchni wpadła Brenna.

- Curran! O kurde!

Zerwaliśmy się na równe nogi.

- Gdzie jest? - warknął Jim.

- Dwie przecznice stąd, idzie bardzo szybko. Tutaj.

- Tylne wyjście, szybko! - rzucił Jim.

- Kate...

- Bierz Dereka. Nie da rady wyciągnąć was z Areny. Zatrzymam go. Biegnijcie!

Jim wziął Dereka na ręce jak dziecko i wymknął się z kuchni. Reszta, włączając Doolittle'a zniknęła równie szybko. Zbiegli po schodach, mijając w pędzie zasnęłą Julie. Złapałam ją za ramię.

- Biegnij za nimi. Ukryj się gdzieś niedaleko i nie wychodź, dopóki mnie nie zobaczysz.

Ruszyła bez słowa. Moja krew.

* * *

Ułożyłam na podłodze koc i poduszkę, mierzwiąc je tak, jakby ktoś na nich spał. Cofnęłam się, żeby ocenić dzieło. Może być. Wzięłam Zabójcę, kładąc przy legowisku, na wyciągnięcie ręki. Powinno wystarczyć...

Wyłamane z zawiasów drzwi wpadły do środka. W progu stał Curran z obnażonymi zębami i żądzą mordy w oczach. Miał na sobie dresowe spodnie z logo Gromady oraz podkoszulek. Niedobrze.

Bardzo niedobrze. Taki strój oznaczał gotowość do przemiany. Curran w formie bojowej był jednym z moich najgorszych koszmarów.

- Kate - syknął.

- Nie spieszyłeś się.

- Gdzie oni są?

- Czemu miałabym ci powiedzieć?

- Kate, nie zmuszaj mnie, żebym wydobył to z ciebie siłą. -

Napięte mięśnie naciągnęły tkaninę spodni.

- Co z twoimi planami uwodzenia? Masz odwagę wskoczyć mi do łóżka, tylko gdy wcześniej wkopiesz pod nie mój miecz?

Pokonał pomieszczenie jednym susem. Podskoczyłam, kopiąc z całej siły. Moja stopa trafiła w tors. Zupełnie, jakbym zderzyła się z murem. Przewrócił się na posłanie. Koc zapadł się pod jego ciężarem i Curran runął do wpuszczonej w podłogę klatki.

Błyskawicznie zatrzasnęłam drzwiczki. Mechanizm zamka zadziałał od razu, pozostało mi tylko założyć sztaby.

Curran wyplątał się z koca, bordowy z wściekłości. Złapał za pręty i natychmiast puścił je, jakby parzyły.

Usiadłam na podłodze, masując nogę. Zdrętwiała od uderzenia. Potem podziękuję Julie. Pomysł był jej zasługą. Dwa razy o mało co nie wpadła do klatki.

Curran ryknął, szarpiąc za pręty. Muszę mu przyznać, wytrzymał prawie pięć sekund. Drażki wygięły się, ale nie puściły. Klatkę, zrobioną specjalnie w celu utrzymania rozszalałego zmiennokształtnego, wykonano ze stopu zawierającego ilość srebra

zdolną oparzyć skórę. Kiedy Curran oderwał dłonie, były pokryte szarymi pręgami.

- Nie dasz rady mnie tu uwięzić.

Na pewno nie. Dobrze, że chciałam go tylko zatrzymać na chwilę. Czucie w nodze jeszcze nie wróciło.

Oczy Currana buchnęły złotym ogniem. Głos zamienił się w zwierzęcy warkot.

- Otwieraj.

Intensywność jego spojrzenia była tak wielka, że prawie stanęło mi serce.

- Nie.

- Kate! Natychmiast mnie wypuść!

- Zapomnij.

- Czekaj, pożałujesz, jak stąd wyjdę.

Zachmurzyłam się.

- Jak stąd wyjdiesz, będę już w Arenie, prawdopodobnie na najlepszej drodze do przemiany w świeżutkiego trupa. Pożałuję wielu rzeczy, ale na pewno nie widoku ciebie w tej klatce.

Curran cofnął się. Wściekłość zniknęła z jego twarzy jak zdmuchnięta. Zdławił gniew, nakładając maskę opanowania. Przerazał mnie za każdym razem, kiedy to robił. Teraz też nie zawiódł.

- W takim razie, dobrze. - Usiadł po turecku na podłodze klatki. - Nie uciekłaś, a to znaczy, że chcesz mówić. Wyjaśnij więc, słucham.

- Czyżby, Wasza Wysokość? Zbytek łaski. Postaram się jednak. Będę mówiła powoli i używała prostych słów.

- Marnujesz mój czas. Wiem, że Jim mnie zdradził, a ty go kryjesz. Masz teraz szansę zaćmić mnie swoją błyskotliwością albo zalać stekiem bzdur. Nic więcej nie dostaniesz. Nie będę w nastroju do słuchania, kiedy stąd wyjdę.

- Jim cię nie zdradził. Czci ziemię, po której stąpasz. Tak jak i reszta, choć nie mam pojęcia, dlaczego.

To wielka zagadka wszechświata. Ale nikt cię nie zdradził. Zrobili to dla ciebie.

Porzuciłam ironię i opowiedziałam Curranowi całą historię. Nie przerwał mi ani razu. Siedział i słuchał, zimny i niewzruszony.

- Skończyłaś? - odezwał się, kiedy zamilkłam. - Tak.

- Pozwól więc, że upewnię się, czy dobrze zrozumiałem. Mój szef ochrony świadomie i celowo zignorował pierwsze moje prawo, bo uznał, że tak trzeba. Wciągnął we wszystko mojego najlepszego człowieka, pozwolił go pobić, na zawsze okaleczyć i omal zabić. I nie powiedział mi o niczym?

Przemawiał przez niego lew.

- Potem przekonał ciebie do krycia tej niesubordynacji, a następnie razem zaatakowaliście grupę legendarnych zabójców, zamiast zażegnać, rozdmuchaliście konflikt pomiędzy nimi a Gromadą. Teraz on i trójka innych moich ludzi, ponownie celowo i z własnej woli, zamierzają złamać moje prawo, tym razem na oczach tysięcy widzów, żebym przypadkiem nie miał możliwości zamieść tych brudów pod dywan, nawet jeśli coś takiego zaświtałoby mi w głowie, co jest wykluczone. Czy tak się sprawy mają?

- Hm, no tak. W twoich ustach zabrzmiało to paskudnie.

Odchylił się, wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił je powoli. Nie zdziwiłabym się, gdyby klatka rozpadła się w tym momencie pod naporem jego furii.

- Posłuchaj, Curran, ten klejnot jest niebezpieczny. Podejrzewam, że Sułtan Śmierci to Roland, a jeśli mam rację, to oznacza, że stałeś się zbyt silny, żeby cię ignorować. Nie przestanie próbować, dopóki cię nie wyeliminuje. Wilczy Diament w rękach rakszas to duży problem, ale to nic w porównaniu z sytuacją, gdyby dostał go Zakon czy Ród. Rakszasy nie są szczególnie inteligentne. Roland jest geniuszem. A nie chodzi tylko o niego. Jeśli Zakon położy łapy na kamieniu, spróbuje powielić jego magię i użyć jej na twoich ludziach. To klucz do eksterminacji twojego gatunku.

- A ciebie to obchodzi, ponieważ...?

- Ponieważ nie chcę, żeby do tego doszło. Nie chcę patrzeć ani na twój koniec, ani na koniec innych zmiennokształtnych. Moja najlepsza przyjaciółka jest zwierczłowiekiem. Będzie jedną z pierwszych w kolejce do wetknięcia okrucha. Andrea może nie lubić swojej zwierzęcej strony, może ją tłumić, ale musi mieć wybór.

Wypychanie tych słów z gardła było jak toczenie pod górę wielkiego głazu.

- Wiem, że powinnam do ciebie przyjść. Zrobiłabym to, gdybyśmy nie znaleźli rozwiązania. Tak czy inaczej, przepraszam. Próbowałam tylko pomóc przyjaciółom. Nie mam ich wielu, a Derek... To było straszne. Myślałam, że umrze. Widziałam już siebie

nad jego mogiłą. Musiałbyś go zabić, gdyby zmienił się w loupą, a ja... Nie chciałam, żebyś cierpiał. - Odwróciłam się, ruszając do drzwi.
- Julie wypuści cię za godzinę.

Nie odezwał się, kiedy wychodziłam. Siedział w klatce, a jego oczy płonęły straszliwym gniewem.

Julia wyszła ze swojej kryjówki pomiędzy budynkami i przypadła do mnie, gdy tylko postawiłam stopę na ulicy.

- Władca Bestii jest zamknięty w klatce dla loupów. Masz. - Wręczyłam dziewczynce duży klucz. - Włóż do dziurki, przekręć do jednej czwartej, a potem zwolnij górną sztabę. Curran wie, jak to zrobić, powie ci. Ale dopiero za godzinę. To bardzo ważne, Julie. Nie zbliżaj się do niego wcześniej, bo przekona cię do otwarcia klatki. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

- Jak wszystko pójdzie dobrze i cię puści, zadzwoń pod ten numer. - Dałam jej karteczkę. - To telefon Cioci B. Powiedz tylko, że jesteś sama. Ktoś po ciebie podjedzie.

- Chcę iść z tobą.

- Wiem. To niemożliwe. To paskudne miejsce i mogę nie wyjść stamtąd w jednym kawałku. - Przytuliłam ją. - Pamiętaj, za godzinę.

- Za godzinę - powtórzyła.

Podeszłam do przywiązanego na parkingu konia. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że Curran znalazł nas przed upływem trzech dni. Cóż. Wątpiłam, że przypomni o zakładzie. Nie po tym spotkaniu.

Zresztą, jeśli jakimś cudem uda mi się wyjść cało z tego bałaganu, serwowanie nago kolacji będzie moim najmniejszym zmartwieniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Musiałam poczekać w lobby, aż Rene skończy udawać, że szuka mojego nazwiska na liście uczestników.

- Głupcy - mruknęła, wertując strony. - Nazwa odnosi się do inteligencji waszej drużyny czy potrzeby szokowania komizmem?

- To nasze motto.

- Hmm... - kontynuowała udawanie.

- Bawi cię drażnienie mnie, prawda?

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Ja? Tylko przykładam się do swojej pracy. Zgodnie z twoim życzeniem.

Potrzymała mnie tak jeszcze przez chwilę.

Mogłam pocałować Currana przed wyjściem. W końcu, co miałam do stracenia?

To i tak nic nie znaczyło. Cała ta sprawa z nami nie była na poważnie. Oszukiwałam się. Tak bardzo pragnęłam być kochana, że mieszało mi to w głowie. Łaknąc jakiegoś uczucia, łatwo było przekonać siebie, że druga osoba jest inna niż naprawdę. Przechodziłam to z Grzebykiem i się sparzyłam. Dzięki, ale nie skorzystam. Curran widział we mnie tylko ciało oraz szansę na

satysfakcję z udowodnienia swych racji. Tak właśnie wyglądała rzeczywistość, zimna, naga i okrutna.

Ręka Rene powędrowała do głowicy rapiera. Odwróciłam się.

Przez drzwi przechodził właśnie ciemnowłosy fechtmistrz, którego widziałam podczas pierwszej wizyty w Arenie. To samo ubranie z szarej skóry. Ten sam płaszcz, przywodzący na myśl mnicha - wojownika. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn w identycznych płaszczach. Jeden, młody blondyn z blizną na szyi, miał w oczach czujność doświadczonego zabójcy. Drugi był starszy, czerstwy. Napotkałam jego wzrok i omal się nie cofnęłam. Nick.

Rycerz - krzyżowiec. Zakon szczycił się tym, że ponosi odpowiedzialność za swoje posunięcia oraz że działa otwarcie, jednak pewne sprawy były zbyt paskudne, zbyt mroczne, by mogli załatwić je rycerze. Kiedy pojawiała się jedna z takich niewygodnych kwestii, rozwiązywali ją krzyżowcy, którzy po wykonaniu zadania opuszczali miasto.

Tego rodzaju kłopotem właśnie był strzygoń, który zabił mojego opiekuna. Pozbycie się go wymagało zaangażowania Nicka. Teraz ten człowiek patrzył, jakby mnie nie znał. Wzięłam się w garść i uczyniłam to samo.

Nie miałam pojęcia, co robił tu Nick, ale na pewno działał pod przykrywką.

Fechtistrz obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali, młoda damo? - Miał niski, łagodny głos. Mówił jak najedzony, zadowolony wilk.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Gdybyśmy się spotkali wcześniej, wiedziałbyś, że nie jestem damą.

Zmarszczył czoło.

- Jednakże wydajesz mi się skądś znajoma. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że już cię kiedyś widziałem. Może porozmawialibyśmy w bardziej ustronnym miejscu...

- Nie musisz z nim rozmawiać - przerwała mu Rene. Zbladła, nerwowo przełykając ślinę. Bała się. Bała się, a nie przywykła do tego uczucia i nie radziła sobie z nim najlepiej.

- Pamiętaj o umowie. Możesz się przyglądać, to wszystko. Arena to nie twój poligon. Jeśli chcesz rozmawiać z zawodnikami poza turniejem, twoja sprawa. Ale nie będziesz tu rekrutował ludzi. A już na pewno nie przy mnie.

- Walczysz, młoda damo? Wracamy więc do „damy”.

- Czasami.

- Należy do drużyny, a ty przeszkadzasz w załatwianiu formalności - rzekła Rene twardo.

Mężczyzna spojrzał na nią ostro. Nie dało się nie dostrzec groźby w jego oczach. Rene zbieła jak ściana, lecz nie ustąpiła. Uśmiechnął się pojednawczo, skłonił i odszedł. Towarzysze podążyli za nim.

Rene odprowadziła go nienawistnym wzrokiem.

- Kto to? - zapytałam.

- Sukinsyn - mruknęła, przeglądając papiery. - Reaguje też na Hugh d'Ambray.

Świat rozpękł się na kawałki.

Hugh d'Ambray, preceptor Zakonu Żelaznych Psów. Najlepszy uczeń i następca mojego przybranego ojca, Vorona. Hugh d'Ambray, generał Rolanda.

To nie mógł być przypadek. Wszyscy wiedzieli, że Roland kiedyś zechce rozszerzyć swoje terytorium. Jak do tej pory miał władzę nad pasem terenów ciągnących się od Iowy po Północną Dakotę. Voron wyjaśnił mi, dlaczego wybrał właśnie te ziemie. Nikt się nimi nie interesował, więc Roland mógł sobie tam spokojnie gromadzić armię, nie narażając się jednocześnie na inwazję prewencyjną. Wreszcie, po zebraniu wystarczających sił, mógłby ruszyć na wschód lub zachód.

Jakie były zamysły Rolanda? W końcu zostałam wychowana przez Vorona, powinnam więc bez większych problemów wejść w tok rozumowania Rolanda. Czego, u licha, szukał w Atlancie?

Gromada. No jasne. Przez ostatnie lata Gromada urosła w siłę. Teraz była drugim co do wielkości stadem w Ameryce Północnej. Na miejscu Rolanda próbowałabym wyeliminować tę grupę zmiennokształtnych, zanim stanie się jeszcze potężniejsza. Nie chciał wykorzystywać w tym celu Rodu, swoich zastępów, żeby nie obarczono go winą. Nie, wolał posłużyć się rakszasami. Rakszasy są głupie i okrutne. Mógł potraktować je jak maczugi do zmiżdżenia

Gromady. Nie zniszczyłyby jej całkiem, ale mocno osłabiły. A generał miał dopilnować, żeby wszystko szło gładko.

Siedzącemu na trybunach Hugh d'Ambray moja technika może wydać się znajoma. Na pewno podzieli się spostrzeżeniami z Rolandem, który doda dwa do dwóch i zacznie szukać tajemniczej zawodniczki. A tak łatwo mogłam tego uniknąć. Jedne drzwi, kilka kroków przez hol. Koń czekał na parkingu. Potrafiłam się ukrywać, zapadłabym się jak pod ziemię.

I jednocześnie zawiodłabym sześcioro ludzi, którzy na mnie liczyli.

Ucieczka była taka prosta. Podniosłam wzrok.

- Wyglądasz, jakby ci się spalił dom - skomentowała Rene.

- Zamyśliłam się nad kwestią, że kiedy życie daje ci w zęby, nigdy nie pozwala upaść. Kopie cię w żebra i obrzuca błotem.

- Błotem, to jak masz szczęście. Podpisz tu. - Rene podsunęła mi formularz. - To zwolnienie od odpowiedzialności w razie śmierci.

Złożyłam podpis. Dwie minuty później schodziłam na dolny poziom, eskortowana przez ponurego gwardzistę. Troska ciążyła mi na sercu jak bryła lodu. Nie miałam problemu z odnalezieniem przydzielonych nam kwater. Już na korytarzu usłyszałam głos Andrei.

- Strzałka?!

- To tylko taka nazwa - tłumaczył Rafael.

Weszłam do pomieszczenia. Andrea siedziała przy stole, na którym piętrzył się stos broni. Sig saury, colty, beretta, Smith&Wesson... Można by tym uzbroić niewielką armię.

Przycupnięty na ławce Rafael wpatrywał się w moją przyjaciółkę z mieszaniną troski i uwielbienia.

Andrea rozpromieniła się na mój widok.

- Wiesz, co mogą sobie zrobić z tą swoją strzałką? Mogą ją sobie wsadzić w tyłek!

Staralam się zabrzmieć rzeczowo.

- Wiesz, technicznie rzecz biorąc, chodzi o broń miotaną...

- Wal się! Nie wyjdę tam z kawałkiem patyka.

Rafael robił wrażenie odrobinę wystraszonego. Podeszłam do półki, żeby odłożyć ekwipunek.

Przez otwarte na oścież drzwi sypialni ujrzałam leżącego na pryczy Dereka. Doolittle kręcił się obok niego z miną, której nie powstydziałaby się stara kwoka.

- Wisi nade mną jak sęp - poskarżył się Derek.

- Wcale nie wiszę - burknął doktor. Chłopak spojrzał na mnie.

- Wisisz - potwierdziłam. - To jak, widzę, że się jednak przyłączyłeś? A wyzywałeś nas od głupców.

- Żaden głupiec nie jest głupszy od starego głupca - mruknął Derek pod nosem.

Doolittle wydał z siebie odgłos przypominający pomruk wkurzonego niedźwiedzia - półmetrowego niedźwiedzia.

- Borsuk! - roześmiałam się. Pasowało do niego idealnie.

- Dopiero teraz się zorientowałaś? - Wywrócił oczami Derek. - Chyba ci Bozia nosa nie dała, przecież to chodzące wiadro piżma...

- To było nie na miejscu - obraził się Doolittle. - Niewdzięczny szczeniak.

Wzięłam z jednej pryczy koc oraz poduszkę i umościłam posłanie na podłodze w kącie.

- Czemu tak? - zainteresował się Derek.

- Nie śpiam zbyt dobrze w kupie. - Uklepałam poduszkę. - Wróc, inaczej. Śpiam świetnie. Ale nie chcę obudzić się z mieczem w rękę i przy okazji w twoim brzuchu. Choć oczywiście gdyby to był twój brzuch, przekreśliłabym się tylko na drugi bok.

Jim wszedł do sypialni, stanął przed jednym z łóżek, sprężył się i wskoczył na górne miejsce. Miał stamtąd świetny widok na oba pomieszczenia.

- Gdzie Dali? - zapytałam.

- Chłapie się - odparł Jim z nutką odrazy w głosie. - Za szatnią jest wanna. Znajdź kałużę, a znajdziesz Dali. Tygrysy - prychnął.

- Nie wiedziałam, że jaguary mają coś do wody. - Widziałam już pływającego Jima, nie wyglądał na zniesmaczonego.

- Nie mają, jeśli są w niej żaby i ryby.

Jaguarza logika.

- Wszyscy są? - zapytałam.

- Oprócz zbrojeńca.

Znając Saimana, szukał pewnie tragarza do przeniesienia walizek z ciuchami.

Dali wyszła z łazienki przyzwoicie owinięta ręcznikiem, który natychmiast opadł, kiedy pomachała mi na przywitanie.

Derek drgnął czymś zaalarmowany.

- Ktoś idzie. Więcej niż jedna osoba. W progu stanęła Rene.

- Wasz właściciel prosi o wybaczenie, ale nastąpiła zmiana planów. Poprzednio wyznaczony Siłacz nie będzie uczestniczył w turnieju. Durand przysłała wam zastępstwo. - Odsunęła się od drzwi. - Możesz wejść.

Framugę wypełniła znajoma sylwetka. Stopy wrosły mi w podłogę.

- Bawcie się dobrze - rzuciła Rene na odchodnym.

W kwaterze zaległa grobowa cisza. Nikt się nie poruszył.

- No dobra - odezwał się Curran. - Czas pogadać.

Ściągnął Rafaela z ławki, jakby ten był jednodniowym kociakiem, drugą ręką zagarnął golutką Dali i zaciągnął ich do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

* * *

Andrea siedziała na ławce, gapiąc się ponuro w zamknięte drzwi. Obok siebie położyła sig sauera.

- Zastrzelę go, jeśli tknie Rafaela. Tak tylko mówię, żebyś wiedziała.

- Co się stało, że zmieniłaś zdanie odnośnie Rafaela?

- Jeszcze nie zmieniłam, zastanawiam się. Ale nie pozwolę, żeby Władca Bestii wpłynął na moją decyzję, robiąc z niego miazgę.

- To celuj w jaja - poradziłam jej, wychodząc.

Powędrowałam korytarzem do Złotych Wrót.

Wielka hala Areny świeciła pustką. Tylko ja i piasek.

Otworzyłam bramkę ogrodzenia, wkraczając do Kotła. Piasek był jasny, a łącha wygładzona. W moich snach zburzoną powierzchnię zwykle znaczyły plamy krwi. Schyliłam się, nabierając garść ziaren, i pozwoliłam im się przesypać przez palce. Piasek był zaskakująco zimny.

Drobinki spływały eteryczną kurtyną. Zalały mnie wspomnienia. Upał. Smak krwi w ustach. Jasnoczerwone szczeliny ziejące w okaleczonym ciele. Martwe oczy wpatrzone w niebo. Osłepiające słońce. Ryk tłumu. Ból w lewym ramieniu, gdzie wbiły się kły kotołaka, w boku, gdzie wbiła się włócznia, w prawej łydce, po uderzeniu biczowatym ogonem jaszczuropolobnego stwora, którego nazwy nawet nie znałam...

- Powitanie z dawno niewidzianym przyjacielem?

Odwróciłam się. Zza drucianej siatki obserwował mnie starszy mężczyzna. Miał ogorzałą od słońca i wiatru twarz o twardych rysach. Czarne włosy zebrane na karku w kite przeplatały suto nitki siwizny. Wydawał mi się skądś znajomy.

- Przyjacielem? Przeciwnie - odparłam.

Z Północnych Wrót wyłonił się Mart. Przemknął parę kroków, cicho niczym czarny cień, i wskoczył lekko na ogrodzenie. Mężczyzna nie usłyszał, że nadchodzi.

- Walczyłaś tu już? - Mówił z lekkim francuskim akcentem.

Potrząsnęłam głową.

- Więc gdzie?

A gdzie nie? Rzuciłam pierwszą z brzegu nazwę.

- Hoyo de Sangre. Dawno temu.

Mart nie spuszczał ze mnie wzroku. Miał przy tym dziwną minę. Zdecydowanie drapieżną, lecz widziałam w jego twarzy coś jeszcze, cień czegoś niepokojącego, niemal tęsknoty.

- Ach, tak. - Kiwnął głową mężczyzna. - Okropne miejsce. Ale nie martw się, piasek jest wszędzie taki sam.

- Ten jest zimny. - Uśmiechnęłam się. Znow przytaknął skinieniem.

- Prawda. Choć to niewielka różnica. Przypomnisz sobie wszystko, gdy tylko ich usłyszysz. - Wskazał brodą trybuny. - Kiedy to było?

- Dwanaście lat temu.

Jego brwi podskoczyły wysoko.

- Dwanaście? Niemożliwe. Jesteś za młoda i zbyt piękna... - zawiesił głos. - *Mon Dieu, je me souviens de toi. Petite Tueuse...*

Cofnął się, jakby ogrodzenie nagle rozżarzyło się do białości, a potem odszedł szybkim krokiem.

Spojrzałam na Marta.

- Cześć, złotowłosa. Gdzie twój porysowany kumpel? Mam z nim *rendez-vous*.

Nadal tylko patrzył.

- Nie jesteś zbyt gadliwy, co? - Dobyłam Zabójcy i przesunęłam palcami po ostrzu. Przeniósł wzrok na miecz.

Ogrodzenie było zbyt wysokie. Nawet gdybym odbiła się z rozbiegu, nie dałabym rady doskoczyć do Marta, żeby zadać cios.

- Bawisz się w zastraszanie przeciwnika? Potraktowawszy źródło głosu jako potencjalne zagrożenie, robiłam unik, jednocześnie się odwracając. Przy siatce stał Curran.

Obrzucenie go piachem stanowiłoby tylko gwóźdź do trumny. Nie słyszałam, jak podszedł. Człowiek tego wzrostu nie powinien poruszać się tak cicho, a on podkradł się jak zjawa. Ciekawe, ile czasu już tam stał.

- To mnie się tak boisz, czy ogólnie jesteś strachliwa?

Spiorunowałam Currana wzrokiem.

- A może po prostu odrzuca mnie dźwięk twojego głosu? To instynktowna reakcja.

- Ale ten tutaj nie wzbudza w tobie żadnych instynktów?

Mart skwitował jego wypowiedź uśmiechem.

- Mam z nim potańcówkę na piasku. Do tego czasu nie muszę na niego reagować w jakikolwiek sposób.

Curran przyjrzał się Rozpruwaczowi badawczo.

- Nie mogę rozgryźć, czy chce cię zabić, czy raczej przelecieć. Jak to jest, że działasz na psycholi jak lep na muchy?

- Sam sobie na to odpowiedz. Ha! Wpadł w swój własny dołek!

Mart zeskoczył z siatki i zniknął w ciemnej plamie Północnych Wrót.

Skierowałam się w drugą stronę, do Żółtych. Curran przyspieszył i otworzył bramkę. Stałam jak wryta. Zaskoczył mnie. Mężczyźni zwykle nie przytrzymywali mi drzwi.

- Co jest?

- Zastanawiam się, czy to nie jakaś pułapka.

- Wyłaź, już - warknął.

- Zamierzasz się na mnie rzucić?

- A mam się rzucić?

Rozważnie pominęłam roztrząsanie tej kwestii. Odpowiedź mogłaby mi się nie spodobać.

Wyszłam z Kotła. Curran zatrzasnął bramkę i ruszył za mną.

- To co? Mamy przerąbane? Kazałeś im się pakować i wracać do domu?

- Macie bardziej niż przerąbane. Ale nie. Będę walczył razem z wami.

Aż przystanąłam.

- Z nami? Na Kotle?

- Tak. Nie nadaję się twoim zdaniem? Wolisz Saimana?

Hm, Władca Bestii - Urodzony Zabójca *versus* neurotyczny Lodowy Olbrzym. Czy w ogóle jakieś „wolenie” wchodziło tu w grę?

- A co z Andorfem i pierwszym prawem?

- Co z Andorfem?

- Naprawdę pokonałeś go, gdy miałeś piętnaście lat? - zapytałam bez ogródek.

- Tak.

Żadna mądra odpowiedź nie przyszła mi do głowy. Za zakrętem naszym oczom ukazał się stojący na końcu korytarza Cesare.

Wrosłam w ziemię. Tak bardzo chciałam dopaść bydlaka, że poczułam na wargach smak jego krwi. Curran popatrzył na mnie uważnie.

- To on kierował akcją pobicia Dereka - szepnęłam.

Oczy Currana zalał złoty blask.

Podjęcie jakiegokolwiek działania w tej chwili kosztowałoby nas dyskwalifikację. Mimo to oboje chcieliśmy go zabić. Bardzo.

Cesare odwrócił się i aż cofnął na nasz widok. Na moment zamarł niczym jelen w światłach reflektorów, po czym umknął do kwater.

Weszłam do naszych. Curran nie podążył za mną.

Andrea machnęła mi na przywitanie. Siedziała na ławce. Na rozłożonym na kolanach ręczniku trzymała masę różnych części, będących zapewne fragmentami jakiejś zabójczej broni palnej. Usiadłam obok.

- Gdzie są wszyscy?

- Pochowali się w jakichś dziurach. Poza Doolittle'em. Jako ofiara porwania został wyłączony z nacierania uszu. Śpi teraz jak dziecko. Ale muszę ci powiedzieć, że usłyszałam przez drzwi sporo ciekawych rzeczy.

- Dawaj.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Najpierw wysłuchałam Jimowego „to wszystko moja wina, zaplanowałem to sam, bez niczyjej wiedzy”. Potem wysłuchałam Derekowego „to wszystko moja wina, zaplanowałem to sam, bez

niczyjej wiedzy”. Następnie Curran zagroził, że kolejny kandydat na męczennika stanie się nim szybko i nieodwracalnie. Rafael oświadczył, że on jest tylko, aby spłacić dług krwi. Że ma prawo do odwetu za zranienie przyjaciela boud. I że tak właśnie stoi w kodeksie klanu na stronie tej i tej. I że jeśli Curran chce o tym podyskutować, mogą obgadać to na solo. To było okropnie melodramatyczne i zabawne. Strasznie mi się spodobało.

Zapewne. Przed oczami stanął mi obraz Currana z zamkniętymi oczyma i ręką przyłożoną do czoła, warczącego cicho ze złości.

- Potem Dali oznajmiła, że ma dość traktowania jej jak dziecko i że chce dać wreszcie upust swojej żądzy krwi.

To pewnie była ostatnia kropla.

- Co powiedział?

- Przez dłuższą chwilę nic, a potem wdeptał ich w błoto. Derekowi przypomniał, że wziął odpowiedzialność za życie Liwii i jeśli zamierza kogoś ratować, to musi mieć dobry plan, a nie nakreślony na chybcika szkic, który natychmiast sypie się niczym domek z kart, skutkuje złamaniem każdego jednego prawa Gromady i obiciem pyska. Dali powiedział, że jeśli chce, aby brano ją poważnie, musi zacząć ponosić odpowiedzialność za swoje czyny, a nie robić z siebie mimozę za każdym razem, kiedy wpadnie w tarapaty, i że udział w tej chryi nie jest sposobem na udowodnienie hartu ducha. Poza tym nie uważa chyba, że jako trzpiotkowata piętnastolatka była urocza, więc teraz, u dwudziestośmiolatki, tym bardziej nie zamierza tego tolerować.

Ledwie powstrzymałam się od śmiechu.

- Rafaelowi przypomniał, że dług krwi jest ważniejszy od prawa Gromady tylko w wypadku morderstwa lub uszkodzenia ciała zagrażającego życiu i poparł to odpowiednim cytatem, dodając numer strony oraz paragrafu. Dodał także, że wyzywanie alfy nawet w żartach pogwałca prawo Gromady i jest karane odosobnieniem. To było niesamowite lanie. Jak skończył, mieli czerwone tyłki.

Andrea zaczęła składać broń.

- Potem skazał całą trójkę oraz siebie na osiem tygodni pracy przy budowie północnego skrzydła Twierdzy i posłał w diabły. Wypadli stamtąd, jakby im się włosy paliły.

- Skazał siebie?

- Sam też złamał prawo, biorąc udział w tym idiotyzmie.

Jakież to władcobestialskie.

- A co z Jimem?

- On został na specjalne zmywanie głowy. Mało co słyszałam, bo mówili cicho, ale Jimowi musiało się porządnie oberwać. Na końcu usłyszałam tylko, że dostał trzy miesiące robót budowlanych. A potem, kiedy wychodził, Curran zawołał za nim, że jeśli Jim ma ochotę przepychać się z jego towarzyszką *in spe*, to proszę bardzo, ale żeby nie liczył na pomoc, jak skopiesz mu tyłek. Ha, żałuj, że nie widziałaś miny Jima.

- Przyszłą kim?!

- Towarzyszką.

Zakląłam. Andrea zachichotała.

- Wiedziałam, że będziesz zachwycona. A teraz utknęłaś z nim tutaj na trzy dni i w dodatku będziesz musiała ramię w ramię walczyć. To takie romantyczne. Prawie jak miesiąc miodowy.

Jeszcze raz przydał mi się trening opanowywania emocji. Inaczej udusiłabym Andreę na miejscu.

Ten właśnie moment wybrał Rafael na pojawienie się w progu.

- Rozpruwacze zaczynają swoją rundę. Curran kazał powiedzieć, że walczy twój psychol.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Trybuny, jeszcze godzinę wcześniej całkiem puste, wypełniły się do granic możliwości. Widzowie, na co dzień odrębne byty, tu scalali się w jedną, głośną, wściekłą, podnieconą bestię o tysiącach gardeł. Noc była młoda, a bestia kapryśna i żądna krwi.

Ktoś, pewnie Jim albo Derek, odkrył wąską klatkę schodową łączącą pierwszą i drugą kondygnację. Osadzona we wnęce na lewo od Złotych Wrót była niewidoczna z trybun, ponieważ wszystkie latarnie oświetlały Wrota i Kocioł.

Przecisnęłam się przez drzwi, minęłam siedzących razem Andreę i Rafaela i zajęłam najwyższy schodek. Beton okazał się niewygodny i zimny. Przyszli wszyscy prócz Doolittle'a.

Rozpruwacze wystawili tylko dwóch zawodników przeciwko czterem. Jednym był Mart, drugim niewysoka, krągła, zmysłowa kobieta z kaskadą ciemnych włosów. Tak przypominała Liwię, że mogłyby być siostrami. Derek stężał na jej widok.

Przeciwna drużyna składała się z wielkiego, zwalistego Azjaty, zapewne Siłacza, Strzałki - wiotkiego ciemnoskórego łucznika, uzbrojonego dodatkowo w rzutki oraz sztylety, przed którym sterczało kilkadziesiąt wbitych w ziemię strzał, oraz Sermierza, młodego

blondyna stylizującego się na Japończyka. Miał on na sobie tradycyjne granatowe kimono oraz jaśniejszą hakamę. Jego uzbrojenie stanowiła oczywiście katana. Czwarty członek drużyny, kobieta, stała z tyłu, więc była prawdopodobnie Szeptaczem. Mądry wybór, biorąc pod uwagę przyływ magii.

Zadźwięczał gong.

Łucznik rozpoczął. Strzała świsnęła w powietrzu, wbijając się w miejsce, gdzie przed momentem stał Mart. Zawodnik ponowił atak, celując z niewiarygodną szybkością. Mart robił uniki to w prawo, to w lewo. Przemieszczał się tak prędko, że wydawał się rozmazanym czarnym cieniem. Ani razu nie podniósł miecza. Myśleli, że go dorwą. Nie było takiej możliwości.

Siłacz natarł, poruszając się z zaskakującą lekkością. Stojąca z tyłu kobieta zaczęła wykonywać skomplikowane gesty rękoma.

Szermierz zaatakował Rozpruwaczkę.

Uchyliła się, rozkładając ramiona jak gotujący się do lotu ptak. Mart nawet nie odwrócił się w jej stronę.

Dwa metry od przeciwniczki Szermierz dobył błyskawicznie miecza. Za bardzo się pospieszył...

Żuchwa Rozpruwaczki opadła. Magia smagnęła moje zmysły niczym twardy, palący bicz. Kobieta napięła mięśnie i zwymiotowała ciemną chmurę wprost w twarz przeciwnika. Chmura, buzując, opadła fechtmistrza, który zachwiał się, zaskoczony w trakcie wykonywania pchnięcia. Po Kotle poniosło się echem bzyczenie.

- Pszczoły? - rzuciłam pytająco.

- Osy - sprostował Derek.

Szermierz krzyknął, okręcając się w miejscu.

Mart przebiegł łachę, zostawiając za sobą ślad wyznaczony strzałami, i wbił miecz w trzewia Siłacza. Olbrzym zgiął się wpół.

Rój otaczający Szermierza rozpękł się na dwoje. Jedna część spadła na łucznika niczym czarny bat. Strzelec rzucił się do ucieczki.

Z dłoni magini wystrzelił stożek ognia wirujący jak poziome tornado. Mart podskoczył wysoko. Kobieta podniosła stożek, nie dość jednak szybko. Mart, lądując, kopnął ją w bok głowy. Uderzenie zbiło Szeptaczkę z nóg, ale zanim padła na piasek, jej głowa przekrzywiła się nienaturalnie na bok.

- Złamany kark - skomentowała Andrea.

Rój otoczył Strzałkę ruchliwą zasłoną. Łucznik zatoczył się, wpadając wprost na miecz Marta. Rozpruwacz ciął go dwukrotnie krótkimi, precyzyjnymi sztychami, po czym podszedł do Szermierza, który kwiczał jak zarzynane prosię. Przez długą chwilę przyglądał się mężczyźnie, jakby w zadumie, po czym dobił jednym pchnięciem. Rój zniknął. Głowa fechtmistrza potoczyła się po piasku.

Tłum zawył z zachwytu.

Obserwujący wszystko zmiennokształtni nie wydali ani jednego dźwięku.

* * *

- Wygląda to tak - mówił Jim w przerwie, gdy sprzątacze ładowali zwłoki na nosze i zbierali z piasku odcięte części ciał. - Są cztery walki. Pierwsza jest runda kwalifikacyjna, później ćwierćfinał,

półfinał i mecz o mistrzostwo. Tylko w tej ostatniej drużyna bierze udział w całości. W poprzedzających sami decydujemy o liczbie zawodników. Możemy wystawić od jednego do czterech. Jeśli wystawimy czterech i wszystkich stracimy, będziemy zdyskwalifikowani jako „niezdolni do dalszych rozgrywek”.

Przerwał, dając nam czas na przetrawienie informacji. Przygotował się do wykładu sumiennie, miał nawet notatki przypięte do podkładki z klipsem niczym trener drużyny baseballowej.

- Mimo to, zwykle w rundzie kwalifikacyjnej bierze udział czterech zawodników. Wystawienie trzech jest ryzykowne. - Zerknął na siedzącego niżej Currana, który wzruszył ramionami.

- To twoja działka.

A więc Jim zachował pozycję Stratega. Wielkoduszne ze strony Jego Wysokości.

- Podzielimy się na dwie ekipy, jedna trójka, jedna czwórka.

Jak na razie w porządku.

- To ograniczy ryzyko dyskwalifikacji i pozwoli na zebranie się podczas przerw.

Sensowne.

- W skład pierwszej wejdą Rafael, Andrea, Derek i ja. Drugą stworzą Curran, Kate i Dali.

No nie.

- Mam z nim walczyć w jednej drużynie?

- Tak.

Nagle poczułam nieodpartą chęć ucieczki.

- Dlaczego?

- Derek, Rafael i ja mamy podobny styl walki. Poruszamy się po całym polu. Andrea jest strzelcem. Jest mobilna i walczy na odległość. Dali nie.

- Posługuję się *shodo* - wyjaśniła Dali. - To klątwy rzucane za pomocą pisania. Muszę wykaligrafować znaki na kartce, a na to trzeba chwili spokoju. Jedna kreseczka nie tak i możemy zginąć.

Po prostu świetnie.

- Ale spokojnie. - Machnęła ręką Dali. - To wymaga takiej precyzji, że zwykle nie działa w ogóle.

Jeszcze lepiej.

- Ani ja, ani Rafael nie jesteśmy dobrzy w obronie - podjął Jim. - A Derek nie wrócił jeszcze do sił. Curran musi osłaniać Dali, jest najlepszym obrońcą, jakiego mamy. Będzie potrzebował wsparcia zawodnika ofensywnego, a ty jesteś najskuteczniejsza.

Zabrzmiało jak komplement.

- Poza tym nasza trójka przeszła podobne szkolenie - kontynuował Jim. - Wiemy, czego się po sobie spodziewać, i potrafimy współdziałać.

Uważał, że ja nie umiem działać drużynowo. No dobrze, miał rację.

- Druga ekipa weźmie walkę kwalifikacyjną i półfinał. Pierwsze starcie może sprawić wam nieco trudności, ale w trzecim zawodnicy będą już trochę zmęczeni. Skład pierwszy weźmie udział w rundzie

ćwierćfinałowej. Potem, w mistrzowskiej, będziemy walczyć wszyscy.

Jim przewrócił kartkę.

- Macie starcie dzisiaj z Czerwonymi Demonami. Z tego, co słyszałem, wystawią bizonolaka, fechtmistrza i jakieś dziwne stworzenie jako Szeptacza. Wy też go macie. Ustawiają sobie walki podczas przyływu magii, bo czary są bardziej efektowne. Wy natomiast starajcie się robić wrażenie nieudaczników, amatorów. Im słabiej wypadniecie, tym lepiej, bo kolejne drużyny zlekceważą nas wszystkich i będziemy mieć łatwiej. Żadnych pazurów, panie. A ty, Kate, zero magii. Musicie zwyciężyć, ale ledwo ledwo.

Kuknął do notatek.

- Jeśli chodzi o prawo Gromady dotyczące zabijania, to nie dotyczy ono Kotła. - Curran milczał. Jim dał właśnie zmiennokształtnym możliwość rozszarpania przeciwników bez ponoszenia odpowiedzialności i to za cichym przyzwoleniem Władcy Bestii. No cóż, gladiatorzy ginęli. Tak wyglądała rzeczywistość. Musieliśmy tu być, reszta zgłosiła się dobrowolnie. A każdy przeciwnik zabiłby nas bez mrugnięcia okiem.

* * *

Piasek zachrząścił pod moimi stopami. Prawie czułam jego drobinki na języku. Pamięć przygnała wspomnienia upału i prażącego słońca. Odepchnęłam je, skupiając się na Kotle.

Na drugim końcu stali nasi przeciwnicy. Szermierz - wysoki, uzbrojony w miecz półtoraręczny. Bizonolak - kudłaty,

ciemnobrązowy, wielki, rozwścieczony. Niemożliwie szeroki w barach, umięśniony, o ogromnej, rozrośniętej klatce piersiowej i nogach zakończonych kopytami. Miał na sobie kolczugę, ale nie spodnie. Potężny kark wieńczyła kudłata grzywa. Rysy twarzy były mieszaniną ludzkich i byczych, lecz jeśli u minotaura tworzyły spójną całość, u tego zmiennokształtnego przypominała puzzle niedopasowanych, bezładnie połączonych fragmentów.

Za nimi stała istota jak żywcem wyjęta z koszmarów. Dolna część ciała, ciemnobrązowa z jaśniejszym wzorem łusek, należała do pytona. W okolicach brzucha gładkie łuski przechodziły w błyszczącą powłokę opinającą ludzki tors o niewielkich stożkach piersi. Twarz stwora była twarzą piętnastoletniej dziewczyny, która spoglądała na nas szmaragdowymi oczyma. Skóra na bezwłosej czaszce tworzyła poniżej kaptur podobny do płaszcza kobry.

Lamia. Cudownie.

Lamia zakołysała się, jakby w rytm muzyki, której nikt oprócz niej nie słyszał. Emanowała pierwotną, starożytną, zimną magią. Piasek uniósł się wzdłuż splotów i zsunął z powrotem, pieszcząc gładkie łuski.

Dali zadrzała. Stała za nami z podkładką, piórem i arkuszem cienkiego papieru ryżowego pociętym na wąskie paski.

Otaksowałam fechtmistrza. Słaby i nieudolny. W porządku, dam radę.

Trybuny wrzały rozmowami, pochrząkiwaniami i oddechami tysięcy gardeł. Wszystkie te dźwięki zlewały się w niskie buczenie.

Potoczyłam spojrzeniem po widzach. Saiman siedział w swojej łoży z Ciocią B. po lewej i Mahonem, Niedźwiedziem Atlanty i katem Gromady po prawej. Pomiędzy alfami klanu boud i klanu wielkich. Nic dziwnego, że dał się przekonać do rezygnacji z miejsca na rzecz Currana.

Zza ramienia Cioci B. wystawała znajoma, jasna czupryna. Niemożliwe. Głowa poruszyła się i ujrzałam twarz Julie. A jednak.

- Przekupiłeś mi dzieciaka!

- Zawarliśmy umowę handlową - sprostował Curran. - Ona chciała zobaczyć walkę, ja potrzebowałem informacji, kiedy i gdzie się odbędzie, oraz w jaki sposób wkręciliście się na turniej.

Julie uśmiechnęła się do mnie nieco nerwowo i pomachała.

Poczekaj, niech tylko stąd wyjdę, powiedziałam bezgłośnie. Będę musiała odbyć z nią poważną rozmowę na temat wykonywania poleceń.

- Wiem, w czym problem. - Curran wyprostował się i przeciągnął dla rozgrzewki. Zerknęłam na niego ukradkiem. Postanowił walczyć w dzinsach oraz starej koszulce z oderwanymi rękawami, której pewnie używał do ćwiczeń.

Miał silne bicepsy, muskulaturę ukształtowaną i wyrobioną ciężkim wysiłkiem fizycznym, nie nazbyt przerośniętą, ale nie żylastą. Perfekcyjną. Może pocałunek z Curranem napawał mnie poczuciem winy i był z mojej strony fatalnym posunięciem, ale przynajmniej nikt nie posądziłby mnie o zły gust. Teraz cały wic polegał na tym, żeby

nie zrobić tego ponownie. Jeden pocałunek można uznać za wypadek, dwa to już tarapaty.

- Mówiłeś coś? - Uniosłam brew. Nonszalancja, najlepszy sposób na zamaskowanie głupich ciągot. Bizonolak i Szermierz gotowali się do ataku. Świadczyły o tym napięte mięśnie nóg i lekkie pochylenie. Robili wrażenie pewnych, że zdecydujemy się na defensywę, nie ruszając się z obranych pozycji.

Curran także obserwował ich nogi. Prawdopodobnie czekali na ruch dywersyjny lamii. Wężowy stwór kołysał się, otoczony magią, z usztywnionymi ramionami, jakby trzymał coś na smyczach.

- Mówiłem, że wiem, dlaczego boisz się przy mnie walczyć.

- Tak? A to czemu? - Jeśli przeciągnie się jeszcze raz, będę musiała przedsięwziąć dodatkowe środki bezpieczeństwa. Może kopnę w niego piaskiem? Trudno wyglądać seksownie, trąc oczy.

- Pożadasz mnie.

No pięknie.

- Nie możesz oprzeć się moim wdziękom, więc boisz się, że zrobisz z siebie widowisko.

- Wiesz co? Nie mów w moją stronę.

Zabrzmiał gong.

Wspomnienia uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą - upał, piasek, strach.

Magia lamii wystrzeliła jak atakująca kobra. Odskokczyłam w ostatniej chwili, unikając wpadnięcia w jamę, która utworzyła się w piasku tam, gdzie jeszcze przed momentem stałam.

Fechtmistrz przyskoczył do mnie w mgnieniu oka. Zaatakował, wyprowadzając podręcznikowy „cios gniewu” - potężne, ukośne cięcie z prawej, skierowane w dół. Uchyliłam się. Ostrze przecięło powietrze obok. Złapałam gościa za fraki i uderzyłam z główki w czoło.

Masz, ty nieudaczniku.

Krew spłynęła mi po twarzy. Oczy Szermierza uciekły w głąb czaszki i mój przeciwnik osunął się na ziemię.

Oj.

Odwrociłam się. Z naprzeciwka nadbiegał bizonolak. Nabranie prędkości zabrało mu moment, ale teraz wielki, masywny, parszczący gniewnie zniekształconymi nozdrzami, wydawał się niepowstrzymany. Curran obserwował go ze znudzoną miną. W ostatniej chwili usunął się, wystawiając nogę. Zmiennokształtny potknął się, a Curran pomógł mu się przewrócić silnym ciosem w kark. Bizonolak runął na piasek niczym drapacz chmur. Wstrząsnęła nim fala drgawek, po czym znieruchomiał, z głową wykręconą pod nienaturalnym kątem.

Upadając, musiał skręcić kark. Jego pierś nadal się poruszała. Ten przynajmniej nie zginął na miejscu. Curran stał nad nim z zakłopotaną miną.

Dali rzuciła ostrą komendę w nieznanym mi języku, jednocześnie podrzucając w górę pasek papieru ryżowego. Karteczka zniknęła z cichym pyknięciem.

Spojrzelismy wyczekujaco na lamie. Nic. Poruszala ramionami, gromadzac moc do jakiegoz paskudnego zaklęcia.

Pewnie magia Dali byla niewypalem.

Naraz nad glowa lamii rozblylo jaskrawe, rozowe swiatlo, ktore uformowalo sie w swietliste szczeki o demonicznych klach. Paszcza pochlonela lamie, szyje, lokcie, korpus, i zniknela.

Rozleglo sie glodne chrupniecie i lamia zaczela sie wykrecać. Jej glowa odwrócila sie o sto osiemdziesiat stopni, kark pekł, przez skore w zgięciu rak przebily sie ostre kosci lokciowe, a w koncu istota przegielala sie w tyl jak kwiat ze zlamaną lodygą.

Odwróciłam sie powoli i spojrzalam na Dali.

- Heh, chyba jednak zadzialalo. - Wzruszyła ramionami.

Tlum oszalał.

Jim czatowal na nas przy Zlotych Wrotach i zgrzytal zębami.

- A co z ledwie ledwie zwyciestwem?

- Mówiles, ze mamy byc nieudolni! Patrz, nawet nie dotknelam miecza. Rąbnęlam gościa glowa, jak ulicznik.

- Zaatakowal cie mężczyzna z mieczem, a ty go rozbroilas i obalilas w ciągu dwóch sekund! - Popatrzył na Currana, który wzruszył ramionami.

- Nie moja wina, ze nie umial sie przewracac.

Jim przeniósł surowe spojrzenie na Dali.

- Co to, u diabla, mialo byc?

- Szkarlatne Szczeki Śmierci.

- Kiedy zamierzałaś mnie poinformować, że łamiesz ludzi jak zapalki?

- Mówiłam, że rzucam klątwy.

- Mówiłaś, że nie działają!

- Mówiłam, że nie zawsze działają. Ta najwyraźniej zadziałała. - Dali zmarszczyła czoło. - Zresztą nie rzucałam ich nigdy na żywych przeciwników. To był wypadek.

Jim spiorunował nas wzrokiem. Podkładka pękła mu w dłoniach. Odwrócił się na pięcie i odszedł, tupiąc.

- Chyba zraniliśmy jego uczucia - skwitowała Dali, odprowadzając Jima spojrzeniem, po czym ruszyła za nim.

- Co, do cholery, miałem zrobić, złapać tego bizonolaka, żeby nie upadł? - prychnął Curran.

* * *

W kwaterach chwyciłam coś do przebrania i wskoczyłam pod prysznic. Kiedy wyszłam, na stole stała kolacja przyniesiona przez czerwonogwardzistę. Gulasz i świeży chleb. Rafael zniknął gdzieś zaraz po jedzeniu, a zmiennokształtni zaproponowali mi pokera.

Załatwili mnie bez mydła. Najwyraźniej byłam dla nich jedną wielką tablicą informacyjną - słyszeli rytm bicia mego serca, czuli zmiany zapachu potu, liczyli, ile razy mrugnęłam, i w ogóle wiedzieli, jakie mam karty, jeszcze zanim zdążyłam na nie spojrzeć. Gdybyśmy grali w rozbieranego pokera, musiałabym zdjąć skórę z grzbietu. Podałam się wreszcie i położyłam na posłaniu z jedną z książek, które przyniósł doktor. Doolittle okazał się strasznym karciarzem. Od

czasu do czasu zerkałam na towarzystwo. Sześciu zmiennokształtnych siedzących jak posągi, z kamiennymi obliczami, ledwie podnosili karty, by podejrzeć, co w nich jest. Dziwnie się czułam, dzieląc pokój z innymi ludźmi, ale ich hipnotyczny bezruch uśpił mnie zaskakująco szybko.

Śniło mi się, że razem z Curranem zabijamy dinozaura, a potem kochamy się na gołej ziemi.

* * *

Okolo dziewiątej Curran, Dali i ja poszliśmy do Złotych Wrót obejrzeć walkę drugiej naszej ekipy z drużyną Zabójców.

Nad światem panowała magia. Mijając mnie, Andrea uśmiechnęła się lekko. Z kabur przy jej pasie sterczały sig saury, a w rękę niosła kuszę. Ze względu na przyływ magii pistolety nie działały, ale pewnie chciała mieć je pod ręką, gdyby w trakcie rundy fala opadła.

Jim i Derek mieli na sobie identyczne szare spodnie dresowe. Rafael uzbrojony był w dwa noże taktyczne o oksydowanych klingach. W lewej ręce podobny do tanto, w drugiej obosieczny o liściowatym ostrzu, wąskim przy rękojeści, szerokim pośrodku i spiczastym na końcu. Założył tylko ciężkie buty i obcisłe skórzane spodnie, w których wyglądał absolutnie zabójczo.

Przechodząc, nachylił się do Currana i wręczył mu wachlarzyk złożony z jakiejś ulotki.

- A to co? - zdziwił się Curran, patrząc na wachlarzyk.

- Sprzęt ratowniczy, Wasza Wysokość. W razie gdyby dama zemdląca.

Curran gapił się na niego bez słowa. Rafael poszedł dalej, ale przed wyjściem do Kotła odwrócił się, naprężył mięśnie i puścił do mnie oko.

- Dawaj to - zwróciłam się do Currana. - Muszę się powachlować.

- No jasne.

Weszliśmy na schody, żeby mieć lepszy widok. Kiedy usadowiliśmy się wygodnie, Andrea naciągała kuszę z bijącym w oczy zawodowstwem. Trzech zmiennokształtnych stanęło przed nią.

Po drugiej stronie Kotła przeciwnicy ustawili się w dwuszeregu.

Zabójcy reprezentowali wyraźnie japońskie klimaty. Ich Siłacz, monstrualnych rozmiarów olbrzym, musiał ważyć z dwieście kilogramów. Miał prawie dwa i pół metra wzrostu, błękitną skórę i ramiona jak kłody. Znad przepaski wystawało mu okrągłe brzuszysko, jakby połknął kulę armatnią, ze splątanej grzywy sterczały dwa potężne rogi, z dolnej szczęki szablaste kły. Szeroka twarz o grubo ciosanych rysach znamionowała brutalność, a żelazna maczuga w ręku aż drżała z niecierpliwości, żeby pogłaskać wrogów po głowach. Typowy Oni, japoński ogr.

Obok Siłacza czaiła się bestia uderzająco podobna do kamiennych figur stworów strzegących bram chińskich świątyń. Przysadzista, umięśniona, wodziła po trybunach skrzącymi się inteligencją wypukłymi ślepiami. Miała ciemnoczerwone boki, a jej

krótka, bordowa sierść grzywy układała się w pierścionki. Istota powęszyła i potrząsnęła nieproporcjonalnie wielkim łbem. Rozwarła szczęki szeroko, jeszcze szerzej, aż wydawało się, że wyskoczą z zawiasów. Blask światła zatańczył na śnieżnobiałych kłach. Lew chiński.

Znajdująca się za nim wąskousta kobieta w białej koszuli i szerokich czarnych spodniach, trzymała w ręku yumi, dwumetrowy, tradycyjny łuk japoński. Obok niej stał Azjata o jasnozielonych, wyrazistych oczach.

Łuczniczka uniosła swoją broń nad głowę, stając w lekkim rozkroku, bokiem do celu, czyli Rafaela. Powoli opuszczając łuk, napinała cięciwę, aż promień strzały przedzielił linią jej twarz tuż poniżej kości policzkowej.

Srebrzysta skra na grocie rozjarzyła się i powędrowała wzdłuż drzewca strzały, przedzierzając ją w białą błyskawicę.

Stojąca naprzeciw Andrea nie podniosła kuszy. Rafael nonszalancko obrócił na dłoni nóż, który zawirował, zmieniając się w czarny rozmazany krążek.

Pochyliłam się, wspierając łokcie na kolanach i splatając dłonie w jedną pięść.

- Spokojnie, nie są dziećmi - zauważył Curran. - Wiedzą, co robią.

Nie pocieszało mnie to. Wolałabym sto razy sama wystąpić w Kotle niż oglądać śmierć choćby jednego z nich.

Zadźwięczał gong.

Łuczniczka zwolniła cięciwę.

Andrea podniosła kuszę i strzeliła, nawet nie mierząc. W tym samym momencie Rafael usunął się z trajektorii strzały tak płynnie, jakby miał stawy z wody i jednocześnie odbił pocisk nożem. Odłamki strzały opadły na piasek, skwiercząc magią.

Głowa łuczniczki odskoczyła w tył z tkwiącym pomiędzy oczyma bełtem. Jej usta rozchyliły się, tworząc kształt litery O i kobieta wywróciła się jak kłoda.

Mężczyzna stojący obok niej przymknął powieki i zaczął się przechylać. Nie runął jednak na piasek. Cienkie pasma magii pochwyciły go, otulając koronkowym kokonem, kołysząc jak w hamaku. Na jego twarzy zagościł spokój, jakby zapadł w sen.

Lew chiński zaryczał, choć bardziej jak wkurzony rosomak niż wielki kot. Z paszczy uniosły się kłęby czerwonego dymu. Zaatakował.

Dystans do zmiennokształtnych pokonał trzema wielkimi susami, wzbijając łapami fontanny piasku. Derek rzucił się ku niemu, zrywając z siebie dres. Skóra na grzbiecie pękła, ukazując futro. Mięśnie i kości zafalowały i lwi łeb pochwyciły już silne ramiona dwumetrowego wilkołaka. Zderzyli się w deszczu piachu. Odepchnięty siłą rozpędu Derek ślizgał się na grząskim gruncie, ale szybko odzyskał równowagę, kotwicząc stopy w piasku. Lew zatrzymał się, napotykając opór przeciwnika. Napięte mięśnie grały pod wilczą sierścią na grzbiecie.

Lew potrząsnął łbem, starając się oderwać od pół człowieka, pół bestii. Derek wbił pazury w masywny kark. Obok, w eksplozji złotego futra, Jim zmienił się w jaguara.

Lew ryknął. Młóćąc łapami, próbując drapać, odsłonił brzuch. Rafael i jaguar runęli ku niemu. Noże i pazury błyskały, a śliskie strzępy wnętrzości opadały wokół kłębowiska. Derek odskoczył. Lew zachwiał się i padł.

Zmiennokształtni odsunęli się cicho od zwłok. Oczy Dereka jarzyły się bursztynowo, Jima błyszcząły jaskrawą zielenią.

- Jim ulepszył swoją formę bojową - skomentował Curran. - Ciekawe.

Andrea ładowała raz po raz kuszę, która pluła rytmicznie bełtami. Pociski wbijały się w tors Oni, ale ogr ryknął tylko i strzepnął je z cielska.

Andrea wycelowwała w masywny łeb. Bełt odbił się od twardej czaszki. Za Oni zgęstniała magia, rozkwitając wokół śpiącego Azjaty niczym kwiat. Spod nóg Oni, niczym węże, wypełzły długie, przejrzyste wstęgi.

- Niedobrze - mruknęła Dali. - Fatalnie...

Wstęgi splatały się, błysnęło światło i z piasku wyłoniła się żywa istota. Trzymetrowa, przypominała człowieka przykucniętego na żabich nogach. Przyczajone na ziemi stworzenie opierało się na niewiarygodnie długich odnóżach, czekając, aż ciągnące się od śpiącego wstęgi wyplotą resztę ciała. Z łokci wyrosła druga para przedramion, zakończonych długimi palcami zaopatrzonymi w wąskie

szpony. Tam, gdzie powinna znajdować się twarz, czerniał otwór w kształcie wiru. Skóra połyskiwała metalicznie, jakby istota została utkana ze srebrnej nici.

Arena zamarła.

Zmiennokształtni cofnęli się. Andrea przeładowała kuszę, posyłając pocisk wprost w paszczę istoty. Bełt zniknął na moment i wyprysnął z tyłu czaszki stwora. Oni tańczyli radośnie, przytupując na piasku.

Stworzenie zakołysało się, nadymając szarawą klatkę piersiową, po czym rzygnęło srebrzystą, migotliwą chmurą.

Na piasek opadł deszcz igieł. Jim syknął, gdy jedna z nich drasnęła mu skórę. Srebro.

Zmiennokształtni rozpierzchli się, potwór zaś, nie przestając wyrzucać z siebie metalowego gradu, ruszył powoli, starając się przyprzeć ich do ogrodzenia.

Igły dosięgły Dereka, trafiając w tors. Wilk wzdrygnął się jak oparzony, odskoczył.

- Zlikwidujcie Azjatę - mruknęłam pod nosem.

Jim wydał serię krótkich rozkazów, niemal niesłyszalnych w syku chłozzących piasek igieł. Derek rzucił się w lewo, Rafael w prawo. Chcieli otoczyć stwora. Na piersiach istoty wykwitła druga paszcza i kolejna fala igieł zablokowała ruch Rafaela.

Zacisnęłam palce na rękojeści miecza. Curran obserwował Kocioł z kamienną miną.

Kolejne rozkazy. Rafael i Jim wycofali się, zaś Derek odsunął tylko poza zasięg srebrnych pocisków. Jim i Rafael chwycili Andreeę za łydki, wyrzucając dziewczynę w górę. Poszybowała pionowo, naciskając w locie spust kuszy.

Bełt przebił pierś śpiącego na wylot. Szeptacz obudził się z krzykiem, zaciskając dłonie na promieniu. Przejrzyste wstęgi magii odpadły, a mag runął na piasek. Wici skurczyły się i oderwały od istoty, zostawiając w jej grzbiecie wyrwy. Ubytki rozszerzały się, ciało stwora zaczęło znikać. Istota, skręcając się, chlasnęła na odlew Oni, który poleciał jak piłka, odbijając się od siatki. Potem powlokła się w stronę Azjaty, z każdą chwilą przyspieszając. Nie przerywała czołgania, mimo że jej biodra i grzbiet rozpląnęły się w nicość. Dotarłszy do maga, pochyliła się i połknęła go jednym kłapięciem paszczy. Jęki umierającego umilkły, a stwór zniknął. Tłum eksplodował. Z tysięcy gardeł wyrwał się ryk. Jakiś bliżej siedzący mężczyzna wrzasnął: „Gooool!”.

Oni pozbierał się z ziemi, ale szybko padł z powrotem. Walka z trzema zmiennokształtnymi była brutalna i krótka.

Zbiegłam ze stopni, pędząc do Złotych Wrót. Curran i Dali ruszyli za mną.

Chwilę później z Kotła zwlekła się czwórka naszych, poobijana i brocząca krwią. Andrea mnie objęła.

- Widziałaś to?
- Piekielnie dobry strzał.

- Do kwater, natychmiast - rozkazał Doolittle. - Szybko, zanim srebro wniknie głębiej.

Mijając nas, Jim zerknął na Currana. Władca Bestii kiwnął głową.

Ostatni z Kotła zeszli Derek i Rafael. Złoty chłopiec mocno kulał. Spojrzał na Currana.

- Dobra robota - skwitował Curran.

Derek wyprostował się, a oczy rozbliły mu dumą. Pokuśtykał na korytarz, starając się za bardzo nie wspierać na Rafaelu.

* * *

Andrea upadła kilka metrów od wejścia do kwater. W jednym momencie uśmiechała się zadowolona, w drugim runęła jak kłoda. Podtrzymałam Dereka, którego Rafael puścił bez ostrzeżenia, rzucając się do Andrei.

- Zatrucie srebrem - oznajmił doktor. - Wnieście ją do środka.

- To pali - jęknęła Andrea.

Widziałam wcześniej potraktowanych srebrem zmiennokształtnych. Paskudna, bolesna sprawa. To przeze mnie teraz Andrea cierpiała.

Rafael wniósł dziewczynę do pomieszczenia, kładąc na stole. Doktor błyskawicznie sięgnął po narzędzia.

Andrea trzęsała się jak osika, plamy na jej skórze pojawiały się niczym wywoływane zdjęcie. Palce wydłużyły się, paznokcie zaczęły zmieniać w pazury.

- Czekał - powiedział Rafael, zabierając się do ściągania z niej ubrania.

- Nie.

- Nie bądź śmieszna - warknął.

Przytrzymała go za rękę.

- Nie! - zaprotestowała, a jej oczy rozszerzyły się strachem.

- Spokojnie, młoda damo... - mitygował Andreę doktor.

- Nie!

Wygięła się w łuk, zadrżała i jęknęła boleśnie. Zaczynała się zmieniać, a nie chciała, żeby ktokolwiek to widział.

- Wyjdźcie - poprosiłam.

- Idziemy. - Nagle ciężar wspierającego się na mnie Dereka zniknął. To Curran zabrał go do sypialni. Dali i Jim poszli za nimi. Rafael został, blady jak ściana, nie wypuszczając Andrei z ramion.

Wycharczała coś niezrozumiale.

- Już dobrze - zapewniłam ją. - Tylko ja, doktor i Rafael. Reszta wyszła.

- On też - chrypnęła. - Proszę.

- Rzucasz się. Nie dam rady cię przytrzymać, jesteś za silna. A doktor będzie miał co innego na głowie.

- Rozetnijcie jej ubranie - nakazał Doolittle.

- Nie, nie, nie. - Andrea zaczęła płakać. Rafael przygarnął ją do siebie.

- Już dobrze - szepnął. - Wszystko będzie dobrze.

W niespełna minutę była naga. Na jej piersiach ciemniły się paskudne plamy. Pewnie trafiła w nią cała seria igieł. Fala dreszczy przeszła ją od stop do głów. Stęknęła z bólu.

- Nie walcz z tym - powiedział doktor, otwierając torbę z instrumentami. - Poddaj się.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz - obruszyłam się.

- Nie! - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- Chyba nie umrzesz tylko dlatego, że wstydzisz się swoich cętek? Ja już widziałam cię w naturalnej formie, a doktorka niczym nie zaskoczysz, prawda?

- Mógłbym o tym napisać książkę - zachichotał Doolittle. - To nic takiego, pestka. - Jego mina przeczyła słowom, ale Andrea nie mogła tego zobaczyć. - Zaraz postawimy cię na nogi.

- A Rafael uważa, że twoja forma pierwotna jest seksowna. Jest w końcu rasowym zboczcencem, sama wiesz. No, dalej, Andrea. Dasz radę.

Rafael nie przestawał jej tulić.

- Zmień się, kochanie, proszę. Możesz to zrobić. Nie walcz z tym.

Ciemne plamy powiększyły się. Andrea złapała mnie za rękę, miażdżąc palce.

- Zmień się, Andrea, pamiętaj, że mam u ciebie lunch.

- Wcale nie - stęknęła.

- Ależ tak. Wybiegliście z Rafaelem, zostawiając mnie z rachunkiem. Jeśli umrzesz, nie odzyskam kasy, a sama wiesz, że jestem za biedna na stawianie ludziom żarcia w knajpach. No, dalej.

Andrea wstrząsnęły drgawki. Krzyknęła. Jej ciało zafalowało, kształty zmieniły się, formując szczupłą, długonogą istotę porośniętą krótką sierścią. Twarz przekształciła się w połączenie pyska hieny i ludzkiego oblicza. W przeciwieństwie do boud, których pierwotna postać była często niekształtną mieszaniną niepasujących do siebie części, Andrea miała proporcjonalną budowę. Była piękną, pełną gracji istotą. Szkoda, że sama nie postrzegала siebie w ten sposób.

Doolittle zbadał jej brzuch lewą ręką, w prawej trzymając skalpel.

- Teraz, kiedy natnę, wypchniesz to. Łatwo i przyjemnie, tak, jak cię uczyli.

- Uczyli? - wycharczała Andrea.

- Na ćwiczeniach pozbywania się srebra z ciała - sprecyzował doktor.

- Nic takiego nie ćwiczyłam!

Oczywiście, że nie. Przez całe życie zaprzeczała, że jest zmiennokształtną.

- Ona nie wie, jak to zrobić - powiedziałam.

Andrea rzuciła się konwulsyjnie. Rafael ją przytrzymał. Z twarzy odpłynęła mu wszystka krew.

- Srebro parzy. Twoje tkanki cofają się przed nim, przez co wnika coraz głębiej. Musisz się temu przeciwstawić - wyjaśniał

doktor. - To instynktowne, ale kiedy natnę, musisz napiąć mięśnie i stawić mu opór, wypchnąć je z ciała.

- Nie umiem - jęknęła Andrea.

- Umiesz - rzekł Rafael stanowczo. - Każdy się tego uczy. Nawet dzieci to potrafią. Jesteś Rycerzem Zakonu. Dasz radę wyrzucić z siebie te cholerne igły. Przestań się mazać i uzalać nad sobą.

- Nienawidzę cię - warknęła.

Uzbrojona w skalpel ręka Doolittle'a zawisła nad jej brzuchem.

- Gotowa?

Przeciął skórę, nie czekając na odpowiedź. Z rany trysnęła czarna krew. Andrea krzyknęła, napięła się i srebrna igła wysunęła się na jej brzuch.

Doktor chwycił kawałek metalu przez gazę.

- Dzielna dziewczynka. Świetnie ci poszło. Teraz następna.

* * *

Po wszystkim Rafael zaniósł Andreę pod prysznic, mruczając jej po drodze do ucha czułe słówka. Moja rola się skończyła. Weszłam do sypialni, gdzie Dali pomagała Derekowi pozbyć się igieł. Dzięki ćwiczeniom szło im to dużo szybciej niż w przypadku Andrei. Derek żartował, kiedy Dali nacinała mu skórę, gimnastykując wielkie szczęki, żeby sformułować zrozumiałe słowa. Robił przy tym straszliwe miny i rzucał melodramatyczne groźby w stylu: „Hagiję has ga to!”. Curran rechotał. Dali chichotała. Nawet Jim, który na chwilę przerwał obserwowanie walk i przyszedł do kwater, nie potrafił się nie uśmiechnąć.

Nie mogłam z nimi zostać. Musiałam pobyć sama. Powinnam pooglądać starcia w Kotle. Ktoś tam ginął ku uciesze gawiedzi. To pozwoli mi wziąć się w garść. Zresztą, gdzie indziej mogłam iść?

W połowie drogi poczułam efekty gwałtownego spadku adrenaliny. Bolesne igiełki na skórze i przyjemne ciepło, które chwilę później przemieniło się w elektryzujący niepokój.

Na końcu korytarza pojawiła się kobieta w sari, eskortowana przez dwóch czerwonogwardzistów. Kobieta niosła w rękach zdobną metalową szkatułkę.

Cofnęłam się do kwater, blokując wejście.

Nadchodzący zatrzymali się przede mną.

- To prezent. Dla chłopca ze zniszczoną twarzą. - Uśmiechnęła się kobieta.

- Dopilnuję, żeby go dostał - powiedziałam, przyjmując szkatułkę.

Jej uśmiech się poszerzył.

- Nosisz piękną skórę - dodałam. - Zapewne ta, z której ją zdarłaś, bardzo krzyczała, umierając.

Gwardziści sięgnęli po broń.

- Będiesz krzyczała głośniejsze, kiedy zdejmę twoją - rzekła.

Odpowiedziałam uśmiechem.

- Wytnę ci serce i nim nakarmię. Chyba że oszczędzisz mi zachodu, połykając język, jak twój łuskowaty przyjaciel.

Uśmiech zniknął. Kobieta skinęła głową i odeszła. Strażnicy podążyli za nią, oddychając z ulgą.

Zaniosłam szkatułkę do sypialni i wyjaśniłam jej pochodzenie.

Derek bez słowa uchylił wieczko. W środku leżały długie, ludzkie włosy. Wyjął je, podnosząc do oczu. Żadnych śladów krwi. Tylko ciemne włosy zebrane w koński ogon i odcięte nad rzemykiem. Górna warga Dereka powędrowała w górę, odsłaniając kły. Włosy Liwii.

- Zrobili to, żeby ją oszpecić? - zapytałam.

Dali pokręciła głową.

- Włosy obcina się wdowom. To groźba. Skoro ona jest jego narzeczoną, to on trupem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Obudziłam się około piątej. Rozgrzewka, ćwiczenia siłowe, rozciąganie, prysznic, śniadanie. Zwyczajny poranek. Poza zgromadzonymi wokół stołu bestiami. Zmiennokształtni uwielbiali jeść. Aż dziw, że stół nie rozpadł się pod ciężarem tego wszystkiego, co zamówili.

- Ta owsianka jest okropna - skrzywił się Doolittle, dodając do swojej miski kolejną porcję masła.

Dali oblizwała łyżkę.

- Kucharz musi być ślepcem o dwóch lewych rękach.

- Jak można zepsuć coś takiego, jak owsianka? - Rafael wzruszył ramionami. - Nawet porządnie zrobiona jest ledwie zjadliwa.

- Czekaj, powtórzę to twojej matce - zagroził Doolittle.

- Ten chleb kukurydziany to kamień. - Jim wziął ze sterty żółty prostokąt i popukał nim w blat. - A kielbaski są jak z papieru.

- Może chcą nas zagłodzić? - podsunęła Andrea.

- Raczej zafundować porządny ból brzucha - mruknął Curran, zgarniając na swój talerz stos bekonu.

Jak na istoty, które często zmieniały się w bestie i zjadały swoje ofiary na surowo, byli strasznie wybredni.

- Kate robi świetne kiełbaski - wspomniał Jim.

Przykleiło się do mnie sześć par oczu. Dzięki, panie Subtelny. Tego mi było trzeba.

- Ach, tak? - Strzeliła palcami Andrea. - Te frankfurterki? Te, które jadłyśmy kilka tygodni temu? Nie wiedziałam, że robisz je sama. Myślałam, że kupujesz. Są rewelacyjne. - Anielskiego uśmiechu mógłby jej pozazdrościć arcycherubin. I to wszystko wtedy, kiedy nie mogłam strzelać laserową wiązką z oczu...

- Co dodajesz do kiełbasek, Kate? - dopytywał się Rafael, ucieleśnienie niewinności.

Kotołaki z długim jęzorem i odrobinę hienolaka do smaku.

- Sarninę i królika.

- Um, aż mi ślinka cieknie - przyznał Doolittle, nieświadom gry pozostałych. - Dasz przepis?

- Jasne.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś takim smakoszem kiełbasek - stwierdził Curran z absolutnie poważną miną.

Krrrwi, morrrdu!

Nawet Derek zachichotał. Rafaelowi, wspartemu czołem o blat, lekko drgały plecy.

- Czy on się dławi? - zaniepokoiła się Dali.

- Nie, nie - zapewnił ją Curran. - Daj mu chwilkę. Zaraz mu przejdzie. Młode samce boud tak łatwo się ekscytują...

- Kto dzisiaj z nami walczy? - Zmieniłam temat, szukając wzrokiem ciężkiego przedmiotu, który nadawałby się do rozłupania czaszki zmiennokształtnego.

- Żule Róż - wypalił Jim.

- Chyba sobie żartujesz? - zdziwiła się Andrea.

Jim potrząsnął głową.

- Nie. To drużyna Francuza. Nazywa się Cyklon. Wredna banda.

- Ten Francuz mnie zna - oświadczyłam.

Jim spojrzał bacznie.

- Jak dobrze?

- Wystarczająco - wyręczył mnie Curran. - Boi się jej jak diabła.

- Widział kiedyś, jak walczysz? - spytała Andrea.

- Tak. Dawno temu.

- Jak dawno? - indagował Jim. - Jak dobrze zna twoją technikę?

Jeśli spróbuje mnie wyłączyć z tej rundy, rozszarpie go na kawałki.

- Dwanaście lat temu, w Peru. Wątpię, żeby pamiętał styl mojej szermierki.

- Co robiłaś w Peru? - zainteresował się Rafael.

- Walczyłam na Hoyo de Sangre. - Mówiąc to, obserwowałam ich miny. Tak, miałam trzynaście lat. Nie, nie chcę o tym gadać. - To nie ma znaczenia. Jest zawodowym gladiatorem. Podróżuje od areny do areny, walczy o lepsze nagrody. Jest utalentowanym magiem powietrza, lubi rzucać potężne, nieskomplikowane zaklęcia. Pewnie

będzie próbował klamry powietrznej albo trzymania. Kogo ma w drużynie?

Jim skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

- Zakładając, że wystawi najlepszych, da trolla na Siłacza, golema na Szermierza i wampira na Sztylet. Starego wampira.

- Jak starego?

- Jak krwiopijcy Olathe.

Przebiegł mnie dreszcz. Olathe, była kochanka Rolanda, kierowała wampirami tak starymi, że musiały stać się nieumarłymi jeszcze przed Zmianą, pierwszą falą magii, kiedy teoretycznie coś takiego jak wampiry w ogóle nie powinno istnieć. Wampiry stawały się z czasem coraz bardziej odrażające. Przez lata, w niegdyś ludzkich ciałach wirus *Immortuus* wywoływał coraz dalej idące zmiany, deformując je i wzmacniając.

- Golem jest srebrny - ciągnął Jim. - Potrafi wykształcać na skórze kolce. Niezwykle szybki. Nie da się go zranić, nie da przebić. W skórę trolla też nie wbija się żadna broń. Sam widziałem, jak rzucona włócznia odpadła od niego, nie robiąc krzywdy. Nie powiem, że mnie to nie martwi.

Każdy by się zmartwił. Sam wampir, nawet gdyby reszta składała się z papierowych ludków, na pewno by mnie spowolnił. W tym składzie ekipa wydawała się niemal niezwyciężona. Wampir był nieprawdopodobnie szybkim zabójcą. Przy jeszcze dwóch innych aktywnych zawodnikach oraz magu ochronienie Dali przed wampirem stawało się mało realne. Olathe wykradła swoje wampiry Rolandowi,

kiedy go porzuciła. Skąd Cyklon wziął starożytnego wampira i w dodatku pod nosem siedzącego na trybunach przywódcy Rodu?

Mogłabym zniszczyć umysł wampira, ale nie bez poświęceń.

- Zajmę się krwiopijcą - oświadczyła Dali. - Podczas fali oczywiście.

- To nie taki zwykły wampir - zaprotestował Jim. - Nie miałaś z takim jeszcze do czynienia. Jest stary.

- Im starszy, tym lepiej - przekonywała. - Ale to będzie jedyne moje zaklęcie w tej walce. Tylko jedno. Potem będę musiała się przespać.

Spojrzałam na Dali. Jeśli zaatakuje wampira, reszta skupi się na niej. Czterech na trzech, marne szanse, szczególnie z magiem powietrza. Znałam sposób, żeby ochronić dziewczynę. W normalnych okolicznościach skorzystanie z niego byłoby głupim i lekkomyślnym posunięciem. W obecności d'Ambraya urastało do rangi szaleństwa.

Jeśli Dali zaklęcie się nie uda, nie będzie miała szans z wampirem. Rozerwie ją na kawałki, a mnie pozostanie przysłuchiwanie się jej krzykom.

- Jeśli wyeliminujesz krwiopijcę, dam ci osłonę na resztę walki, przy założeniu, że magia nie opadnie.

- Jakim cudem?

- Tarcza krwi. Więzi magię, ale twoją też. Rzucisz zaklęcie i wskoczysz pod osłonę. Tam pozostaniesz bezpieczna. Nie będziesz mogła wydostać się z niej bez mojej pomocy, ale też nikt ciebie nie dopadnie.

. Dali przygryzła wargi.

- A co, jeśli nie zadziała?

- Musisz mi zaufać.

- Dobrze - zgodziła się po chwili namysłu.

Jim pokręcił głową.

- Musimy dokooptować czwartego.

- Nie! - zaprotestowaliśmy z Curranem jednocześnie. Nie chciałam mieć na sumieniu jeszcze więcej przyjaciół.

Doolittle westchnął zrezygnowany.

- Muszę trochę poćwiczyć - powiedziałam, wstając od stołu.

* * *

Wampir czaił się przy Cyklonie, emanując nekromancką magią. Jim miał rację. Był bardzo stary. Żaden ślad nie świadczył o tym, że kiedykolwiek chodził na dwóch nogach. Poruszał się na czworakach jak pies, któremu wyrosły łapy na kształt ludzkich kończyn, uzbrojone w ostre jak brzytwa szpony. Ostatnie echa człowieczeństwa musiały zamrzeć w krwiopijcy już dawno temu. Stał się czymś tak odrażająco obcym i przerażającym, że jego widok wywoływał we mnie zimne dreszcze.

Nie miał na sobie ani grama tłuszczu. Gruba skóra tak ściśle przylegała do stalowych, żylastych mięśni, że przypominała woskową powłokę na modelu anatomicznym stworzonym przez obłąkanego rzeźbiarza. Kanciaste kręgi tworzyły wzdłuż grzbietu sterczący grzebień. Nosa nie posiadał wcale, nie pozostała po nim nawet szczelina. Wielkie, bezwargie szczęki jeżyły się kłami osadzonymi w

czerwonych dziąsłach. Z tylnej części zdeformowanej czaszki wyrastał gruby róg. Szkarłatne oczy jarzyły się żądzą krwi niczym dwa rubiny wetknięte w czerep demona.

Odnalazłam jaskrawe, bolesne światło jego umysłu i przyczałam się w cieniu. Jeśli Dali się nie uda, zmiążdżę krwiopijcę bez względu na cenę.

Troll wyglądał przy nim jak góra mięsa. Grubo ponaddwupółmetrowy olbrzym o sękatej, ciemnobrązowej skórze pokrytej brodawkami i ciemniejszymi, chropowatymi plamami. Całość nasuwała na myśl jeden przymiotnik - masywny. Masywne nogi, jak pniaki zakończone okrągłymi, słoniowatymi stopami. Masywny korpus z wystającym brzuszyskiem, które wydawało się zbyt twarde, aby określić je mianem „bebecha”. Masywny tors. Szerokie bary i ramiona upakowane kawałami mięśni. Masywny kark, grubszy niż moje udo. Masywna, obła czaszka przypominająca stempel z grawerem twarzy na płaskiej części. Zapadnięte, głęboko osadzone oczy, płaski nos jak u kota perskiego, i wąskie usta wykrzywione w grymasie przez dwa wyrastające z zuchwy kły. Przypominał posąg wyrzeźbiony w skamieniałym pniu gargantuicznego drzewa. Włócznia? Tu nie pomogłaby i piła łańcuchowa.

Za nimi, nieco po lewej, stał młody, ciemnoskóry mężczyzna z ogoloną gładko głową. Miał ciało akrobata, był całkiem nagi, a jego uzbrojenie stanowiły dwa identyczne miecze. Nigdy wcześniej nie widziałam nic podobnego. Wyglądały jak bękarty bułata i katany.

Posiadały smukłość japońskiego ostrza oraz krzywiznę i szerszy koniec arabskiej głowni. Prawie metrowej długości i jakieś cztery centymetry w najwęższym miejscu, musiały stanowić niezwykle szybką, śmiercionośną broń.

Gdy weszliśmy do Kotła, ciało mężczyzny zaczęło się zmieniać. Jego kształty otoczyła jasna poświata. Kontury straciły ostrość, powleczone szarą powłoką. Na barkach wyrosły naramienniki, lewy karbowany, prawy cieńszy. Przedramiona pokryły się mocnymi karwaszami. Szeroki metalowy fartuch osłonił biodra, zwężając się niżej w pancerny sącdek chroniący genitalia. Jego skóra zaślniła od wilgoci, która szybko wyschła, tężejąc w gładki, połyskliwy, siwy film.

Wszystko prócz oczu miał teraz z metalu. Srebrny golem.

Wskazał na mnie mieczami. Szczyt moich marzeń - blaszany bohater na sterydach. W tych czasach poszukiwania serca oraz wesolutkie przyśpiewki nie wystarczały już młodym i ambitnym gniewnym ze srebra. Ten chciał innego serca, ciepłego, pulsującego, wyciętego prosto z mojej piersi.

Zatrzymaliśmy się na granicy łąchy. Była pełnia magii. Dali przełknęła nerwowo ślinę.

Miałam ze sobą Zabójcę oraz miecz, który wykradłam ze zbrojowni Gromady podczas rozbłysku.

- Przytrzymaj. - Wręczyłam zdobyczny miecz Curranowi i rozciąłam Zabójcą wierzch dłoni. Czyste, płytkie cięcie. Z rany wypłynęła krew. Dali odwróciła się, krzywiąc. Pozwoliłam

czerwonym kroplom spływać po ostrzu Zabójcy. Ojciec i Greg pewnie przewracali się w grobach. Nakreśliłam na piasku okrąg, nie zamykając go do końca, po czym wyjęłam gazę i przyłożyłam do rany, czekając, aż nasiąknie krwią.

Podaliśmy opatrunek Dali, która położyła go sobie na podkładce, stając w przerwie okręgu. Teraz wystarczył jeden krok do tyłu, żeby znalazła się pod osłoną.

Zakleiliśmy ranę plastrem.

- Pamiętaj, tak jak ćwiczyliśmy. Rzucasz swoje zaklęcie i bez względu na efekt cofasz się do kręgu, zamykając go gazą. Rozumiesz?

- Tak.

- Zrób tak, jak Kate ci każe - powiedział Curran cicho.

- Tak, panie - potwierdziła Dali. Podeszliśmy kilka kroków do przodu. Wampira przyciągnie zapach świeżej krwi. Tym bardziej mojej. Nawigator poczuje żądzę krwio pijcy i wyśle go za Dali. Tym samym nam zostanie troll i golem. Dopóki ich nie wyeliminujemy, Cyklon był poza naszym zasięgiem.

- Którego by na pierwszy ogień? - zastanawiałam się głośno.

- Trolle - zdecydował Curran.

- Dobrze.

Gdy wampir zostanie pochwycony w szpony magii Dali, miejmy nadzieję, że nie samej Dali, golem przyjdzie krwio pijcy na pomoc, próbując ją zabić. Jeśli Dali zrobi wszystko według planu, nie uda mu się to, a nam da parę sekund na małe *tete-à-tete* z trollem.

Troll uśmiechnął się szeroko.

- Śmieję się, śmieję, złociutki. - Poruszyłam mieczami, rozgrzewając nadgarstki.

Curran zezował na golema. To cholerstwo było srebrne.

- Golem jest mój. Nie próbuj wejść mi w drogę.

- W tym Kotle wszystko jest moje - warknął.

Na dźwięk gongu mało mi serce nie wybuchło.

Od Cyklona oddzieliła się magia. Powietrze wokół mnie zgęstniało i owinęło niczym mokry koc, ciężąc, napierając, ściskając... Klamra powietrzna. Zamarłam. Curran stał jak posąg z lekkim uśmiechem na ustach. Też rozpoznał zaklęcie.

Wampir skoczył, szybując ponad piaskiem.

Golem ruszył w moją stronę.

Poczułam, jak obok nas świsnęło twarde, zimne ostrze magii. Na trybunach rozległ się chrapliwy krzyk Pana Umarłych ogłaszający utratę wampira. Do boju, Dali.

Powietrze stłoczyło się wokół mnie i zamarzło, ściskając w zabójczym uchwycie. Nieźle.

Curran w jednej sekundzie dokonał przemiany do formy bojowej. W jego miejscu stała teraz ponaddwumetrowa bestia o potężnych mięśniach, ciemnoszara, o poprzecinanej dymnymi pasami aksamitnej skórze. Tym razem zamiast koszmarnej mieszanki człowieka i lwa, ujrzałam siłacza z lwim łbem o ogromnej paszczy. Tylko Curran potrafił zachować większość ciała w jednej formie, przemieniając jedynie wybraną część.

Wyskoczyłam do góry. Klamra powietrzna rozpadła się przy wtórze odgłosu rozdieranego papieru. Zakłęcie to zostało stworzone z myślą o panikujących ofiarach. Im intensywniej się z nim walczyło, tym bardziej się zaciskało. Ale kiedy opadło już i znieruchomiało, można było rozerwać je jednym nagłym ruchem.

Golem zboczył, kierując się ku Dali. Cyklon zachwiał się, chwilowo oszołomiony złamaniem zaklęcia.

Troll zmierzał w naszą stronę. Zanurkowałam, przypadając nisko. Drewniany czy nie, chodził, a to oznaczało, że zginał kolana. Błyskawicznym ruchem wsunęłam miecze pomiędzy jego nogi i pociągnęłam, przecinając ścięgna pod kolanami.

Nie upadł, ale schylił się, żeby mnie pochwycić. O tak, patrz tu na mnie, ty przerośnięty pniaku. Po hali rozniósł się ostry odór rozkładu, wyciskając mi łzy z oczu.

Na plecach trolla wylądował demoniczny potwór. Curran. Wielkie szczęki rozwarły się szeroko, a potem zacisnęły na karku trolla. Białe kły błysnęły, wbijając się pomiędzy kręgi szyjne i przecięły rdzeń jak nożyce. Głowa trolla opadła na bok, brocząca z rany krew zaląła potężne barki. Curran chwycił okrągłą czaszkę, odrywając ją do reszty. Jego twarz zmieniła się w potworną chimere ludzkiego oblicza i lwiego pyska. Cisnął swoją zdobyczą w Cyklona.

Mag nie uchylił się nawet. Gapił się na nas, osłupiały. Czaszka zbiła go z nóg. Upadł bezwładnie na piasek. Odwróciłam się szybko.

Dali kulila się wewnątrz kręgu, osłaniając głowę ramionami. Miała rozciętą koszulę, twarz i ramiona zbryzgane krwią, ale rany już się goiły.

Golem zaatakował, kręcąc młynki mieczami, jednak każdy cios odbijał się od tarczy ochronnej, wzbudzając jedynie szkarłatne rozbłyski zaklęcia. Obok Dali leżała sterta ohydnych szczątków z trójkątnym świstkiem na wierzchu. Na ryżowym papierku jarzył się pojedynczy, jasnoniebieski znak *kanji*.

Udało jej się. Wyeliminowała wampira.

- Wszystko w porządku? - zawołałam, zapominając, że nie może nic usłyszeć.

Dali jednak zerknęła spod ramion, a zauważywszy mnie, podniosła kciuk do góry.

- Hej! Blaszak! - krzyknęłam. - Dawaj tutaj!

Golem obrócił się, wzbijając fontannę piasku i ruszył na mnie. Czekałam z uniesionymi mieczami.

Zaatakował. Ostrze o włos minęło mój policzek. Naprawdę poruszał się z nadludzką szybkością. Jednak nie walczyłam po raz pierwszy. Dopasowałam się do jego tempa.

Pchnięcie, pchnięcie, pchnięcie.

Blokowałam Szymierza za każdym razem, zbijając jego ostrza swoimi. Poczułam znajome ciepło rozlewające się falą po moim ciele. Mięśnie nabrały sprężystości, ruchy lekkości. Golem był bardzo szybki i świetnie wyszkolony, jednak ja dorównywałam mu refleksem, a techniką przewyższałam.

Głównie zmieniły się w srebrny wir. Zaśmiałam się, nie przestając blokować ciosów. Tak się chcesz bawić? Proszę bardzo. Zagramy po twojemu. Jedyne, co mogłam zrobić, to zmęczyć przeciwnika. Wrażenie miecza w oko nie było łatwą sprawą.

Niestety, tylko to miejsce dawało mi szansę.

Minuty mijały, siekane na drobiny nieustającym gradem lśniących ostrz. Tłum zamilkł, jedynie szczęk stali mącił nienaturalną ciszę. Golem nie mógł długo walczyć w tym tempie, a ja dopiero się rozgrzewałam.

Curran podkradł się do niego od tyłu. Zerknięcie na Władcę Bestii kosztowało mnie ranę na ramieniu.

- Nie! - warknęłam.

Curran pochwycił golema w niedźwiedzi uścisk, próbując zmiażdżyć mu krtań. Błysnął metal i srebrne kolce wyrosły z pleców golema, wbiły się w tors Currana, przyszpilając go.

Władca Bestii ryknął z bólu.

Ryk wstrząsnął Kotłem. Potężna fala grzmotu połączonego z krzykiem cierpienia omal nie powaliła mnie na kolana. Ludzie na trybunach zasłaniali uszy.

Szare zacieki poznały sierść Currana, rozlewając się szybko. A ten kretyn tylko wzmocnił uścisk.

Golem odwrócił się, spowolniony ciężarem nabitego na plecy przeciwnika.

Mój wszechświat skurczył się do Currana i jego cierpienia. Musiałam mu pomóc. Tylko to się dla mnie liczyło.

Zaatakowałam, odsłaniając odrobinę lewy bok. Golem złapał się na przynętę. Wyprowadził cios, wychylając się do przodu. Nawet nie próbowałam go zablokować. Wąskie ostrze wbiło się pomiędzy żebra, wypełniając mnie lodowatym zimnem, po którym nadszedł palący ból.

Wraziłam Zabójcę w lewe oko golema.

Wszedł jak w masło, w jedyną cielesną część istoty. Pchnęłam mocniej, z całej siły. Perfekcyjne trafienie, jedno na sto.

Golem poruszył bezgłośnie ustami. Skóra zadrgała, wchłaniając szarą powłokę. W gardle zawibrował krzyk; na początku słaby, wzrastał się, aby wybuchnąć, zmieniając się w pełen bólu i zaskoczenia wrzask.

Curran uwolnił się, odłamując kolce.

Ostatnie smugi srebra zniknęły ze skóry golema, a on padł na kolana. Zapierając się stopą o jego ramię, wyrwałam ostrze. Runął na twarz. Podeszłam do kręgu, wkładając rękę w osłonę.

Magia zgęstniała wokół mojej dłoni, rozbłyskując czerwienią. Na moment Dali otoczyła szkarłatna kopuła, która popękała, obracając się w nicość. Złapałam Dali za ramię, dźwigając na nogi. Z tyłu Curran podniósł się chwiejnie.

Tłum eksplodował rykiem zachwytu. Cholerne harpie. Odwróciłam się i, spoglądając na trybuny, wrzasnęłam:

- Pieprzcie się!

Krzyk tylko się wzmógł.

Wymaszerowałam z Kotła.

Stojący przy Złotych Wrotach Jim spojrział i prędko zszedł mi z drogi.

Wkroczyłam do naszych kwater, prosto do zorganizowanego naprędce szpitalika Doolittle'a. Curran wszedł za mną, zatrzasnął drzwi. Odwróciłam się. Przede mną stał już nie potwór, a Władca Bestii w człowieczej formie. Tors usiany miał czarnymi plamami w miejscach, gdzie wbiły się kolce. Popatrzyłam na niego, po czym grzmotnęłam pięścią w splot słoneczny. Stęknął.

Doktor umknął przezornie.

- Co z tobą, do diabła?! - Rozejrzałam się za czymś ciężkim, żeby uderzyć tego idiotę, ale pomieszczenie było prawie puste. Narzędzia chirurgiczne się nie nadawały. Żadne odpowiednio ciężkie, tępe przedmioty nie wpadły mi w oko.

Curran wyprostował się.

- On był srebrny! - wrzasnęłam mu w twarz. - Wiedziałaś, co robię! Co ci wpadło do tego durnego łba?! Pomyślałeś sobie: „Jest srebrny, więc wskoczę mu na plecy”? Gratuluję pomysłowości!

Nieoczekiwanie przygarnął mnie do siebie.

- Bałaś się o mnie?

- Nie, wrzeszczę na ciebie, bo to moje hobby!

Uśmiechnął się.

- Jesteś skończonym dupkiem! - oświadczyłam dobitnie.

W jego oczach zatańczyły radosne złote iskry. Dobrze wiedziałam, co to oznacza. Moja wściekłość zmieniła się w niepokój.

- Nawet nie myśl o całowaniu, bo będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz w życiu - ostrzegłam.

- Za pewne rzeczy warto umrzeć - powiedział miękko.

Jeszcze chwila tej bliskości, a złamałabym się. Byłam taka szczęśliwa, że przeżył.

Tonący chwytą się czegokolwiek. Nawet brzytwy.

- Moja rana krwawi, Wasza Wysokość.

Odsunął się, przywołując doktora.

* * *

Doolittle zamknął magicznie zranienie, poburczał, pokłutł mi nogi szpilką i orzekł, że moje odruchy są w normie.

- Dość głęboka rana. Boli?

- Nie - skłamałam.

Westchnął z miną męczennika.

- I po co ja się w ogóle przejmuję?

- Nie mam pojęcia. Lepiej byś się poczuł, gdybym ci tu beczała?

Zaprzeczył energicznie.

- To już lepiej udawaj twardzielkę.

Plamy na ciele Currana rozlewały się coraz bardziej. Wskazałam na niego brodą.

Doktor wręczył mi skalpel.

- Muszę się zająć Dali. Jest w szoku. Zabawne. W Kotle nie wydawała się w szoku. Doolittle wymaszerował z pokoju. Spojrzałam na skalpel. Curran usiadł na podłodze, racząc mnie widokiem swojego muskularnego grzbietu. No ładnie.

- Zabieraj się do pracy - pogonił. - Chyba że zamierzasz mdleć?

- Spokojnie, królewno. To dla mnie nie pierwszozna.

Położyłam palce na pierwszej plamie. Skóra w tym miejscu była gorąca i spuchnięta. Nacisnęłam, lokalizując kolec, tak jak się uczyłam, po czym nacięłam. Napiął mięśnie. Z rany trysnęła czarna jucha; kolec się wysunął. Złapałam go kleszczykami i wyjęłam. Cholera. Na dwa centymetry gruby, pięć długi. Wystarczająco dużo srebra, żeby przytruć porządnie każdego przeciętnego zmiennokształtnego. Ile takich odłamków miał w sobie?

Wrzuciłam kawałek metalu do nerki, wytarłam krew i szybko zajęłam się następnym.

Cięcie, wyciągnięcie, osuszenie. Jeden po drugim.

Raz jęknął cicho.

- Już kończę - mruknęłam.

- Kto cię tego nauczył? - zapytał.

- Szczurołak.

- Znam go?

- Ją. Umarła dawno temu. Przyjaźniła się z moim ojcem.

Dziewięć kolców.

Rany zasklepiały się, mięśnie i skóra zrastały. Wstałam, zmoczyłam ręcznik i wytarłam Curranowi plecy. Odchylił się, przedłużając kontakt z moimi palcami.

Miałam ochotę przesunąć dłonią po jego ciele. Zbeształam się w duchu, wypłukałam ręcznik i wrzuciłam mokry do kosza przygotowanego przez doktora.

- Gotowe - powiedziałam i wyszłam, zanim zdążyłam popełnić jakąś głupotę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jakiś czas później leżałam w wannie, zanurzona po szyję w gorącej wodzie. Pomieszczenie nie miało okien, na suficie zbierała się wilgoć, a słabe żarówki emanowały przyćmionym światłem. Wentylacja nie działała, ani przy fali magii, ani techniki.

Byłam cała obolała. Bolały mnie bok, ramiona, plecy. Golem spuścił mi porządne lanie.

Rozważyłam wyjście z wanny. Skóra pomarszczyła się już od wody i zrobiło mi się za gorąco. Jednak to oznaczałoby powrót do sypialni. Wygraliśmy walkę półfinałową, więc Czerwona Gwardia nie spuszczała nas z oka. Teraz mogliśmy opuścić kwatery tylko po dokładnym przesłuchaniu i w towarzystwie tłumnej eskorty. Nawet w tej chwili spora ekipa strażników kręciła się pod drzwiami.

Naraz w polu mojego widzenia pojawiła się brązowa, oszroniona butelka piwa. Obejmowała ją dłoń przytwierdzona do muskularnego ramienia, porośniętego jasnymi włoskami.

- Gałązka oliwna - odezwał się Curran.

Czy słyszałam, jak podchodził? No, jakżeby.

Przyjęłam piwo. Przystanął przy rancie wanny.

Poza białym ręcznikiem na biodrach był nagi.

- Mam zamiar ściągnąć ręcznik i przyłączyć się do ciebie - powiedział. - To w ramach uprzedzenia.

Bywają momenty, kiedy wzruszenie ramionami wymaga całej siły woli.

- Widziałam cię już nago.

- Nie chciałem, żebyś uciekła z krzykiem, czy coś w tym stylu.

- Pochlebiasz sobie.

Zrzucił ręcznik.

Naprawdę pamiętałam, jak wygląda bez ubrania. Zapomniałam tylko, jak kuszący jest ten widok. Natura stworzyła go z myślą o przetrwaniu. Był silny, ale gibki, zwarty, lecz nie szczupły. Rzucona na jego brzuch ćwierćdolarówka odbiłaby się jak piłka.

Wszedł do wanny. Nie spieszył się.

To było jak wędrówka po gzymsie - byle nie patrzeć w dół. Na pewno nie poniżej pasa... O rany...

Zanurzył się w wodzie, siadając naprzeciwko. Przypomniałam sobie o oddychaniu.

- Jak plecy?

- W porządku, dziękuję.

- Uhm. - Musiało go boleć.

- A twój bok?

- Świetnie.

Lekki uśmiech powiedział mi, że Curran zdaje sobie sprawę, iż oboje kłamiemy.

Pociągnęłam łyk piwa, prawie nie czując smaku. Siedzenie naprzeciwko Władcy Bestii w tej samej wannie przypominało stanie twarzą w twarz z wygłodniałym tygrysem. Czy raczej wygłodniałym lwem o wielkich kłach.

- Zamierzasz wylać Jima? - Podjęłam próbę nawiązania swobodnej konwersacji.

- Nie.

Westchnienie ulgi nie wchodziło w tym wypadku w grę - dosłyszałyby je.

Wyciągnął się wygodnie, wykładając ramiona na brzegi wanny.

- Uznałem, że gdybym był uważniejszy, zdławiłbym ten problem w zarodku. W ogóle nie powinno dojść do takiej sytuacji, jaka ma miejsce teraz.

- To znaczy?

- Jim objął stanowisko szefa ochrony osiem miesięcy przed sprawą Maniaka z Czerwonego Punktu. Strzygoń był jego pierwszym poważnym wyzwaniem. Spieprzył to. Tak jak my wszyscy. To samo w przypadku Brana. Facet trzy razy ukradł mapę, wchodził sobie do Twierdzy jak i kiedy chciał, zaatakował cię, kiedy byłeś pod naszą opieką, i wystrychnął na dudków ochronę, łącznie z Jimem. Jim postrzega to jako osobistą porażkę.

- Bran potrafił się teleportować. Jak upilnować kogoś, kto pojawia się znikąd i znika donikąd?

Curran przesunął się, zanurzając w wodzie.

- Gdybym wiedział, jak Jim to traktuje, naprostowałbym go. Pamiętaj, że chciał cię użyć jako przynęty?

- Pamiętam, że ja chciałam grzmotnąć go w zęby.

- To była pierwsza oznaka, że coś jest nie tak. Pomieszały mu się priorytety, chciał zwyciężyć za wszelką cenę. Wtedy mnie tknęło, pomyślałem, że to dziwne, ale wir wypadków spowodował, że mi to umknęło. A Jim popadł w manię. Wszyscy ludzie zajmujący się bezpieczeństwem są skrzywieni, ale Jim posunął się dalej. Zaczął obsesyjnie myśleć o wyeliminowaniu wszelkich czynników, jakie mogą w przyszłości skutkować zagrożeniem dla Gromady. Samowola Dereka i późniejszy atak na niego doprowadziły Jima do ostateczności. Nie mógł sobie poradzić z odpowiedzialnością za śmierć dzieciaka, a tym bardziej świadomością, że to ja musiałbym go zabić. Stwierdził, że musi wszystko naprawić bez względu na koszty. To poważny problem, a ja go przeoczyłem. On oczywiście nie uznał za stosowne powiadomić mnie o czymkolwiek.

„Drogi Władco Bestii, jako twój szef ochrony czuję się w obowiązku powiadomić cię, iż mam głęboko zakorzeniony problem z właściwą oceną sytuacji”... Jasne, prędzej piekło porosłoby różami.

- Nie mogę pilnować wszystkich jednocześnie - ciągnął Curran. - A Jim jako jedyny nie miał wcześniej świra na moim punkcie. Jednak w końcu chyba i na niego przyszła pora. Tak więc, odpowiadając obszerniej na twoje pytanie, nie ma powodu, abym pozbywał się Jima. Jest świetny w tym, co robi, a i tak, jak na to, z czym musi się borykać, radzi sobie w miarę sensownie. Jeśli go zwolnię, będę musiał

przekazać to stanowisko komuś z mniejszym doświadczeniem, kto na pewno spieprzy jeszcze więcej. Lecz dostanie nauczkę. Trzy miesiące tachania głazów pomoże mu wrócić do równowagi psychicznej.

Siedzieliśmy w milczeniu. Popijałam piwo, czując przyjemne oszołomienie. Zabawne, wystarczyło pół roku abstynencji i okazuje się, że już mam słabą głowę. Curran odchylił głowę na oparcie wanny i przymknął powieki. Patrzyłam na jego twarz, jaśniejącą na tle ciemnej ściany. Drań był naprawdę przystojny. W tym momencie wyglądał bardzo ludzko. Nikomu nie musiał imponować. Nikomu rozkazywać. Tylko on, gorąca kąpiel, zmęczenie, ból, kilka cennych, skradzionych minut, z dala od innych i ten nieodparty erotyzm. Hm, to ostatnie pomyślało się jakoś samo. Pewnie przez piwo. Tak, zdecydowanie przez piwo.

Mimo ciągłego powarkiwania, grożenia, arogancji, lubiłam jego obecność. Czułam się przy nim bezpieczna. Dziwne doznanie. Nigdy nie czułam się bezpieczna.

Zamknęłam oczy. Wydawało się to w tej chwili jedynym rozsądnym posunięciem. Nie widziałam go, więc łatwiej było mi się nie ślinić.

- A więc nie chciałaś, żeby mi się coś stało? - Głos Currana był nieprawdopodobnie miękki i aksamitny, niski, gardłowy, jak mruczenie wielkiego kota, który czegoś chce. Przyznanie się, że myślałam o jego bezpieczeństwie, byłoby grubym błędem.

- Nie chciałam, żebyś był zmuszony zabić Dereka.

- A gdyby zmienił się w loupą?

- Zakończyłabym to sama.

- A jak zamierzałaś wyłączyć z tego Jima? Stał w tym wypadku na szczycie hierarchii. To jego obowiązek jako wiodącego alfy.

- Naciągnęłam nieco prawdę - przyznałam. - Powiedziałam mu, że po oficjalnym przyjęciu pomocy Zakonu przez przywódcę Gromady przewyższam go rangą.

- I uwierzył ci? - zaśmiał się Curran.

- Uhm. Dla wzmocnienia efektu zrobiłam przy tym bardzo groźną minę. Niestety, nie umiem tak błyskać ślepiami jak ty.

- Tak, jak teraz? - Poczułam jego oddech na uchu.

Gwałtownie otworzyłam oczy. Nachylał się nade mną, klęcząc w wannie, wsparty rękoma o krawędzie po moich bokach. Jego oczy przypominały płynne złoto, jednak nie patrzył na mnie twardym, morderczym wzrokiem alfy. Ta złotość była ciepła, uwodzicielska z delikatnym odcieniem tęsknoty.

- Uważaj, bo rozbiję ci na głowie butelkę - szepnęłam.

- Nie zrobisz tego. - Uśmiechnął się. - Nie chciałybyś, żeby mi się coś stało.

Pochyliliśmy się ku sobie w tej samej chwili, zderzając się, oszalali z żądy, wygłodniali dotyku. W głowie zawył mi alarm, ale wyłączyłam go. Miałam to gdzieś. Pragnęłam Currana.

Odnalazł moje usta. Od miękkości jego języka zakręciło mi się w głowie.

Smakował nieziemsko. Oddałam pocałunek, skubiąc, muskając jego wargi, wtapiając się w niego.

Poczułam się jak w niebie... Usta Currana zostawiały gorący ślad, znacząc moją zuchwę, sunąc po szyi. Moje ciało stopiło się triumfalnie w płynną rozkosz.

- Tylko, jeśli tego pragniesz... - Usłyszałam chrapliwy szept. - Powiedz „nie”, a przestanę.

- Nie - wyszeptałam, chcąc wypróbować efekt. Odsunął się. Oczy płonęły mu czystym pożądaniem, dzikim, ledwo wstrzymywanym.

- Dobrze.

To była najbardziej seksowna rzecz, jaką miałam okazję oglądać. Przysunęłam się do niego, wiodąc palcami po twardych mięśniach torsu.

Ujął moją rękę i pocałował delikatnie wnętrze dłoni. W jego oczach żarzyła się gwałtowna, tłumiona wielkim wysiłkiem żądza. Uwolniłam rękę i pocałowałam Currana w szyję, pod linią szczęki. Ogarnęła mnie błogość. Nie było już dla mnie nadziei.

Jęknął, przymykając oczy.

- Co ty wyprawiasz?

- Targam tygrysa za wąsy - mruknęłam, wracając do pieszczona językiem jego szczeciniastej klatki. Pachniał bosko, czystością i męczyzną. Przesunęłam rękoma po bicepsach. Napiął mięśnie pod delikatnym naciskiem moich palców. Za te wszystkie razy, kiedy mówił do mnie „dziecinko”... Zemsta była słodka.

- To tak czy nie? - zapytał.

Przylgnęłam do niego, lekko chwytając zębami jego dolną wargę.

- Uznam to za tak. - Napięte mięśnie rozluźniły się natychmiast. Chwytał mnie w pasie, posadził prosto i zaczął całować łapczywie, poruszając językiem w gorącym, namiętym rytmie. Zarzuciłam mu ręce na szyję. On sam prawą rękę wplótł w moje włosy, lewą złapał za pośladek, przyciągając do siebie. Poczułam na udzie jego twarde, nabrzmiały członek.

W końcu...

- Wychodźcie! - warknął Derek zza drzwi.

Spadaj.

Gwardzista powiedział coś niegłośnie. Curran objął moją pierś i zaczął pieścić sutek, wzbudzając przebiegające po całej skórze fale rozkoszy. Topniałam pod tym dotykiem...

- Tak - wyklócał się Derek. - Jestem członkiem tej cholernej drużyny. Sam ich zapytaj...

- Curran - wyszeptałam. - Curran!

Nie przestawał. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Grzmotnęłam go w kark. Zniknął pod wodą. Ratunku. Utopiłam Władcę Bestii.

Derek podszedł do wanny. Curran wynurzył się po drugiej stronie, z grymasem wściekłości na twarzy.

- Czego?!

- Ta kobieta od Rozpruwaczy przyniosła kolejne pudełko. Tym razem z ręką. Nie Liwii, nie pachnie nią, ale to kobieca dłoń. Odcięta jakieś dwa dni temu, może więcej. Pewnie trzymali ją w lodzie.

Przymknęłam oczy, dając sobie czas na powrót do rzeczywistości. Gdzieś tam jakiejś kobiecie odcięto rękę. Potem prawdopodobnie została zjedzona.

Wstrząsnęło mną obrzydzenie, które szybko przerodziło się we wściekłość.

- Daj ją na przechowanie gwardzistom - postanowił Curran. - Do jutra i tak nic z tym nie zrobimy.

Derek wyszedł.

Curran patrzył na mnie ponad wodą, która rozdzielała nas jak pole bitewne. Jego oczy nadal przypominały podświetlony od wewnątrz miód. Musiałam wziąć się w garść. Dla niego była to tylko próba sił. Powiedział, że będzie mnie miał - ja, że do tego nie dojdzie, ucieknie się więc do wszelkich sztuczek, żeby postawić na swoim.

- Przegapiłeś szansę. Nie zbliżę się już do ciebie, więc równie dobrze możesz zgasić te swoje reflektorki.

Przysunął się do mnie.

- Nie. - Utwardziłam to „nie” stalową nutą.

Znieruchomiał.

- Chciałaś tego.

Kłamstwo sprawiłoby mu tylko większą satysfakcję. Musiałam utrzymać Currana tam, gdzie był, na drugim końcu wanny, inaczej znów się na niego rzucę.

- Tak, chciałam.

- I co się stało, że już nie chcesz?

- Przypomniałam sobie, kim jestem. I kim ty jesteś.

- Tak? A kim jestem? Oświeć mnie.

- Jesteś facetem, który uwielbia gierki i nienawidzi przegrywać.

A ja kretynką, która chwilami o tym zapomina. Odwróć się, proszę.

Wychodzę.

Rozparł się wygodniej, nie wykazując ochoty do spełnienia mojej prośby.

- Dobra. - Lepiej mieć to już za sobą. Kucnęłam i podniosłam się szybko. Woda sięgała mi do pól uda.

Z ust Currana wyrwał się osobliwy dźwięk. Brzmiał nieomal jak jęk.

Wyszłam z wanny, chwyciłam ręcznik, owinęłam się nim i wyszłam. Koniec z kąpielami!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Obudziłam się wcześnie. Dużo za wcześnie. Zegarek na ścianie wskazywał wpół do czwartej. Poleżałam jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami, po czym wstałam, zabrałam Zabójcę i wymknęłam się z sypialni. Przy wyjściu na zydelku siedział Derek. Podniósł na mnie żółte ślepia.

- Gdzie gwardziści? - zapytałam.

- Pewnie mają zmianę warty. - Wzruszył ramionami. - Siedzieli pod wejściem sześć godzin, a potem nagle wstali i poszli.

- Długo ich nie ma? - Jakies trzy minuty.

Niewykluczone, że zmieniali właśnie obsadę. Wątpiłam, by Rozpruwacze czegoś próbowali.

Klątwa obciążająca Wilczy Diament gwarantowała, że spróbują klejnot wygrać. Skoro planowali zaatakować Gromadę, będą chcieli go zdobyć. Rakszasy nie lubiły grać uczciwie. Od samego początku wolały mieć przewagę, a bez topazu zmiennokształtni zmieliby ich z powierzchni ziemi.

Nie niepokoiła mnie perspektywa nadchodzącej walki. Rzeczywiście, szybkość Marta oszałamiała, do tego dysponowali potężną magią, ale nasza drużyna też miała plusy. Była świetnie

dobrana, a zmiennokształtni walczyli jak naoliwione maszyny. Za to Rozpruwacze wchodzili do Kotła jako zespół, ale prowadzili z przeciwnikami pojedynki.

- Zaraz wracam - powiedziałam.

- Gdzie się wybierasz?

- Chcę zobaczyć Kocioł - powiedziałam wprost.

Kiwnął głową.

Wyślizgnęłam się na korytarz i poszłam w stronę Kotła. Chciałam ponownie przesiać piasek pomiędzy palcami, ułagodzić wspomnienia. Wtedy mogłabym znowu usnąć. Najkrótsza droga do Kotła wiodła przez salę treningową. Wystarczyło ją przeciąć, a wychodziło się tuż przy Złotych Wrotach.

Dotarłam do wejścia i przebiegłam na bosaka przez pomieszczenie. Stąd już tylko kilka kroków dzieliło mnie do wyjścia przez Wrota. Dla uczczenia walki finałowej ze świetlika w suficie hali zdjęto osłony. Sącząca się z góry poświata księżycyca wysrebrzała drobinki kwarcu.

Przy ogrodzeniu, skąpani w koronkowych plamach blasku, stali Hugh d'Ambray w obstawie Nicka i młodego mężczyzny, oraz Mart i Cesare, którym ten pierwszy wręczał zapakowany, podłużny przedmiot.

Krew ścięła mi się w żyłach. Stałam jak wryta. Przedmiot był długi, wyglądał jak owinięty w płótno miecz. A więc wyjaśniła się przyczyna nieobecności strażników. Zostali przekupieni, żeby mogło dojść do tego spotkania.

Hugh nie był głupcem. Obserwował nasze walki i zdał sobie sprawę, że mamy szansę na wygraną. Postanowił dopomóc losowi. To nie mógł być zwyczajny miecz.

Cesare zmarszczył nos. Mart błysnął w moją stronę kłami, po czym obaj rozplłynęli się w mroku. Hugh d'Ambray spojrział na mnie. Nie uciekałam wzrokiem.

- Nie jestem zdziwiona, że Roland sprzymierzył się z rakszasami. To prastara rasa, zależna od magii. Czują respekt wobec jego mocy - powiedziałam. - Nie dziwi mnie też, że chce wykorzystać je do osłabienia Gromady. Są sprytne i bezwzględne, ale niezbyt bystre. Jeśli im się powiedzie, będą znacznie łatwiejsze do pokonania niż zmiennokształtni. Jeśli przegrają i tak zdołają osłabić Gromadę. Jednak jego główny dowódca przekupujący strażników i czający się jak złodziej, by dać rakszasom broń tuż przed walką finałową, to dla mnie zaskoczenie. Toż to pachnie oszustwem. Posunięcie w bardzo złym smaku.

Hugh kiwnął głową i podszedł bliżej.

- Przejdźmy się.

Musiałam dowiedzieć się, co im dał. Zależało od tego nasze życie. Zaczęliśmy iść wokół ogrodzenia. Nick i drugi mężczyzna trzymali się parę kroków za nami.

- Lubię obserwować, jak się poruszasz. Spotkaliście się już wcześniej?

- Tak z ciekawości, co im dałeś?

- Miecz. Trafiony.

- Pewnie bardzo cenny? Czy to rozsądne? Traktują broń jak zabawki. Stopili całe wasze elektrum tylko po to, by wylać je na twarz jednemu zmiennokształtnemu.

Kąciki ust d'Ambraya drgnęły lekko. Hugh opanował co prawda odruchowy grymas, zanim na dobre się rozwinął, ale zdążyłam go dostrzec. Punkt dla mnie.

- A więc musi to być wyjątkowy miecz. Coś, czego nie powinno się im powierzać, coś, co przechyli szalę walki na ich stronę. Broń z prywatnego arsenału Rolanda?

- Jestem pod wrażeniem tego, jak uporałaś się z golemem - powiedział. - Szybko, precyzyjnie, bez zbędnego wysiłku. Świetna technika.

- Czy to był Bicz?

Miecz, który widziałam, miał szeroką głownię, więc nie mógł być to Bicz. Na szczęście, ponieważ Bicz uwalniał magię zdolną zmieść całą armię. Nie, to na pewno coś innego. Ostrze, którym można zadawać precyzyjne ciosy w walce bezpośredniej.

- Mogłabyś mi się przydać, gdybyś nie stanęła po złej stronie - stwierdził.

- Jestem wdzięczna, że nie usiłujesz obrazić mnie taką propozycją.

- Nie śmiałbym. Żałuję, że jutro umrzesz.

- A jakie ma to dla ciebie znaczenie?

- Szkoda talentu. - Wzruszył ramionami.

Stałam tu, rozmawiając z Hugh d'Ambrayem, następcą mojego ojca. Voron wyszkolił go podobnie jak mnie, choć nie sprawował nad nim pieczy od urodzenia. Hugh zaczął swój trening w dziesiątym roku życia. Był mistrzem miecza. Ojciec mówił mi, że nigdy nie widział bardziej utalentowanego szermierza. Tak więc uznanie, z jakim odnosił się ten człowiek do moich umiejętności, mogłam z czystym sumieniem potraktować jako komplement.

- Dlaczego mu służysz? - zapytałam.

Na moment rysy jego twarzy zmąciła konsternacja.

Naprawdę chciałam to wiedzieć. To Voron wybrał d'Ambraya i uformował w tego, kim był teraz. Magia Rolanda zapewniała mu tylko młodość. Miał ciało i twarz człowieka niewiele ode mnie starszego, a musiał zbliżać się już do pięćdziesiątki. Nie starzał się. Najbliższych podwładnych Rolanda czas się nie miał. W ten sposób Roland wynagradzał ich służbę. Jednak na pewno nie był to jedyny powód, dla którego Hugh mu pomagał.

- Jest ode mnie silniejszy. Nie spotkałem nikogo, poza nim, kto byłby ode mnie lepszy. - D'Ambray spojrzał uważnie. - Jak często zdarza ci się przyjmować rozkazy od osób słabszych, głupszych, bardziej od ciebie nieporadnych?

Ugodził w moją dumę.

- To mój wybór.

- Dlaczego nie wybrać potężniejszego pana?

- Bo wizja jego świata jest spaczona, nie wierzę w nią.

- To wizja lepszego świata.

- Świat wypełniony wynaturzeniami i potwornością będzie zepsuty do cna.

- Możliwe.

Popatrzyłam mu w oczy.

- Dopóki żyję, nad Atlantą nie wyrośnie wieża.

- W takim razie dobrze dla nas, że jutro umrzesz. - Uśmiechnął się.

Uważał, że jestem zabawna, i o to chodziło.

- Masz ochotę na mały sparring ze mną? - zapytał. - Mamy sporo czasu. Hojnie wynagrodziłem strażników.

Kusząca propozycja. Hugh był urodzonym fechtmistrem, talent taki, jak jego, zdarzał się raz na milion. Zmierzenie się z nim na miecze byłoby prawie jak jedna z walk ćwiczebnych z Voronem. Jednak jutro czekało nas ważne starcie w Kotle, a zranienie mnie byłoby d'Ambrayowi bardzo na rękę.

- Nie mam teraz czasu, żeby dawać ci lekcje - wypaliłam.

- Ciekawe, jak twój refleks - rzucił do moich pleców.

Blondyn zaatakował mnie od tyłu. Schyliłam się, unikając ciosu, i błyskawicznie wyprowadziłam niskie pchnięcie, zatapiając Zabójcę w jego trzewiach. Ostrze zagłębiło się w ciele z cichym młaśnięciem, przecinając aortę. Musiałam włożyć w ten sztych całe moje doświadczenie. Hugh w końcu dopiął swego.

Wyszarpnęłam miecz. Ostrze Zabójcy wysunęło się, ociekając krwią. Blondyn upadł, brocząc obficie.

Zwykły człowiek byłby już martwy, jednak jasnowłosy szermierz, także pod wpływem magii Rolanda, potrzebował chwili, żeby wyzionąć ducha.

Popatrzyłam na Hugh. Jego twarz nie zdradzała emocji, ale źrenice rozszerzyły się lekko. Wiedziałam dokładnie, co kotłuje mu się w głowie. Takie same myśli przechodziły przez moją, kiedy miałam okazję zobaczyć wyjątkowy pokaz techniki szermierczej - czy potrafiłabym zrobić to samo?

Nasze oczy się spotkały. Zaiskrzyło; w tym samym momencie zdaliśmy sobie sprawę z nieuniknionego - pewnego dnia skrzyżujemy miecze. Nie dzisiaj jednak. Jutro czekała mnie walka z Rozpruwaczami. Musiałam to zakończyć.

- Zmarnowałeś swój atut. Nieudolne zagranie, Hugh.

Cofnął się. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że użyłam ulubionej połajanki Vorona. Słowa wyrwały mi się same. Cholera.

Odeszłam. Nie poszli za mną.

* * *

Rankiem zmiennokształtni medytowali. Później poszliśmy na salę treningową. Jim zrobił nam krótki wykład.

- Rozpruwacze walczą sposobem samurajów, jeden na jednego. Nie stosują żadnej taktyki. Dążą zawsze do rozbicia walki na pojedynki. Lubią pokazówkę, ale są też efektywni.

Każdemu z nas wyznaczył zadanie. Moje było proste: Mart. Nie po mojej myśli. Chciałam Cesare'a. Ale strategia Jima wydawała się

sensowna i zamierzałam się jej trzymać. Dostanę szansę, żeby dorwać Cesare'a. Za bardzo tego pragnęłam, żeby ją zaprzepaścić.

Jednak żadna taktyka, żadna strategia nie pomoże nam, dopóki nie dowiem się, jakie ostrze dał Rozpruwaczom Hugh. Miał wiele sposobności, aby przekazać im je wcześniej, ale wiedział, że nie oprą się chęci użycia miecza, a nie chciał, by ktoś poznał jego moc przed dzisiejszą walką.

Roland stworzył kilka sztuk oręża. Każde z nich było zabójcze. Na samą myśl o tej broni burzyła mi się krew w żyłach. Roland musiał rozkazać rakszasom zwyciężyć za wszelką cenę. Ciekawe, czy Hugh nie drażniło takie zaciętrzewienie.

Kilka minut przed południem wmaszerowaliśmy na Kocioł. Ze świetlików lało się na nas słońce. Zmiennokształtni przyjęli formy bojowe. Andrea zaopatrzyła się w ilość bełtów, która wystarczyłaby do wybicia niewielkiego miasteczka. Niezadowolona z możliwości własnego udźwigu, dodatkową amunicją obarczyła Dali.

Wstąpiliśmy na piasek.

Naprzeciw nas stał dwusereg Rozpruwaczy. Przesunęłam po nich wzrokiem, zatrzymując się na stojącym pośrodku Marcie. Jego miecz skrywała pochwa. Cholera. Co to jest? Co on ci dał?

Otaksowałam resztę. Stojący przy Marcie Cesare, rakszasa w ludzkiej powłoce, uzbrojony był w dwie khandy, ciężkie, ponad półmetrowe, dwusieczne ostrza. Miałam kiedyś z nimi do czynienia. Nie podeszły mi - zbyt toporne i wolne.

Po drugiej stronie Marta stał Siłacz rakszas. Trzymetrowy, potężny olbrzym, miał łeb małego słonia i wachlarzowate uszy, ale jego skóra zamiast szara, była żółtawa, jak u chorego na wątrobę. Jego kolczuga także miała żółtawą barwę podejrzanie przywodzącą na myśl złoto. Chyba nawet słonie lubią iść do bitwy zgrane kolorystycznie.

Na ramionach słoniowatej istoty siedział niewielki stwór. Bezwłosy, ciemnoczerwony jak surowa wątroba, o kościstych kończynach uzbrojonych w czarne szpony. Przypominał lemura ludzkich rozmiarów. Z ramion wyrastały mu wielkie skrzydła. W łapach trzymał talwary, szable indyjskie. W drugim rzędzie stała kobieta, ta sama, która doręczała nam szkatułki, czteroręki humanoid odziany w zielono - brązową gadzią skórę, oraz Liwia. Jaszczurkowaty był nienaturalnie smukły, zielony i uzbrojony w dwa łuki. Liwia trzymała w dłoni miecz i wyglądała na śmiertelnie wystraszoną. Ogolili jej głowę. Poczułam gniew. Oczywiście, że postąpiła głupio, ale nie umiała walczyć. Nie mieli prawa jej tu sprowadzać. Nie zasłużyła sobie na to.

Liwia spojrzała na mnie oczyma pełnymi łez.

Ścigali nas jak zwierzynę. Skrzywdzili Dereka. Połamali mu kości, oblali twarz płynnym elektrum, torturowali i śmiali się przy tym. Zabili kilku zmiennokształtnych, zmusili młodzieńką dziewczynę do wejścia na Kocioł. Egzystowali wbrew prawom natury. Zasłużyli na śmierć. I z rozkoszą im ją zadam. Z ogromną rozkoszą.

Magia była w pełnym rozkwicie. Zelektryzowany tłum niecierpliwie wyczekiwał walki. Usta Marta rozciągnęły się w uśmiešku. Nadal nie dobył miecza.

Curran przestąpił z łapy na łapę.

Stojąca na balkonie Sophia, animatorka, uniosła ogromny klejnot.

Przejrzysty, cytrynowożółty, w kształcie łyzy migotał w jej dłoniach, siejąc ogniste błyski.

Sophia podniosła go nad głowę z wyraźnym wysiłkiem.

- Niech rozpocznie się walka! - krzyknęła.

Magini rakszas zaczęła wykonywać skomplikowane ruchy rękami.

Dobyłam obu mieczy. Zabójcę trzymałam w prawej dłoni.

Mart sięgnął po pochwę i strząsnął ją na piasek.

Szerokie ostrze załśniło karmazynowo, niczym wyrżnięte z rubinu.

Czas zwolnił. W tym nienaturalnym bezruchu uderzenie serca odczułam jak grom. Szkarłatna Gwiazda. Jedna z najbardziej diabelskich broni Rolanda, którą wykuł z własnej krwi. Zawarł w niej potęgę trzynastu fal magii. Niczym zaczarowane wirujące ostrza, odnajdywały cel, niszcząc wszystko na swojej drodze, i rozcinały ofiarę na pół. Nie dało się przed nimi uchylić, nie dało się ich zablokować. Samego ostrza nie mogła zniszczyć żadna broń. Nawet Curran nie potrafiłby go złamać. Wszystkich nas czekała

natychmiastowa śmierć. Curran może doczekałby rozszarpania przez rakszasy.

Nie mogłam na to pozwolić.

Odwróciłam się powoli, jakbym poruszała się pod wodą. Władca Bestii patrzył na mnie szarzejącymi w potwornej twarzy oczyma.

Co mam robić? Jak go ochronić?

Wszystko będzie dobrze, odczytałam z ruchu jego warg, bo panika ogłuszyła mnie, tłumiąc wszelkie dźwięki.

Spojrzałam z powrotem na Rozpruwaczy. Mart ścisnął miecz w obu rękach. Ostrze połyskiwało czerwienią, jak unurzane w świeżej krwi. Musiałam zniszczyć broń, zanim zada cios, inaczej czeka nas niechybna śmierć.

Krew. Miecz został wykuty z krwi Rolanda, tej samej, która krążyła w moich żyłach. Może jednak istniała szansa na jego zniszczenie. Gdybym tylko mogła przejąć nad nim kontrolę...

Zadźwięczał gong. Świat znów wskoczył na właściwie obroty.

Ruszyłam biegiem.

Mart zaczął unosić miecz do uderzenia znad głowy.

W życiu nie biegłam tak szybko. Piasek pod moimi stopami rozmył się w jasną plamę. Sztych miecza majaczył przede mną w powietrzu. Chwyciłam czerwone ostrze, wbijając je sobie w brzuch.

Zabolało. Moja krew zalała czerwone tworzywo miecza. Mart patrzył na mnie osłupiały. Złapałam go za nadgarstki, nabijając się mocniej. Czubek ostrza przekłuł skórę na plecach.

Głębiej. Aż do jelca.

Miecz tkwił we mnie jak rozżarzony pręt. Krew zalewała ostrze, łącząc się z krwią Rolanda. Obok mnie zmiennokształtni runęli na rakszasy. Wszeptałam słowo mocy.

- *Hesaad*. Do mnie.

Magia wpłynęła we mnie falą ze skóry, opuszków palców, zamykając się wokół głowni. Ostrze zaiskrzyło, rozsiewając po ciele szpikulce bólu. Czułam, jakby przez brzuch przeciągano mi drut kolczasty. Uczepiłam się kurczowo rzeczywistości, broniąc się przed utratą przytomności. Arena zawirowała, wśród rozmazanych twarzy ujrzałam stojącego na trybunach Hugh d'Ambraya wpatrzonego we mnie z miną, jakby zobaczył demona.

Krew mojego biologicznego ojca zareagowała z moją, rozpoznając magię. Miecz był mój. Musiał mnie słuchać. Teraz.

- *Ud* - szepnęłam. Giń. Słowo mocy, które nigdy nie zadziało. Aby wymóc na kimś samoistną śmierć, trzeba mieć nad nim całkowitą kontrolę.

Magia wydarła się ze mnie. Zamknięty w ciele miecz niczym żywa istota wibrował, szarpał się, chcąc uwolnić. Ból eksplodował oślepiającym błyskiem. Krzyknęłam.

Miecz rozpękał się, opadając na piasek deszczem czerwonych odłamków. Część znajdująca się we mnie obróciła się w pył, mieszając z moją krwią, rozpraszając po ciele. Krew Rolanda popłynęła gorącą lawą, parząc wnętrzności, jakby zanurzono je we wrzącym oleju. Tyle mocy...

Żar zwałił mnie z nóg. Upadłam na piasek. Ogień spalał mnie żywcem, wyciskając z oczu łzy. Próbowałam się ruszyć, ale mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Każdą komórkę mego ciała pożerało piekło.

Wszystko to trwało może pięć, sześć sekund; tyle czasu zajęło mi nabicie się na miecz i wypowiedzenie dwóch słów mocy. Hugh miał rację, umrę dzisiaj. Ale niezniszczalny miecz został zniweczony, a Curran przeżyje. On i cała reszta. Nieźle jak na pięć sekund.

Areną wstrząsnął straszliwy ryk. Odwróciłam głowę. Curran, widząc, jak rzucam się na miecz, ruszył w moją stronę. Słoniowaty, który stanął mu na drodze, został rozpruty jednym machnięciem. Curran skoczył ponad trupem. Nie ma pośpiechu, Wasza Wysokość. Dla mnie i tak już za późno.

Mart odrzucił bezużyteczną rękojeść i złapał mnie z oczyma płonącymi furją. Curran wyciągnął ku nam łapy.

Mart wystrzelił do góry jak pocisk. Curran spóźnił się o ułamek sekundy.

Unosząc się, czułam na twarzy pęd powietrza. To było jak życie po życiu, tyle że jeszcze nie umarłam. Po śmierci nie czuje się bólu, a ten nadal trawił moje wnętrze.

Szybowaliśmy ponad piaskiem, płynąc ku niebu w złotym blasku słońca. Tylko trójce Rozpruwaczy udało się wyrwać z Kotła. Przeżyli Mart, Cesare i Liwia, trzymana przez tego ostatniego.

Z twarzy Marta zaczęły odpadać płatki skóry. Nabral powietrza i naraz cała powłoka rozpadła się na kawałeczki, które rozproszyły się

wokół nas niczym tysiące motyli, rozplywając się w blasku i odsłaniając nową istotę. Wyłonił się wysoki, barczysty o wąskiej talii i biodrach. Pod bursztynową skórą falowały stalowe mięśnie. Czarna kaskada włosów spływała aż do pasa. Kobaltowe oczy wyglądały jak dwa szafiry osadzone w perfekcyjnej twarzy, muśniętej nutą arogancji i drapieżności.

Mart nie potrzebował już ludzkiej skóry.

Przygarnął mnie mocniej do siebie i zatrzymał się, zrównując z lożą Sophii. Po chwili dołączyła do nas reszta ocalałych rakszas.

- Przekaż mi kamień - rozkazał Cesare, wyciągając dłoń. Mając w perspektywie klątwę lub zmiennokształtnych, Mart wolał zaryzykować gniew Wilczego Diamentu niż zmierzyć się z tymi drugimi.

Sophia nerwowo przełknęła ślinę.

- Nie - wychrypiała.

Arena zatrzęsała się od krzyków oburzenia.

- Daj kamień, kobieto. - Wężę z wytatuowanej skóry Cesare'a uniosły łby, sycząc groźnie. Palce Sophii rozwarły się, a klejnot wylądował na dłoni Rozpruwacza.

- Jest twój - powiedziała.

Ty kretyńko!

Rakszasy wzleciały ku świetlikom. Ręka Marta wystrzeliła i z góry sypnął się grad odłamków grubego szkła. Unieśliśmy się wyżej i chwilę później szybowaliśmy nad miastem.

* * *

Leżałam w kałuży własnej krwi, na podłodze złotej klatki. Lepka ciecz skleiła mi włosy, przyłgnęła do policzka, przemoczyła ubranie. Wdychałam jej zapach i magię. Opuściła moje ciało, ale połączenie pozostało. Zawsze wyczuwałam moc swojej krwi, ale nigdy jej nie wahałam.

W brzuchu tliły mi się drobinki pyłu, pozostałości rolandowego miecza. Organizm wchłaniał je powoli, jedną po drugiej. Krew Rolanda, zmieszana z moją, uwalniała moc, wiążąc mnie z życiem i bólem. Leżałam sztywno, chcąc zachować tę odrobinę siły i magii, jakie mi pozostały. Nuciałam, ledwie poruszając ustami, usiłując zmusić ciało do regeneracji. Nie robiłam postępów, ale nie przestawałam. Nie zamierzałam poddać się i umrzeć.

Ból zelżał przynajmniej na tyle, że łzy przestały płynąć mi po policzkach.

Wysoko nad klatką znajdował się częściowo skryty w mroku, złoty sufit. Monumentalne, rzeźbione ściany ogromnej sali spływały blaskiem do wykafelkowanej podłogi, zarzuconej aksamitnymi i jedwabnymi poduchami. Nataraja, głowa Rodu w Atlancie, starał się urządzić swoją komnatę na podobieństwo tej. Jednak wystawna sala na samej górze Kasyna bledła wobec tego przepychu. Wszystkie bogactwa Natarai nie wystarczyłyby na zakup choć jednego panelu z tych złotych ścian.

Zastanawiałam się, czy pomysły dekoratorskie czerpał właśnie z wizyty w latającym pałacu.

Powiązania Rodu z rakszasami musiały sięgać wiele wieków wstecz.

Za mną, na wąskim metalowym piedestale, lśnił Wilczy Diament. Dwa trofea rakszas w jednym miejscu - klejnot i ja. I gdzie ta twoja klątwa, głupi kamolcu?

Nieustanny hurgot zakłócał mi myśli. Śruby napędowe wimany. Podczas lotu straciłam przytomność. Ocknęłam się, kiedy lądowaliśmy na otoczonym bujną dżunglą tarasie latającego pałacu. Potem Mart wrzucił mnie do klatki. Teraz leżałam, ni to martwa, ni to żywa, w zawieszanej ponad podłogą klatce, jak jakiś kanarek.

Mart siedział na poduszkach. Czarny kostium włamywacza zamienił na luźną, odsłaniającą ramiona togę w kolorze turkusa. Trzy kobiety kręciły się wokół niego niczym kolibry. Jedna obmywała mu stopy. Druga rozczesywała włosy. Trzecia podawała napitek. Reszta rakszas siedziała pod ścianami, zachowując pełen szacunku dystans - gromada pół potworów, pół ludzi w krzykliwych szatach. Jeszcze inni wchodzili i wychodzili przez łukowate przejścia w ścianach.

Mart podniósł na mnie lodowobłękitne oczy, odepchnął kobiety i podszedł do klatki. Przestałam nucić, leżąc na podłodze jak szmaciana lalka. Została mi ledwie odrobina sił, która w najlepszym razie mogła wystarczyć na jeden jedyny atak. Gdyby tylko spróbował otworzyć klatkę, skręciłabym mu kark. Pstryknął palcami, przywołując Liwię. Przy bursztynowym Marcie dziewczyna wydawała się jeszcze bledsza. Słowa, które wydobyły się z ust Marta, brzmiały jak ciąg niezrozumiałych warkotliwych dźwięków.

- Mówi, że jeśli przeżyjesz, będziesz mu służyła. Jeśli umrzesz, obgryzą twoje mięso do kości.

To oznaczałoby przejęcie mojej magii. Nie miałam pojęcia, jak mogłabym temu zapobiec. To moment, kiedy marzy się o słowie mocy „samozapłon”...

Mart znów przemówił, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Chce wiedzieć, czy zrozumiałaś, co powiedział.

Teraz musiałam przeżyć za wszelką cenę. Nie pozostawił mi wyboru.

Arogancki dupek. Na powierzchni kałuży krwi pojawił się mały pęcherzyk, który chyba tylko ja dostrzegłam.

Z wielkim wysiłkiem zdołałam wydobyć z gardła chrapliwy szept.

- Najpierw zabiję Cesare'a. Potem jego.

Liwia zawahała się.

- Powiedz mu.

Z ust Marta wyrwał się jeden ostry dźwięk. Dziewczyna drgnęła jak chłaśnięta biczem i pospiesznie przetłumaczyła. Mart uśmiechnął się, ukazując idealne zęby, po czym wrócił na miejsce.

Leżałam bez ruchu, wdychając opary własnej krwi. Świat rozmył się przed oczyma, wyostrzył kilkakrotnie i w końcu zamglił zupełnie. Jedyne, co jeszcze do mnie docierało, to ból w brzuchu, kałuża krwi i własny, jednostajny śpiew.

Naraz po drugiej stronie pomieszczenia pojawił się niewyraźny kształt, który rósł w miarę zbliżania się do klatki. Cesare. Nadal w

ludzkiej powłoce. Węże unosiły się z jego skóry, sycząc i splatając się ze sobą. Rakszasa niósł w rękach złoty puchar.

Przystanął przy klatce, mówiąc coś do Marta.

Zamierzał napić się mojej krwi. To uczyniłoby go silniejszym. Moja krew miałaby napęlić mocą tego, który skrzywdził Dereka? O, niedoczekanie twoje!

Cesare wetknął rękę pomiędzy pręty i nabrał krwi do pucharu. Sukinsyn. Poddałam się fali przemożnego gniewu. Palce zaczęły mi drżeć.

Pomiędzy mną a naczyniem wytworzyła się cieniutka nitka magii. Czulałam ją wyraźnie. Krew nadal była częścią mnie.

Cesare podniósł kielich do ust.

Nie! Jest moja!

Bąbel gniewu pękł, rozchodząc się po ciele. Wspomagana furją, nakazałam krwi poruszyć się niczym kończynie. Usłuchała.

Cesare'owi oczy wyszły z orbit. Sięgnął do ust, gdzie czerwona ciecz zestaliła się nagle. Wybełkotał coś, jakby stracił język. Właśnie tak, ty pieprzony sukinsynu. Przełam do krwi jeszcze więcej mocy. Bolało, ale wytrzymałam.

Twarz Cesare'a zaczęły przebijać od wewnątrz czerwone kolce. Wyłoniły się z lewego oka, z ust, nosa oraz gardła. Wrzasnął, brocząc z wypływającego oka.

Zemsta za Dereka. Masz, zaraz.

Upłynniłam krew i zestaliłam ją ponownie. Kolejne kolce przebiły mu skórę. Cesare zawył, wyrywając je z twarzy. Rakszasy się

rozbiegły. Ktoś krzyczał. Żałowałam, że muszę zakończyć zabawę tak szybko. Pragnęłam, by trwała tyle, ile oni dręczyli Dereka. Niestety, musiałam się liczyć z tym, że zaraz mnie powstrzymają. Jeszcze raz zmieniłam krew w ciecz i powtórzyłam proces. Wreszcie wlałam w nią resztę mocy. Gardło Cesare'a przebiło krwawe ostrze. Obróciło się, rysując wokół jego szyi zgrabną, szkarłatną pętlę. Uwolniłam krew, która natychmiast po odpływie magii zamieniła się w czarny pył.

Roland posiadał umiejętność kontrolowania krwi i zestalania jej. Teraz i ja ją posiadałam. Nie miałam pojęcia, czy to dzięki krążącym we mnie pozostałościom miecza, czy też dzięki sile gniewu, ale zdobyłam ją i wykorzystałam każdy okruc, aby sprawić Cesare'owi jak największe cierpienie.

Głowa wielkiego rakszasy stoczyła się z ramion. Z kikuta szyi trysnęła krew. Ciało runęło z hukiem na posadzkę, ukazując stojącego z tyłu Marta.

Powiedział coś do Liwii, śmiejąc się. Oblizła wargi i przełożyła:

- Mówi, że teraz dowiodłaś swojej przydatności.

* * *

Czas płynął niespiesznie, kapiąc powoli minutami. Rakszasy kręciły się po sali. Nuciałam cicho, zachęcając ciało do samoleczenia. Z popękanych, zakrwawionych ust bez końca wydobywały się szeptliwe słowa, lecz silny strumień magii skurczył się we mnie do leniwej

strużki. Nie opuściła mnie całkiem, była jednak tak słaba, że organizm nie reagował. Mimo to próbowałam nadal.

Zimne palce dotknęły mojej dłoni. Skupiłam wzrok. Nachylała się nade mną Liwia. Płakała.

- Przepraszam - szepnęła. - Przepraszam, że was w to wciągnęłam.

- Nie trzeba. To nie twoja wina.

Piękną twarz wykrzywił grymas. Wsunęła mi coś do ręki.

Ktoś warknął i Liwia odskoczyła od klatki. Zerknęłam na przedmiot. Nóż. Chciała mi pomóc. Nie odejdę z tego świata sama.

* * *

Zaczynało mi ciemnieć w oczach. Mrok skradał się powoli, ale nieustannie, wypełzając z kątów. Ból słabł, gaszony odrętwieniem. Nadal był we mnie, nadal go czułam, lecz stracił ostrość. Umierałam.

Czekałam, aż życie przemknie mi przed oczyma, ale nic takiego się nie działo. Wpatrywałam się w przepastną komnatę lśniąca metalowymi powierzchniami i w migotliwą, ognistą głębię Wilczego Diamentu. Moje usta poruszały się, nieustannie nucąc pieśń regeneracyjną. Według wszelkich prawideł powinnam już nie żyć. Tylko upór i krew Rolanda podtrzymywały mnie przy życiu tak długo. W końcu jednak moja wola przetrwania zgaśnie, a ja razem z nią.

Zawsze myślałam, że zginę w bitwie, ostatecznie w wyniku przypadkowego ciosu w ciemnej uliczce, ale na pewno nie tak. Nie w złotej klatce jako posiłek dla bandy monstrów.

Jednak to nic, skoro Curran przeżyje i Derek, i Andrea, i Jim... Gdyby dano mi wybór, ponownie postąpiłabym tak samo. Chciałam tylko... Chciałam tylko mieć tę jedną szansę.

Ciemność rozpełzła się bardziej. Może nadszedł czas, żeby się poddać. Byłam już tak znużona cierpieniem.

Nagle wśród rakszas zapanowało poruszenie. Zaczęły biegać w tę i w tę. Mart dźwignął się z poduszek, wydając ostre, krótkie polecenia. Grupa rakszas pobiegła do jednego z wyjść, chwytając po drodze różnoraki dziwaczny oręż. Serce zabiło mi mocniej.

Nie, to niemożliwe.

Kolejna grupa rakszas runęła do wyjścia i wtedy to usłyszałam. Niski ryk, jak odległy grzmot, napęczniały furiją.

Curran.

Musiałam mieć halucynacje. Nie mógł się tu dostać. Słyszałam buczenie śrub napędowych. Nadal lecieliśmy w powietrzu.

Potężny ryk lwa znowu wstrząsnął wیمانą. Tym razem źródło znajdowało się gdzieś bliżej.

Do komnaty, przy wtórce szczęku broni, wlała się fala rakszas. Za nimi do środka wpadło pokiereszowane ciało. Liwia przybiegła do mnie, kryjąc się za klatką.

Rzeka rakszas wezbrała, szturmując jedno z wejść. Runęły na drzwi, rzucając się w wir walki, i cofnęły, brocząc obficie. Do komnaty wpadł Curran.

W bojowej formie, ogromny, o szarym, zakrwawionym futrze, zaryczał ponownie. Szeregi rakszas skurczyły się pod naporem lwiego

gniewu. Curran przedarł się przez nie, roztrącając z taką łatwością, jakby były ołowianymi żołnierzami. Komnatę wypełniły wycia i wrzaski, fruwały oderwane kończyny, chrzęściły łamane kości, tryskały fontanny krwi.

Przyszedł po mnie. Nie mogłam w to uwierzyć.

Przyszedł po mnie. Wdarł się do latającego pałacu pełnego uzbrojonych potworów, znalazł mnie pośrodku magicznej dżungli. Ty głupi, głupi idioto. Gdzie sens mojego poświęcenia, skoro i tak miałam oglądać jego śmierć?

Za Curranem do sali wtoczyła się olbrzymia bestia. Ciemna, kudłata, skoczyła z rykiem na tłum, rozwierając wielki pysk. Potężne pazury mignęły w powietrzu, miażdżąc twarde czaszki wrogów. Mahon, Niedźwiedź Atlanty.

W uczynioną przez niego wyrwę wpadł piekielny stwór. Jeden mięsień, pokryty jasnobrazową, poznaczoną cętkami sierścią. Długie łapy zakończone czarnymi pazurami, rząd ostrych kłów sterczących z masywnych szczęk. Groteskowa i jednocześnie przerażająca. Bestia zawyla, wybuchając na końcu hienim chichotem. Od tego dźwięku włoski na karku stanęły mi dęba.

Curran przedzierał się ku mnie, siejąc spustoszenie wśród przeciwników. Jego rany krwawiły, ale nie zwalniał ani na moment. Straszliwy ryk ogłuszał niczym huk grzmotu, wstrząsając do głębi. Jednak rakszas było zbyt wiele. Jediną szansą Currana było zastraszenie, ale nawet panika nie trwa wiecznie - prędzej czy później otrząsną się, ocenią swoje szanse i uznają, że trzech nie da rady

setkom, ale na razie, dopóki ogłuszał ich rykiem i oszalał siłą, nie potrafiły trzeźwo myśleć.

Mart wskoczył pomiędzy Currana a klatkę z mieczami w ręku. Reszta potworów cofnęła się, jednak Curran nawet nie zwrócił na to uwagi. Rzucił się na Marta.

Ostrza zawirowały z nieprawdopodobną szybkością. Mart okręcił się, usuwając z drogi Currana i ranił go w plecy. Władca Bestii otrząsnął się obolały i machnął łapą, rozdzierając szaty przeciwnika. Na złotej skórze Marta pojawiła się krew. Zwarli się w walce. Szczękały miecze, pazury wznosiły się i opadały, kłapały kły. Mart zatopił ostrze w boku Currana, który ryknął z bólu, szarpnął się, uwalniając od sztychu i podciął napastnikowi nogi, próbując przewrócić na ziemię. Mart wystrzelił do góry i opadł, atakując oboma mieczami. Nierozsądne posunięcie. Władca Bestii uderzył go pięścią w twarz. Mart przeleciał przez komnatę, runął na posadzkę, przetoczył się i zerwał błyskawicznie na nogi. Curran ruszył w pościg.

Mart tańczył jak derwisz, osłaniając się wirującymi ostrzami. Curran rzucił się na niego i, nie zważając na rany, usiłował pochwycić. Rakszasa podskoczył, szybując ponad tłumem.

Curran ugiął lekko kolana. Mocarne mięśnie napięły się, kurcząc na podobieństwo stalowych sprężyn. Odbił się od ziemi i zahaczył nogi Marta pazurami. Rakszasa miotał się, próbując go strząsnąć, ale Curran nie puszczał. Wyszarpując kawałki ciała, wspinał się po wiszącym w powietrzu przeciwniku. Wreszcie rozwarł lwie szczęki, wgryzając się w jego bok. Runęli na ziemię jak głaz. Krwawiącemu

Martowi udało się w końcu wyslizgnąć. Skupił wzrok na znajdującym się na piedestale Wilczym Diamencie. Skoczył w jego stronę. Śliskie od krwi palce zamknęły się na klejnocie. Cofając się, Mart zderzył się z moją klatką.

Przywarłam do prętów, wbijając mu nóż w nasadę szyi przy lewym ramieniu. Kałuża krwi zadrżała, posłuszna mej woli, tworząc setki kolców, które wbiły się w jego plecy.

Klejnot wysunął się z osłabłej dłoni.

Zacisnęłam ręce na szyi Marta, próbując udusić, ale brakowało mi sił.

Curran złapał kamień, wielką łapą przytrzymał Marta i wbił mu topaz w twarz.

Rakszasa wrzasnął.

Curran nie przestawał, tłukąc klejnotem raz po raz. Tryskała krew. Potężne ciosy obracały w miazgę perfekcyjne piękno demonicznego ciała. Miecz wypadł z dłoni Marta. Curran uderzył po raz ostatni i oderwał go od klatki, odłamując przy tym szkarłatne szpice, które natychmiast rozsypały się w pył.

Jednym ruchem skrzył Martowi kark i z ogłuszającym rykiem odwrócił się w stronę tłumu, potrząsając bezwładnym trupem.

Szeregi rakszas ogarnęła panika. Runęły do wyjść, tratując się i pierzchając w popłochu.

Curran rozgiął pręty klatki.

- Ty kretynie - wychrypiałam. - Nie znalazłeś łatwiejszego sposobu na popełnienie samobójstwa? Co tu robisz?

- Spłacam dług - warknął.

Wyciągnąwszy mnie z klatki, ujrzał ranę w brzuchu. Jego zniekształcona twarz zmieniła się nagle. Przygarnął mnie do piersi.

- Nie odchodź.

- Gdzie miałabym iść... Wasza Wysokość? - Kręciło mi się w głowie.

Smukła, przerażająca bestia wygarnęła Liwię z kryjówki.

- Spokojnie - powiedziała, obejmując ramieniem skamieniałą ze strachu dziewczynę. W drugiej łapie trzymała Wilczy Diament. - Z Ciocią B. nic ci nie grozi.

Na drugim końcu komnaty ktoś usiłował przebić się przez rozszalałą falę umykających rakszas. Dostrzegłam lśniący miecz i rozpoznałam Hugh d'Ambraya z Nickiem u boku. Hugh zauważył nas i coś krzyknął.

- A ten co tu robi? - prychnął Curran.

- To generał Rolanda. Przyszedł po mnie. - Chciał dostać w swoje ręce kobietę, która zniszczyła powierzony mu miecz.

- No to ma pecha. Jesteś moja. - Curran odwrócił się, unosząc mnie do wyjścia. Hugh krzyknął, ale rzeka uciekających stworów zabrała go ze sobą, wypychając z komnaty.

Wtuliłam się w pierś biegnącego przez wimanę Currana. Reszta dołączyła do nas po drodze. Nie byłam już w stanie rozróżnić ich pysków. Leżałam bezwładnie, a każdy wstrząs rozsyłał po moim ciele kolejne fale bólu. Łagodna ciemność próbowała pochłonąć mnie do reszty.

- Zostań ze mną, dziecinko.

- Zostanę.

Unosiłam się na powierzchni pół snu, pół koszmaru. Jednak jakimś cudem nie straciłam całkiem przytomności, nawet gdy wimana przechyliła się na bok, nawet gdy wyskakiwaliśmy z niej i patrzyliśmy, jak latająca budowla rozbija się o zielone wzgórza. Trzymałam się też cały czas, kiedy biegliśmy przez dżunglę. Ostatni obraz, jaki pamiętam, to zarysy ruin i oblicze Doolittle'a.

EPILOG

Śniłam o Curranie, który warczał „wylecz ją” i doktorze tłumaczącym, że nie jest bogiem i nie umie czynić cudów. Śniłam o klęczącej przy moim łóżku, szlochającej Julie, o siedzącym przy mnie Jimie oraz Andrei, opowiadającej irytująco skomplikowaną historię...

Głosy mieszały mi się w głowie, aż wreszcie moja cierpliwość wyczerpała się ostatecznie.

- Możecie się zamknąć? Proszę.

Otworzyłam oczy, napotykaając zatroskane spojrzenie Currana.

- Witaj wśród żywych. - Uśmiechnął się.

- Uciszałam właśnie głosy w mojej głowie, robiły straszny hałas - plotłam, pokrywając ulgę, jaką poczułam, widząc go całego i zdrowego.

- Nie przejmuj się, są na to leki.

- Pewnie każą za nie płacić jak za zboże.

Pogładził pieszczotliwie mój policzek.

- Uratowałeś mnie.

- Nie przepuściłbym takiej okazji.

- Idiota. Tak ci spieszno do śmierci?

- Muszę dbać o kondycję. Wysiłki zachowania cię przy życiu utrzymują mnie w formie.

Poczułam na ustach ciepłe wargi. Tym razem nie potrafiłam się oprzeć. Zarzuciłam mu ręce na szyję, rozkoszując się dotykiem i zapachem jego skóry. Trwało to zdecydowanie zbyt krótko, szybko opadłam z sił. Ostrożnie ułożył mnie na poduszce i wyszedł z pokoju. Skuliłam się pod kocami, zapadając w błogi sen.

* * *

Rankiem, wraz z przyjściem doktora, powróciła bolesna rzeczywistość.

- Ile widzisz palców? - zapytał, pokazując mi trzy. - Jedenaście.

- Dzięki Bogu. - Odetchnął. - Zaczynałem się już martwić.

- Gdzie Jego Wybredność?

- Wyszedł wczoraj w nocy.

Walczyłam z falą emocji, w której kotłowały się żal, że go nie zobaczę, ulga, że go nie ma, i radość, że czuje się na tyle dobrze, żeby chodzić. Koniec. Wpadłam po same uszy.

- Mam ci mówić to, co zwykle w takich przypadkach? - westchnął doktor. - Gdzie jesteś, jaki jest twój stan i jak się tu znalazłaś?

Popatrzyłam na niego poważnie.

- Doktoru, musimy przestać spotykać się w takich okolicznościach.

Skrzywił się kwaśno.

- Czekał tatka latka.

Jim był pierwszym moim odwiedzającym. Przyszedł, gdy wymęczona ugniataniem, kluciem, mierzeniem temperatury i resztą medycznych tortur miałam ochotę zasnąć i nie budzić się przez kilka dni. Tym razem najwyraźniej pojawił się w roli nie okazjonalnego towarzysza broni, a szefa ochrony Gromady. Popatrzył na mnie poważnie.

- Zajmiemy się tobą.

- Dziękuję. - W tym momencie już bardziej zająć się mną nie można było. Zabiegi Doolittle'a wpędzały mnie do grobu.

Jim tylko kiwnął głową i wyszedł. Trochę napędził mi stracha.

Następnie wpadła Julie. Położyła się obok i z żalną miną wysłuchiwała tyrady na temat przedwczesnego wypuszczenia Currana z klatki.

Podczas jej wizyty dołączył do nas Derek.

- Jak się czuje Liwia?

- Odeszła. Była mi bardzo wdzięczna, ale nie mogła zostać.

- Przykro mi - powiedziałam.

- A mnie nie - prychnęła Julie.

- Nie liczyłem, że zostanie - oświadczył Derek z kamienną twarzą, choć głosem wrzącym od emocji.

Mimo tego, co mówił, musiał chyba mieć nadzieję, że Liwia go kocha.

- Byłem tylko jej szansą na wyplątanie się z tego. Ale rozumiem. Poza tym, sporo się zmieniło... - Wskazał na swoją twarz.

Julie zeskoczyła z łóżka.

- Tak dla twojej informacji, ja mam to gdzieś! Wybiegła.

Derek spojrział na mnie zaskoczony.

- Co ma gdzieś?

Ładnie. Moja dziewczynka zakochała się w nastoletnim wilkołaku. Dlaczego mnie to spotyka? Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć?

Poprawiłam się na łóżku, naciągając koc prawie pod oczy.

- Twoja twarz, Derek. Nie obchodzi ją, jak wyglądasz. Reszty sam się domyśl.

Potem znowu spałam. Kiedy się ocknęłam, Andrea wyganiała Doolittle'a. Przysunęła sobie krzesło i popatrzyła uważnie.

- Dobra, więc gdzie jestem i jak się tu znalazłam? - Doktor co prawda proponował, że mi powie, ale wolałam bezzrzedliwą wersję Andrei.

- Jesteśmy w jednej z kryjówek Jima. Po tym, jak rakszasy cię porwały, Curran wpadł w szal. Wyciągnął wszystkich zmiennokształtnych z Areny...

- Nie byliśmy tam sami, prawda? Widziałam Mahona i Ciocię B?

- Tak, siedzieli na trybunach. Curran obawiał się, że rakszasy mogą coś wykombinować na sam koniec. I nie przerywaj. Poszliśmy za Jimem do Zaułka Jednorożca, znaleźliśmy dżunglę i śledziliśmy wimanę, póki nie wylądowała. Ta maszyna siada co kilka godzin, pewnie żeby dać odpocząć napędowi albo coś w tym stylu. W każdym razie wpadliśmy tam. Wywiązała się walka. Nie wiem, co było

później, bo poszłam do maszynowni z ekipą, która miała unieruchomić ten przeklęty pałac. Potem zobaczyłam, jak Curran niesie twoje ledwo żywe zwłoki.

- Uhm. - W moich wspomnieniach wyglądało to mniej więcej tak samo.

Andrea wbiła we mnie wzrok, ścisząc głos.

- Zniszczyłaś Szkarłatną Gwiazdę. Cholera. Nie sądziłam, że ją rozpozna. - Hm?

- Daj spokój. Bierzesz mnie za kretynkę? Jestem krok od Mistrza Oręza w broniach palnych. - Andrea zmarszczyła nos. - Już dostaję większość raportów do wglądu. Gdyby nie Ted, miałabym awans w kieszeni. Wiem, do czego był zdolny ten miecz.

- Mówiłaś o tym reszcie?

- Tak - przyznała ze skruchą. - Wyjaśniłam, co to za broń, i powiedziałam, że gdyby nie ty, leżelibyśmy teraz na półmiskach rakszas.

- Niepotrzebnie to zrobiłaś.

Wykonała gest, jakby coś uciwała.

- To w tym momencie nieistotne. Roztrzaskałaś go na kawałki. Został wykuty z krwi Rolanda, a ty pokropiłaś go swoją i zniszczyłaś. Nie jestem głupia, Kate. Proszę, nigdy nie traktuj mnie jak głupią gęś.

Skojarzyła fakty. Tylko ktoś tej samej krwi mógł obrócić w pył miecz Rolanda.

- Córka?

Nawet gdybym chciała, w tej sytuacji i tak nie było sensu kłamać.

- Tak.

Zbladła.

- Myślałam, że obiecał sobie nie mieć dzieci.

- Dla mojej matki zrobił wyjątek.

- Czy ona żyje?

- Zabił ją.

Andrea potarła czoło.

- Curran wie?

- Nikt nie wie. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jedyłą, jaką mam. Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię zabiła. Nie potrafiłabym.

Wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. Dobrze, że nikt nie wie. I niech tak zostanie.

Znów zaczęłam oddychać.

* * *

- To niedorzeczne - burczałam.

- Cicho bądź! - Andrea wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi swojego mieszkania. - Zostajesz ze mną. To tylko kilka dni. Obiecałam doktorkowi, że cię przypilnuję. Mam przykazane powstrzymać cię od „szturmowania jakichkolwiek latających zamków”.

Miałam do wyboru, to albo kolejne dwa dni pod opieką Doolittle'a. Był najlepszym magomedykiem, z jakim miałam zaszczyt

mieć do czynienia. Był przedobry i przetroskliwy, i bardziej ludzki niż ja sama.

Jednak im dłużej pozostawało się pod jego opieką, tym większe wykazywał tendencje do kwoczenia. Jeszcze trochę, a zaczęłby mnie karmić łyżeczką. Mieszkanie u Andrei wydało się mniejszym złem.

- Nadal twierdzą, że trzeba było wziąć te kwiaty - powiedziała, wchodząc do mieszkania. - Przysłał ci je Saiman.

Fakt. Saiman, wierny swojemu *modus operandi*, przysłał bukiet białych róż oraz bilecik z podziękowaniami. Kwiaty znaleźliśmy na progu kryjówki Jima, o której Saiman nie powinien w ogóle wiedzieć. Jim omal nie dostał apopleksji na ich widok. W liściku została zawarta informacja, że Sophia przyznała się do zaopatrywania rakszas w odłamki Wilczego Diamentu. Podstawiła kilka osób do zrobienia zakładów i postawiła ogromne sumy na Rozpruwaczy, jeszcze wtedy gdy nikt o nich nie słyszał, więc ich szanse oceniano nisko. Saiman nie wspomniał, co się z nią stało. Znając go, nic przyjemnego.

Andrea zajrzała do salonu i zamarła. Stała w progu jak posąg z otwartymi ustami. Torba zsunęła się z jej ramienia, upadając na podłogę.

U sufitu wisiał wielki przedmiot. Nie dało się tego określić mianem żyrandola ani też wiatraka. Było to cienkie, ponaddwumetrowe, metalowe... coś. Wielka konstrukcja z miedzianego drutu w kształcie choinki, udekorowanej na górze dziełami Lorny Sterling, od pierwszej do ósmej części, ułożonymi w kształcie wachlarza. Poniżej, na kuliście rozmieszczonych pod

różnymi kątami nibygałęziach, wisały dziesiątki uczepionych złotymi łańcuszkami kryształów, które pobrzękiwały poruszane prądem powietrza. Każda ozdóbka była przewiązana malutką wstążeczką i każda miała w środku kawałek tkaniny w pastelowym kolorze: białym, błękitnym, różowym...

Andrea jak zahipnotyzowana podeszła do dziwnego tworu i zdjęła jedną z ozdób. Kryształ otworzył się w jej dłoni. Andrea rozwinęła brzoskwiniowy materiał i podniosła do oczu.

Zamrugalam, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę.

Andrea gapiła się na trzymane w ręku stringi oczami wielkimi jak spodki.

- To ja już pójdę - oświadczyłam, rzucając się do drzwi. Doolittle i tak nie będzie wiedział.

Ha. Rafael najwyraźniej postanowił przebić wszystkich zalotników, na stałe zapisując się w romansowych annałach zmiennokształtnych.

Pojechałam do domu na jednym z koni Gromady. Nie spadłam z niego ani razu, co uznałam za wielki sukces, choć okupiony ogromnym wysiłkiem. Brak tłumów powitalnych z kwiatami i medalami rozczarował mnie okrutnie.

Po drodze odebrałam od dozorca nowy klucz, wspięłam się na piętro i obejrzałam dopiero co założony zamek. Był masywny, metalowy i lśniący. Nie miał ani jednej ryski. Sam klucz posiadał dziwaczne wyłobienia. Całość robiła wrażenie, że mechanizm jest stuprocentowo odporny na włamania. Wypchaj się, Wasza Wysokość.

Otworzyłam drzwi i weszłam, zatrzasnąjąc je za sobą. Zrzuciłam buty, krzywiąc się, kiedy gwałtowny ruch przyprawił mnie o ból rany. Sporo czasu upłynie, zanim zagoi się całkiem. Ale przynajmniej już nie krwawiła.

Całe napięcie ostatnich dni opadło ze mnie. Jutro zacznę martwić się o Hugh d'Ambraya, Rolanda i Andreę, teraz byłam po prostu szczęśliwa. Ech. Dom. Moje miejsce, moje zapachy, mój dywan pod stopami, moja kuchnia, mój Curran za stołem kuchennym... Zaraz, co, do licha?

- Ty! - Spojrzałam na zamek i znów na Currana. To by było tyle, jeśli chodzi o stuprocentową antywłamaniowość.

Curran dokończył spokojnie pisanie czegoś na kartce, wstał i podszedł do mnie. Serce ruszyło mi w szaleńczym rytmie.

- Już nie mogę się doczekać - powiedział, wręczając mi papier. W jego oczach tańczyły wesołe złote iskierki.

Gapiałam się na niego oniemiała.

Wciągnął nozdrzami powietrze, wdychając mój zapach, otworzył sobie drzwi i wyszedł. Spojrzałam na kartkę.

Przez dwa miesiące będę bardzo zajęty, umówmy się więc na piętnastego listopada.

MENU:

Poproszę o stek jagnięcy lub sarni. Do tego pieczone ziemniaki z glazurą miodową. Kolby kukurydzy. Bułeczki. I szarlotka - taka, jaką zrobiłaś ostatnio. Bardzo mi smakowała. Może być z lodami.

Miało być nago, ale przecież nie jestem bestią. Jeśli chcesz, możesz założyć biustonosz i figi. Te niebieskie z kokardką będą idealne.

*Curran,
Władca Bestii Atlanty*

COPYRIGHT © BY Andrew Gordon and Ilona Gordon
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2010
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Dominika
Schimscheiner, 2010

TYTUŁ ORYGINAŁU Magic Strikes

WYDANIE I

ISBN 978 - 83 - 7574 - 225 - 1

REDAKCJA SERII Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Dariusz Haponiuk

GRAFIKA NA OKŁADCE Chad Michael Ward

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Barbara Caban, Magdalena Grela

SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o

20 - 607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

tel. 81 524 08 88, faks 81 524 08 91

www.fabryka.pl, e-mail:

biuro@fabryka.pl